NOTICE

THIS VOLUME IS INCOMPLETE

THE FOLLOWING ISSUES ARE NOT AVAILABLE:

8-11 1954

TWÓRCZOŚĆ

U. I. C. C.
APR 24 1978
LIBRARY

7

LIPIEC
ROK X 1954

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK

ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK X ZESZYT 7

WARSZAWA, LIPIEC ROK 1954

Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego, Warszawa
Zamówienie 3168/c z dnia 3.6.54 r. Nakład 4.800.
Druk ukończono w lipcu 1954 r. 5-B-16738

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

DZIEŃ CZERWCOWY

I

To jest ton świata, ta cisza śmiertelna,
Jaka nad ranem niespokojnych budzi.
Jak liść wyraźna, jak drzewo oddzielna
Wybiega świtem pieśń moja do ludzi.

Jak ptak, jak strzała wzbija się w niebiosa,
Ale ją mrozi chłodna stratosfera,
Na ziemię spada i milknie jak rosa
I z każdej trawki pył dzienny ociera.

I znów w milczenie zaklęta zdumione
Zamyka wargi moje i powieki,
A w sercu moim brzmią odnalezione
Milczące miasta, jeziora i rzeki.

II

Wcześnie. Pierwszy dzień czerwcowy
Rosi radość ranny deszcz.
Wiozą cegły do budowy,
Rośnie żyto, rośnie perz.

Bzów fontanny jeszcze pluszczą,
Słowik trafia w deszczu ton,
Wszystkim dębom, wszystkim bluszczom
Liść wyrasta w małą dłoń.

Wschodzi dzionek pracowity,
Chwała mokrym, ciepłym dniom,
Chwała wieńcom z dłoni witym,
Pokój miastom, pokój wsiom.

III

Tu stara moja biblioteka,
Rezultat życia, które się kończy,
Wciągam na siebie prace człowieka,
Na kształt za luźnej na mnie opończy.

Za oknem sosna, świerki i brzozy,
Wino na szybach podobne do krat,
A dalej niebo wolne od grozy
I ciche dzisiaj — to mój świat.

Przymierzam siebie do świata zdarzeń
I z każdą chwilą czuję się mniejszy,
Za moim światem, światem z marzeń —
Rośnie olbrzymi dzień dzisiejszy.

IV

I dziś jak co dzień nad oceanem
W przepaści nieba, w przepaści chmur,
Lecą olbrzymie aeroplany
Pośród ogromnych obłocznych gór.

Z czarnego brzegu na brzegi lądu
Wonnego wonią wilgotnych puszcz,
Jak listek gnany potęgą prądu,
Jak ciemne drzewa łączący bluszcz,

Ludzie w maszynach zamknięci trwają,
Porwani wirem nieznanych sił.
I może dzisiaj gdzieś napotkają
Lecący z nieba śmiertelny pył.

V

Codziennie teraz widzę w oknie
Czerwcowy pejzaż tak spokojny,
A gdzieś na świecie — ON — rozsnuwa
Przerażające sieci wojny.

Zieleni lipa liście nowe,
Bez jeszcze kwitnie, jaśmin pachnie,
Niechętnym nazwać po imieniu
Przerażającą tę Arachnę.

Ziemia jest szmaragdową bryłą
W uśmiechu pierwotnego lata,
Podda się tryskającym siłom
Wróg mego i twojego świata.

VI

W centrum Afryki wysoka Kenia
Wznosi nad dżunglą śnieżny swój próg,
Człowiek w tym lesie szuka nie cienia:
Samolot krąży jak srebrny żuk.

W Sudanie wielkie budują lotniska,
Na Złotym Brzegu sieci szos,

To nie dla ciebie, ty bez nazwiska!
W serce twej ziemi — bomby cios.

Uranium tajnie się dobywa,
Jakże daleko, daleko stąd.
O, hebanowa twarzy z lwią grzywą,
Widzę, powstajesz, jak Czarny Ląd.

VII

W południe myślę o tych, co się trudzą
Na płaskich polach oroszonych potem,
O tych, których o świcie stróże pracy budzą,
Aby cudze spichlerze napełniali złotem.

O tych, co zanurzeni wyżej kostek w wodzie
Hodują ryż, a sami z głodu umierają,
O Hindusach, Malajach i o tych, co młodzi
Śmierć spotykają w blasku złotych kul kakao.

O, dalecy i bliscy, chłopi w całym świecie,
Zbrojni w stalowe kosy i w drewniane sierpy,
Czy wierzycie na słowo obcemu poecie,
Że z was on rację swoich wierszy czerpie?

VIII

Nie zapomina się tak łatwo życia
Ani odwraca wzroku od mogił i krzyżów,
Czy czujesz jeszcze zapach płonącego getta,
Ty, który alejami przechodzisz Paryża?

Krocząc plamami słońca, jak stary atleta,
Nie znasz smaku nowego lipcowego miodu,
Ale gdy śpisz, czy jeszcze wychodzą z ukrycia
Straszne twarze poetów zabitych za młodu?

Ja, każdego południa, gdy siadam do stołu,
Zmęczony pracą, karmiony nadzieją,
Odczuwam — pełen kwiatów co czerwcem się
śmieją —
Radość nowej potrawy zmieszanej z popiołem.

IX

Wieczór tuszem cienie kreśli,
Więdnąc jeszcze pachnie bez,
Ilu ludzi dzisiaj myśli:
„Księżyc wschodzi w chmurze łez?“

A on wstaje obojętny
Cel astronomicznych wież —
Iluż gnębi myśl namiętna,
Jak wznieść kłosy, zdławić perz?

Nocy powiew niegorący
Jest jak ciemny oddech gwiazd.
Chwała pieśni mej chwalącej
Pokój wsi i pokój miast!

Jarosław Iwaszkiewicz

WAKACJE

Tam między dni zgasłego lata,
Tam wrócić, gdzie w otwartych drzwiach
Słonecznik gęsty stał na czatach,
Pod wyplatany słońcem dach.

Za tą granicą wąską cienia,
Którą w zieleni kładzie dom,
Ul pełen pszczół gorących brzmienia,
Zaklętej księgi czerwca tom.

Jak to się stało, powiedz, czemu,
Że przez zamknięte szczelnie drzwi,
Które już mech i rdza okrywa,
W odbiciu tylko jeszcze żywa,
Podobna szkiełku słonecznemu
Wchodzisz do mojej ciemnej krwi.

Jak te *zajączki*, które z okien
Pokojów, nasączonych mrokiem,
Płoche dziewczyny lusterkami
Rzucają — tak mnie dzisiaj mami
Wspomnienie ze słonecznym wzrokiem.

A w nim przez czas nie tknięte prawie
Ciotki-dewotki, źli stryjowie,
Motyle czarnych kapeluszy,
Wycieczki w bliski las po zdrowie,
Śniadania na zielonej trawie,
Uśmiech przesłany mi łaskawie
Niby od gałki metalowej
Laseczki — czy mnie jeszcze wzruszy?

Matce zwierzała się w tym lecie
Z sekretów, nieśmiertelnych głupstw —
Abym dziś jeszcze, w innym świecie,
Czuł dotyk jej niewprawnych ust.

TREN GRUDNIOWY

Powiał czarny wiatr od Acheronu
I resztę zeschłego listowia
Postrącał z kasztanów i klonów
I położył mu u wezgłowia.

A on leżał martwy jak ptak, owad,
Ciemny jak lampa zgaszona,
Lecz już zakwitała jego głowa
W narcyzach i anemonach.

Ach, ja wiem, ten zaciekły dylemat,
Węzeł nigdy nierozplątany!
To na własność wziął go własny temat,
Jak więzienie w swe ciasne ściany.

I tak zajął go, tak po pochłonął,
Aż go wreszcie sobą unicestwił.
Wieje czarny wiatr od Acheronu
I ucicha w brzozie bezszelestnej.

TRIUMF PRAWDY

Cichy jest triumf prawdy,
Tak cichy, że —
Że słychać
Jak ziemia oddycha.

Umarły poeta nie słyszy
Zwycięstwa swego, nie słyszy,
Jak w białej sadów ciszy
Poruszają się gałązki jabłoni.

On, chłostany ogonami komet,
Konający raz jeszcze pośród gwiazd agonii,
Tęskni za ziemskim domem.

Jego oszczercom świecą się oczy:
„Przecież myśmy go zawsze szanowali".
Tymczasem
Wczesnym jesiennym rankiem
Kobiety taszczą do domu bochenki ciepłego chleba,
Łyżeczki dzwonią o szklanki,
Dzieci,
Jedyni na ziemi mieszkańcy nieba,
Wypłaszają z kątów izby resztkę nocy.

ŚPIEW WIATRU

Czytam na starej książki marginesie
Uwagi, gęstym ołówkiem pisane,
I nagle wzrok mój gaśnie i głos rwie się...
I w sercu moim czuję twoją ranę.

Twój brat napisał je w młodzieńczych latach,
Teraz okryty ciemnym zapomnieniem,
I wszelki jego ślad w śniegu się zatarł,
I wichry rozerwały jego cienie.

Czekałaś na znak życia, najbiedniejsza,
Najbielsza. Darmo. Na jego zniknięcie
Pracował czas — i przestrzeń, okrutniejsza
Nawet niż czas, co zna toporu cięcie.

I cóż uczynić mam ja, pełen winy
I wobec ciebie, i zaginionego?
Śnieg zasypuje złe i dobre czyny
W śpiewie żałobnym wiatru północnego.

ZIARNO

Zasieją ziarno w ziemię czarną,
I pochowają w niej niebiosy,
Aż glebę żyzną i cmentarną
Rozepchną żądła słońca — kłosy.

I światło podziemnego nieba
Odłożą na zasiewy późne,
I będą żyły z tego chleba
Ptaki osiadłe i podróżne.

Ukryta w ziarnie znakomita
Mądrość przemiany nieśmiertelnej
Narodzonego właśnie wita
Na progu, bez opłaty celnej.

Dom życia, cały w młodej wiośnie,
Drzwi szmerem stare baśnie szepce
O nasączonej słońcem sośnie,
O ziarnku żyta i kolebce.

PRZED ZMIERZCHEM

Kasztany mają takie schody,
Jak gdyby po nich maj
Chciał wejść do nieba. Za oborą,
Skąd zapach pól i gnoju zawiał,
Wchłaniając pierwszą woń wieczoru
Bruzdami ziemi się rozdziawia
Spragniony deszczu kraj.

Bzy rozsypują biały przepych
Z tysiąca jednej nocy.
Dziad idzie drogą siwy, ślepy,
Wierzbowym kijem macający
W ciemności, co jest dla nas słońcem,
Klapią drewniane jego trepy.

Przy drodze stoi wydrążona
Przez wielki czas topola,
Jak gdyby w głębi swego łona,
A mówiąc prościej: w dziurze
Miała katedrę, którą sto lat
W jej miazdze wypalały burze.

Kasztany mają klawiaturę,
Na której zagra ktoś,
Kto? Wnet się zjawi taki gość —
Gdy wieczór spuści chmurę,
Gdy bzy przemówią gęstym chórem
W studzwonnym zachwyceniu drżąc,
Dopóki święta, późna noc
Nie powie: Dość!

IMIONA

Za oknem zima, wiosna, jesień,
A ty, czy mieszkasz tam, gdzie słońce
Chodzi po łące i po lesie
I straszy sarny i zające?

A może mieszkasz tam, gdzie lato
Porasta w szałwię, szczaw i miętę,
Cień rzuca żukom na przynętę
I z łątką ściga się skrzydlatą?

Przy stole siedzisz w ciasnej izbie,
Bijesz w klawisze do pisania.
Za oknem zimny świat w siwiznie,
Do okien pełny pożegnania.

Gdzie mieszkasz? Może tam, gdzie lato
Od gromu spala się jak słoma —
Ja bym chciał dać imiona kwiatów
Tobie, znajoma, nieznajoma.

Idziesz, jak gdybyś otwierała
Ścieżkę przez sady owocowe
W noc, kiedy wokół cisza biała,
Ku mnie znajomą zwracasz głowę.

Nie wiesz, że uśmiech wielu kobiet
Poprzez twój uśmiech się przebija,
Wiecznie kobiece nosisz w sobie —
I jesteś moja i niczyja.

Mieczysław Jastrun

ZNAJOMY KWIAT

Strzępy gmachów, gruz, niemota,
węzły ulic zakrył kamień,
a już życie skrę swą mota,
chwyta ściany ścięte ramię.

Gdy odkryłem barwne płatki,
ból obnażył słowa harde.
Szły w pochodzie hufce Partii,
by wyrównać grunt oskardem.

Tak to bywa na ruinach,
że nieznany pąk z imienia
ulży trosce, smutek ścina
i z człowiekiem świat przemienia.

Krzepki wiew odsłania wreszcie
źródło barwy w płatku kruchym,
pąsem wątłym drży i pieści,
drążąc otwór w skale głuchej.

Źdźbła ni pąku nie zerwałem
w rok po wojnie. Domy skryły
gruzów piętna tynkiem białym,
twarz wyjrzała z zimnej bryły.

Wczoraj ściąłem kielich z pąsu,
piął się, wspinał brzegiem Wisły.
Słowik, dobry sąsiad, kląskał,
dzieci, patrząc na mnie, przyszły.

Komu dałem? Dziecku dałem.
(Wiosnę krzewił Park Kultury)
Lekko wzięły rączki małe
szczyptę życia z żyznej chmury.

Przyjdzie dzień za lat dwadzieścia:
smukły chłopiec, dziewczę tuląc,
powie: „Trud kwitł w naszym mieście,
wzrosłym z ruin, krwi i bólu."

Kwiat znajomy, kwiat jej odda:
„Ongiś dał mi go przechodzień."
Błysną lampy, które woda
żywi i żar słońca zrodzi.

Milion lamp o czystych łukach,
o niezłomnej, trwałej skroni
brzeg przeszłości w mgle odszuka,
stary napis z mgły wyłoni.

POGRANICZNY SPÓR

Jak długo wlec się będą daty nieustanne
w mundurach, z mgły w przeżyć strzępach, w starć płomieniach?
Hasła wyniosłe, kute gonią echem za mną,
choć miasto co godzina kształt i barwę zmienia.

Czemu u drzwi mych werblem uderza historia,
choć brygada murarzy kładzie zrąb budowy?
Sierrą szumi, nawiedza, przyciąga przekorna,
marszem, hymnem, etiudą w krąg wciąga surowy.

Często w arkuszach wierszy szeleści ulotka
i wzywa znów na podpunkt pod ćmiącą latarnią.
Czy towarzysz zgubiony o zmroku mnie spotka?
Czemu widma szlachetne myśli bojem karmią?

Czemu słońce sztandarem wschodzi nad domami
i woła pod fabrykę, i dokąd, i gdzie tam?
Czemu mak piętnem krwawym łan pszeniczny plami
a sygnałem mnie budzi noc sierpem ucięta?

Stali rdza nie rozłoży, nie wyschnie bój jutra,
choć radosny pląs świateł ulicę rozjaśni,
my i dzieje nie zaśpią, gdy czujka zastuka.
Czemu złuda z dniem białym w sporze trwa i waśni?

Dajcie mi dzień powszedni, zwyczajne godziny,
proste jak chleb razowy, jak brzask nad budową!
Przywróćcie sen bez mary i chłód nocy zimny,
poranki bez łez rosy z barwą świeżą, zdrową.

Dajcie! Kto je zdobędzie, jeśli oko łamie
obraz ulic inaczej niż oko przechodnia?
Ja, ja odzyskam. Spędzę zawiłych mgieł zamieć
i jak wszyscy odnajdę proste słońce co dnia.

Jan Wyka

Z DZIENNIKÓW

4.III (niedziela) 1888 *Warszawa*

...Leopardi i Szewczenko uderzają czasami w tę miedzianą strunę rozpaczy gorzkiej i spokojnej jak uśmiech trupa. Uderzenia chłopskiej ręki Ukraińca bodaj czy nie brzmią straszniej niż te kościste, suche, straszne wibracje dusznych tonów włoskiego garbusa. Jak ciężko wyrywać się musiała z piersi Szewczenki ta skarga i śmiech — „a może, Boże, radzisz się panów, jak rządzić światem". Są w poezji tego męczennika tony proste, a jednak wstrząsające i ponure, są zgrzyty boleści — a czasami krzyk donośny jak krzyk stu tysięcy hajdamaków. Tam się zaszczepi i przyjmie, i wyda owoce wielka idea Lassala. Tam zwalić pana i zadusić cara, zabić popa i powiesić Żyda — a dać ziemię i naukę chłopu, to rzecz święta, bo ją przygotowały wieki. Pan — Moskal lub Polak, a obaj zdzierają skórę z autochtona. Tam się narodził nasz pan Leon i ukraińskimi oczami patrzy na naszego krakowskiego pana.

9.III (czwartek)

...Deszcz pada od rana, wsiąka w zaspy śniegu, unosi się w postaci grubej, ciężkiej, nieprzejrzanej mgły wszędzie. Mgła ta i te maleńkie kropelki deszczu zakradają się wszędzie — aż do szpiku kości, nie możesz się przed nimi ukryć nawet w głębi własnego jesiotrowego futra. Z dachów leją się nieprzerwanie strumienie na czapkę i nos. Ogarnia cię dreszcz i ziewanie.

Ale nie można dziś ziewać. Idę ulicą Wierzbową — aliści pędzi za mną znany mi od dawna łotr, roznosiciel kurierów z ogromnym nosem — leci i krzyczy na całe gardło: „telegram z Berlina, z Berliiina". Kupuję za dziesiątkę ów telegram, a raczej dodatek do Porannego i dowiaduję się wreszcie, że Wilhelm umarł.

162 marki = 100 rs., nota Turcji wystosowana do Bułgarii, wahadłowa odpowiedź Austrii, śmierć Wilhelma, powrót gnijącego następcy tronu z San-Remo, mruczenie niedźwiedzie dzienników ruskich — to wszystko podobne do dzisiejszej mgły, tak jak ona natrętnie wciska się w szranki twego myślenia. Co się spoza niej wychyli? Czy burza, czy znowu mgła, czy straszna twarz słońca? Nie wiadomo — bo to marzec. Przed oknami redakcji — tłumy rozgorączkowane, ciekawe; w kioskach kupują kuriery zarówno robotnicy, jak panowie w futrach. W oknach wiszą telegramy lakoniczne: *„verstorben* — $8^1/_2$".

Dziś o polityce z tajemniczą miną mówią nie tylko już emeryci, lecz i kucharki, i sam pan rewirowy z IX „ucząstku".

Stał przed redakcją robotnik stary i sylabizował sobie po cichu. Przesylabizowawszy — zbliżył się do mnie z zapytaniem: „który to umarł — stary czy młody?" — „Stary".

„— A to ta, panie — mała szkoda — szepce mi na ucho — bo to hycel wyganiał naszych...“

Głuchy odgłos biegnie górą, podobny do strof Szopena lub Konopnickiej — dołem w postaci klątwy zasmolonego starca, który zna przecież różnicę między „naszymi“ i obcymi. Nie podobałoby się to panu D., co tak się zachwycał fotografią chłopów polskich i kolonistów niemieckich, zebranych w jedną kupkę.

Ach — kiedyż ja będę mógł powiedzieć, jak miał prawo mówić Bułgar Insarow w romansie Turgieniewa: „Pani, czy to rozumiesz: ostatni chłop, ostatni żebrak w Bułgarii — chcemy i kochamy jedno i toż samo...“

Daleko to, straszliwie daleko! A jednak w to jedno jeszcze trochę wierzę. (...)

15.III (czwartek) *W nocy*

...Przeczytałem pięć nowel Dygasińskiego, zebranych w tomie pt. Z s i ó ł, p ó l i l a s ó w. Nowela W p u s z c z y daje całokształt myślenia Dygasa. Cała przyroda występuje tu na widownią, żyje i działa. Treść jego poglądów zawsze jednaka, zarówno w rozmowie, jak tu:

„Dobrych i niewinnych stworzeń nie ma na świecie, nie łudźmy się!... Są tylko silni i mniej silni. I nie ma wśród żywych innej miłości, tylko miłość gatunku, a w niej o to jedynie chodzi, aby słabych zniszczyć lub mocniejszymi uczynić. Jest jedno jedyne, najwyższe prawo życia: Bądź silnym! Uczyń silnym jeden swój organ: zęby, oczy, rozum lub nogi, a będziesz na świecie zwyciężał, dopóki nie spotkasz silniejszego od siebie.“ Stary pogląd, wyhodowany w Anglii, lecz młody w beletrystyce polskiej, a przynajmniej nieznośnie jednostronnie z nieustającą i nudną konsekwencją przeprowadzany.

Ślicznym w czarnych ramach obrazkiem jest epopeja trzech mórg ziemi pt. C o s i ę d z i e j e w g n i a z d a c h. Kwintesencją jego jest znowu twierdzenie, bo nic u D. nie obchodzi się bez darwinistyczno-osobistych twierdzeń: „...Kiedyś dziejowa przyszłość takich tylko posadzi na zagonie większej i mniejszej posiadłości, będą to ludzie głównie energii oraz pracy. Sztuką nikt się tu nie utrzyma. Lud da odrodzenie, a jeżeli nie, to...“

Wiedzieliśmy o tym, lecz nie wiedzieliśmy, że pan D. tak łatwo stawia myślniki. Natomiast wygłosił kapitalną rzecz: „Chłopy na Powidziu byli zawsze dumni i zuchwali; nie dziw, że są dumni i dziś, kiedy być chłopem stanowi już zaszczyt. Jest to przecież szlachta świeża, z ogromną przyszłością. Niech-no jakie trzy wieki historii przetoczą się po tym ludzie, a zobaczymy wtedy, czym może być człowiek wdzięczny dla swej gleby.“ Tylko trzy wieki mamy poczekać, a w t e d y z o b a c z y m y. Jeśli napisać — to już głupstwo. Kto ciągnie za język pana D.? To jego patriotyzm. Ach, zarówno dobrzy i ci, co chcą dziś chłopa uszczęśliwiać, jak ci, co za trzy wieki rysują granice Polski. (...)

19.III (poniedziałek)

...Wracam z moich lekcji, zmoknięty jak kura wodząca kaczęta. W sąsiednim pokoju wesoło: imieniny jednej z naszych sąsiadek, są tam goście. Słychać wesołą gwarę dzieci, śmiech kuzynów i kuzynek, którzy zebrali się na imieniny. Daje się herbatę, dla dzieci cukierki — rozmowa toczy się wesoło, przebiega z przedmiotu na przedmiot, upiększona śmiechem, przeplatana dowcipem, anegdotami...

Wszystko to woła z ciemnej oddali — wspomnienia. To imieniny mojej matki. Pamiętam, jak byłem ośmioletnim chłopcem, jak pisałem laurki. Pamiętam duży pokój w naszym dworze, duży piec, w którym płonie ogień, wicher huczący i drobne kropelki deszczu, dźwięczące po szybach, i siebie — deklamującego powinszowanie: „Kochana Mamo... itd." Potem łzy jej, te duże łzy, wielkie łzy bez blasku, łzy dzikiej miłości, jaką mię kochała. Ostatnie powinszowanie pisałem będąc w klasie pierwszej. W drugiej — byłem już sierotą. Dzisiaj przebiegam myślą wszystkich, kogo znam, i nie znajduję nikogo, czyja śmierć mogłaby mię zasmucić, wstrząsnąć do głębi; wszyscy — w mniejszym lub większym stopniu są mi obojętni. Nikogo — nikogo — nikogo nie kocham. Człowiek pozytywny. (...)

24.III (sobota)

...Jeszcze jedna rana, jeden cios, jedno nieszczęście — moja powieść. Urodziła się we mnie, gdy byłem w klasie VIII, gdy czytałem Turgieniewa, rosła ze wzrostem namiętnej miłości do pani Heleny, uczył ją myśleć Taine, bił ją socjalizm polski, kusiła praca organiczna, napawała sarkazmem nędza, głód wodził po przepaściach, pieściły wspomnienia, kochała przyroda, a ja jeden oprowadzałem po życiu. Ileśmy widzieli, ile razy konali w męczeństwach bezsilności, ile razy wznosili się na skrzydłach, jak długośmy cierpieli. Zawsze jesteśmy razem, ciągle się czegoś uczymy... Czym jest, jak się nazywa ta nauka? Dzika plątanina — chaos marzeń i wir obserwacji! A wiemy, że prócz obserwacji — nie ma nic, prócz straszliwego naszego wroga — psychologii. Marzemy, marzemy bez miary. Stąd płynie brak męstwa. O, któż pojmie straszliwą trwogę streszczającą się w konieczności oblekania w formę marzeń? To znaczy stworzyć powieść, to znaczy wywlec siebie ze siebie... Czy podobieństwo napisać wszystko? Zdaje mi się, że oszalałbym, czytając recenzję, gdzie krytyk opowiada zwykle szkielet, treść powieści. Fabuła zostaje sama, łodyga pozbawiona kwiatów. Wszystko wtedy przestaje być twego mózgu marzeniem, staje się jego własnością. On to sądzi, przebiera, jak w koszyku kartofli. A ty? Ty lepiłeś drżącymi rękoma utwór sztuki.... Co to sztuka? Straszliwy przestwór, gdzie możesz się wznosić do nieskończonej wysokości — idź, dokąd chcesz, idź choćby do Szekspira. Zaczynasz się bać... To tak, jak straszliwe pragnienie w febrze. Jeśli zaczniesz pić — to się zabijesz, a nie pić — to cierpieć, cierpieć głucho, posępnie, tajemnie, bez miary. Staje przed tobą straszliwe widmo, potwornie mgliste, ciemne, tajemnicze, wymy-

kające się z konwulsyjnie pracujących tkanin mózgu: idea obrazu. Patrzcie — już najstraszniejszy fałsz!

Kartony wymarzonego utworu nie powstają w twej wyobraźni prosto, jasno, zrozumiale, nie tworzą idei — lecz ona zjawia się pierwsza — ta idea. To przekleństwo ciąży nawet nad Turgieniewem. Od niego, od tej mgły zależeć będzie wszystko. Czyż to będzie prawda? Jacy będą ci ludzie? Prawda, że idea zrodziła się na widok ludzi, ale powstała absolutnie skądinąd, nie wypłynie z charakteru twych kreacji. Utwór twój będzie stworzonym *a priori*... A więc — już przez to skazany zostanie na zagładę. Tak nie tworzył ani Homer, ani Michał Anioł, ani Szekspir, ani Göthe, ani Mickiewicz. Trzeba więc tak ukryć ideę, aby jej nie odszukał wzrok pospolity. Co za szarlataneria, co za głupota, co za idiotyczne stawanie na koturnach! Sztuka jest prostą jak wylew wody, jak przypływ morza — my robimy z niej reakcję chemiczną. Trzeba tedy zrobić ten odczyn jak najsztuczniej. Byłoby idiotyzmem wołać: — panowie, biorę siarczek węgla, siarkowodór i miedź — gdyż chcę otrzymać i pokazać wam gaz błotnisty, nadzwyczaj ważny w mej na(u)ce... Tak czynią beletryści wychowani w szkole pracy organicznej. To się nazywa uczciwa tendencja, a jest to kiszka, napchana grochem z napisem: nadzwyczaj pożyteczna dla zdrowia kiszka. (...)

26.IV (czwartek)

Szedłem ulicą Niecałą i spotkałem tę prześliczną kobietę, jaką widziałem raz jeden w życiu, a która odtąd wszechwładnie panuje nad moimi nerwami. Nie zdołam jej opisać, nie zdołam nazwać szczegółów, stanowiących tę przepiękną całość. Uderza cię jej kibić i twarz — kibić w kształcie serca i biodra w kształcie liry; niezmierne bogactwo włosów o kolorze kasztana cięży jej głowie prześlicznej. Twarz biała, matowa, jednostajna i wielkie niebieskie oczy stanowią tony tej ślicznej elegii, jaką ona jest, a niepochwytnych pięknostek w niej mnóstwo. Zdaje się, że piękność jak eter unosi się nad nią. Marzysz, marzysz o tych ogromnych włosach wtedy nawet, gdy je widzisz, słabniesz na widok ruchów giętkich, sprężystych, na widok delikatnych zgięć kibici niby wikliny, drżącej pod podmuchami wichru nizin, tylko serce twoje jest spokojne: nie pokochasz jej, bo jesteś spodlały moralnie i płomień uczuć twych w nerwach ma siedlisko.

*

Siedziałem później w „igiełkowej" alei ogrodu i zdawałem sobie sprawę z otrzymanego wrażenia. Rozanalizować je trudno, ale znaleźć trzeba te charakterystyczne cechy uczucia najzupełniej nieświadomego, momentalnego afektu, który jednak pozostawia tak długie wrażenie. Takie rozbieranie zapewnia autorowi sławę. Umieć trzeba przede wszystkim opowiedzieć ludziom, co to jest miłość. Oni to lubią najbardziej, bardziej niż wzruszające dramaty społeczne. Umieć powiedzieć, co czuje zakochujący się drab, i *eo ipso* — zakochująca się szwaczka — jest to sztuka nad sztukami. Nie ma aktorów do ról kochanków i nie ma pisarzy miłości. (...)

27.IV (piątek)

Byłem u Dygasińskiego dziś rano. Pokój jego przybiera coraz to rozmaitsze formy: obecnie zawalony jest pakami jego nowel Z s i ó ł, p ó l i l a s ó w. Sam widocznie sprzedaje. Radził mi samemu pójść do Paprockiego i zażądać w imieniu Dygasa swych książeczek ludowych, o które prosiłem go bezskutecznie parę miesięcy temu. Wątpię, czy księgarz to zrobi, lecz spróbuję.

Dygasiński zawsze przyjmuje mię w swej koszuli i pantoflach. Jego łóżko jest mniej powabne niż moje nawet, a co się tyczy porządku, to, na honor, u mnie lepszy. Pierwsze miejsce zajmuje jego kapelusz, charakterystyczny nadzwyczaj, a pokrywający śpiczastą głowę biustu Spencera, dalej kałamarz i graty, graty najniepotrzebniejsze zawalają jego tzw. biurko. Pali lepsze już teraz papierosy, a częstuje nimi, zaledwie przestąpię próg jego gabinetu. Napisał mi wzruszający list do p. Olendzkiego, kwalifikujący mię na posadę nauczyciela w Chylinie. (...)

11.V (piątek)

Onegdaj oczekiwałem w ogrodzie na Kłopota, z którym chodziłem następnie na Leszno. Owemu oczekiwaniu przypisać muszę winę za moją obecną chorobę. Doznałem wtedy bólu całego lewego płuca, co zmusiło mię do powrotu do domu. Zawlokłem się na moje piętro — bezsilny i formalnie chory: brakowało mi oddechu. Postawiłem 30 baniek — to nie pomogło nic, a tego rodzaju „medycyna" kosztuje w Warszawie 90 kop. Następnego dnia, tj. wczoraj, leżałem w łóżku, lecz czując, że coraz mi gorzej, postanowiłem pożyczyć pieniędzy, kupić synapizma i leczyć się forsownie. Szukałem tedy pieniędzy. Zajrzałem do mieszkań 10 moich kolegów: albo ich nie zastawałem, lub zastawałem bez grosza. Niepojęta, śmieszna a najstraszniejsza na ziemi męczarnia: szukać dwu złotych na lekarstwo i nie móc, nie móc nawet marzyć o rozkoszy leczenia się, odzyskiwania nadziei... życia. Są w duszy mojej momenty, które ja sam w sobie szanuję: to minuta odwagi spojrzenia w sam rdzeń niebezpieczeństwa, minuta odwagi cierpienia, grecki szept:

hopoia chrêdzei — rhegnytô *

Pamiętam, że późno wieczorem wracałem od Stacha ulicą Warecką. Było mi niewypowiedzianie smutno. Taka męka, tyle niedoli, tyle nędzy i takiej podłej? Mijałem mieszkanie Jasia Z. Wszedłem, nacisnąłem dzwonek elektryczny, wszedłem na wysłane dywanami schody, lokaj wprowadził mię do pokoju Jasia. Tyle przepychu — dla pożyczenia dwu złotych na synapizma. Jaś miał na szczęście trochę pieniędzy, oddał mi więc owe 30 kop. Nigdy w życiu nie byłem szczęśliwszy! Kupiłem niezwłocznie trzy kartki Rigollot i oblepiłem się jak kiosk synapizmami. Nie spałem, narobiłem sobie bólu i nic mi to nie pomogło.

---

* Cokolwiek trzeba — niech uderza (tłum. dosł.).

18.V

...Byliśmy wczoraj z Adamem na Powązkach. Dzień był gorący. Śród tylu grobów nie pomagają ani zapachy drzew i kwiatów, ani powiewy wiatru — stoi w powietrzu gęsty tuman wyziewów trupich i jednoczy się, splata z osypującym się na ziemię puchem kwietnym, ćmiącym powietrze, ze śpiewem rozkochanych ptaków. Na grobie „pięciu poległych" — nie ma nawet kwiatka. Asfalt popękał — a w pośrodku kępa trawy i chwastu. Obok nas mała dziewczynka słuchała wykładu staruszka-dziadzi, co to za jedni owi „polegli". *Dulce et decorum est pro patria mori...* Tyle lat — i nie zapomniano im miłości ku matce... Ach, bo oni przekonali rodaków, że ją kochali: umarli za nią. Wszystko okryło zapomnienie. Mijasz groby Królikowskiego, Malczewskiego — generałów, magnatów, sławnych, wielkich, bogatych — a nad grobem pięciu nieznanych gorzko i cicho płaczesz i wsłuchujesz się w ton sławny, drogi, duży, opuszczony, święty — grobu zalanego asfaltem szelest i słyszysz szept ojczyzny, powiewem wiatru odmawiającej — pacierz na wieczny spoczynek tym, za dobrą matkę „poległym".

Dulce et decorum est pro patria mori...

25.V

Ani wysoka arystokracja, ani socjaliści nie zwykli w dzisiejszych czasach dotrzymać słowa. Wojewoda Cieszkowski zwalił na mnie cały ciężar przekładu Sołowiowa i w celu umówienia się o warunki wysłał do p. Adama Darowskiego historyka, który miał oczekiwać na mnie wczoraj. Poszedłem o naznaczonej godzinie i minucie, lecz nie zastałem p. D. Hrabia Colonna-Walewski oświadczył mi, że p. D. — wybrał się do biblioteki fundamentalnej. Nieznośna niepunktualność, zadziwiająca w tego gatunku gentlemanie.

Tymczasem p. Bogusławski ani myśli zwrócić mi należności za kurs geometrii wyższej. Pan redaktor naznacza mi najrozmaitsze termina, między innymi — 10 czerwca. Jestem całkowicie pogrążony w nędzę z jego łaski. Mieszkanie nie opłacone za maj — muszę się zresztą z niego wynosić, gdyż jest za drogie, usługa, obiady, ubranie. Tydzień już nie jadam obiadów — a co jadam — sam nie wiem. Szklanka herbaty u Wacka i chleb razowy — jedzony raz na dzień — oto me pożywienie. Od sześciu tygodni nie jadam ani śniadań, ani kolacji. Dotąd podtrzymywał mię obiad zjadany na burg u pani Szlązak, od tego dnia jednak dałem tej satysfakcji pokój, gdyż nie miałbym czym jej opłacić.

Ileż to dni przeżyłem o owym bochenku chleba razowego za 12 groszy! A ileż to razy muszę zbiegać pół Warszawy, zanim wystaram się o 12 groszy. Ile razy brak dwu groszy rujnuje moje marzenia o kupnie chleba! Niesłowność w takich dniach wydaje się wielkim występkiem...

I żadnej nadziei na lepsze — a coraz gorszy stan zdrowia, coraz piekielniejsze warunki, coraz wstrętniejsze towarzystwa. Nikt, kto tego nie doświadczył, nie ma pojęcia o poniżeniu, o upodleniu duszy, jakie wywołuje nędza. Jest np. godzina ósma wieczorem, nic przez cały dzień nie jadłeś, wracasz pod górę ulicą Dobrą z korepetycji i myślisz, my-

ślisz, co by zjeść, skąd wziąć parę groszy. Jesteś słaby i nawet już jeść się nie chce. Trzeba iść do kogoś na herbatę. Zachodzisz do Janka lub gdzie indziej — i spostrzegasz, że jest już po herbacie. Bawisz się jakiś czas wesołą rozmową — i idziesz wreszcie, głęboko spodlony, smutny — spać do domu... Stróżowi nie płacisz za otwieranie bramy, w domu nie masz nafty. Z bólem głowy rzucasz się na łóżko i marzysz smutno piekielnie, posępnie — do rana. Świta. Bladoniebieski wschód rozwidnia się nad dachami — zasypiasz do późna w dzień... Czasami słyszysz na korytarzu szybki chód — to Wacek. Dziwny człowiek! Co go tyle głęboko przywiązuje do mnie? Jedyny człowiek, jaki porzuca swą chemią, aby pogadać ze mną, przynieść mi papierosa. Tłomaczę Sołowiowa do czwartej, a potem idę na korepetycje, nic nie jadłszy. I znowu posępne marzenia, zazdrość najedzonym, posiadającym dzięki temu energię. — Ach — stary mundur podarty, zniszczone spodnie i grube zimowe palto, i głód — i wieczne nic, i podłe postępowanie księcia — i to, że muszę pożyczać pieniędzy, głupio pracować — jakież to podłe wszystko!

Wielką nierozsądnością są te wszystkie świetlane marzenia, jakie mię przegradzają od rzeczywistości — są one po prostu chorobą, niebezpieczeństwem. Ale co ja bym wart był bez nich — czym wypełniłbym mój dzień spędzany o głodzie? Są one tą najlepszą kryjówką mojej natury, gdzie chowam się jak żółw, gdy mi już bardzo źle. Jest to sztucznie przeprowadzone powietrze, jak w tracheotomii, ale ja nim oddycham i byłbym bardzo podły, gdybym je z siebie wypluł. Czegóż mię uczy życie? Wzgardy dla ludzi, dla tych podłych przyjaciół, co widząc cię w nędzy, widząc, że na nic im jesteś — zaczynają cię lekko traktować, radzi się pozbyć ciebie, radzi cię nawet do reszty pognębić, bylebyś nie mącił ich głupich uciech. Ale pokaż im pieniądz — ile w tobie znajdą przymiotów, jak sami się okłamywać będą, znajdując cię genialnym, nad wyraz miłym, zacnym, towarzyskim, dobrym... O dumo, dumo marzeń moich — ty mnie to jedna podtrzymujesz w stosunku z takimi! Drwię razem z nimi, a drwię wtedy i z nich, i z siebie i wyciągając na wierzch ich podłość, doznaję satysfakcji. Oni gotowi pogardzić tobą, gdyby cię znali do dna. Dlaczego? — Mają pieniądze... I oto doszliśmy do pewnika: są warunki w życiu cywilizowanego człowieka, że uczciwość, szlachetność, prawość w prostym stosunku zależą od pieniędzy. Trzeba m i e ć na uczciwość. Stąd niedaleko do Saint-Simona i pani Sand. Dać wszystkim po równo na to, aby mieli być za co uczciwymi ludźmi — a będą bez wątpienia...

Zabawnie urządzony jest ten nasz świat! (...)

27.V (niedziela)

...Praca! — Tak, praca! Czemuż ta praca nie otrzymuje zapłaty? Dlaczego mój dłużnik je obiad, a ja ogryzam na obiad paznokcie? Dlaczego ja spędzam noc bezsennie na pisaniu, a cały ten świat przewala się z hukiem w błyszczącej karecie, bawi się w salonie lub pije z omszonej butli? Tak, bo już nie myślicielstwo gada przeze mnie, ale szary tłum głodnych, zmiażdżonych, odepchniętych od stołu.

Więc komunizm?

Spróbujcie, wszyscy wy najedzeni panowie, nie widzieć go tu, u nas, w otchłani! (...)

13.VI (środa)

Pomysł do noweli:

Zobaczył ją po raz ostatni w życiu, wtedy gdy góry niedoli zwaliły mu się na ramiona, wtedy gdy odbiegała chęć do dalszej pracy, do dalszego zdobywania życia. Dla błahego uporu — odmówiła mu pocałunku. Namyśliła się — być cnotliwą, łudziła go jednak z ochotą, bawiła się nim z przyjemnością. Wtedy poznał, że go zawiodła na zawsze — i dziwnym biegiem wypadków — cios ten był ostatnią kroplą, jaka przepełniła kielich goryczy jego życia. Wtedy, w samotną noc, gdy przy otwartym oknie słuchał szelestu liści małych drzewek wiśniowych — przyszła do niego idea zemsty. Nie idea — lecz potrzeba upodlenia się, chęć zabicia wrodzonej mu szlachetności, marzenie zniszczenia wszelkiej nadziei szczęścia swego, jej, wszystkich. Zginąć samemu i zamordować wszystko.

Zrobił rzecz prostą — napisał do męża swej ubóstwianej, powiedział mu wszystko, zaznaczył wszelkie szczegóły, list zapieczętował, sam odniósł na pocztę i bez wahania rzucił w skrzynkę. Przyznał się do wszystkiego, zdradził swą miłość, swą tajemnicę, swoją ojczyznę, swój skarb... Ciekawy tok myśli.

Mąż — nie wziął go za wariata, owszem, w dzisiejszych podle kupieckich czasach powziął myśl rycerską: postanowił strzelić w łeb kochankowi swej żony. Poprosił go o schadzkę. Spotkali się. Wtedy kochanek podniósł, jako wyzwany, rewolwer — pierwszy — i zabił męża swej ubóstwianej. Zjawił się potem w zarządzie policyjnym i opowiedział o wypadku. Reszta już nieciekawa. (...)

5.VII (czwartek)

...Czytałem Heinego, P a n a W o ł o d y j o w s k i e g o i romans Dostojewskiego pt. B r a t i a K a r a m a z o w y. Nie mam czasu na recenzowanie tych wspaniałych rzeczy. Zmęczył mię Dostojewski. To piekło, przez całą długość którego wlecze się autor, ukazując najpodlejsze, najnikczemniejsze zjawiska: wszystkie wrzody ludzkości, gnój i rany zbiera w gromadę i każe ci gorzko płakać. To nie powieść — to ciężkie roboty, katorga.

Jakże łaskawym jest Sienkiewicz, że ratuje nas z objęć Dostojewskiego! Oto on w ostatnim wierszu W o ł o d y j o w s k i e g o: „Na tym się kończy ten szereg książek, pisany w niemałym trudzie, w ciągu długich lat — dla pokrzepienia serc". Jakżem mu wdzięczny za trzy ostatnie wyrazy! (...)

2.VIII (czwartek) *Kurozwęki*

...U księdza Dziekana poznałem JW. z hr. Jezierskich itd. — panią Natalię. Brzydka, pobożna, cnotliwa w słowach, jest wytwornie dystyn-

gowaną panią stańczykową. Mówi tylko o tym, o czym mówi jej interlokutor, mówi wiele i wytwornie. Zazdroszczę tym ludziom sztuki pozorów. Młodego J. W. Filareta poznałem w czasie palenia sztucznych ogni. Zwykły to mazgaj arystokratyczny, mówiący tylko o koniach.

Za to „jasny" sam jest dzielnym wyrazem tego, co rozumiemy pod słowem polski — pan zarówno w pojęciu typu z wieku XVI, jak i pod nowoczesnym względem. W tym ostatnim rozumieniu jest to *bourgois* skończony, gentleman europejski — stańczyk pod względem politycznym, tyran w stosunku do wszystkich. Żąda on, aby każdy, kogokolwiek spotka na ziemiach doń należących, zdejmował przed nim czapkę. Bije w pysk i skarży do sądu za przewinienia. Pamiętam jedno z jego zdań.

— Co to jest, że nie ma ludzi do roboty?

— Nie można dostać.

— Co to znaczy, jeśli ja płacę?

— Robią teraz sobie, żną u siebie.

— Ja mam pieniądze, to mam i ludzi.

Oto dlaczego nazywam go skończoną formacją — *bourgois*. Chłop i mieszczanin płacą najemnikowi od żniwa 2 złote wraz z życiem — on płaci 50 groszy. Żnie pięcioma żniwiarkami, póki nie pozbiera chłop swego zboża, a wówczas musi przyjść do niego za 50 groszy, gdyż zarobku w okolicy nie ma.

Za zajem za szkody — skarży do sądu, jeśli mu nie zapłacą tyle, ile chce. Idzie ręka w rękę z rządem. Przysądzoną karę w połowie oddaje na kościół. Czy o nim myślał Krasiński, wołając „Z szlachtą polską — polski lud..."?

Duma, skąpstwo, stańczykostwo składają się na to, że pan ten jest li tylko cesarsko-królewskim Austriakiem.

Krwi Sołtyków, portretami których się szczyci — nie ma w nim.

To nie Polak. Klnie tylko po polsku, bo polskie chamy po francusku nie umieją, trenuje konie na sposób angielski, a modli się na sposób papieski.

6.VIII (poniedziałek)

...Mr. P. kupił sobie kodeks państwowy i czytuje go pilnie w tych razach, gdy dał się — lub ma zamiar — unieść głosowi swej krwi szlacheckiej, tj. gdy chce kogoś wybić („sprać pysk"), wyrzucić, wymierzyć doraźną, pańską sprawiedliwość. Dla niego wszystko jest stepem dziewiczym, na którym on z korzyścią dla siebie panować pragnie. Nie przebierałby w środkach. Trzeba na p a n a polskiego hamulca w postaci moskiewskich praw, aby od jego woli obronić polskiego chłopa. Rzekł do mnie: „wybieraj" — wybieraj stronę tego pana lub stronę chłopa — *eo ipso* prawa rosyjskiego. (...)

8.VIII (środa)

Chcąc napisać powieść polską — trzeba naprzód całą Polskę przewędrować, zobaczyć, zrozumieć i odczuć. W głębi życia istnieją tajemnicze prawidła, poznać które trzeba samemu, samemu ocenić i na

światło dzienne wynieść. Istnieją niewymownie bliskie od nas typy, których dotykamy się niemal palcami, a których nie oświetliła jeszcze beletrystyka nigdy. Świat ekonomów, pisarzy prowentowych i gminnych traktowany był jedynie ze strony humorystycznej. Krzywda to dla wymienionych. Można z prawdziwym naturalizmem rysować ich i pokazywać Polakom tych, nie odróżniających Polaków od Moskali — pariasów cywilizacji. Od pewnego czasu wszyscy noweliści (tj. połowa narodu polskiego) rzucili się do malowania chłopów, a powstała z tej pisaniny jedyna rzecz genialna — P l a c ó w k a.

Pojęcia moje o sztuce wzrastają i krystalizują się w trwałe zasady równocześnie z obserwowaniem życia wiejskiego. Nie książkowe zasady krytyczne, nie teorie estetyczne Brandesa, Taine'a, Paula Bourget, Turgieniewa i Zoli wyrobiły we mnie zasady realizmu — lecz obserwacja jedynie. Obrazy same, prawa same stwarzają się kolosalnie na tle tych pól. Życie wiejskie, postacie na wsi dające się widzieć przystępniejsze są dla oka i umysłu nierównie bardziej niż wszelkie typy miasta. Odgadujesz ich, bo chodzą bez masek — a dla każdego niezmiernie będą ciekawe, jeśli ich odmalować z całą rzetelną, beztendencyjną prawdą. Nie godzę się jednak, jako Polak, na Zoli „sztukę jako skrawek życia widziany przez pryzmat temperamentu". Sztuka polska musi w państwie naturalizmu wykreślić pewne granice. Wyjaśnimy dlaczego. Przyjmuję za pewnik zdanie Goncourtów — iż „powieść jest historią tych, którzy do historii nie należą". Z założenia tego płynie konieczność p r a w d y bezwzględnej, że jednak jako Polacy dbać musimy o siebie najbardziej; trzeba nam więc nieustannie kontrolować siebie samych, pisać własną historią w powieściach, gryźć jej zębami. Powieść nasza winna być głosem narodu całego do pojedynczych jednostek mało narodowych — a więc w wyborze tematu, w oświetlaniu pewnych zjawisk naszego życia — musi tkwić satyra, skarga, bicz. Nie chcę biczować nigdy i nikogo wychodząc z punktów stycznych, jak się to czyni u nas — ani z punktów postępu czy zacofania — jedynie ginąca narodowość, nasze ja zanikające będzie mieć we mnie trybuna. Jednym słowem, chcę nadać powieści tę moc przez oparcie jej na naturalistycznej prawdzie, jaką posiadają zestawienia i wyliczenia statystyczne. Powieść nasza powinna być naszym rachunkiem sumienia. Sztuka nie powinna nic na tym tracić — zyska tylko tę cechę, jaka ją wyróżni z szeregu kosmopolitycznego — będzie polską. Jako przykład wskazuję P l a c ó w k ę. P l a c ó w k a może być wyrocznią w rozprawach nad naszą narodową psychologią. — Oto, co rozumiem o naszej sztuce realizmu: prawda, zestawienia beztendencyjne charakterów, jak w statystyce zestawia się rosnące fakty.

*

Gdyby mi wystarczyło życia, sił, środków obserwowania i wytrwałości — w romansie Z w i a s t u n przedstawiłbym walkę przeszłości szlacheckiej i arystokratycznej z socjalizmem jako przyszłością. W romansie pt. M y przedstawiłbym wszystkie warstwy narodu, aby wykazać, czy co jesteśmy warci. Tam i tu chcę schwytać na uzdę charakter

narodu na tle absolutnie współczesnym. Chciałbym pisać tak, aby francuski krytyk, czytając R u d i n a Turgieniewa i mój romans — poznał, że tam pochwycony jest charakter rosyjski, tu — polski. (...)

10.VIII (piątek)

...Wczoraj wśród najpilniejszego zwożenia pszenicy zaczął padać siarczysty deszcz. To wprowadziło w wściekłość „jasnego pana". Wypadł na pole konno i spotkawszy fornala, który schronił się pod snopek — zaczął go bić. Bił biczyskiem, pięścią między oczy, przewalił na ziemię, kopał nogami, obcasami bił po twarzy. Wracał kilka razy do leżącego i bił. Nic dziwnego: deszcz padał — jaśnie pan wpadł w gniew...

Doczeka się ten jaśnie pan gałęzi! (...)

29.VIII (środa)

Pan Juliusz S. jest praktykantem w dobrach Kurozwęki. Jest synem bogatego obywatela z Proszkowskiego, skończył cztery klasy gimnazjalne w Pińczowie i średnią szkołę rolniczą w Czernichowie. Obecnie ma lat 20. Dosyć przystojny, wysoki, trochę tylko za cienki, flegmatyczny, powolny. Ubiera się po galicyjsku w rajthozy i sztylpy, marynarki krótkie i okrągłe kapelusze. Z nauk wiele skorzystał: nieźle umie elementarną chemią, ma niejasne pojęcia o ekonomii politycznej, czytuje obecnie Mickiewicza i Słowackiego, prenumeruje Wszechświat, notuje treść przeczytanych książek i każdą rozmowę stara się sprowadzić na Darwina lub chemią, na kwestie społeczne, przeważnie zaś na przyrodnicze. Byłem i ja takim i miałem kilkunastu takich kolegów w klasie siódmej. Pan S., „pan praktyka", jak go tu tytułują polowi i karbowi — jest obecnie z przekonań szlachcicem — to jednak przekonanie wpoiło weń wychowanie domowe i stosunek nieustanny z chłopem jako fornalem lub robotnikiem w wielkim majątku. Szerszych widnokręgów nie widział, mało je rozumie i nie wdaje się w rozumienie, wie na pewno, że „chłop wtedy jest dobry, gdy go się bije w papę" — i basta. Ojciec i stare ciotki wpoili weń przeświadczenie, że szlachta jest rdzeniem społeczeństwa. To mu wystarcza. Z charakteru jest oszczędny, skąpy nawet, realny, liczykrupa. Będzie dobrym, nawet wykształconym obywatelem, może być luminarzem obywatelem — lecz będzie to *bourgois* jak inni, konserwatysta w życiu — n i c dla przyszłości. Wspominam o nim dlatego, że zajmie kiedyś stanowisko — a należy może do najlepszych w szeregu „synów obywatelskich". Owóż ten najlepszy dla nas będzie na zawsze marnym zerem — a wrogiem wszelkiego czynu. W kontusz by się ubrał, śpiewa „Boże, coś Polskę...", nienawidzi stańczyków — ale przez całe swe życie nie ruszy się z obrębu kasty. Nie uwierzy nigdy w jakiekolwiek znaczenie mas chłopskich, nigdy im ręki nie poda: we krwi ma pogardę dla nich. Jest to najmłodszy z młodych i taki. Z nim od miesiąca już prowadzę spory wszędzie, gdzie się spotkamy.

Przywiozłem mu Prawdę i Głos, gadamy o wszystkim, lubi moje to-

warzystwo — i... dowiedzieć się czegoś nowego, poznać nowe dążenia i ideały rad, ale się ku nim nie posunie. Co mu po tym?

Tak, Wacku, druhu — marnie mi idzie robota na wsi. (...)

13.X (sobota)

Dziś wieczorem pojadę do Warszawy. Pewna forma zabobonności nie odstępuje mię ani na krok. Jest to właściwie obawa przed tym wszystkim, co mię tak niemiłosiernie zniszczyło w Warszawie, obawa wobec bezlitosnej nędzy studenckiej. Nic tu jeszcze jasno pisać nie będę — tam dopiero, w pokoju Wacka, rozpiszę się o zamiarach i celach — na tę czarną przyszłość.

Życie i jego stronę dodatnią zdobywa się energią, zaparciem się swych umiłowań, swego zaśniedziałego ja. Takie zaparcie się — to odwaga cywilna, granicząca prawie z największym upokorzeniem. Gdy byłem dziś u pani Konstantowej, prosiła mię, aby koniecznie zajść do Bronisława. Jest to jeden ze środków ratunku. Gibka to deska, aby wejść na nią, trzeba zamrużyć oczy. Nędza moja jest szlachetnie dumną: od nikogo pomocy nie chcę, ale nędza zjada wszystkie siły jak syfilis. Trzeba się upokorzyć i przyjąć pomoc od tych krewnych, których nie cenię i znać bym nie chciał. Bronisław, będąc w uniwersytecie, zawdzięczał ojcu mojemu wiele — będzie to więc proste oddanie długu — mówi rozum. Tyś nie powinien go znać wcale, dumnie omijać — mówi przekonanie. Muszę znieść wiele, zanim tam pójdę, ale pójdę, bo muszę wyjść na wierzch za jaką bądź cenę. Prosił, aby do niego zajść — zajdę — pożyczę i kiedyś oddam. Cóż począć, co począć? (...)

15.X (poniedziałek)

...Jeśli nie spotykam się ze starymi kolegami, którzy bądź pukają w klawisz telegraficzny, bądź debiutują w sądzie jako „pomocnicy sekretarza", to siedzę w cukierni na dużej ulicy i czytam piśmidełka. Guy de Maupassant pisze w Kraju studium o powieści. Rzecz nader dla mnie interesująca, gdyż napada właśnie na brak krytyki w krytyce. Talent — to tyle co oryginalność i jako taki krytyk ma prawo sądzić. Pisz, jak chcesz, byleby w utworach twoich była prawda — oto całe prawo. Ode mnie może spodziewać się czytelnik jedynej jeszcze rzeczy, tej, że podniosę go patriotycznie. Nic więcej. Rozwesel mię, zabaw mię, rozczul mię, ucz mię cierpieć, podnieś mię moralnie, pokaż mi skraweczek poezji, życia, namiętności — oto czego woła każde, na swój sposób, z czytających. Niech inni spełniają te wymagania.

16.X

Wstałem dziś o pierwszej po południu zaledwie, tak jestem słaby. Bok cały boli mię pomimo stosowania rozmaitych środków doktorskich i domowych. Co będzie dalej? Przeczuwam, że wisi nade mną jakiś miecz Damoklesa, ale jestem spokojny... Jeszcze parę lat życia możliwa jakaś pozycja, abym zdołał wykończyć zamierzone roboty, coś zrobić

przecie — to i nie chcę więcej. Jeśli zdrów będę, zaraz po przyjeździe do Warszawy myślę przerobić moją nowelę Z teki obiektywisty — dać nowy tytuł i sumienniej obrobić. Dam ją do Głosu. Pan Wiślicki dość ją chwalił... Warto bądź co bądź dowiedzieć się, co na to powiedzą w Głosie. Wasilkowski dawał mi co do niej wskazówki i według nich przerobię. (...)

17.X (środa)

Czytałem w dalszym ciągu studium Maupassanta. Znakomite są jego przesłanki, z jakich wyprowadza sylogizm, mający określać zadanie powieści. Chodzi w nich głównie o prawdę, normowaną przez piękno. Traktuje dalej rzecz, nad którą myślałem nieraz: oto technikę powieści, sposób pisania subiektywny lub obiektywny. Chodzi o to, jak lepiej pisać: „Jan uczuł gwałtowną nienawiść"... czy — „Jan zbladł, wargi jego pobielały, pięście zacisnęły się kurczowo, oczy błyszczały dziko, brwi zbiegły się ku sobie i utworzyły nad oczami czarny, prosty sznur... itd." Maupassant obstaje za tym drugim sposobem. Ja myślę, że z dwu tych ostateczności najlepszym jest środek, daje bowiem możność objaśnienia psychicznych procesów komentowania za pomocą anatomicznych rozbiorów pragmatyczności danego charakteru i ułatwia pisanie. Czytelnicy bywają leniwi, pragną, ażeby nie męczyć ich domysłami — toteż nie zechcą przypominać sobie, że dany mój opis, dajmy na to, wściekłości — oznacza rzeczywiście wściekłość. Gotowi pomyśleć, że bohater śmiał się właśnie... Ile formuł i formułek! Gdzie jesteś, prostoto kompozycji, prostoto Homera i Pana Tadeusza?

Co się np. może porównać z opisami ziemi, klimatu, wsi, zapadłych kątów, głuszy zaścianków, wykonywanymi z pamięci przez Kraszewskiego? W ostatnich czasach czytałem kilka właśnie takich powieści jego, jak Ktoś, Na Polesiu itd. Opisy te tchną taką prawdą, tak są prawdziwe, że przypominają widziane krajobrazy, jak malowane pejzaże, a nadto jest w nich coś, czego nie posiadają pisarze naturalistyczni pod tym względem — to ciepło. Nie tylko widzisz te krajobrazy, ale je pojmujesz, kochasz z woli autora. Nie mówię ja o ludziach Kraszewskiego, bo ci są manekinami, z *papier-maché:* ani ich znasz, aniś widział, ani nie zobaczysz. Są to upoetyzowane wspomnienia starca. Żadnego życia, żadnej prawdy, cienie chińskie... Powstaje więc ta sztuka malowania z pamięci, bynajmniej nie czułostkowa, lecz tak realna jak w krajobrazach Kostrzewskiego. Jego sosny, jego las mają podobieństwo do lasów i sosen Kraszewskiego.

19.X (piątek)

Przeczytałem Kłamstwa, najnowszą powieść Paula Bourget. Nosi ona na sobie wszystkie wady i zalety tego pisarza: pięcie się na łeb na szyję do oryginalności i powtarzania się, a to ostatnie jest już manierą, wyprowadzanie kontrastów rażących, jak u Orzeszkowej, zbyt jasne światła i zbyt ponure cienie, malowanie tylko prawdy niby, a uganianie się za morałem, za tendencją, za nauczycielstwem. Z naturalistycznej

rzeszy — Bourget jest najjaskrawszym i najmniej naturalistycznym jednocześnie. Utwór jego jest wypracowaniem, mozolnie skomplikowanym i głęboką operą, czerpaną z życia, wprost z życia, z rynsztoków. Pochłaniasz go i porzucasz raz z nudów, to znowu ze wstrętu, to ze wściekłej zazdrości. Modny jego pesymizm w Zbrodni ustępuje miejsca w Kłamstwach — czemu, czemu? — Oto religii. Czy to ostateczny wynik myśli filozofa? Nie. To efekt, to polowanie na stworzenie modnej epoki nabożeństwa. Nie ma w tym, co pisze Bourget, głębokiej prawdy Renana ani smutku Daudeta, ani zimnego przekonania Zoli. Efekt tylko i zawsze efekt. Rozumie on to dobrze, że poza tym nie ma dlań zbawienia. Ale skąd czerpie owe efekta? Czy jest w jego utworze aby cień nieprawdy? Czy nie zaspokaja wszystkich wymagań prawdy i piękna? Czy nie wypełnia sam utworu taką masą spostrzeżeń, zwanych już do obrzydliwości psychologią, spostrzeżeń tak nieubłaganie trafnych, podchwytanych w lot, z bezczelną skrupulatnością, która odbiera chęć pisania czegokolwiek po Bourgecie? Tak, trzeba mieć ogromną pamięć, osobny talent do opisania uczuć, dajmy na to, młodego człowieka, wchodzącego pierwszy raz na salon arystokratyczny, trzeba mieć ogromną wytrawność pisarską, pozwalającą płakać serdecznie i przyglądać się w lustrze, jak wyglądają łzy spływające po twarzy. Daru tego refleksji nieustannej nie spotykam w takim stopniu, jak u Bourgeta, z ulubionych ani u Turgieniewa, ani u Taine'a. Ale za to jakże męczącą jest atmosfera jego powieści! Dlaczego nie ma tam żadnego światła, żadnego cienia piękna — samo jedno cudzołóstwo, podniesione do najwyższej potęgi. U Turgieniewa znajdę ludzi, przyrodę, dobrych i złych — u tego jedynie występek i dla kontrastu wprowadzone manekiny cnoty. Taki los spotyka zawsze powieści tendencyjne: męczą jak utwory Dostojewskiego. (...)

30.X (poniedziałek)

W powieści Męty wykazać walkę pani Jadwigi ze zgniłą rodziną o utrzymanie ziemi. Zaznaczyć w przebiegu akcji, że walka ta nie odbywa się bynajmniej z innymi klasami społecznymi. Wykazać, że kobieta musi upaść dzięki konwenansowi, energia jej musi być zwalczoną przez sumę tego wszystkiego, co nazywamy konwenansem cywilizacyjnym. Adam jest szlachetnym, energicznym romantykiem, rycerzem miecza, nie mającym nic wspólnego z otaczającym go światem. Energia jego wyniszcza się na marne rzeczy i ginie on szlachetnie, lecz dla sprawy nie mającej żadnego znaczenia w życiu narodowym. Reszta jest podłą hołotą. Opisywać to, co się zna dobrze. Jadwiga i Adam — to ludzie niemal idealni. Wykazać w najplastyczniej odrobionych scenach końcowych, że są mętami. Szablonowy — Glaube, ale o niego nie chodzi. (...)

*

Dziś skończyłem pierwszy rozdział powieści Męty. Ile męczarni przechodzi się pisząc pierwszą powieść, ile udręczeń, ile złamań duszy!

Ileż razy rzuca się pióro z sentencją: tyś idiota — nie powieściopisarz! Wtedy błądzę po ulicach, przyglądam się tłumowi przesuwających się postaci i szukam, szukam w sobie, w otaczającym mię świecie, w przyrodzie tego znaku tajemniczego, który jest pojęciem piękna, pięknem zrozumianym jasno, trzeźwo, świadomie. Gdy go nie znajduję, kruszę się cały, męczę jak wariat. Ależ bo są, bo istnieją minuty, gdy ogarniasz wzrokiem doskonałą całość, jasno ją widzisz i wdzierasz się na wyżyny, skąd odróżniasz każdy szczegół, gdzie jesteś sędzią i krytykiem. Ileż wtedy pewności siebie, jaka moc, jaka królewskość! Cóż to jest? Talent czy złudzenie? Ach, jeżeli złudzenie!... Czasami pędem wracam do domu i stronice zapisuję z tą jasnością szczegółów, z pewnością siebie, z barwnością. Wtedy nie boję się własnych zdań, wtedy wiem, że to jest zbyt jaskrawe, a to za mało silne, że ten charakter zblednie, gdy wypiszę zdanie takie, a zmężnieje, gdy napiszę inne. O, minuty, minuty cudowne!... We wszystkim, co piszę, jest doza tandety, przesady, napuszoności i doza książek przeczytanych. Z tym nie poradzisz sobie, to wada niedoświadczenia pisarskiego. Piszę niby realistycznie, a piszę sercem. A tych komunałów, tych codziennych określeń ile! Czasami upadam zniechęcony do siebie i płaczę niemal, a kiedy indziej śród dymu papierosowego rzucam się do pracy i bosko jestem szczęśliwy, pisząc.

2.XI (piątek)

Drugi rozdział powieści skończyłem wczoraj w nocy. Co za wyrafinowane świństwo! To się ma nazywać: naturalizm. To jest pawianizm i basta. Zamiast typów — karykatury rysowane za pomocą podłych dowcipów. Jestem pawian! (...)

15.XI (czwartek)

Moja uczennica dziś choruje na gardło, lekcji więc nie ma. Ach, ta uczennica! Od niemowlęctwa uczy ją po francusku, po niemiecku i po angielsku panna Grass, nie umiejąca słowa po polsku. Panna Łucja przywykła myśleć po francusku przeważnie. Gdy mówi po polsku, tłumaczy sobie każde zdanie w myśli z francuskiego. Nie potrafi opowiedzieć najprostszego wypadku, gdyż plączą jej się wyrazy i brak słów. Czytanie po polsku męczy ją i nuży, gdyż musi zmieniać nieustannie, wskutek mych uwag, akcent, powtarzać wyrazy, zmieniać brzmienia nosowe na polskie o n, o m itd. W dyktandzie pisze np. „na łebie koguskiem znajdujon sien itd.". Biedne dziewczątko! Wstydzi ją to i żenuje. A literatura! Usiada poważnie na krześle, opiera o poręcze swe szczupłe ramiona i słucha od czasu do czasu kiwając potakująco głową podczas mojego opowiadania o Dytmarze i Gallusie. Przy wyrazie „Kadłubek" tłumi rozmaitymi sposobami szczery śmiech. Zaręczam, że z całego mojego wykładu pozostaje jej w pamięci to jedyne nazwisko i to ze względu na jego komiczność. Czasami ma niekłamaną chęć przerwania tej uroczystej lekcji i pójścia na spacer, po białym śniegu, między sosnami, gdzie spacerują poważnie dwie kury... Ja sam zaprowa-

dziłbym ją tam, kazałbym jej dużo biegać, gimnastykować się, a niechajby się uczyła wtedy, gdy chce.

Do usługi ma prostą dziewczynę wiejską, z którą rozmawia chętniej niż z panną Grass. Dwa życia spotykają się tutaj i ścierają dwa światy: ten, do którego ją sposobią — wytworny, dobrze wychowany, mówiący po francusku i po angielsku, zimny, monotonny, nudny, jednaki zawsze — i drugi rubaszny, prosty, chichoczący z byle czego, trywialny. Wolałaby ten drugi, lecz lęka się kazań panny Grass... Panna Grass jest nadzwyczaj podobną do George Sanda: to samo uczesanie włosów, rysy i inteligencja malująca się w oczach. Siedzi na moich lekcjach sztywna, zasłuchana w niezrozumiały potok wyrazów, jaki wyrzucam. Czasami kiwa głową twierdząco, gdy wypowiadam wyraz, znajomy jej z brzmienia: — kronika, chronologia, logika, gramatyka.

— *Oui* — szepce wtedy — *gramatique, logique...*

Pan Jan skończył podobno coś w gimnazjum realnym, ale tak nic nie umie, że włosy stają na głowie. Ma lat 21, brudne zawsze ręce, długie buty, bekieszkę i harap. W jego pokoju wisi mnóstwo uzd, troków, dwie dubeltówki, siodła, rapiry, rewolwery, munsztuki, torby myśliwskie, jest dosyć kwiatów, jakiś album, rysunki świeżych maszyn, łby sarnie, wypchane jastrzębie i skóra wilka, jakiego zabił. Jest silny ogromnie, żylasty, śniady. Oczy ma bystre, ruchy sprężyste i giętkie. Jak go męczą piekielnie moje wykłady — opisać trudno. Myśli z pewnością, gdy ja mu twierdzę o opolu i urządzeniach społecznych, gdzie jutro jechać na polowanie. Trzyma ogromne stado psów — wyżłów, chartów, ogarów, kundlów, pudlów, pinczerków. Podoba mi się: szczery jest i z niego może być człowiek. Teraz poluje całymi dniami ze szwagrem — panem B. (...)

17.XI (sobota)

Rozdzielam mój czas między lekcje literatury, uczenie się francuskiego i nudy. Nie mam żadnych książek do czytania, toteż rozpaczliwe jest nieraz moje położenie. Chodzę po moim pokoju i marzę o dziewczynach, jakie przechodzą drogą poza ogrodem. Co robić? Pisać się nie chce, mówić literalnie nie ma z kim. Kobiet nie ma żadnych, elewka jest zahukanym dziewczątkiem, zresztą do prostowania złych ścieżek wychowania tak mało mam talentu, że wolę się z nim nie produkować. Pan Jan poluje po całych dniach, zwykle przed wieczorem dopiero zjawia się, niosąc dwie, trzy lub więcej kaczek. Wtedy zaczynamy lekcją. Dziś zadałem mu małe wypracowanie o Skardze. Co napisał! Czytał na parę minut przedtem ów życiorys i napisał za chwilę, że Skarga uwłaszczył chłopów w Królestwie Polskim. Zresztą dobry to chłopak, otwarty, szczery, prostoduszny, żwawy i dziarski. A pan Z.? Można by o nim kroniki pisać... Piszmy tedy kroniki. Pochodzi ze starej rodziny. W r. 1530 Stanisław Zaborowski pisze pierwszą gramatykę, Jan, biskup chełmski, jest sekretarzem Zygmunta Augusta, Tymon Zaborowski, poeta, jest stryjem mego chlebodawcy. Pan Gustaw Z. ożeniony był z hr. Turską, a więc jej zawdzięcza szereg portretów najrozmaitszych

hrabiów, hrabin i hrabianek, jakie zdobią jego salę jadalną, biskupów i twarzy zamazanych najnędzniejszymi pędzlami z podpisem jednak grubo malowanym: „hr. Rostworowski, Wasiutyński, z hrabiów Tarłów hrabina Turska itd. itd.". Uwagę zwraca jeden z tych portretów — mianowicie portret mężczyzny w stroju kawalera maltańskiego, o wzroku przejmującym i dumnym. Mój chlebodawca ma lat pod pięćdziesiąt, czerni włosy, twarz starzejąca się, policzki na szczękach obwisają. Rysy przypominają mi rysy mojego ojca. Ta sama łagodność w nich, niezmierna miękkość, dobroć, ten sam krój prześlicznego nosa, układ brwi i pańska nieruchomość całej twarzy. Oczy tylko inne — jasnoniebieskie, wybladłe, otwarte, marzące. Wąsy małe zwieszają się nad łagodnie układającymi się ustami. Ubrany zawsze wytwornie, trzyma się prosto i posiada nadzwyczajną elegancję ruchów, jakby płynność, jakby sprężystość. Stara się być jeszcze zwinnym i elastycznym, zawsze wyprostowany, ułożony w pewną pozę i mógłby służyć za wzór elegancji dla synów, wrzeszczących, plujących, rozkraczających nogi i rozdziawiających usta. Jego ręce, paznokcie, mankiety są zawsze czysto utrzymane, w rozmowie nawet ze służbą jest ugrzeczniony po pańsku. Wychowuje się przy jego boku i na jego kolanach mały chłopak trzechletni, Józio, łobuz i krzykacz. Sam pan Z. nie oznajmił mi, kto to jest, lecz jeden z synów nazwał go dzieckiem nieprawym jakiegoś rządcy i dziewczyny wiejskiej. Pan Z. jest zakochany w tym dzieciaku: je to z jego talerza, podkręca mu wąsy, bije go po nosie, wsadza mu palce w kawę, grymasi, sypia w jego pokoju, robi bezkarnie nieporządki w salonie. Dziecko chodzi często z panem Z. „do mamy Uliny", która obecnie jest chora i doznaje od „pana" najtroskliwszej opieki. Wszystkie dzieci, lokaje, służba jak najuniżeniej traktują dzieciaka, pieszczą go, całują, wolno mu wszystko mówić, wszystko robić, co zechce, nikt nie ma prawa go skarcić, czego nigdy nie dopuszcza się i sam pan. Dziecko musi być dzieckiem pana Z. Szczególne zjawisko, nadzwyczaj dodatnie, gdyby nie zaćmiewała go następująca rozmowa:

— Józiu — pyta malca pan Z. — czym ty będziesz?

— Lotajem...

— U kogo?

— A u pana.

— Nieprawdaż, panie Ż. — zwraca się do mnie pan domu — że dla chłopa najwłaściwiej, gdy zostaje w swej sferze, trocha wykształcenia wykoleja go i psuje?

— Tak, trocha wykształcenia, być może, że psuje, ale bywają wyjątki, że całkowite bywa udziałem ludzi, jacy wyszli ze sfery chłopskiej. Zresztą — światło rzadko szkodzi.

Wszyscy poczynają naraz dowodzić mi, że wykształcenie czteroklasowe bezwarunkowo psuje ludzi, dają przykłady i mają miny ludzi pewnych swego na zasadzie mojej miny, prawdopodobnie wyrażającej porażkę zupełną.

Do czego prowadzi tego rodzaju postępowanie? Wychowywać nieprawe swe dziecko jawnie, na równych prawach z naturalnymi dziećmi rzecz aż wzniosła, ale wypieszczać je, rozgrymaszać gwoli zadowolenia

miłości ojcowskiej, bawić się nim jak psiakiem, psuć dobrocią, ukazywać inny świat, paść cukierkami, pozwolić chodzić po dywanach i parkietach po to jedynie, ażeby, przywykłszy od dzieciństwa do salonu i sprzętów wytwornych, było dobrym lokajem przy osobie ojca lub brata — jakaś niska i przy naszych może krzywych pojęciach potworna rzecz. Dziko to wygląda, śmieszy i wzbudza jakiś żal tego dziecka. Nauka temu chłopcu zaszkodzi, według nich, ale psucie go nie zaszkodzi. Zresztą — nie znam zamiarów pana Z., lecz uważałbym go za zacnego i iście postępowego człowieka, gdyby Józia kształcił i wychowywał na równi z panem Janem i Jarosławem. Tylko nie zdaje mi się to... Pan Z. jest sobie płytkim człowiekiem. Zajmują go męty arystokratyzmu, cała brzydota znaczenia szlachty w pojęciu kasty rządzącej, czoła narodu, zajmującego związki i genealogie, rzeczy lekkie i błahe. Prawdopodobnie przekonań żadnych nie ma, choć będąc obecnym na jednej z moich lekcji historii, oświadczył, że „bezwarunkowo *liberum veto* zgubiło kraj"... Nie wierzy w nic, ale jest to wstrętna niewiara na kieliszku wina i porcji befsztyku, materializm ludzi głupich i pustych, którzy nie chodzą do kościoła, bo to rzecz nudna, a gdyby zapytać ich, dlaczego nie wierzą, umieliby odpowiedzieć jedynie, że wiara to głupstwo. Zaletą w panu Z. jest łaskawe obchodzenie się z ludem. Każdy może z nim mówić bez obawy otrzymania w papę, można widzieć chłopów, mających z dworem nieustanne stosunki, życzliwie przyjmowanych w... przedpokoju. Co za hece opowiadają o panu Z.! Miał jakoby stosunki kazirodcze z córką swą, obecną panią B. Miało pono urodzić się dziecko, które zakopano w ogrodzie... Pani B. miała rzeczywiście wypadeczek przed ślubem — któż jednak wie, czy ów Józio nie jest wnukiem pana Z.? Słyszałem już dawniej, że pani B. romansowała swojego czasu z totumfackim papy — Kubą. Ów pan Kuba jest charakterystyczną postacią. Młody, o twarzy małpiej, czarnej, niski, komiczny. Całe czoło wygina mu się ku nosowi, brwi idą ku kątom czoła, usta maleńkie chowają się w cieniu dużego nosa. Marne wąsiki, powykręcane misternie, sterczą jak dwa szydła w kierunku oczu przebiegłych, złośliwych, o aroganckim i podłym wyrazie. Kadłub króciutki siedzi na cienkich nogach, wygiętych jak chomąto. Chodzi w krótkim kubraczku, przepasanym pasikiem żółtym, w obcisłych spodniach i butach długich. Szyję obwija czerwonym szalikiem i na główkę kładzie czapę baranią, wysoką a czubatą. Postać ta ma prawo siedzieć w pokoju jadalnym przy stoliku, gdzie się stawia samowar, wchodzić do sali i stać w kącie, odzywać się, gdy mu się spodoba, czasami nawet z dowcipem lub alegorią. Lokaje tytułują go „panem rządcą", pan Jan poluje z nim, pan Jarosław zwykle daje mu pięścią w kark, pan Z. porucza mu załatwianie wszelkich interesów i wszelakiej natury, czemużby więc pani Józefina nie miała z nim romansować? Słyszałem od Skowrona, który w pierwszym roku po wstąpieniu na uniwersytet był tu korepetytorem, że pan Z. używał owego pana Kuby jako pośrednika w sprawach miłosnej natury: obłapiali jedne i te same dziewczyny, naturalnie pan pierw, wielkorządca później.

Między panem Z. i panią Józefiną zauważyłem stosunek serdeczny,

rodzinny, czysty i wzbudzający w mym samotnym sercu zawsze uczucie zazdrości. Wprost nie mógłbym w podłość do takiego posuniętą stopnia uwierzyć, nie podobna byłoby patrzeć na te twarze. Pani Józefina ma twarz zagadkową co prawda: pod maską pustego, głupowatego śmiechu kryje się ten rodzaj troski, jaką widzieć można czasami w twarzach obłąkanych. Świadomość bezwiedna, wgryzająca się w rysy, w skład ust, pełzająca koło ust, wysuwająca się z każdej zmarszczki, jak czerw zgryzoty. Lecz że jest to twarz bardzo piękna — więc — porzućmy psychologią do czasu i czyhajmy na jej przyjazd i sposobność zjedzenia cukierków z tego odemkniętego pudełka. Nudno tu bez kobiet, bez ludzi... Błąkam się po załatwieniu lekcyj, czytam Słowo, jedyną drukowaną bibułę, jaka tu istnieje, chodzę z sali do gabineciku, z gabineciku do innych pokojów bez końca. Sala jest olbrzymia, zajmująca pół dworu, ma cztery okna, posadzkę anielsko froterowaną, dwa garnitury aksamitnych mebli, fortepian, cztery konsole, dwa stoły, dwie kanapy i piec. Na jednym ze stołów stoi duża fotografia... Fryderyka III, na drugim Wilhelma II. To się nazywa w tych stronach: gustowne urządzenie domu. Obok znajduje się gabinecik z garniturem mebli, krytych jasną materią, i miękkimi fotelami, czekającymi na jakąś ładną kobietę, zmęczoną konną jazdą... Nic, co by zajęło oko, co by dowiodło, że tu mieszkają ludzie inteligentni, żadnego obrazu, żadnej statuetki: wygląda to, jak skład z meblami, jak sklep, jak pokój, istniejący po to, aby pokazać byle dzierżawcy: widziałeś waspan takie fotele? Przypatrz się — tu jest takich krzeseł 12, a tu 12 takich. W pokoju jadalnym owe portrety... Nie są to stare płótna, rodem idące, lecz bohomazy, malowane przez pana Niesiołowskiego w Kielcach ze starych fotografii. Profan wchodzi i widzi: bagatela! Biskup z brodą w olbrzymich ramach, pani jakaś obrzydliwa z podpisem — hrabina Turska! Tu nie można smarkać nosa, ścisnąwszy go palcami... Dla ludzi z Warszawy, o których doszły wieści, że są ateuszami, ma się tak zwane „nowe zasady" i namiętne zamiłowanie... deklamacji. Bogowie! Musiałem kiedyś pani Józefinie deklamować... M a r a t o n.

Powstanie było idiotyzmem, kto to był Syrokomla? Powinniśmy siedzieć cicho, polować z oficerami, grać w karty z naczelnikami powiatu, Spasowicz jest wielkim patriotą, kto nie mówi po francusku — nie należy do ludzi, kto mówi po francusku — należy do ludzi, mieć wieś pełną nepotów — oto Oleśnica.

Majątek ten duży dzierżawi Żyd mieszkający opodal. Panowie polują i mówią do siebie przy obiedzie po francusku. Pan B. ożenił się z panią Józefiną, wiedząc, kogo bierze za żonę. Kochają się na zabój...

A ród piękny, koligacyjki frapujące, wieś dobra. Czysta krew szlachecka...

Pan Jarosław, który skończył problematycznie cztery klasy u Hilera w Kielcach i ma zamiar wstąpić na filozofią w Heidelbergu, daje mi czasami zagadnienia filozoficzne skomplikowanej natury, np. takie: „kto jest w i ę k s z y m filozofem — Sokrates czy Świętochowski?" (...)

20.XI

...Możność pisania jest największym na ziemi skarbem. Zdaje się, że ktoś otworzył drzwi do twej duszy i wniósł tam światło. Na czas pisania stajesz się nie sobą: uczciwym, szlachetnym, widzisz wszystko jasno, widzisz zebrane przez dotychczasowe kształcenie się myśli swoje. Bierzesz te, które ci się podoba, obdarzony jesteś nadzwyczajną pamięcią — systematyzujesz i widzisz, że czynisz dobrze. Jeśli zechcesz, to pójdziesz jeszcze dalej, chwila jeszcze, a uszykujesz wszystko w takiej harmonii, że stworzysz obraz rzeczywistego, absolutnego, niedoścignionego w swoim gatunku piękna...

Nagle — drzwi się zatrzasły! Te drugie oczy, jakimi na rzeczy patrzałeś — ślepną i jesteś człowiekiem przeciętnym, zwykłym, codziennym. Za jednym pociągnięciem pióra możesz wszystko dotychczasowe zepsuć. To nazywa się sztuką pisania.

21.XI (czwartek)

Wczoraj w nocy pisałem dalej powieść. Wolno, nikczemnie wolno i niedołężnie wolno wlecze się ta robota. Czasami mam chęć rzucić wszystko w piec i zostać gdzieś fornalem — choćby w Oleśnicy. Czytałem później w nocy Historią o pra-prawnuku do końca. Jeż jest człowiekiem z ramienia Mickiewicza, z ducha jego się począł. Obraz ten jest wstrząsającym. Jak mi się przedstawia — napiszę, ale w następnym już dzienniku.

Czytać zamierzam dzieła Hoffmanowej, pożyczone od panny Łucji. Głównie dla stylu. Mojego z nerwowej skakaniny nie wyleczę, urywanych frazesów w periody nie rozciągnę, ścisłością go nie napoję, bo jestem na tym stopniu, gdy styl wyobraża człowieka, a więc jego inteligencją, wiadomości, temperament, przyzwyczajenia i pojęcia o artyzmie, ale marzę jeszcze o nabraniu wyrazów. Będę pisał o tym.

Czytam jedynie Słowo. Wychodzi tam studium o Sienkiewiczu — hr. Tarnowskiego. Znana historia: wielcy historycy uczuć ludzkich, wielcy artyści, znakomici pisarze są, ale krytyków, ale estetyka, ale sprawozdawcy — nie ma ani jednego. Sąć oni, oj — jest ich dosyć. Tarnowski styl np. Sienkiewicza równa ze stylem... Klaczki, ze stylem Szujskiego, ze stylem Kalinki. Więcej artystów nie ma. Jego sprawozdanie — to nie metoda, lecz panegiryk, kadzidło z subtelnych frazesów, płynących, jak płynie woda. Dopowiadania myśli autorskich, dopełniania, oświetlania nie szukaj tam, bo nie znajdziesz, a i te uniesienia nad duchem Potopu przyjmujesz ostrożnie, z rozwagą, bo je pisał Tarnowski, a wiemy, co zacz jest ze studiów nad Krasińskim, z jego Teki Stańczyka, z jego Przeglądu Polskiego. Biedny Sienkiewicz.

14.I (poniedziałek)

Wczoraj — recepcja w Klempiu. Na tego rodzaju przyjęcia jeździ się z całą ostentacją: karetą. Pan Gumowski, zaraz po moim przyjeździe, nie wiem nawet czemu, sprowadził rozmowę na powstanie roku 63

i mnie swymi poglądami specjalnie zaatakował. Zasłyszał prawdopodobnie o moim milczeniu, gdy wymyśla się na rewolucjonizm, i osądził, że godzien jestem być poprawionym.

— Wielopolski — mówił — byłby nam wykołatał konstytucją ani chybi. Te osły razem wzięte — bunt czynią, toteż godzi się, aby ich nazwać mianem zdrajców kraju. Zrujnowali kraj do szczętu, zburzyli gmach Wielopolskiego — kto? — smarkacze. A kto za to cierpi? — my.

Przypatrywałem się jego bielutkiej brodzie i ramionom pochylonym i dziwnie mi było: nienawiść ku nim zaczyna kropla po kropli padać mi w serce. My!... To my, za które bodaj zgnili na zawsze lub byli wymordowani, to my, za które niechaj ich imię wieczna hańba okryje! I co chcą jeszcze na świecie te trupy? — Rządu, władzy, przewodniczenia — w zgodzie z Moskalem. Bodaj wasze kości psi rozwlekli!

Ach, zajęci są, zajęci niewymownie sprawą doniosłości niepomiernej: piknik w Stopnicy! Pani J. stanowczo zarzeka się uczestnictwa, być tam bowiem może „byle kto". Pani J. nie pojmuje zabawy bez hrabiów, słusznie nawet, bo co za zabawa „w tym kraju i w tym sezonie bez hrabiów..."

— Ależ — woła pan J., pan J. ultra postępowy dżentelmen — złożyłoby się komitet, komitet opracuje projekt, projekt zaakceptują poważni obywatele i wtedy dopiero można będzie dać gotową rzecz w ręce czynnej młodzieży.

— Skąd jej weźmiesz?

— Wacuś...

— Ach, *mon ami,* Wacuś jeden nie da rady.

— Pomoże mu naczelnik powiatu.

— Chyba, choć co za przyjemność z oficerami.

— A, co chcesz, są między nimi ludzie gładcy.

— Nie przeczę, ale samych oficerów prosić — będzie fiasko.

— Da się radę wszystkiemu, aby tylko zebrać komitet, komitet opracuje projekt, projekt itd.

Wywiązuje się tak ożywiona dyskusja, że po prostu oczarowany jestem: oni nie na żarty żyją jeszcze!

Szczególniej interesuje mię obecnie pani J. Grand-dama, wielki świat, czystej wody arystokracja; gdy np. pokazuje mi fotografię żony arcyksięcia Rudolfa i mimochodem nadmienia, że „mogła dostatecznie ocenić jej piękność, siedziała bowiem obok niej w loży", to czuję po prostu, że demokratyzm, jaki by nie był, jest wobec ogromu tego faktu zerem, sto tysięcy razy przemazanym. Gdy np. opowiada mi z ironią subtelnej natury o sukni, jaką ku zgorszeniu całego „świata" miała raz na sobie panna Skorupczanka, i dodaje, że nie trzeba być nawet gruntownym estetykiem, aby pojąć cały ogrom obłędu panny hrabianki Skorupczanki, to naraz czuję, że posiadam wielką ilość tej... estetyki. Gdy delikatnie zapytuje mię, czy kuzyni moi — Trepkowie „piszą się Necandami, a Katerlowie należą do Katerlów Porajów" — to czuję się szczęśliwym, że Trepkowie „piszą się Necandami, a Katerlowie idą z Porajów". Ale — myliłby się, kto by sądził, że winą tych ludzi jest

kontusz, duma magnacka. Małe by to winy były. Winą ich — salon. Salon ich zjadł, salon im rozum wyjadł i jest przyczyną ich nieszczęścia. W 93 roku zdradzali kraj dla „złotej wolności", w 31 — dla „honoru", w 63 — dla pieniędzy, a dziś dla salonu. Ideą z postępem czasu. Chodzi im o herb i dziś — i to jedyna ich cecha polska. Taka jedyna cecha, ale herb im tylko jest potrzebny do lśnienia czasami; druga cecha — ta, że nasz polski chleb jedzą. A poza tym — padalce są, padalce gorsze od kosmopolitów, od internacjonalistów, bo nie mają żadnej idei, prócz idei „być w salonie dobrze". Wszystko, czym Francuzi gardzą u burżua, posiada polski pan i polska pani w zupełności i jeszcze posiadają — tradycją. Pani J. zna na palcach kochanki Augustów Sasów, Poniatowskiego, nawet ministrów Królestwa, nawet Zajączka i Nowosilcowa, gdyż „znajomość historii ojczystej jest konieczną", jak mówiła do pana Jana, zachęcając go do tej znajomości. (...)

3.II (niedziela)

...Nie chciałbym wypisywać satyr na otaczające mię grono ludzi, lecz nawet życzliwie względem nich będąc usposobionym, czuje się do nich wstręt nieraz. Chciałem czymkolwiek ożywić umysły panny Łucji i pana Jana, dawałem im więc do czytania na lekcjach Pana Tadeusza. Przeczytała p. Łucja całego przy mnie, a przeczytawszy odetchnęła całą piersią: strasznie nudna rzecz ten Pan Tadeusz.

Pan Jan przy zaczęciu trzeciej księgi najspokojniej w świecie zapytał mię:

— Panie Stefanie, niech mi pan powie, czy to tak było rzeczywiście wszystko, jak on tu pisze, czy też on to wymyślił?

To się nazywa, że trzeba panu Janowi wykładać literaturę. Ten człowiek ma dwudziesty drugi rok żywota i papa projektuje, że on weźmie za żoną najmniej 50 tysięcy rubli. Jakie on mi nieraz zadaje w czasie lekcji pytania... Czyta np., nie czyta zresztą, ale torturuje Pana Tadeusza — i naraz urywa w środku wiersza:

— Panie, co tu sobie kupić w Warszawie — sztucer czy ładownicę?

Są natury nie lubujące się w poezji, rozumiem je aż nadto dobrze, ale nie może być Polaka, który by, czytając pierwszy raz Pana Tadeusza, nie unosił się, nie stawał wolniejszym, raz w życiu nie uczuwał na sobie węzłów łączących go z narodem. Widziałem Stasia Józefowicza, chłopca dwunastoletniego, który pochłaniał tę książkę, widziałem raz na paradyzie w Teatrze Wielkim dwu Żydków z Nalewek, którzy czytali sobie Pana Tadeusza w antraktach i podsłuchując ich uwagi znalazłem, że go rozumieli, pamiętam, ile uniesień zabrał mi on, gdy byłem jeszcze u pana Strachowskiego w szkółce elementarnej we wsi Psarach, pamiętam z miłością to wydanie paryskie, ilustrowane, na którym uczyłem się czytać u nóg matki. Jest to powietrze, jest to zdrojowa woda, jest to oddech zdrowych płuc, jest „centrum polszczyzny", jest biblia, jest kamień na grobie naszym, z tego my wszyscy idziemy. Są tam pewne wyrazy, pewne słowa i zdania, których nie mogę czytać ani słuchać bez płaczu i gdy ich ktoś nie pojmuje — nic jest wart. Ta

książka jest miarą człowieka. Patrz, jak ją kto czyta, i poznasz, co zacz.

Czyta pan Jan epizod, gdy Robak w pokoju sędziego podburza ostatniego do wywołania powstania na Litwie.

„Nasz Józef, nasz Dąbrowski, nasze orły białe..."

Sędzia rzuca mu się na szyję.

— Panie — pyta mię pan Jan — czegóż ci się tak cieszą?

— Robak przepowiada Sędziemu, że wojska polskie pod Napoleonem wkroczą wkrótce na Litwę.

— Ano, i z wojny się tak cieszą?

— Ależ, panie, ta wojna miała przywrócić wolność krajowi.

— No dobrze. A ten sędzia po cóż miał robić powstanie?

— Czytał pan w mowie Robaka, że po to, aby ułatwić Napoleonowi zwycięstwo nad Moskalami.

— Ej, głupcy oni oba! Albo i to ostatnie powstanie, to nie świństwo było? Niech pan sam powie. Mój panie, z pojedynkami szły barany na karabiny.

10.II (niedziela) *W nocy*

...Nareszcie, nareszcie!... Nareszcie jest kwestia natury szerszej, która wyrwała społeczeństwo arystokratyczne stopnickie z uśpienia, zbudziła myśli uśpione, entuzjazm powołała do życia. Ci ludzie żyją jeszcze, umieją czuć gorąco — śmierć arcyksięcia Rudolfa!...

W Klempiu, według pana Kasztana, o p ł a k u j ą g o, pani Zofia jest tak wzruszoną, że po prostu choruje, pan Jan zamyka się na długo w swym „gabinecie" i z nikim nie rozmawia, rozmyślając nad przyczyną tej śmierci. Dziś zjechało do Oleśnicy całe towarzystwo: państwo B., państwo J., pan z Niecisławic i pan ze Strzelec. Ponieważ „papa" chory jest na katar, zgromadzamy się wszyscy w jego sypialni. Ach, bywałem na zebraniach studenckich, gdzie odbudowywało się kraj, leczyło ludzkość, pięściami dowodziło zasad, ale nie widziałem tego zapału, jaki tu bił z tych twarzy wzruszonych rzeczywistym współczuciem dla arcyksiężnej Stefanii, litością nad „czcigodnymi starcami" (cesarz Franz-Joseph i cesarzowa Elżbieta), pogardą dla nikczemnika, który „targnął się na wiarę, kościół, obowiązki, z b e z c z e ś c i ł t r o n, zohydził rodzinę tyle piękną i duszę zgubił".

Pośrodku komnaty króluje pani Zofia w sukni o tyle niegustownej, o ile gustowną niebywale suknia ta jej się wydaje — i mówi, mówi tak, jakby Europa na nią patrzała. Ach, co mówi! Na pergaminach pisać, ej! na marmurowych pomnikach ryć te złote słowa, dzieci uczyć na pamięć, pięcioletnie dzieci!

— Nie mogli bracia tej nikczemnej Auerszperg wyzywać na pojedynek amerykański Rudolfa, nie mieli prawa. Siostra ich była nikczemną zalotnicą. Rudolf nie miał prawa przyjmować pojedynku, gdyż zdradzał przez to żonę, tę anielską Stefanię, dom, obowiązki, tron. Kobieta taka jak Aglai powinna być zabitą, bo kobieta, która itd.

Głośno, krzykliwie, z zapalczywością potwierdza to pani B., ale tak potwierdza twierdzenie, że „kobieta, która zapomina się dla mężczyzny,

nieślubnego męża, jest itd.", iż zaczynam serio przypuszczać, jako pan Kuba jest mitem, jako nigdy nie istniał pan Kuba. Pan Władysław B. oponuje, powiada, że „miłość..."

— Ach, ach, ach! — wołają ze wstrętem damy — miłość dla obcego, dla żonatego mężczyzny?!

— Ależ miłość...

— Żadna miłość, nie powinno jej być!

— Serce nie sługa — kończy zawsze dowcipny pan J., nieoceniony pan J. (ten, co to z g u s t e m strzelałby do chłopów, gdyby nie to podłe prawo).

— To są skutki niewiary, to jest przykład dla młodych — kończy pan Z., w przekonaniu zapewne, że młodzi mają pojęcie, gdzie tu właściwie istnieje jaki przykład dla młodych.

Nie wiem nawet, jaki los spotka sprawę kukizowską, tak dalece uwagę zaabsorbował Rudolf, ponieważ zaś towarzystwo miejscowe nie zdecydowało jeszcze przyczyny samobójstwa i nie prędko zdecydowanie to nastąpi, obawiam się więc o sprawę kukizowską poważnie. Pan Kasztan miewał bowiem co do wyświetlenia sprawy państwa Strzeleckich genialne pomysły, a tak uwaga jego odwrócona została i Bóg wie, co z tego być może.... Szczęściem, że uwagę tej gentry od spraw czysto tronowych odwraca ku społecznym jeszcze jeden fakt: młody książę Galliera, który wyrzekł się majątku (200 milionów lirów) i utrzymuje się z własnej pracy.

— To, powiem państwu — mówi pan B. — sto razy większy idiota od Rudolfa.

— Ja bym tam nie odrzucił — woła pan Jan — gdyby mi Lipszyc lub choćby nasz pachciarz zapisał 100 tysięcy rubli, to bym go w dupę pocałował... aby tylko nikt nie widział.

— Boś demokrata — mówi zawsze dowcipny, nieoceniony pan J. — ja bym się nie poniżył dla majątku — nigdy!

Serce rośnie, gdy się patrzy, jak przy ostatnich wyrazach twarz pana J. dumą przodków promienieje, promienieje tak, że fakt ożenienia się pana J. z panią Zofią jedynie dla majątku i siedzenie w Klempiu bezczynne na koszcie żony — niczym się wydaje.

Pan M. opowiada o bytności swej w Wiedniu na przedstawieniu magika, który wbijał sobie w nos szydło tak, że wychodziło po drugiej stronie nosa.

— Wbija, poszę panów, wbija z boku w nos, naraz po drugiej stronie nosa widać koniec szydła, później coraz więcej... Nikt by nie uwierzył, że sobie nie przebił na wylot nosa...

— No i nie przebił sobie? — pyta niespodziewanie pan Jan.

16.III

Wczoraj odebrałem kilka naraz egzemplarzy Prawdy i Głosu, jakie mi przysłał Karwasiński. Pan Z. prosił mię o pozwolenie przeczytania Prawdy, a dziś przy obiedzie wystąpił do mnie z przemową tego rodzaju:

— W Prawdzie jest styl dobry, nawet barwny, ale jest to łajdackie pismo. Tendencje obrzydliwe. Chciałby zniszczyć, zagładzić szlachtę, a tym bardziej arystokracją, aby na miejscu upadłej — samemu stać się arystokratą... bez żadnych po temu zasług. Pisze np. głupiec, że gdzieś jakiś magnat sprzedał zboże na pniu; co komu do tego, sprzedał, bo mu się tak podobało. Zupełny idiotyzm. Kto dla ojczyzny tracił majątki, jeśli nie szlachta? Czy chłop czy urzędniczyna dał na to aby grosz?

— Trudno, aby ktokolwiek rozumny wymagał był od chłopa ofiar na ojczyznę...

— Czy pan sądzi, że gdybym dziś dał chłopom folwark Wólkę, to nie zgodziliby się z radością na odrabianie mi trzech dni pańszczyźnianych tygodniowo?

— Nie dowodzi to, daruje pan, abyśmy jako naród, jako całość postąpili na krok od czasów Staszyca.

— A łajdackie pismo ta Prawda...

Nie chcę bronić Prawdy, bo w nią nie wierzę, zresztą nie chcę prowadzić sporu z papą Z. Byłaby potrzeba dowodzić, że oświata jest pożyteczną, że Kościuszko wart, aby go pochwalić itd.

Bujnie rośnie chwast na tej ziemi, szlachetność i rozum, miłość ojczyzny stąd ucieka, jakby wsiąkała w ziemię, aby gnić tam wraz ze starymi kośćmi pradziadów, wszystkie piersi zrobione na miarę krawca. Nikt nie porwie tłumu za sobą, bo tłum w nic nie wierzy i w nic nie uwierzy. Będziemy mieć język państwowy i dusze panów Stojowskich — to darmo.

A lud, lud, lud?! „Za dwieście lat będzie z tego naród" — powiada Dygasiński, a teraz każe milczeć i czekać. Znikniemy jako rasa nawet...

6.IV (sobota)

Dlaczego jestem smutny wśród tych ludzi, dlaczego wracam od nich do siebie z nieopisaną goryczą w sercu? Wszak już zgodziłem się na to, że „działanie" na nich jest absurdem, że trzeba pozostawić ich losowi, że nie powinien człowiek uczciwy wszystkiej niedoli ludu poddawać jednej litości szlachcica, że ludowi trzeba nagrody za wszystko wycierpiane, a tej nie da u nas ewolucja, o czym Jeż marzy, lecz rewolucja społeczna. (...)

Stefan Żeromski

CIEŃ

I

— Ten człowiek musiał zginąć. M u s i a ł, rozumiecie?...

Urwałem. Byliśmy już u brzegu. Przód łodzi, mlasnąwszy, utkwił w piachu, wilgotnym i grubym, podobnym do wiejskiego chleba. Moi towarzysze podnosili wiosła, omotane rzęślą, i czyścili je o burty. Na dnie łodzi chybotały się smoliste lusterka wody.

Leniwie patrzyliśmy na Wawrzyńca, jak brzęcząc ogniwami wiąże łańcuch w wiklinie, jak odczepia od dulki sznurkową siatkę z rybami i jak ją ciągnie do brzegu. Stopy jego ćmakały po płyciźnie; potem usłyszeliśmy skrzypienie postnego piaseczku, którym wysłany był grunt pod zaroślami. Widzieliśmy białe szczupaki, które podrygiwały w plecionce. Ogony ich wlokły się w nadrzecznym kurzu, zostawiając po sobie bruzdę, nakrapianą wilgocią.

Wawrzyniec odchodził milcząco uśmiechnięty. Był najmłodszy i w jakimś sensie nabardziej t u t e j s z y — może przez fakt, że najpóźniej porzucił te strony — i pewnie dlatego czuł się w obowiązku zanieść połów do kuchni. Inaczej — cóż byłoby z kolacją? Pamiętałem, że tuż przed świtem, zanim wyruszyliśmy nad rzekę, spuścił do studni blaszankę z zeszłoroczną nalewką; ale któż by chciał pić pod same tylko ziemniaki?

Odczuwaliśmy łagodne zawstydzenie widząc, że się oddala, tak bardzo jednak nie chciało nam się ruszyć z naszych wygrzanych ławeczek!... Łódź lekko nami bujała. Pod rufą chwiały się falki, czasem któraś przylgnęła do deski, jak kawał surowego mięsa; ale woda była tu raczej senna, waciasta... Dopiero dalej, u szczytu główki, huczała Wisła, bulgocąca jak wrzątek, pokryta pęcherzami i drobniejszą pianą. Szybki nurt chrzęścił tam przy kamieniach; słyszeliśmy, jak stuka o nie czarnym drewnem, przyniesionym z daleka i na wpół zjedzonym przez wodę.

Pojawiły się wreszcie komary, cienkie, ale uparte. Aby im dokuczyć, zapaliliśmy wszyscy czterej, nie wyłączając nawet Knyszyna, który zazwyczaj wymigiwał się od tytoniu; zresztą i teraz kurzył samymi tylko ustami. Co pewien czas słyszeliśmy suche klaśnięcie jego dłoni. Bił sobie owady na udach, porośniętych czarnym włosem, a trafiwszy, wyrzucał szczątki za burtę. Jego płaski zegarek, zapięty — w obawie przed wilgocią — powyżej łokcia, błyskał przy każdym uderzeniu.

Capiga, nie śpiesząc się, czerpał wodę sosnową szufelką i wylewał ją z łódki. Jego wojskową koszulę, zbielałą pod pachami od potu, centkowały coraz gęściejsze pryśnięcia. Czasem, trzymając szufelkę blisko oczu, grzebał w niej grubymi palcami i wyławiał rosówkę, czyli — mówiąc zwyczajnie — robaka, zbiegłego jakimś cudem z puszki. Ująwszy go wpół, płukał starannie i wrzucał między inne do zardzewiałego naczyńka.

Jeden tylko Karbowski siedział bez poruszenia, położywszy pięści na ławce po obu stronach ciała i wyciągnąwszy przed siebie nogi w przemoczonych spodniach.

— No i co było potem? — nastawał nie wyjmując papierosa z ust, wskutek czego każde jego słowo było jakby przygryzione, niepełne.

— Co miało być potem? Z czym niby?...

— Z tym człowiekiem z pociągu... Mówiliście, że musiał zginąć. A czemu? — przypominał patrząc uważnym wzrokiem, który mnie trochę raził.

Rozejrzałem się, niepewny, czy tamci dwaj też chcą słuchać. Ale twarze ich wyrażały zachętę; czekali.

Cisnąwszy więc papierosa w wodę, wróciłem do przerwanej opowieści...

II

...Ten człowiek, o którym wam mówiłem, musiał się zabić, to jasne. Wiedzieliśmy o tym od pierwszej chwili, gdy tylko ukazał się na stopniu, ale czy mogliśmy temu zapobiec? Nasza bryczka stała daleko, za szlabanem, w ciemnościach. Chociaż machaliśmy rękami — a robiliśmy to, można powiedzieć, rozpaczliwie — to te nasze znaki z pewnością były dla niego niewidoczne. Krzyczeliśmy: „Nie skacz!", ale głuszyło nas stukotanie pociągu. Byliśmy zmuszeni patrzeć bezradnie, jak zbliża się, skulony na najniższym stopniu wagonu, przysiada, trzymając się obu rękami poręczy i wyciąga w dół stopę — oczywiście po to, żeby zmacać ziemię pod sobą...

Kto w ten sposób zabiera się do skakania z pędzącego pociągu? Towarzysz Knyszyn jest z Warszawy, tak jak ja; niech on wam powie, co o tym sądzi! Myśmy się tam, w mieście, naskakali z tramwajów za młodu i znamy ten sport na wylot, prawda?... Jeżeli tamten chciał ocaleć, powinien był właśnie stanąć, odepchnąć się z całych sił do tyłu, a nawet więcej — powinien był rzucić się prawie na wznak w powietrze, jak najdalej od kół, jak najdalej od toru!

— Człowieku! — wrzeszczeliśmy na zmianę to ja, to znów woźnica — Człowieku! Co robisz!...

Z otwartych drzwi padało trochę światła. Widzieliśmy jego białą głowę — był siwy — wciśniętą w ramiona; widzieliśmy też kołnierz jesionki trzepoczący na wietrze. I widzieliśmy, że ta głowa i te ramiona, i ten kołnierz opuszczają się coraz niżej... Domyślaliśmy się, że są to już ostatnie sekundy... Rzeczywiście, w następnym momencie coś tym człowiekiem silnie targnęło i ściągnęło go w dół. Prawdopodobnie butem zawadził o podkład.

Przez malutką chwilę jego dłonie trzymały się jeszcze mosiężnej poręczy, potem odskoczyły, jakby je kto odrąbał. W kiepskim świetle, spływającym pod wagony, dostrzegliśmy, że upadł na łokcie. Ledwie się to stało, schodki następnego wagonu uderzyły go w czaszkę. To był już, oczywiście, koniec, a jednak tliła się we mnie jakaś głupia nadzieja, że może nie... Tym bardziej że tamten, leżąc na ciemnym tłuczniu, poruszał się i drgał, jakby płakał.

Kiedyśmy jednak dobiegli do niego i gdy woźnica z PGR-u, który mnie odwoził do miasta, przyświecił zapalniczką, zrozumiałem, że jest już właściwie po wszystkim, mimo iż ranny jeszcze oddychał. Ciemię jego uległo strzaskaniu; otwierała się tam wielka dziura, włosy były zagniecione z mózgiem — darujcie, że nie będę dalej o tym mówić...

— Człowieku, po coś to zrobił! Człowieku! — mamrotał mój towarzysz biorąc go uważnie pod pachy. — Po coś to zrobił? Przecie do stacji minutka, może dwie!...

Mieliśmy przed sobą mężczyznę w wieku trudnym do określenia, ale już po czterdziestce, odzianego nie powiem, że źle, ale skromnie, tak, jak ubierają się u nas urzędnicy. Lecz jeśli był urzędnikiem, to chyba od niedawna, od kilku lat najwyżej; dłonie jego były pokryte płytkami rogu, twardego i zastarzałego. Z pewnością życie mu zeszło przy pracy fizycznej, którą porzucił dopiero po wojnie... Zresztą dotknijcie rąk towarzysza Knyszyna; on też dyrektoruje trzeci rok, a przecież odciski mu zostały i każdy pozna w nim robotnika...

Zastanowiło nas jedno: brak marynarki. Samodziałowy płaszcz wciągnięty był wprost na koszulę. Ranny, zapinając się, musiał to robić w pośpiechu, pomylił bowiem guziki. Możliwe, że coś wyrwało go ze snu w chwili, kiedy drzemał, wyciągnięty na ławce i nakryty paltem. Przemawiały za tym inne niedokładności w garderobie: rozsznurowane pantofle, niedopięty pasek od spodni, rozluźniony krawat pod brodą... Prawdopodobnie jechał sam, w pustym przedziale i rozgościł się w nim

na całego, a kiedy raptem przyszło mu wyskakiwać, nie zdążył się oporządzić jak należy.

Ale dlaczego w ogóle wyskakiwał? Czy zorientował się — zbyt późno — że przejechał swoją stację i nie chciał się już bardziej oddalać? A może mieszkał tu gdzieś w pobliżu, opodal przejazdu, na którym to wszystko zaszło? Lecz jeżeli tak, to dlaczego zapomniał o marynarce? Czym zdenerwował się do tego stopnia, że mógł ją zostawić w przedziale? Niesposób było nawet ustalić, jak się nazywał — w kieszeniach od spodni znaleźliśmy tylko wygryzioną cygarniczkę z wiśni, blaszany grzebień i trochę pokruszonego tytoniu. Papiery, widać, pozostały w wagonie.

Galopem wieźliśmy go przez miasto, ryzykując rozbicie bryczki, byle tylko do szpitala, byle do chirurga, póki tamtemu coś jeszcze w piersi stuka...

W kilka minut później zakomunikowano mi, że ranny nigdy już nie odpowie na żadne z moich pytań — zanim przystąpiono do operacji, skonał.

Nie mogłem czekać, aż milicja zidentyfikuje jego osobę. Mój pociąg odchodził za dwie godziny, a rano musiałem już być w Warszawie. Koło południa zadzwoniłem jednak do komisariatu w mieście, gdzie zdarzyło się to całe nieszczęście i gdzie poprzedniego wieczora złożyłem wyczerpujące zeznanie. W głosie oficera, rozmawiającego ze mną przez telefon, wyczułem ów specjalny odcień podejrzliwości, który towarzyszy sprawom niejasnym... Nie trzeba wam chyba tego opisywać; macie tu Karbowskiego, przypomnijcie sobie, jak wygląda w podobnych okolicznościach, a on przecież z pokrewnej branży...

Domyśliłem się, że komisariat nie udzieli mi odpowiedzi, a przynajmniej, że szkoda o nią prosić do czasu, aż śledztwo zostanie ukończone.

Cóż miałem robić? Z początku kręciłem się jeszcze, rozpytywałem wśród znajomych, ale nikt mi nie umiał pomóc w rozwiązaniu zagadki. Później się zniechęciłem i dałem temu spokój. Diabli go wiedzą, co to był za jeden i czemu się tak skrzywdził... Może to kiedyś samo wyleziе; na razie poczekam, zobaczę...

III

— Ech, bracie! — skrzywił się Knyszyn, wysłuchawszy mnie do końca. — Poczekasz, zobaczysz... Akurat! Guzik z tego będzie!

— A to dlaczego?

Knyszyn nie kwapił się z odpowiedzią. Trzymał przed sobą rozpo-

startą dłoń — wnętrzem do góry — jakby sprawdzał, czy są tam rzeczywiście odciski, o których wspominałem. Palcami drugiej ręki dotykał ich, próbował końcem paznokcia, drapał. Były. Czas trochę je przytarł i oszlifował, ale nie złuszczył do reszty. Knyszyn, przebierając po nich, mruczał:

— Pytasz się, kochany, dlaczego?

— Właśnie.

— Ano, widzisz, to proste. Jeżeli była w tym jakaś tajemnica, a pewnie była, sam tak myślę — to on ją zabrał ze sobą. A przecież od niego już się nie dowiesz...

Karbowski uśmiechnął się skąpo, może nawet z cieniutką drwiną. Przypuszczałem, że jego bezpieczniacka duma nie zniesie tego, co mówił tamten niedowiarek. I nie myliłem się. Karbowski, masując pięścią policzek pocięty przez komary, wtrącił niegłośno i — jak mi się zdawało — niedbale:

— Mówicie: „od niego się nie dowie". A on mu po co? I włos ma swój cień, cóż dopiero człowiek! Poszukasz cienia, po cieniu faceta rozeznasz...

Dzień był na wyczerpaniu, blask jego raził jeszcze oczy, ale już nie grzał. Na wschodzie niebo, osuszone ze światła, nabrało kreciej barwy i zaciągnęło się długimi chmurami. Wisła natomiast, leżąca z przeciwnej strony, migotała jak staniol; nie mogliśmy wprost na nią patrzeć. Po wodzie niósł się ostry kwik rżniętego bekona. Tam, na drugim brzegu, do którego kleiło się niskie słońce, rozciągała się rodzinna wieś pułkownika Capigi. Mieliśmy ją odwiedzić nazajutrz i — jeżeli sądzić po odgłosach — sposobiono się tam już teraz na jutrzejszą okazję.

Knyszyn, bełtając stopą resztki wody pozostałej na dnie łodzi pomimo Capigowego czerpania, rzekł w stronę Karbowskiego:

— Macie rację, pewno, ale to nie jest racja na każdy wypadek. Z tymi zabitymi, wiecie, bywają nieliche łamigłówki. Ciekaw jestem, co byście powiedzieli na taką...

IV

...Pamiętacie zimę z czterdziestego trzeciego na czterdziesty czwarty? Jaka była mokra i prawie bez mrozu? Capiga, oczywiście, posmakował jej całkiem inaczej, bo był pod Moskwą, a tam zimy są zawsze surowe. Ale myśmy w kraju nie mogli narzekać, chyba na buty, że wciąż przemoczone... A ta cała historia zdarzyła się właśnie wtedy...

W tym czasie mieszkałem na Pradze, przy pewnym warsztacie mecha-

nicznym. Był to taki zakładzik za dwa grosze, jednym słowem dziadostwo, choć na oko mogło się wydawać inaczej — tyle gratów stało tam w środku. Właściciel tego interesu, Biskupik, ściągał sobie szmelc z rozmaitych śmietników: rozlutowane chłodnice, wyłowione z Wisły motorki do kajaków, zdarte opony, przepalone resory, postrzelane karoserie... Sam się w tym grzebał i ja mu też, za mieszkanie, trochę pomagałem. Melinę, taki był rozkaz, miałem trzymać „czystą", więc ani słowem nie wspominałem mu o nas. Biskupik zresztą wolał być z daleka od jakiejkolwiek roboty, nawet od tej londyńskiej.

W warsztacie było mi ciasno, ale miałem z niego wygodę: mogli do mnie przychodzić towarzysze i nikt nawet nie spojrzał, bo kto ich odróżni od Biskupikowych klientów? Ile się u mnie broni przechowało w tych poprutych fotelach samochodowych, a gazetek, instrukcji!... A cośmy tam akcji naobmyślali! Nie wszystkie były szczęśliwe — to fakt, często nam na tych akcjach rozwalali chłopaków — w konspiracji tak zawsze... Ale jeden raz mnie cholernie zabolał i właśnie o tym chcę wam powiedzieć...

Gwardia bardzo wtedy potrzebowała pieniędzy: na broń i na „technikę". Pogadaliśmy tam, u mnie, z kim należało i postanowiliśmy zrobić „eksa". Do oskubania był pewien hurt na Starym Mieście: „Obst und Gemüse", po naszemu: „Owoce i warzywa". Firmę miał volksdeutsch Cibulka, zły, ale forsiasty. W każdy poniedziałek było tam pełno gotówki. Podejmowali ją z banku na cały tydzień. Robota, jak dla nas, mało powiedzieć — bezpieczna. Po prostu manna kasza, tylko łyżeczką brać i do buzi! Personel hurtu był niewielki, a broń krótką posiadał jedynie Cibulka. To nam raczej dodawało apetytu — przyda się jeden pistolet więcej, jeżeli się już ten volksdeutsch nawinie! Był i telefon, ale w dobrym miejscu, z przewodami pod ręką, w sam raz do cięcia. Posterunek daleko; Niemcy czasem się kręcą, ale gdzie tego unikniesz? Okupacja przecież!

No i macie ten poniedziałek. Pogoda wymarzona: z nieba cieknie jakiś kleik, bo śniegiem tego nie nazwę, mgła, że drugiej strony ulicy nie widać, mokro. Na wypadek awantury nie trudno będzie się urwać.

Przed hurtem Cibulki rozdzielamy się: Mirek, konduktor tramwajowy, ma wejść do środka razem ze mną, a na ubezpieczeniu przed domem pozostaje „Liworwer", młody chłopiec z olejarni na Marymoncie, który przyszedł do nas jesienią. Bardzo odważny, ale mało jeszcze otrzaskany z walką, tyle że służył w kampanii wrześniowej i był pod Modlinem. Gdyby chodziło o większą robotę, nie zostawiłbym „Liworwera" samego, ale tak?... Pamiętam go jeszcze dziś, jak

stoi pod żelazną latarnią, niedużý, piegowaty, bardzo podniecony, i naciera czerwone, odstające uszy...

Wchodzimy. Znacie te stare kamienice, budowane cholera wie kiedy. „Obst und Gemüse" mieściło się właśnie w takiej. Ciemna sień, zastawiona skrzynkami po jabłkach; wszędzie pełno zdeptanej słomy. Potem kręcone schodki w dół, do sutereny. Kuta poręcz. Wilgotno. Żarówka w drucianym koszyku. I już jesteśmy na miejscu.

Wyobraźcie sobie kantorek długi na cztery, a szeroki na trzy metry, z okienkiem podobnym do szuflady i jeszcze w dodatku zapstrzonym przez muchy. Z lewej strony regał, a na nim próbki suszonego warzywa, słoiki z kiszonką, grzyby, garść orzechów. Po prawej stół z malutkim arytmometrem i żelazna kasetka, o którą nam chodzi.

W kantorze — pusto, jeśli nie liczyć zwiędłej kobietki w szaliku, skręconym niby turban na głowie. Śmiać mi się chce z tych naszych przygotowań — przecież człowiek przychodzi jak po swoje! Żeby chociaż ten pan Cibulka! Ale gdzie tam! Nikogo!

Urzędniczka chrzęści przy maszynce, nie patrząc nawet, kto przyszedł. Pokręci niedużą korbką — i ze szpary wyskoczy papier długi jak bandaż... Ot, biuro.

Wyciągamy broń. Mirek swoją „Zbrojovkę", olbrzymią jak aparat do suszenia włosów, a ja czternastostrzałową, belgijską „FN". Czujemy, jakby to powiedzieć, zażenowanie, pokazując tej paniusi nasze groźne maszyny. Kobieta — ze strachu — chudnie nam w oczach.

— Licz pieniądze — mówię do Mirka. — Trzeba jej wystawić pokwitowanie. I żeby suma była nie tylko cyframi, ale i słownie!

— Już się robi!

Mirek pochyla się nad kasetką. Mimo woli uśmiecham się, kiedy ten zawodowy bileter, mrugając nad szkiełkami okularów wyciętymi w półksiężyce, równiutko i akuratnie przebiera w paczkach banknotów. Robota mu leci, można rzec, koncertowo! Tymczasem ja biorę ze stołu długie, niklowe nożyce i ciach — już po telefonie.

W tej samej chwili z góry, jeden za drugim, zbiega do kantoru trzech mężczyzn w cywilu. Nie zapomnę nigdy tej sekundy ciszy, jaka nastała po ich wejściu. Pamiętam wszystko — ich wygląd, twarze, gesty... Pierwszy z nich, wysoki, bardzo przystojny blondyn z małym wąsikiem, podobnym do pszczółki, nad górną wargą, ze skośnymi baczkami na skroniach i drobnym noskiem. Paltot na nim wprawdzie letni (a tu zima!), ale odprasowany i czysty. To samo z krawatem: przetarty, lecz dobrze zawiązany. Obok blondyna — drugi; tęgi masarski w skórzanej czapce na oczy, w półkożuszku bez rękawów, spod którego

wygląda żakiet koloru marengo. A tuż za nimi, jeszcze na schodach, trzeci w błyszczącym płaszczu z czarnej buny i w pilśniowym kapeluszu, sam też czarny i jakby pilśniowy, może przez zarost na policzkach, dawno nie golony. A wszyscy trzej z bronią w rękach...

Mówię wam, ta cisza trwała najwyżej sekundę, a kto wie, czy nie krócej. Ale zdarza się, że czas jest jakiś zgęszczony jak tlen w butlach i wtedy przez jedną sekundę przemyślisz więcej niż normalnie przez kwadrans...

— Gestapo albo raczej Kripo — myślę. — Ale czemu „Liworwer" ich przepuścił? Zagapił się? A może już go zdjęli? Może tam stoi buda z żandarmami i nie warto się w ogóle narywać? Ale jesteśmy uzbrojeni, więc i tak nam niewiele pomoże...

I po tej sekundzie wahania wszyscy — pomyślcie, wszyscy, jak nas tam było pięciu — zaczynamy bez słowa równocześnie strzelać. Pokoik, jak już wspomniałem, kilkumetrowy. Walimy sobie prosto w twarze. Słychać tylko huk wystrzałów, trzask rygli i stukanie kul po tynku.

Skuliwszy się za regałem, na którym leżały próbki towaru, naciskam spust raz za razem, trzymając na muszce blondyna, oddalonego ode mnie o dwa kroki, ten bowiem wydaje mi się najniebezpieczniejszy. Stoi nieco bokiem, aby zmniejszyć zagrożoną powierzchnię ciała; lewą rękę podniósł na wysokość piersi — wiadomo, osłania serce — w prawej zaś trzyma ciężki, bębenkowy rewolwer i wali we mnie jak w kółko na strzelnicy. Uwziął się na mnie również i ten czarny ze schodów. Patrzę w otworki luf i w błyskające z nich iskierki, widzę kawałki suszonych grzybów i okruchy słoików podskakujące mi przed oczyma, a sam wciąż jeszcze jestem cały i nietknięty!

Naraz blondyn przyklęka. Dostał! Przygina się do stołu, jego starannie ostrzyżona skroń uderza o sosnową nogę mebla, dłoń z rewolwerem opada.

Ale i mój tramwajarz, niestety, już gotów. Zawsze mieliśmy kłopot z amunicją do jego „Zbrojovki" — dziewięć short, kaliber nietypowy! — i często się zdarzało, że wśród nabojów były jakieś francowate szmelce. I teraz Mirkowi broń się zacięła: zamek pozostał w położeniu tylnym. Mirek szarpie się z nim, ale już jest za późno — ten w półkożuszku trafia go w twarz. Sypie się szkło okularów. Mirek przyciska się plecami do ściany. Wątleją mu kolana. Siada.

W tym momencie na schodach, u góry, tuż pod żarówką, pojawia się „Liworwer" i stamtąd natychmiast otwiera ogień. Zamęt robi się niebywały i już sam nie wiem, czy kula, która tnie mnie po uchu,

wyszła z broni mojego gwardzisty czy z broni któregoś z wrogów. Brunet w lśniącym, bunowym płaszczu przechyla się przez poręcz i leci głową na dół. Oberwał, ale ranny, potłuczony dźwiga się na łokciu i z ukosa pruje „Liworwerowi" w brzuch — raz, drugi, trzeci! Kiedyż im te magazynki się skończą? Czy będziemy tak walić aż do zupełnego wymordowania się nawzajem?

Jestem, prawdę mówiąc, zaskoczony uporem tych z Kripo, ich zaciętością i jakimś zwariowanym męstwem. W żadnej walce ulicznej nie spotkałem hitlerowców, którzy zachowywaliby się w taki sposób! Czemu nie próbują uciekać? Co za amerykański pojedynek! A wszystko w zupełnym milczeniu, nic, tylko bach! bach! bach!...

Naraz potyczka się kończy. Mój olejarz i Mirek leżą bez ruchu, blondyn kona pod stołem, ten w „bunie" wypuszcza broń i zalewa sobie piersi krwią z ust. Ostatni z napastników, rzeźnik w półkożuszku, umyka po schodach na górę. Pewnie wypatroszył już cały swój magazynek. Ale ja nie, ja jestem czternastostrzałowy, więc ścigam go ogniem aż do sieni, w której niknie, utykając najpierw na jedną, a potem na obie nogi.

Wywlekam na ulicę najpierw „Liworwera", następnie zaś tramwajarza; ten zresztą chyba już nie oddycha, ale czy teraz czas na sprawdzanie?

Jestem zdumiony: przed domem nikt na nas nie dybie, nie ma tam aut ani żandarmów. Jezdnia jest pusta. Daleko, wśród ukośnych skarp, znika we mgle kulejąca sylwetka rzeźnika. Coś mi się w tym wszystkim zaczyna wydawać podejrzane — ale to sprawa na potem. Jakaś dorożka odwozi nas w bezpieczne miejsce. I to już właściwie wszystko; jedna akcja nieszczęśliwa więcej, nieprawdaż? Tak, ale tylko na pozór.

Dlaczego? Ano, posłuchajcie...

W parę miesięcy później, kiedy powstała KRN i kiedy szereg demokratycznych oddziałów połączyło się w Armię Ludową, zostałem dowódcą silnej jednostki, w skład której weszli również towarzysze z Milicji RPPS. I oto — cóż za niespodzianka! Na pierwszą wspólną odprawę przychodzi ten popsuty przeze mnie rzeźnik, jedyny, który uciekł z Cibulkowego zakładu! Okazuje się zresztą nie rzeźnikiem, a pielęgniarzem, lecz mniejsza o to. Najważniejszy jest fakt, że przychodzi do nas jako przedstawiciel erpepesowskiego plutonu. I czego się dowiaduję? Że tam, u Cibulki, zaskoczyli nas nie agenci z Kripo, ale nasi towarzysze, socjaliści...

Szli na takiego samego „eksa", jak my. „Liworwer", zajęty przez chwilę obserwowaniem jakiegoś werkschutza, nie zrwócił na nich

uwagi — zresztą było to w gęstej mgle... Wszyscy trzej mieli za sobą wiele bojowych doświadczeń i stąd ich zajadłość, która mnie tak oszołomiła... Pomyślcie, kochani, pomyślcie tylko, jaka to historia — spotykają się dwie grupy patriotów, każda jest przekonana, że trafiła na hitlerowców i każda... do upadłego...

Prowadziliśmy śledztwo — oczywiście, o ile w warunkach konspiracji było to w ogóle możliwe. Niektórzy towarzysze utrzymywali, że ta cała tragedia — bo inaczej tego nie można określić — że ta cała tragedia była wynikiem zbiegu okoliczności. Cóż, i to nie jest wykluczone. Ale ja mam o tym inne zdanie. Bo niby, weźcie, Warszawa, miasto długie i szerokie na kilkanaście kilometrów; pełno w niej „interesów" niemieckich. Dlaczego przypadek wybrał sobie ze wszystkich akurat ten jeden? A teraz — dalej. Przecież Cibulka prowadził tę hurtownię trzy lata... Czemu go nikt nie obrobił przedtem ani potem?... Czy to możliwe, żeby całkiem przypadkowo dwie pokrewne grupy — niezależnie od siebie — wybrały ten sam dzień i tę samą godzinę? A nawet niemalże tę samą minutę?

Więc co? Zrządzenie Opatrzności? Nie, ja twierdzę, że ktoś ich na nas napuścił. To znaczy nie tak wprost, bez ogródek, bo gdyby tamci wiedzieli, kim jesteśmy, to by nas jeszcze papieroskami ugościli — napuścił więc nie wprost, ale pośrednio.

A kto to mógł zrobić? Rzecz całą trzymaliśmy w tajemnicy. Wiedział o niej mój zwierzchnik, wspaniały towarzysz, dziś na wysokim szczeblu w aparacie partyjnym. Był zresztą wtedy sprawdzany. Odpada. Znał ten plan również Mirek, ale nie żyje. Jeśli to on gdzieś lapnął, czyli wygadał, to już się go nie dopytamy. Moglibyśmy może wyciągnąć coś od blondyna z wąsikami — był dowódcą sekcji w RPPS — ale on zmarł na drugi dzień po akcji. Nie wiadomo, kto mu to podszepnął, doradził... A mógł to zrobić jedynie ktoś taki, kto miał kontakt i z nami, i z nimi, ktoś, kto cynicznie i na zimno obliczył, że w takim spotkaniu żadna z grup się nie cofnie... A wynik? Trzech zabitych i dwaj okaleczeni na całe życie... I ten ktoś to... naszymi własnymi rękami... naszymi rękami...

V

Knyszyn umilkł. Po jego ciężkim, niespokojnym oddechu można było poznać, ile go kosztowała ta opowieść.

Zmierzchało. Za Wisłą tliły się jeszcze ostatki zachodu, lecz wokół nas wszystko było popielate i szare; tylko pręga piasku u stóp wiklin bielała jak duża kość. Poczuliśmy pierwszy chłodek i usłyszeliśmy nad-

ciąganie nocnego wiatru, który zatrzepał się w łozach. Od łachy, leżącej za krzakami, nadpłynął ciepły zapach mułu, a z nim — jęczenie kumaków.

Karbowski, widziałem to po wyrazie jego twarzy, chciał coś powiedzieć, otwierał już nawet usta, lecz nie zdążył. — Capiga odezwał się pierwszy:

— A ja znałem tego waszego majstra.

Knyszyn, wychylony za burtę, płukał dłoń w gęstej wodzie, zaprawionej kłaczkami skrętnicy. Nie odwracając głowy zapytał:

— Majstra? Nie mówiłem o żadnym takim...

— Jakże nie? A Biskupik?

Knyszyn pogardliwie poruszył łopatkami, jakby mówił: „A cóż on mnie obchodzi?" I ja doznawałem podobnego uczucia; przejęty wspomieniami Knyszyna, nie miałem chęci słuchać o jakimś mechaniku z Pragi, nawet jeśli to był znajomek Capigi. I — byłem tego pewien — potrafilibyśmy odwieść pułkownika od tego zamiaru, gdyby nie Karbowski, który pociągnął go za język:

— Znałeś go?... Patrzcie! Czemużeś nigdy nie gadał?

— Phi!... A zresztą kiedy?... Widzimy się raz na trzy lata...

— No, czekaj, to mnie interesuje... Gdzie wlazłeś na niego?

Capiga oparł się dłońmi o rozstawione kolana i pochylił tułów do przodu. Było w tym geście coś bardzo chłopskiego, coś, czego pułkownik nigdy nie zatracił.

— On u mnie służył, ten Biskupik. Byliśmy razem w 2 Brygadzie Czołgów. A Brygada znowuż wchodziła w skład I Korpusu Pancernego... Znaczy się, że obaj służyliśmy pod Kimbarem...

VI

...Wam się zdaje, że to niemożliwe, towarzyszu Knyszyn? A dlaczego? Można spytać? Myślicie, że jak ktoś reperował stare Mercedesy i świata poza nimi nie widział, to już nie mógł potem zostać pancerniakiem? Bo co — drobnomieszczanin? Do wojska szli rozmaici, więc także i tacy. A może chodzi wam o czas, że się to wszystko nie zgadza? Zgadza się, zgadza, bądźcie spokojni! I bez cudów też się obeszło.

Korpus organizowali w czterdziestym czwartym, gdzieś tak od lipca, a Praga — powiecie — została wyzwolona dopiero we wrześniu? Racja! A czy ktoś z wami się spiera?... Tylko, że jak się ten Biskupik zgłosił i pokazał, co umie, to go przyjęli, choć było już późno, październik... Wiecie chyba, jak to jest: wam złotej igiełki za mało, a dajcie krawcowi

patyk — zeszyje... Biskupik, ledwie stanął przy motorze, zaraz wszyscyśmy powiedzieli: majster! A jak Korpus poszedł w lutym na front, to Biskupik był już mechanikiem-kierowcą w moim czołgu. Razem otrzymaliśmy chrzest nad Nysą, razem biliśmy się najpierw pod Kodersdorfem i Diehsa, a potem, parę dni później, w rejonie Salzenforst i Stiebitz. Ja właśnie wtedy zostałem ranny, ale słyszałem, że Biskupik odbył całą kampanię z Korpusem aż do Czechosłowacji, jak szli w kierunku Pragi. Był kilka razy odznaczony i w ogóle opinię miał pozytywną, że odważny i zdolny. Widać było nawet, że bardzo się o nią stara, że mu na tej opinii zależy. Przez ambicję pewno...

Ale niektórzy koledzy to go nie zanadto lubili. Mówiło się o nim, że „pechowy", ale pechowy nie dla siebie, tylko dla drugich. Ja to się śmieję z takiego gadania; po prostu powtarzam, co mnie doleciało. Że jednego razu, na przykład, kiedy pluton został bez maszyn (bo wszystkie były spalone) i nasi pancerniacy musieli biegać „pieszkom", jak zwyczajni strzelcy, to koło Biskupika aż trzech oficerów zabiło. Dokładnie tego nie pamiętam, ale dwaj to mieli niby leżeć w jakimś leju po bombie, niedaleko Biskupika, i tam się rozerwał ręczny granat czy panzerfaust, dość że ich śmiertelnie poszarpało. A z trzecim, to nawet nie pamiętam, jaka śmierć mu się przytrafiła. Śmieszne to, wiecie, ale kiedy towarzysz Knyszyn opowiadał o tej tragedii z Cibulką, pomyślałem sobie: moi pancerniacy znad Nysy to zaraz by powiedzieli, że przez „pechowego".

Co tam zresztą przed wami ukrywać — sam jednego razu pomyślałem tak o Biskupiku. Dzisiaj to całkiem inna sprawa. Ale wtedy byłem głupszy: sierżant z prostego chłopa! I uświadomienia mi brakło, i szkoły... Było to właśnie podczas okrążenia pod Budziszynem, dwudziestego piątego, nie, dwudziestego szóstego kwietnia.

Ruszyliśmy do natarcia z całą kompanią. Paskudnie wyszło — łąka odkryta, a hitlerowców dużo. Zwijaliśmy się niby wściekli, ale co z tego, za mocny był ogień i — jak to mówią — nie w nos, to w oko; raz po raz któryś z czołgów dostawał.

Na prawo ode mnie szła maszyna dowódcy plutonu, porucznika Dwiżenki. Co to był za człowiek! Towarzysz Knyszyn jest z Warszawy, to ma gadane, a ja nie, ja jestem ze wsi. Tyle powiem, że kogo Dwiżenko uczył — jeszcze na Lubelszczyźnie — i kogo miał później w plutonie, nad Nysą, ten już o ludziach radzieckich inaczej nie pomyśli, jak tylko z sercem.

Porucznik dowodził przez radio. Słyszałem jego głos w słuchawce. Był spokojny, aż zazdrość mnie brała. Nagle — trach! I zrobiło się cicho.

Zawołałem:

— Obywatelu poruczniku!

Nic. Obróciłem peryskop na prawo i zobaczyłem, że czołg Dwiżenki pali się. Pali, ale nie przystaje, nawet nie zwalnia.

Płomienie poruszały się po pancerzu. Trudno mi było stwierdzić, gdzie uderzył pocisk. W każdym razie wyglądało niedobrze.

— Cóż on, do matki nędzy! Gasić będzie? Przecież to wszystko zaraz wyleci w powietrze! Za dużo tego ognia — pomyślałem z niepokojem.

Czołg Dwiżenki, masywny, pięcioosobowy T-34, szedł dalej naprzód. Gąsienice jego drapały ziemię. Kawałami pryskała darń. Niespodzianie spostrzegłem, że klapa zamykająca właz wieżowy porusza się, że raz i drugi unosi się na parę centymetrów, tak jakby mocowało się z nią dziecko, któremu nie starcza siły, żeby otworzyć właz na całą szerokość. Domyśliłem się, że Dwiżenko zamierza skakać... Ale dlaczego zwłoczy? I dlaczego nie każe stanąć?

Wpatrzyłem się w szczelinę, jaka czerniała między klapą a korpusem wieży. W szparze ukazała się czyjaś dłoń i natychmiast zwisła, przycięta w przegubie stalową pokrywą. Czołg toczył się w dalszym ciągu przed siebie, ku niedalekim pozycjom SS, jak gdyby załoga lekceważyła sobie pożar. I tylko ja jeden, co widziałem tę dłoń, rozumiałem, jaka jest prawdziwa sytuacja...

— Biskupik! — zawołałem, przełączając się na telefon wewnątrzczołgowy — Biskupik!

— Jestem!...

— Uważaj! Dwiżenko się pali! Cała załoga wybita albo ranna...

— Nie może być! — przerwał mi wbrew regulaminowi kierowca — Jak ojca jedynego! Przecież maszyna jedzie! Przynajmniej kierowca musi być zdrowy!

— Cicho! — krzyknąłem. Nigdy w czasie walki nie pozwalaliśmy sobie na rozmówki, zawsze było tylko jak najkrócej: tak a tak! Ale tu sytuacja była inna, tu wszystko musiałem mu po łyżeczce dawać, bo od tego zależało życie Dwiżenki, a także i moje. — Jadą, bo ustawili ręczny gaz!... Ręczny!... Uważaj! Podjedziesz do nich jak najbliżej, rozumiesz?...

— Będziesz pan skakał? Jak rany!...

— Cicho! Podjedziesz tuż, tuż! Jak najbliżej potrafisz! A potem ich wyprzedzisz! Zrozumiałeś? Ja zatrzymam czołg porucznika i będę ludzi wyciągał przednim włazem!

— Tak jest!

— Wyprzedzisz maszynę Dwiżenki i staniesz prosto przed nią. Zrozumiałeś?

— Jakże to: prosto?

— Nie rozumiesz? Będę ich wypychał przodem. Musisz nas zasłonić! Inaczej Niemcy wszystkich wytłuką! A ja kręcić nie dam rady! Zrozumiałeś już? Znaczy się: prosto przed nami!

Ryk naszego silnika zaczął się wzmagać. Kołysząc się i chyboczące szliśmy coraz szybciej w stronę pojazdu Dwiżenki.

— Uwaga — trąciłem działonowego, którego czarna hauba znajdowała się koło mojego łokcia. — Obejmujesz dowództwo!

— Obejmuję dowództwo — powtórzył działonowy, ale poczułem, że głos mu drży. Był to młody fornal z zamojskiego, dopiero od kilku dni w walce, niezbyt jeszcze zaradny. Ale bo też skąd mieliśmy brać czołgistów? Przecie w tej naszej Polsce przedwojennej ledwie parę tankietek było, a o czołgach, jak nasze, nikt nie słyszał! Przyznam, że jeśli chodzi o manewr, jaki mieli wykonać, to bardziej liczyłem na tego naszego majstra z Pragi, cwaniaka Biskupika, niż na niego...

Ostatni raz przebiegłem wzrokiem po linii hitlerowskich stanowisk, które bez przerwy łyskały ogniem kaemów i działek.

— Cały czas walić! — rozkazałem i odemknąłem klapę. Do środka wieży wpadł wiaterek. Byliśmy już na równej wysokości z maszyną Dwiżenki i sunęliśmy obok siebie jak dwa kutry, jeden przy drugim, niemal burta w burtę, aż strach brał, że się trącimy. Czołg naszego dowódcy — dopiero teraz mogłem to zobaczyć — miał przynajmniej trzy wyrwy od pocisków przeciwpancernych, które pękły w środku. Bezwładna dłoń porucznika, porośnięta czarnym włosem i błyszcząca starym, srebrnym pierścionkiem, chwiała się o półtora metra ode mnie. Widziałem, jak serie kul z broni maszynowej przeciągają po naszych czołgach i w pewnej sekundzie aż się wzdrygnąłem: jakiś pocisk musiał uderzyć w tę wiszącą dłoń, bo silnie drgnęła i zaczęła gwałtownie krwawić. Powinienem był już skakać, ale... Przecież nie jesteście dziećmi, znacie ten moment decyzji... Dokoła wszystko świszczało od żelaza; wyjdziesz — podrze cię, podziobie, pokroi... A poza tym — płomienie... Z własnej woli zanurzyć się w ten zbiornik ognia? A jeżeli pociski lub też zapasy paliwa, zgromadzone w czołgu, wybuchną właśnie teraz?

— Dałbyś pan spokój... — usłyszałem w słuchawce. To mówił Biskupik. Był zdenerwowany; bał się o mnie. Ale to przekonanie, że cała moja załoga oczekuje, co zrobię, że jeśli się cofnę, to jedni odetchną z ulgą, a inni przemilczą to z wyrzutem — przyśpieszyło moją decyzję. Wyszarpnąłem wtyczkę telefonu, ostatnią nić, jaka łączyła mnie z załogą, po czym, nałożywszy maskę przeciwgazową, podciągnąłem się

w wieżycy, wciąż jeszcze osłonięty jej uniesioną klapą, do której dobijały się kule. Z gaśnicą w ręku przerzuciłem nogi na zewnątrz.

Obecnie należało skoczyć, ale ja popełniłem błąd: spojrzałem w dół, w szczelinę, między dwa pędzące czołgi, gdzie ziemia uciekała do tyłu jak transporter i gdzie przebierały obok siebie dwie pary gąsienic, szatkujących pastwisko.

— Spróbuj się ześliznąć! — myślałem.

Kręciło mi się w głowie. A jednak dałem susa. Poczułem najpierw gorąco na szyi, a potem uderzenie stóp o pancerz. Równocześnie mój własny czołg zaczął się z hukiem oddalać.

Odcięty od swoich i samotny, byłem już zdany tylko na siebie. Jednym ruchem podniosłem klapę włazu i — poganiany świstem pocisków — wepchnąłem się do środka.

Było tam ciemno od dymu i nie widziałem dosłownie nic. Orientowałem się jednak, że stoję na czyichś barkach i że ten ktoś osuwa się pode mną w dół. Był to zapewne Dwiżenko.

W tej chwili zobaczyłem przed sobą poczwórny, widelcowaty płomień. Ciało na rękach zapiekło mnie i poczułem, że odzież moja tli się jak hubka.

— Gaśnica! — poderwało mnie i już miałem ją puścić w ruch, kiedy przyszła na mnie odrobina zastanowienia: przecież to aparat typu RAW. Chlusnę i cóż — tetrachlor padnie na gorące żelazo, zacznie się wydzielać fosgen, gaz, jak wiadomo, trujący, i ja — zamiast ludzi ratować — wyduszę ich na śmierć! A masek przecież nie mają na twarzach i o nakładaniu mowy nie ma! Jak mogłem o tym nie pomyśleć! A bez gaśnicy — czy przedostanę się do przedziału kierowcy, gdzie taki ogień szaleje?

Drżałem, słyszycie? Drżałem i trząsłem się! Płomienie gryzły mnie i przypiekały, a tam, na przodzie, było jeszcze gorzej! Przeleciało mi przez głowę, że ja sam, pojedynczy i zdrowy, mógłbym wyskoczyć tą drogą, jaką tu wszedłem. Wylezę, spuszczę się z tyłu, poza czołgiem, zrobię „padnij" na trawę i — spokój... Załoga tego wozu jest i tak prawdopodobnie wymordowana odłamkami, jeden Dwiżenko rusza mi się pod stopą i jęczy. Mam dla nich płonąć i kancerować sobie mięśnie?

— Nie! Nie! — krzyczałem, aż okulary mojej maski pokryły się parą — Nie! — krzyczałem i równocześnie przedzierałem się do miejsca, gdzie było siedzenie kierowcy. Tuż obok otwierała się, jak paszcza, wyrwa od artyleryjskiego pocisku; dziura w pancerzu, poszarpanym jak skórka od chleba. Zacząłem grzebać dłońmi w jakichś mokrych szmatach — co to mogło być? Nie wiedziałem — i wreszcie udało mi się

odnaleźć ręczny lewarek gazu. Był, tak jak przypuszczałem, ustawiony na wycinku zębatym i w chwili śmierci szofera tak już pozostał. Przesunąłem go, a potem, człapiąc dłonią po martwej łydce kierowcy, domacałem się pedału hamulca i ręką wydusiłem go, ile mi sił starczyło. Przez cały czas wyłem, tak, wyłem, skowytałem, diabli wiedzą, jak określić to, co tam robiłem! Straszna rzecz, jak to boli, gdy skóra skwierczy ci i smaży się na żywym ciele!

Wykonawszy to, co najważniejsze, nie czekałem, aż czołg zatrzyma się całkowicie, tylko co rychlej odemknąłem właz przedni. Do środka nalało się powietrza, płomień strzyknął gorącej i żywiej. Jakąż miałem ochotę wyskoczyć pierwszy i zostawić tych tutaj swojemu losowi!

— Dwiżenko! — myślałem. — Jak ja cię nienawidzę, Dwiżenko! Jak ja cię nie cierpię! Ach, jak cię nie cierpię!

Wiedziałem, że on, Dwiżenko, nie zostawiłby nikogo, nawet gdyby istniała tylko jedna szansa na sto, że da się kogoś uratować. On, ten uparty Rosjanin, nie wyskoczyłby ani pierwszy, ani drugi, on wyskoczyłby ostatni! Za to go nie cierpiałem, za ten przykład, który był silniejszy ode mnie i któremu chciałem, ale nie mogłem się oprzeć! Pół głuchy, rozwścieczony bólem, niezbyt przytomny ze zmęczenia — bo spróbujcie wykonać w masce to wszystko, co ja tam wykonywałem — wlokłem jednego za drugim i przepychałem przez szczupły otwór włazu. O, to nie fraszka, jeśli masz do czynienia z bezwładnymi chłopami po sześćdziesiąt kilo wagi każdy! A było ich pięciu! Przy trzecim poczułem, że czołg cały się zatrząsł i jakby poruszył do tyłu. W skołowanej głowie zrodziła mi się nadzieja, że ktoś nas wziął na hol i wlecze do swoich. Ale była to nadzieja rzeczywiście bezsensowna, bo któż niby — w tej strasznej bitwie — miał to uczynić? W istocie dosięgnął nas jakiś cięższy pocisk, ale gdzie trafił? Nie umiem tego powiedzieć. W ogóle z tego ostatniego okresu akcji nic już nie pamiętam. Błąka mi się po głowie, że bolało, że chyba płakałem, i musiało tak być naprawdę, bo kiedy później zdjęto mi maskę, była zupełnie przemoczona — ale żebym miał coś powiedzieć dokładniej? Nie dam rady... Nie było we mnie już nic, tylko, proszę was, jedno pragnienie, aby już samemu znaleźć się tam, na dworze! Tam, gdzie nie ma ognia, a przed kulami chroni wielki kadłub mego własnego T-34.

Gdybym był przytomniejszy, to może zaniepokoiłyby mnie drgania, jakie musiały, powtarzam, musiały potrząsać ciałami pancerniaków, których wyrzucałem, że tak powiem, za drzwi. Ale na nic takiego nie zwróciłem uwagi. Jako z ostatnim załatwiłem się z Dwiżenką i sam raźnie wynurzyłem się z włazu.

I wtedy — ech, szlag mnie trafia! W ułamku sekundy zorientowałem się, że moja maszyna, ostrzeliwująca się zresztą gorączkowo, stoi nie przed nami, ale tak — bo ja wiem? — ze trzy metry na lewo, że wskutek tego przede mną otwiera się śliczny, wiosenny widok, daleki widok, i że w klatkę piersiową coś mnie dwa razy wali, jakby kto wziął i łup! łup! cegłą po piersiach!

Osunąłem się — na szczęście nie do środka, lecz na zewnątrz wozu — na jednego z ocalonych, leżących tam żołnierzy. I więcej do opowiedzenia nic już nie mam...

Biskupik upierał się potem, że to ja, zatrzymując czołg Dwiżenki, musiałem przesunąć któryś z drążków zwrotniczych i dzięki temu ustawiłem wehikuł krzywo, otworem do nieprzyjaciela. Głupie gadanie! Póki czołg znajdował się w ruchu, byłem jeszcze — jak się to mówi — w pełni władz umysłowych i wiem, że dotykałem tylko ręcznego lewarka gazu i hamulca. Niczego więcej! To Biskupik na pewno źle obliczył i fałszywie zajechał ze swoją maszyną.

Ludzie wyrzekali na niego: „Czort pełechaty, zawsze przyniesie nieszczęście!" Jak było, tak było — nieszczęście przyniósł rzeczywiście. Bo każdy z tych rannych, com ich tam, przez ten właz wysadzał, był naszpikowany — nie przesadzam — naszpikowany! kulami. Jakiś cekaemista przypiął się do nas i fastrygował każdego po kolei. Lekarz mi potem powiedział, po obejrzeniu zwłok, że tylko jeden kierowca poniósł śmierć w czołgu, gdzie wybuchły granaty pepanc. Inni, chociaż pokaleczeni, mogli się z tego wylizać, a już specjalnie Dwiżenko, który był zaledwie kontuzjowany. A tak? Ja jeden wyszedłem żywo i to tylko dlatego, że skakałem o własnych siłach, dość bystro...

Pechowy czy nie pechowy ten Biskupik, kto jego tam wie! Jedno muszę powiedzieć: kiedy się zorientował, co zaszło, miał oczy całkiem zapłakane i czerwone... Czuł się pewnie dość głupio, był przecież dobrym żołnierzem...

VII

— To do Biskupika podobne — przytaknął Knyszyn, gdy przebrzmiały ostatnie słowa pułkownika. — Biskupik był wrażliwy, faktycznie. Jak ja, na ten przykład, wróciłem z akcji na Cibulkę, to choć nie wiedział, co mnie męczy, poznał od razu, że mi ciężko, przyniósł pół litra z pieprzem i zajął się mną po ludzku...

Był już początek nocy. Woda przestała świecić, jakby ją przysypano mokrym kopciem. Przy główce, w tym miejscu, gdzie, jak wiedziałem,

znajdował się podwodny dół, głęboki na dwa metry, coś zachlupotało. Węgorz? Czyżby zaczął żerować, nie przejmując się obecnością ludzi? Z daleka dobiegało przeciągłe wołanie — to Wawrzyniec prosił nas na kolację. Nikt się jednakże nie poruszył. Ćmiliśmy gorzkie, zawilgłe papierosy, których bibułka rozłaziła się w wargach i wypluwaliśmy tytoń za łódkę. Knyszyn ciągnął dalej:

— Co mi zabiło klina, to ta Biskupikowa wojaczka. Za Niemca to ani paluszkiem o paluszek nie trzęchnął, skądże! A potem — patrzcie go, ochotnika! Do czołgów poszedł!

— Ciekawe, co? — droczył się z nim niewidzialny w ciemnościach Karbowski. — Pewnie mu się odmieniło. Odwagi nabrał! Co, towarzyszu? — A może mu nigdy nie brakowało? Hm? Jak wam się zdaje?

— Darujcie! — obruszył się Knyszyn. — Teraz każdy mądry, dziesięć lat po wszystkim! Powiedzcie bez osłonek: Knyszyn się na człowieku nie poznał! Możliwe. Ale ja też nie jestem Roentgen, na wylot nie widzę! Skąd miałem wiedzieć, że Biskupik taki gieroj? Kto chce jeść, tyłem do miski nie staje! Przecież go nie mogłem wlec do Gwardii na siłę!

— W żaden sposób! — wtrącił się do rozmowy Capiga. — A ty, Karbowszczak, nie zapominaj, że to była konspiracja i Knyszyn musiał bardzo uważać!

— A ja co, z tych nieuważnych? — zadrwił jawnie Karbowski. — Nieuważnego znaleźli. Dobre! No, to teraz ja wam opowiem bajeczkę. Zmarzliście? To nic, każdy się tutaj nagadał, dajcie i mnie! Lato przecież, do jasnej ciasnej! Nic sobie nie odmrozicie!

I jakby w chęci przypomnienia, że to lipiec, opryskał nas wiślaną wodą, śmiejąc się równocześnie na głos. Po tym żarcie, który wydał mi się dość niewybredny, zaczął swoją opowieść...

VIII

...O jedno was proszę: bez przerywania!... Jak coś będzie niejasne, to żeby mnie nikt nie trącał i nie prześmiewał! Ja taki już jestem, że łatwo się gubię. Wtrącicie słówko, a mnie już myśl uciekła! I jeszcze jedno: musicie zapomnieć o tym tu wszystkim... Że pułkownik, że pisarz, że dyrektor, a każdy na urlopie... Bo jak ciągle będziecie mieli w pamięci ten spokój, że śpi sobie bezpiecznie nasza Polska Ludowa i że tam, w tej wsi, skąd jest Capiga, założyli spółdzielnię produkcyjną, i że mój brat, Wawrzyniec, z pastucha wyszedł na sztygara, to mnie nie zrozumiecie... Ludziom złe szybko wylatuje z głowy, a tu trzeba się

cofnąć w niedobre czasy... Więc jak, zgoda? Nie ma tego całego spokoju — jest rok czterdziesty szósty, jesień. Wybory za pasem. Bandy chodzą jedna za drugą, gęsiego. Wciąż dzwoni telefon: tu kogoś s t u k l i, tam kogoś s t u k l i. Wszędzie strzelanina: nie przejedziesz drogą, żeby pustych łusek nie znaleźć...

Zapomnijcie także o tym łysiejącym facecie z nylonową szczęką, którego tu widzicie. Nie ma go, jest szeregowy pracownik U r z ę d u, młodzieniec w wieku lat dwudziestu siedmiu z wszystkimi częściami ciała na miejscu... Towarzysze z Warszawy się dziwią? A co, wyglądam na starszego, niżby z tego rachunku wynikało? W naszym zawodzie łatwo stracić młodość...

A więc — któryś tam powiat na Lubelszczyźnie, koniec września... Od miesiąca ciągniemy za „Malutkim"; dowcipne pseudo, co? Nie żaden „Waligóra", tylko skromnie — „Malutki". Czasem siedzimy mu na karku, przysiągłbyś, że go zaraz furmanką powieziemy do miasta, a on, widzisz! czmych! I już ci wsiąkł, tylko po folwarkach ziemia się rusza. Odkopiesz — ludzie jeszcze żywi, ledwie ich zdążył zasypać. Porobisz im sztuczne oddychanie, wygrzebiesz piasek z gardła, spirytusem poczęstujesz — i jazda dalej! Kiedy indziej, jak go dobrze w śrubsztak zakręcą — a chodziły na niego rozmaite oddziały, czasem po kilka naraz — to bandę rozpuści i rozpłynie się, jakbyś soli rzucił na ukrop! Wsie dokoła kułackie, w każdej go za pazuchę wezmą i utulą... A po tygodniu już „Malutki" na nogach i tańcuje! Powiat z naszych wypłukał; tylko ci ocaleli, co zdążyli do miasta, albo ci, których do Partii przyjmowaliśmy tajemnie. Taką sobie „Malutki" umyślił ordynację wyborczą...

Prócz niego kręciła się po terenie i drobniejsza ryba; „Malutki" nie był zazdrosny, każdemu drogę przecierał, byle ten chciał iść przeciw Partii. Któregoś wieczora nakryliśmy taką drugorzędną firmę, niejakiego „Pompiarza" — w lesie go tak nazwali, że niby dobrze krew z komuny pompuje. I rzeczywiście — pompował...

Pluton operacyjny zaskoczył go w kopyciarni. Sam „Pompiarz" się zastrzelił, a jego ludzi wybraliśmy gołą ręką.

I właściwie w tym miejscu zaczyna się moja bajeczka.

Zameldowałem się u swojego zwierzchnika i mówię:

— Obywatelu kapitanie, pozwólcie mi spróbować! Wezmę jeszcze kogoś i pójdziemy po cywilnemu, żeśmy niby od rozbitego „Pompiarza". Wszystko o nim wiemy, a nikt nas nie sypnie, bo cała szajka w worku. Damy nura między kułaków: niech prowadzą do „Malutkiego"! On przyjmuje takich rozbitków, może i nas weźmie. A wtedy tylko wyczekać chwili — i powiat odetchnie.

— A wiecie, co „Malutki" robi z takimi, jak ich wyniucha?

— Pies go jechał, ja tego drania dłużej nie ścierpię!

I stanęło na moim. Jako drugi miał pójść ze mną jeden z pracowników Urzędu, nazwiskiem Jasiczka, mężczyzna trzydziestoletni, który trafił do nas z Kielecczyzny drogą partyjną. Opinia, jaką mu wystawił jego własny sekretarz PPR, była wprost rewelacyjna. Jasiczka bawił u nas krótko, ale już w kilku akcjach zdążył się w y k a z a ć i przewidywaliśmy w nim rzeczywiście dobrego towarzysza. Do tego rodzaju przedsięwzięcia nadawał się tym bardziej, że chłopi go zupełnie nie znali i nikt go nie mógł wkopać. Ja sam też byłem stosunkowo czysty, gdyż operowałem dotychczas w północnych gminach powiatu, a tu, na południu, nie pokazywałem się ani razu.

Przebranie wzięliśmy ni to wojskowe, ni to chłopskie, jakie najczęściej spotykało się u bandytów; trochę w tym było z własnego, a trochę od „Pompiarza". Tylko bieliznę zmieniliśmy zupełnie, bo nasza — stemplowana — mogłaby komuś podpaść, i orzełki przypięliśmy z koronami. Dziwnie się czułem, wciągając watowane, radzieckie spodnie, które zdjąłem z „Pompiarzowego" zastępcy. Co się stało z ich prawowitym właścicielem? Przyszedł tutaj od Wołgi, kraj nam oswobodził i macie — doczekał się kułackiej podzięki!... W spodniach były kieszenie aż po kolana; do każdej wpuściłem po jednym granacie, ale nikt by tego na oko nie poznał, takie te portki były wielgachne i grube... Jeśli chodzi o broń, to od biedy można było wziąć pepeszki — trafiały się przecież i w bandach — ale woleliśmy na zimne dmuchać. Jasiczka wziął „stena", a ja dużą maszynę, tak zwanego „Sturm-MPi" na skróconą amunicję karabinową. A prócz tego — po krótkiej sztuce pod pachę, na rzemieniu. I poszliśmy.

Trzeba było tej nocy machnąć prawie dwadzieścia kilometrów do Zalepian, bo w tamtych stronach, jak podejrzewano, wypoczywał „Malutki". Noc była dobra do marszu — sucha i dosyć chłodna, a przy tym jasna. Dotarliśmy na miejsce niedługo po północku i wtedy — po raz pierwszy — poczuliśmy się nijako. Myślicie, że się tego wstydzę? Ani trochę! Więcej wam powiem: nie tylko żeśmy zaczęli iść na miękkich nogach, ale nawet przysiedliśmy, a tak, przycupnęliśmy sobie we wrzosach i rozglądamy się, wąchamy, głaszczemy te ziółka rękami... Teraz jeszcze z nas ludzie swobodni, zechce nam się — zawrócimy i hajda! do domu! A za godzinkę wszystko się zmieni; wejdziesz do wsi, to jakbyś sam włożył paluchy w młockarnię...

Mieliśmy ze sobą nazwiska paru zamożniejszych gospodarzy, u których czasem śmierdziało l a s e m, tylko że ich nikt za rękę nie chwy-

cił. Liczyliśmy, że jak nie jeden, to może drugi da nam kontakt z „Malutkim". Jednakże trudno ich było szukać po omacku. Dlatego też, dochodząc do wsi, skręciliśmy na pierwsze podwórko, jakie leżało przy drodze; tuśmy chcieli zasięgnąć bliższych informacji.

Trafiliśmy nienajlepiej, od razu to zrozumiałem. Podwórze było puste i wyschnięte, ani śladu gnojówki, w szopce cisza, koń kopytem nie stuknie, a powietrze zbyt czyste — gdzież ten gospodarski zapach nawozu? Na biedaka wleźliśmy, nie ma dwóch zdań! Ale że Jasiczka już się zaczął dobijać, a w chacie odezwały się jakieś szmery, zdecydowałem się tu zostać.

Otworzył nam — bez dłuższych sprzeciwów, co mnie zresztą zdziwiło — niski, zarośnięty chłopina, z prawą ręką na partackim, prymitywnym temblaku z gałgana zawiązanego na karku. Kończyna od łokcia w dół przypominała brudny pakunek, chłop nosił się z nim ostrożnie, omijając sprzęty z daleka i przy wszystkich czynnościach posługując się lewą ręką.

— Jazda, kudłaczu! — zawołał Jasiczka. — Budź swoją babę, pod kuchnią trzeba napalić! Nie widzisz, wojsko polskie przyszło w gościnę!

Rozsiedliśmy się przy stole pod oknem. Teraz należało zażądać śniadania, aby w niczym nie różnić się od tych, których mieliśmy naśladować. Zdawałem sobie z tego sprawę, ale nie mogłem dobyć głosu. Bez słowa przyglądałem się mokrej polepie, na której nie było ani śladu kurzego pomiotu, tak pospolitego w chłopskich kuchniach; patrzyłem na czarne fajerki, nie splamione tłuszczem Bóg wie od kiedy; na stół bez okruchów; na wiadro, zaledwie do połowy napełnione wodą, bo wyżej dziura... Wszystko, jak u moich rodziców...

Żona gospodarza, dziewczynka raczej niż kobieta, łamała susz i pchała go pod kuchnię, starając się nie oglądać w naszą stronę. Nikt się nie odzywał, ani my, ani oni — tylko w palenisku trzeszczało i sypało się w komin płonące igliwie.

— Wypadałoby pogawędzić — uśmiechnął się Jasiczka. Ma chłop nerwy, pomyślałem, ani mu głos nie zadrga! Potrafi numer odstawiać jak trzeba.

Tamtych dwoje milczało nadal.

— Zalepiany to tutaj? — rozpytywał ich obojętnie Jasiczka.

— Mogę ja odpowiadać? — wyjąkała cichutko dziewczyna i ujrzawszy przyzwalający gest Jasiczki, powiedziała: — Tak, panie, tutaj.

— Górne czy Dolne?

— Dolne.

— Wisznicki tu mieszka?

— Mieszka.

— Jak iść do niego?

— A drogą do szkoły. Wisznickiego dom pierwszy za szkołą.

— A Wzdręgę znacie?

Nagle kudłaty odepchnął żonę ramieniem i podszedł do nas, zgarbiony, drżący. Patrzyłem mu w twarz, kryjąc litość. Nie był stary, a przecież brodę miał pod nosem, jak u bezzębnych. Kiedy otworzył usta, zobaczyłem, że dziąsła są istotnie nagie.

— Po co to wszystko? — krzyknął w głos. — Niech panowie nie udawają! Czemu chodzić kręto, jak można prosto? Przecie i ja wiem, i wy wiecie! Róbcie amen bez tych pacierzy!

— Ciii... Ciii... — prosiła kobieta, płacząc i sięgając mu palcami do twarzy. Kudłaty krzyczał niewyraźnie, kręcąc głową, aby się uwolnić z uchwytu:

— Co miesiąc będziecie sądzić? Panowie! Panowie! I zawsze tak samo, od początku? „Wisznickiego znasz? Znam. A Wzdręgę znasz? Znam. A mówili ci, co masz pisać? Mówili...“ Przecież ja się, proszych wielmożnych panów, niczego nie zapieram! Dałem na referendum trzy tak i już mnie za to sądzili! Zapytajcie się, panowie, tego wojska polskiego, co u mnie było! Sądzili! Przecie nie można dwa razy karać za jedno! Nie można, co? A zresztą — ja pokażę! Proszę, bardzo proszę, ja pokażę!...

I korzystając z tego, żeśmy obaj tkwili na swoich miejscach nieruchomo jak kołki, przerażeni i niezdolni powiedzieć cośkolwiek, wyrwał swoją okaleczoną rękę z temblaka i zaczął na niej gorączkowo szarpać gałgany.

— Ciii... Ciii... — płakała kobieta, ale on jej nie słuchał.

— Ja pokażę!... — krzyczał.

Chlapnęła na stół jedna, potem druga zakrwawiona szmata. Chłop targał już resztki przywartego do rany opatrunku. Przestał krzyczeć, twarz mu się wykręciła od bólu, lecz nie puścił. Ujrzeliśmy zapiekłe mięso, z którego sączyły się ciemne krople; poczuliśmy woń materii. Czerniał przed nami dziwny kikut — lecz jeśli to była ręka, to cóż się stało z dłonią?

Podniosłem na niego oczy, pytając — niemo — co to znaczy, on zaś ciągnął:

— Już tu byli sędziowie przed wami! Byli. Szybciej się widać dowiedzieli!

— Kto? — szepnąłem, bojąc się, że jeżeli powiem coś więcej, gardło mi nie wytrzyma.

Chłop, już spokojniejszy lub może tylko zmęczony, zniżył nieco głos:

— Sami panowie widzą... Papierka nie dali, ale tu — tu jest zaświadczenie...

— Kto? — powtórzyłem.

— Wojsko pana komendanta „Malutkiego". — objaśnił kudłaty i zaraz się zaniepokoił: — A może panowie myślą, że ja kosą? Albo też sierpem? Przy robocie? Nie, proszę zapytać na wsi: to właśnie jest ta kara... „Prawą ręką wrzucałeś kartkę?" pyta się mnie pan komendant. „Ano, prawą" mówię. „To kładź na pieńku". Tak było, świadczę się panem Bogiem!

— Do lekarza by z tym trzeba... — mruknąłem w stronę kobiety. — Gnije... Gangrena...

Jasiczka zerknął ku mnie karcąco. Wypadałem z roli! Przed „Malutkim" — nie ulegało wątpliwości — potrafiłbym się utrzymać. Ale ja nie znajdowałem się jeszcze pośród wrogów; tu byli moi najbliżsi, ludzie, których krzywdzono! I ten kudłaty musiał odczuć mój nastrój lub wyczytać go z jakiegoś spojrzenia, bo gdyśmy — nieco później — opuszczali jego chałupkę, zatrzymał mnie na progu:

— Panie — wyszeptał mi w samo ucho, bojąc się zapewne Jasiczki. — Przecieście chłop jak ja... Ręce macie spracowane. Po co chodzicie?...

Ach, gdybym mógł, gdyby mi wolno było odpowiedzieć!

Wisznicki, którego dom odnaleźliśmy przed świtem, wyszedł do nas nie od razu, a dopiero po jakimś kwadransie, lecz za to już kompletnie ubrany i obuty. W świetle lampy, którą nam zostawiła służąca, mogliśmy mu się przypatrzyć do woli. Był to człowiek w podeszłym wieku, raczej szlachetka niż kułak, o twarzy jakby ze starego rzemienia, popękanej i ciemnej. Nie spuszczając nas z oczu, sięgnął za lustro po blaszaną pochewkę i wydobył z niej niewielkie cwikiery, które później na przemian to wkładał, to bez wyraźnej potrzeby zdejmował.

Nowinę o rozbiciu „Pompiarza" przyjął powściągliwie: cóż, nie jego sprawa. On ani za, ani przeciw. Kto ma gospodarstwo na głowie, za politykę się nie chwyta; są do niej ludzie osobni. A jeśli chodzi o „Malutkiego", to owszem, chodzą plotki, że taki człowiek istnieje, ale gdzie go szukać? Może ci wiedzą, co z nim kombinują, lecz zwykłym rolnikom nic po nim...

— Jeżeli panowie mają chęć się pożywić — nadmienił — to proszę, znajdzie się... Ja każdego z miłą chęcią ugoszczę i to bez żadnej różnicy, dla mnie każdy jeden — bliźni... Chleba i mleka jeszczem nikomu nie odmówił!...

— A dalej co? — zapytałem, patrząc na niego z głuchym gniewem; takiemu w zęby nie zajrzysz, mocno gębę zamyka! Ale jak „kudłatego" bandzie sprzedawał, to wtedy język miał dobrze naoliwiony, wtedy mu się nic nie zacięło!

— Jeśli panowie zmęczeni — mówił dalej Wisznicki — to też przecie na drogę nie wypędzam. Niejeden już u mnie wypoczywał. I z tych, i z tamtych, wiadomo, jak dzisiaj... A czy pościelić w łóżku, czy w stodole, to już jak panowie wolą, wedle uznania... Ale co dalej, tego już nie wiem... Panowie żeście beze mnie zaprzęgali, to i beze mnie musicie furmanić...

— Do stodoły! — rozkazałem, bo już dzień się przecierał i lada chwila wszystko we wsi mogło się ruszyć.

Przesiedzieliśmy ten dzionek zagrzebani w słomie i — trzeba rzec — nieźle przez Wisznickiego tuczeni, nawet butelkę samogonu nam podrzucił, słabego, ale z miodem. Sytuacja była nijaka, ani wóz, ani przewóz, dlatego też z niepokojem patrzyliśmy wieczora. Mogło wyjść rozmaicie, nawet i tak, że nas „Malutki" wywlecze i każe pod szopą rozstrzelać, a to w razie, gdyby Wisznicki w czymś się połapał. Nie było jednak wykluczone, że dostaniemy kontakt, o który nam chodziło. W ciągu dnia wiadomość o rozbiciu „Pompiarza" musiała dotrzeć do Zalepian i napełnić Wisznickiego większą ufnością. Czas mi się dłużył i co chwila łapałem się na niecnych myślach; najczęstszą z nich była chęć ucieczki. Przecież nic się jeszcze nie zaczęło, mogliśmy wyjść, poprosić we wsi o podwodę i równiutko pojechać do powiatu! A już później, to cholera wie, co się stanie...

Z nadejściem nocy, gdy zrobiło się już całkiem ciemno, Wisznicki zabrał nas do siebie na kolację. O „Malutkim" dalej nie chciał słuchać, ale czułem, że jeśli ma się coś w ogóle wydarzyć, to wydarzy się właśnie teraz. Wieczerzaliśmy we trzech i dopiero, gdyśmy łamali ostatnie kosteczki koguta, przyszedł ten czwarty. Słowo daję, nigdybym nie pomyślał, że to ktoś z siatki. Gębę miał długą, chorowitą i cały się trzymał jak Łazarz, po prostu — jedna bida. Tylko oczy skakały mu niby pchły: nie spostrzeżesz się, że je masz na sobie, póki cię nie zaswędzi.

— Pochwalony, panie Wisznicki — odezwał się, zamykając drzwi troskliwie. — Przychodzę względem tej kosiarki, coś pan targował... Ale widzę, że u pana goście, to może kiedy indziej?...

— Goście nie goście — westchnął Wisznicki. — Ot, ludzie. Ani ich znam, ani pytam; ale do stołu każdego zaproszę.

Przybyły nagabywał nas z głupia frant:

— Panowie żołnierze? A z jakiego to pułku, bo teraz się wszystko pozmieniało, nie poznasz... Dawniej, na przykład, cytrynowy otoczek — wiadomo, że kanarki... A piechociniec chodził z granatowym...

Wisznicki odżegnywał się od wszystkiego:

— I ja nie wiem, i panu na co? Nasza sprawa — kosiarkę kupić albo nie kupić... W ogólności — gospodarkę rozwijać... A ile cenią?...

— Tak jak pozawczoraj.

— To proszę poczekać, polecę do Wzdręgi. Sam przecie nie będę kupował!

I poszedł. Grę prowadzili popisowo, musiałem to w duchu ocenić. Wyda się, żeśmy z Bezpieczeństwa? Mój Boże, na Wisznickim ani pyłka się nikt nie doszuka! O niczym nie wiedział, lojalny obywatel! A jeżeli z „Pompiarzem" nie bujda, to przecież nas bez pomocy nie pozostawia: ściągnął nam kogo trzeba!

Nadeszła decydująca chwila. Gdybyśmy jeszcze chcieli się wykręcić, był na to najwyższy czas. Wystarczyło poprowadzić rozmowę nieznacząco, chociażby o wykopkach. I tamten z pewnością pierwszy by nie wyskoczył. Pogadaliśmy, później: cześć! do widziska! i rozchodzimy się w obopólnej zgodzie. Ale jeżeli padną jakiekolwiek słowa, dotyczące bandy, to już odtąd zacznie się inna zabawa. Odtąd będziemy w posiadaniu n i t k i. I wówczas już nam nie pozwolą pożegnać się i odejść, nie, kto coś wie, musi zostać!

Spojrzałem na Jasiczkę. Bądź co bądź, był to jego egzamin. Co innego jest atakować w tyralierze, a co innego, gdy cię wpuszczają jak rybkę do jeziora; rybka ma w grzbiecie haczyk, ale to raczej sprawa okonia niż rybki — jej ten haczyk niewiele pomoże... Widzieliśmy zeszłej nocy, jak „Malutki" karze za grzechy i to za jakie! Trzy razy tak w referendum! No, łatwo sobie wystawić, co by też przyszykował dla nas! Ale Jasiczka nie dawał nic poznać po sobie; łamał pudełko od zapałek i patyczkami czyścił sobie uzębienie, a minę miał zwyczajną.

Ruszyłem w kłusa:

— „Pompiarz" rozbity. Wczoraj wieczorem go dostali.

— A podobno. Pukaninę słyszeliśmy i u nas.

— Wszystkich mają, tylko nas dwóch zostało.

— A ilu było? — zaczepił mnie „Łazarz" niby to obojętnie, ale wiedziałem, że zna stan liczebny oddziału.

— Osiemnastu.

— Aha — kiwnął głową; zgadzało mu się. Zaczął obu dłońmi rozcierać kolano jak człowiek dotknięty bólem stawów, równocześnie zaś wypytywał nas o resztę. Bez ciekawości, lecz dokładnie. Po jakiejś go-

dzince, w czasie której sam farby nie puścił ani tyci, ale z nas wybrał, ile mu tam było potrzeba, podniósł się do odejścia.

— Tak... Taak... — przeciągał na pożegnanie. — Ja jestem zwykły człowiek, nic wam nie doradzę... Czasem tu do wsi przychodzą partyzanci... Gdyby mnie spotkali, to im powiem... U Wisznickiego jeszcze pobędziecie? To w razie czego tu bym ich przysłał... Ale mówię, że chyba wypadkiem, bo ja nie politykuję, a więcej tak... handelkiem...

Spędziliśmy na słomie trzy głupie doby. Nareszcie któregoś wieczora zajechała furmanka z obcym dziadygą na koźle i zabrała nas w drogę. Stary jechał klucząc i wykręcając, prawdopodobnie w tym celu, aby nas trochę omamić. Nagle furmankę zatrzymali uzbrojeni ludzie i znaleźliśmy się wśród żołnierzy pana „Malutkiego".

Przewidywaliśmy, że — przynajmniej na początek — odbiorą nam automaty, któż bowiem wpuści do oddziału obcych z bronią? Gdy jednak wyszperali także i pistolety, ukryte pod pachą, poczułem się fatalnie. Ten, kto dowodził ubezpieczeniem, uspokajał nas beznamiętnie. Wedle jego słów komendant miał z nami pogawędzić osobiście i — jeśliby nas przyjął — broń zwróconoby nam niezwłocznie. Pocieszała mnie tylko myśl o granatach, które wymknęły się uwadze rewidentów. Klepnęli mnie wprawdzie po biodrach, nie przyszło im jednak do głowy, że ktoś może mieć kieszenie do kolan.

Ruszyliśmy na ukos przez ciemny sadek. Z przodu i z tyłu dochodził mnie chrzęst łopuchów, rozrywanych butami, a także mozolne ćmakanie; warta nie skąpiła sobie owocu. U wejścia do sieni jakiś głos odezwał się ostrzegawczo:

— Kończyć żarcie!

I zaraz potem ktoś wypluł niedojedzone szczątki jabłka. W ciemnym korytarzyku znalazłem się tuż obok Jasiczki, potknąłem się nawet o jego obcas i musiałem chwycić go za ramię. Wydawało mi się, że drży. Nie znałem go jeszcze, nie wiedziałem, jak mu pomóc — milczeniem czy słowem; ale bardzo chciałem, aby czuł, że jestem z nim, że jesteśmy we dwóch, że tego nam nikt nie weźmie.

Dlatego przeciągnąłem trochę ten uścisk, lecz Jasiczka odtrącił mnie niezdarnie, jakby zły, że mu się mieszam do jego strachu. Kto go tam przejrzy, może się nawet poczuł dotknięty? Ludzie r ó ż n i e s i ę b o j ą, niektórzy mogą dać temu radę tylko sam na sam ze sobą...

I oto stanęliśmy przed „Malutkim". Rysopis jego, powtarzany przez wiele ust, nie obcy był żadnemu z ubowców; każdy mógł wyrecytować z pamięci, że „Malutki" jest więcej niż średniego wzrostu, że ma bladoniebieskie oczy i jest łysiejącym blondynem. Ale przy zetknięciu oso-

bistym inne szczegóły zwróciły moją uwagę, ot, choćby obuwie... Co za oficerska przekora! Najpierw bierze się chamskie, piechociarskie kamaszki z żelaznymi haczykami i tęgą podkówką w obcasie, zwykłe buty, w jakich każdy żołnierz telepie się po polach. A potem sadza się przy nich jakiegoś Jasia i — liż, bracie! Mleczkiem przemywaj! Zapuszczaj angielską pomadką! Poleruj szalikiem! Szczotkuj! — aż wyprawisz je mięciutko, na nylon! Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że „Malutki" ma na nogach nie buty, lecz rękawiczki: każde drgnięcie jego kostki widziałem poprzez skórę!

Ubiór „komendanta" składał się z tak zwanego „battle-dressa", angielskiego munduru z grubej wełny, skrojonego suto i luźno. „Malutki" wyglądał w nim okazale, powiedziałbyś — fest chłop! A naprawdę to był cherlak, nie z kości, a z kosteczek. Zdradzały to rączuchny, sterczące z mankietów i cienka szyja, której nie mógł przecież schować w kołnierzu. Twarz miał przykrą, ale nie była to twarz brutala, raczej nerwusa; cienkie skronie, białe wargi, ruchliwa skóra na czole, a we wszystkim jakiś szczególny wyraz, jakby „Malutki" obnosił się z tym, że jest kapryśny i niesprawiedliwy. Zechce, to skrzywdzi — no i co z tego? Powiecie, że ma ludzi za nic? A ma! Któż mu zabroni? Trudno, taki już jest — inny i niemoralny!

Byliśmy przygotowani na dalsze śledztwo, ale spotkała nas niespodzianka — „Malutki" miał widać zaufanie do swojej siatki. Przyjął nas w asyście dwóch oficerów: jednego bydlaka i jednego z gatunku „pies — przyjaciel człowieka". Ten, jeśli oceniać na wygląd, musiał być najwierniejszy ze wszystkich.

— Dać im jeść i pić! Trochę wódki pozwalam! — rozkazał „Malutki" temu wiernemu i przyjrzawszy się nam, dorzucił: — Można podać tutaj.

Po minie tamtego poznałem, że spotyka nas wyróżnienie; zapewne „Malutki" na codzień brzydził się widokiem jedzących.

— Jakeście zwiali? — pytał, krzywo uśmiechnięty, kręcąc czarną stopą w powietrzu. — Byliście na babach, co? Jakie tam baby, w tamtej okolicy? Przyznajcie się! Warto chłopców poprowadzić?

— Melduję posłusznie, że staliśmy wtedy na czujce.

— Fajne czujki miał ten „Pompiarz"! — trącił „Malutki" drugiego ze swych oficerów. — Obławę przepuszczą, a sami w nogi! Pamiętaj, żebyś ich nigdy na wartę nie dawał!

— Melduję posłusznie, że obława przyszła z drugiej strony — wyjaśniłem tak, jak to było między nami ustalone.

Ni z tego ni z owego wmieszał się do rozmowy Jasiczka:

— A obławy, to żeśmy i tak nie mogli usłyszeć; za dużo było hałasu.

— Hałasu? — podejrzliwie powtórzył „Malutki".

— Tak jest — odparł tamten, nabierając śmiałości. I ciągnął dalej z dziwacznym, słonym uśmiechem: — Musi być hałas, jak cały naród bidę klepie!

„Malutkiemu" to przypadło do gustu, więc rzekł łaskawie:

— Starczy tej służby. Widzę, żeście wyrobieni; pogadamy na siedząco.

Ale po jego oczach odgadłem, że powinniśmy jeszcze na coś zaczekać. I tak było w rzeczywistości, bo ledwie Jasiczka ruszył w stronę krzesła. „Malutki" zmarszczył się i krzyknął:

— A wy co, lunatyk? Było „spocznij"?

I dopiero po chwili, gwałtownie się rozpogodziwszy, pozwolił nam „rozejść się" i naprawdę posiadać. Zajęliśmy miejsca przy plecionym stoliku z półeczką na wysokości kolan, bardzo niewygodną dla siedzących. „Malutki", którego teraz miałem naprzeciw siebie, odsunął bibułkowe kwiatki ze środka i palcem wskazał nam kolację. Musiałem się do niej przymuszać. Żaden kąsek nie chciał mi sam przejść przez gardło i to nie ze strachu, gdyż strach mi już minął, lecz z obrzydzenia. Byłem w jednym pokoju z „Malutkim"! Jadłem z tych samych kułackich fajansów co on! Piłem wódkę zrabowaną przez niego z gminnych gorzelni! On zaś uważał mnie za jednego ze swoich! To nie było łatwe do zniesienia!... I pomyśleć, że ten człowieczek zabawiał się w chirurga, rżnął powiat na poprzek i wzdłuż, paluchami gmerał w narodzie! Kto mu dał prawo sądzić i karać? Czy w ogóle można otrzymać od kogoś prawo grzebania ludzi na żywo i palenia w benzynie? A co, czy on dał ludziom ręce, że je potem odrąbywał na pieńku? Ej, „Malutki", „Malutki", doczekasz ty się momentu! Wtedy my ciebie cap! — i na furkę! I dawaj! — do Urzędu! Niech cię osądzi ten naród, coś go szlachtował i wędził!

Tymczasem pokój zwolna się wypełniał, schodzili się ludzie rozmaitych stopni i najprzeróżniej odziani. Ten i ów zdawał raport z dokonanego dzieła. W powietrzu dźwięczało sakramentalne słowo: „wycior" — „dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści wyciorów..." Kładziono przed „Malutkim" — obok naszych talerzy, tuż przy glinianej masielniczce — książeczki Samopomocy Chłopskiej i inne. Tylko partyjnych tam nie było; z tymi, co je posiadali, „Malutki" załatwił się już wcześniej, a kogo nie zdążył przydybać, ten już się miał na baczności, sypiał w brogach i żył nielegalnie... A ja przez cały czas, słysząc te raporty i patrząc na te gesty, musiałem się uśmiechać, przyjmować papierosy, podawać ognia, odpowiadać żartami na żarty!

Raz i drugi zerknąłem na Jasiczkę, ażeby sprawdzić, jak się trzyma i — prawdę mówiąc — nie posiadałem się z podziwu. Ależ aktor był z niego, u licha! Jak się to rozsiadał coraz wygodniej, jak dowcipami faszerował rozmowę, tu przystrzygł, tam zaklepał, jak się to farbował na „ichniego", aż czasem rzygać mi się chciało od tych jasełek! Po cóż ciągnął do bandyckich bruderszaftów i cmokań? Po diabła te strumienie antysowieckich kawałów? Jakby mu nie starczało, że go wzięli, że tu był i mógł o p e r o w a ć! Przecież nie przyszedł w kumy! Był na froncie! Zadanie wybraliśmy sobie przykre, lecz nie aż takie! A już niektórych zagrań mógł sobie doprawdy oszczędzić! „Podsuną bolszewikowi spluwaczkę z prawej strony, a on tfu! na lewo. Podsuną mu z lewej, a on chlap! na prawą i krzyczy: zbierajcie się, chaziajny, z tym talerzykiem, bo wam jeszcze do niego napluję!" I tak dalej, i końca temu nie widać...

Nagle poczułem, że drętwieją mi czubki palców. Działo się tak ze mną zawsze, gdy zaczynało być k r u c h o. Wstrzymując oddech słuchałem, jak brnie dalej i to już nie po kostki, lecz po kolana, po pas!

— Idiota był z tego „Pompiarza"! — mówił, wyczerpawszy zapas anegdot i wróciwszy do tematyki bieżącej. — Idiota! Skakał jak wesz na grzebieniu i doskakał się! Któż tak robi? Płotki tuzinami nicował, a szczupaka, szczupaka dureń, przeoczył! Przecież „Pompiarza" zasypali, donieśli na niego, że jest w kopyciarni! A co, z deszczem spadła bezpieka? Heh! Robotnicy biedę na niego ściągnęli!

„Malutki" zmrużył powieki.

— Co za robotnicy?

— Ano, zwyczajni; w kopyciarni jest kółeczko PPR, tyle, że tajne. Z takim siwym na kierownictwie. Antosiak? Andrusiak? To zresztą można zbadać...

Nie odrywałem oczu od Jasiczki. Czy ten facet z byka spadł? Co on plecie! Upił się! Uchlał! Przecież ludzi, naszych ludzi wydaje! Andrusikiewicza! Pamiętałem go, jak się zgłaszał, więcej niż miesiąc temu. Powiat się palił, ściągaliśmy posterunki milicji do miasta, opróżnialiśmy gminy — taki był terror, taka była i c h siła! A tu nocą przychodzi do Komitetu robociarz, cały w wiórach i kleju, dziura na nim przy dziurze, głodomór, co to w dzbanku gotuje, a kijem krasi! Byłem przy tym, Słyszałem... „Do waszej Partii weźmiecie?" powiada. — „A nie straszno? Teraz nasi krwią ociekają, miejsca dla nich nie ma, chyba w grobach, co już przez bandy pokopane!" ostrzega go sekretarz. A ten mu: „Trudno, ja już dalej nie będę. Biednej Polski mam dosyć, budować bym chciał bogatą!" I przyjęli go nocą, jak w okupację. I poszedł — bandy nie bandy — własną Polskę sposobić! A teraz Jasiczka go wywleka?

Czy mu się co pomyliło? Czy myśli, że Andrusikiewicz wyjechał z plutonem do miasta? Ale nie, wyjechać nie mógł i nie zechciałby! Swoich odstąpić?...

Wpatrywałem się więc w twarz Jasiczki, czekając, że oczy ku mnie obróci i będę go mógł zastopować! Ale on siedział sobie dalej, opierając się ramieniem i łokciem na poręczy krzesła i gawędził z „komendantem" — pogodny i z pozoru bynajmniej nie podchmielony. W dłoni trzymał pusty kieliszek, którym bezmyślnie się bawił; to go obejrzy pod światło, to język do niego wsadzi i szpera po dnie, to z klaśnięciem ten swój czerwony jęzor wyciągnie i postawi sobie szkiełko na łokciu...

Kopnąłem go pod stołem i przeraziłem się: Jasiczka w odpowiedzi na mój znak podciągnął się na siedzeniu, zajrzał pod stolik, jakby szukając tam psa czy kota; wreszcie zrozumiawszy, zwrócił się wprost do mnie:

— A ty czego wierzgasz, kolego? Przecie my między swoimi! A nasz nowy komendant powinien chyba wszystko wiedzieć, prawda? Nieładnie, kiedy żołnierz ma sekrety przed dowódcą!

Zrobiło się cicho i ja podczas tej ciszy nagle przejrzałem na oba oczy! Jakiż był ze mnie tępak, że nie pojąłem tego wcześniej! Przecież Jasiczka się z nimi d o g a d y w a ł! Sprzedawał mnie i wszystkich towarzyszy! Nie starczało mi czasu na domysły, dlaczego tak postępował. Czy górę wziął w nim strach przed zemstą „Malutkiego", gdybyśmy zostali zdemaskowani? Czy chciał w ten sposób wypłynąć, odpychając się od moich pleców? Raczej nie, na tchórza nie wyglądał. Bardziej było prawdopodobne, że od razu przyszedł do Urzędu jako podrzutek i od początku szukał znajomości z „Malutkim". Może miał związać jakieś nitki kieleckie z tymi tutaj, na Lubelszczyźnie? Jedno wydawało mi się niewątpliwe: że jeśli ja mu nie przeszkodzę, nikt tego nie uczyni. Jasiczka wróci do Urzędu, powie, że wypad się nie powiódł, że zginąłem w walce, a jemu udało się uciec — i zostanie tam, pośród moich przyjaciół, jak trutka! Będzie handlował adresami chłopów w powiecie, będzie węszył niby drugi nos „Malutkiego", aż raz uczęstuje leśnych prawdziwym deserem... Wtedy przyjdą do miasta, gdzie Jasiczka im nakryje do stołu, przyjdą w czasie, gdy Bezpieczeństwo wyruszy na jakąś akcję i spustoszą wszystko, co będzie do spustoszenia! Przecież będą mieli swojego w Urzędzie!

Wstałem, dając wstydliwie do zrozumienia, że idę za potrzebą, ale „Malutki" też nie był frajer.

— Stań przy drzwiach! — polecił „wiernemu", po czym zwrócił się

do mnie: — Na razie nigdzie nie pójdziecie... Siusiu zaczeka... A wy — zachęcił Jasiczkę — mówcie, nie przeszkadzajcie sobie.

I ten wrócił do porzuconego tematu, nic sobie nie robiąc z czujnego milczenia, które otoczyło nas ze wszech stron. Głos jego brzmiał nadal kokietliwie i z ust mu nie schodził uśmieszek, przeznaczony dla mnie! Niech się Karbowski nacierpi, niech z przerażenia się zleje, niech czeka — już? Czy jeszcze trochę? Powie czy nie powie?...

Chwilami Jasiczka przyglądał mi się przez pochylony kieliszek jak przez lunetę i zadawał mi retoryczne pytania: — „A ty co na to?" lub też: „Prawda, kochany?" — nie żądając zresztą odpowiedzi.

Siedziałem bez ruchu, przyciśnięty piersią do stolika, z rękoma w kieszeniach i uśmiechem jołopa na twarzy. Niech myślą, że już d o c h o d z ę jak kasza w poduszce; a co mi! Ja mam inne kłopoty na głowie... Pokoik — ciupka, ludzi w nim ośmiu. Najważniejsi obsiedli stolik, są tuż; ich głowy znajdują się w promieniu najwyżej metra ode mnie. Ta bliskość chyba wystarczy? Żaden z nich teraz nie pali, to dobrze. Jeszcze lepiej, że któryś z tych, co siedzą w kącie, zakurzył przed sekundą skręta. Dzięki Bogu, że właśnie on, a nie na przykład „wierny", bo do drzwi podejść mi nie dadzą... Zezuję w dół i widzę, że mój papieros przestał dymić... Odczekawszy — na wszelki wypadek — jeszcze chwilkę, ostrożnie wciągam powietrze. W porządeczku, dymu nie ma. Papieros mi zgasł.

W obu dłoniach trzymam od dawna po granacie. Nagrzały się już niby jajka. Są to ciężkie, angielskie „millsy", granaty obronne. Wiem, że rwą się jak czorty, a tu przestrzeń przecież malutka! Opuszkami palców gładzę ich skorupy, nacinane jak tabliczki czekolady. Dotykam zapalników, czy aby się nie odkręciły, ale nie — siedzą. Jasiczka przede mną merda i przymila się, a ja w tym czasie zaciskam druty zawleczek, rozchylone na kształt widełek. Z prawym obeszło się bez kłopotu, lecz drugi mnie denerwuje. Palce lewej ręki mam słabsze, a drut tęgi, nie chce ustąpić. Ścisnę go czy nie ścisnę? Uch, na koniec! A już mogła być bieda! Teraz pozostaje mi jedynie przycisnąć granaty nogami do krzesła i równocześnie wyjąć zawleczki. Da się to przeprowadzić bez trudu, nie ruszając nawet łokciami: zawleczki wyjdą łatwo, to prostsze niż czynność poprzednia... Bylem wyszarpnął je równo, w tym samym czasie...

Reszta mojego planu jest nieskomplikowana. Wszyscy patrzą mi w oczy; nad stołem widać zresztą tylko moje popiersie. To, co zrobię pod stołem, ma szanse ujść ich uwagi. Pod warunkiem, rzecz jasna, że się niczym nie zdradzę, że dalej będę miał ten głupi wyraz na gębie i że się nie poruszę zbyt gwałtownie... Mam wyrwać zawleczki, wolnym

ruchem przełożyć granaty na półeczkę pod stołem i podnieść się, niby to w zamiarze przypalenia od żołnierza w kącie. Gdybym chciał pójść ku drzwiom, może by się i ktoś poderwał, lecz mój spacerek w przeciwną stronę nie powinien obudzić podejrzeń. Na wszystko będę miał trzy sekundy czasu. Starczą. Oczywista, że w kącie będę nie o wiele bezpieczniejszy, niźli tutaj. Możliwe, że granaty wszystkich nas roztrzepią jak zsiadłe mleko... Zawsze to jednak parę kroków dalej, za plecami „bydlaka", no i bądź co bądź, można ustawić się tyłem. Najprzykrzejsze są rany brzucha...

Pilnując, aby nie zaświecić jakoś specjalnie oczyma, rozglądam się po raz ostatni po twarzach... Ryzyk-fizyk! I wyciągam zawleczki.

Reszta, którą opowiem — być może — w sposób rozwlekły, bo inaczej nie umiem, rozegrała się w ciągu wspomnianych trzech sekund.

A więc — wyciągnąłem zawleczki i już miałem wyjąć granaty ze spodni, gdy nagle „Malutki", przerzuciwszy się niemal nad stolikiem, wrzasnął ku mnie:

— Ręce na stół!

Przepadło. Szkoda już było nawet marzyć o wpychaniu granatów na półkę. Zauważyliby! „Komendant" pierwszy dałby nura w okno! A zatem? Miałem jeszcze tę krzynę czasu, jakiej wymagałoby rzucenie granatów na dwór, ot tak, przez szybę... Ale ja zobaczyłem przed sobą Andrusikiewicza, który chciał budować „Polskę bogatą"... „Kudłatego", który pokornie pozwolił sobie odrąbać dłoń... Tysiące innych twarzy z odciskami obcasa na czole, z dziurami zamiast oczu...

Rozwarłem palce. Poczułem lekkie szarpnięcie w pasie: to granaty osunęły się na dno kieszeni.

I tak jak „Malutki" mi kazał, położyłem ręce na stole...

IX

— A co było dalej? — wyszeptał Knyszyn.

Otaczała nas wodna cisza, pełna chlupotu i szmeru. Słyszeliśmy też nikłe, jedwabne trzepotanie: to ćmy dobijały się do wozowej lampy, z którą przyszedł nad Wisłę Wawrzyniec. Było ich coraz więcej; cień ich szmacianych skrzydeł, dziwacznie powielony, dygotał na piasku...

— Co było dalej? — powtórzył Karbowski — Ano, wiadomo, powiat odetchnął.

I zaczął zbierać swoje tonkinowe wędziska, podbieraki i wypychacze — sprzęt, który nam tego dnia służył przy połowie szczupaków. Potem ujął wyciągniętą rękę Wawrzyńca i ostrożnie wyładował z łodzi

najpierw lewą, później prawą protezę. Stanąwszy na trwałym gruncie, poprawił na nich nogawki i opryskliwie rzucił:

— Jazda, ryby nam się na nic wysuszą! Idziemy!

Szliśmy, milcząc, przez ciemne wikliny, za lampą, która wskazywała nam drogę. Pękały pod naszymi stopami suche tataraki i mlaskało parciejące błoto. Po wyjściu z krzaków zrównaliśmy się z Karbowskim i jego bratem.

— Słuchajcie — odezwałem się nieśmiało. — Ale przecież... Może mi się przywidziało... Myślałem, że to będzie miało związek z tym — pechowym... Jak mu tam? Z Biskupikiem...

— No i miało! — prychnął Karbowski, nie wiedzieć czemu wściekły. — Pamiętacie, co mówiłem o tej opinii, którą Jasiczce wystawili, jak szedł do UB? Jaka to była rewelacyjna opinia?... Zwróciliśmy się, gdzie trzeba, o sprawdzenie, kto ją pisał. Ale wiadomość przyszła nieciekawa. Opinię wystawił sekretarz powiatowy, towarzysz godny zaufania, zasłużony oficer II Armii... Może pochopny, ale uczciwy... A ten towarzysz nazywał się właśnie Biskupik.

Ciągnęliśmy za Wawrzyńcem po trawie, bujnej niby żyto. Wawrzyniec, podumawszy, przystanął:

— Ja go znałem, tego towarzysza Biskupika. Może wiesz, co się z nim stało?

Lampa, którą trzymał na wysokości piersi, oblewała go żółtym światłem, wydobywając z mroku tors, szyję i dolną część jego twarzy. Widziałem kurz węglowy, wtarty w powierzchnię skóry, kurz nie do usunięcia, charakterystyczny dla górników — a przecież Wawrzyniec był górnikiem od niedawna! Widziałem też świeże blizny na policzkach. Przypominały mi one o strasznym pożarze na „Joannie—Odrodzeniu", pożarze, w którym spaliło się prawie stu ludzi, a do którego zjechały się dziesiątki drużyn ratowniczych z całego Śląska — z nimi i Wawrzyniec.

— Znałeś go?

— A pewno! Był w Związkach Zawodowych, gdzieś w województwie. Kręcił się przy racjonalizatorach, taki, znaczy się, opiekun...

— I cóż? Opiekował się?

— Czemu by nie? Nawet bardzo!... T a k i chłop! Ale dawno się z nim nie spotkałem... Ostatni raz, jak żem go widział, to nawet dziwnie wypadło... Czekałem na przesiadkę. Na całą noc miałem tego czekania. Siedzę, piwko piję — ciemne, po śląsku — naraz Biskupik! Jechał jakimś innym pociągiem, spał w nim chyba, niedawno się przebudził i teraz wyglądał przez okno, co za stacja... Wybiegłem na peron i tu,

widzisz, nie wszystko kapuję... Biskupik się mnie wystraszył... Dobrze z sobą byliśmy, nieraz mi pomógł, a tu — boi się. Czego?...

— No, czego? — zapytał przez zęby Karbowski.

— Żebym to ja wiedział!... Przedtem, tośmy się spotkali u jednego z „Joanny—Odrodzenia", pijusa takiego, chuligana... To było z wiosną, daty nie pamiętam, ale tak na dwa tygodnie przed pożarem... Może ten chuligan miał tam u nich złą markę? I Biskupik się mnie wstydził, że się z takimi zadaje?... Zresztą, dużo ja tam wiem! Przecież na innej kopalni jestem, kawał drogi! Po prostu mówię, jak było... Więc przeląkł się, wszedł głębiej do przedziału a i pociąg już ruszał. I wiesz, wtedy to palnąłem głupstwo, będziesz się śmiał, żem dzieciak... Bo ja, bez żadnej potrzeby hop! i do któregoś wagonu! Mam czas, do przesiadki daleko, to przejadę z jedną stację i z Biskupikiem pogadam... Ale... No, cud zupełnie... Nawet myślałem, żeby ci o tym napisać, ale wiesz, do listów jestem ciężki... Cały pociąg przeszedłem, nawet po ubikacjach patrzałem, a na Biskupika jużem nie trafił... Rozpłynął się czy co?...

Karbowski zwrócił na mnie czarne oczy, w których dwoma łukami odbijało się światło lampy trzymanej przez Wawrzyńca. Potem wziął sam tę lampę i poświecił w twarze Knyszynowi i Capidze.

Były blade.

Nad nami szła sucha noc, trzeszcząca w zaroślach, wietrzna. Wokół nas gęsto uwijały się nocne motyle.

Przypomniałem sobie słowa Karbowskiego: „I włos ma swój cień, cóż dopiero człowiek!"

Więc taki był cień tego człowieka?

Warszawa 1954

Aleksander Ścibor-Rylski

JÓZEF KUŚMIEREK

ROK 1944

Osoby:

OLA — sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PPR
BOGDAN — oficer AL, komendant powiatowy milicji
ZOSIA — jego żona, łączniczka AL
WALDEK — żołnierz AL, adiutant Bogdana, lat 13
DOKTOR — dyrektor szpitala, były lekarz oddziału AK
STAROSTA — oficer I Armii
WOŹNY MICHALAK
WOŹNA
MAJOR GROM — dowódca grupy AK
SKRZETUSKI — oficer AK
KAPITAN SIERGIEJ MICHAJŁOWICZ — lotnik radziecki
CEBULAK — milicjant
PORUCZNIK AK
PIORUN, PŁOMIEŃ, TYGRYS } podoficerowie AK, faszyści
CHMURA, DĄB, JELEŃ, MŚCICIEL } żołnierze AK
KOLEJARZ
CHŁOP
CHŁOPKA
ŻOŁNIERZE RADZIECCY
ŻOŁNIERZE NIEMIECCY
MILICJANCI, AKOWCY

AKT I

ODSŁONA 1

Pogrążony w mroku duży, dwuokienny pokój biurowy, porozrzucane sprzęty, papiery, rozwalone szafy, wybite okna. Za oknami, na ulicy widać odblaski bliskiego pożaru. Pod oknami stanowisko niemieckiego ckm. Widać hełmy obsługi. Karabin maszynowy strzela krótkimi salwami. Słychać odgłosy walki toczącej się w całym mieście. Karabin maszynowy pod oknem milknie, obsługa gorączkowo krząta się wokół niego.

PODOFICER: Wycofujemy się! Wszyscy, wszyscy!
ŻOŁNIERZ I: Dokąd?
PODOFICER: Nie gadać, nie ma czasu.

ŻOŁNIERZ I: Dokąd, pytam się?
PODOFICER *(krzyczy)*: Prędzej!
ŻOŁNIERZ I: Ja zostaję.
PODOFICER: Coo?!!
ŻOŁNIERZ I: Zostaję, nigdzie nie idę.
PODOFICER: Dezerter?!
ŻOŁNIERZ I: Ja mam tego dosyć!
PODOFICER: Ach, ty komunistyczna świnio! Od dawna wiedziałem, że ty taki jesteś!
ŻOŁNIERZ II: Zostaw go!
PODOFICER: Precz!
(Pada strzał, jeden z żołnierzy wali się z głośnym jękiem, wszyscy inni odchodzą szybko.)
ŻOŁNIERZ I *(słabnącym głosem)*: Pomocy, pomocy, pomocy!
(Słychać coraz bliższe salwy automatów, później głosy nadbiegających żołnierzy radzieckich. Dobiegają do miejsca, w którym leży niemiecki żołnierz.)
ŻOŁNIERZ RADZIECKI: A co to?
ŻOŁNIERZ II *(nachyla się)*: On już gotów.
(Biegną dalej, strzelanina oddala się, pożar przygasa, dnieje. Przez okna zaglądają jakieś postacie, następnie przeskakują przez parapet, szybko, po złodziejsku szperają po szafach, rabują maszyny do pisania, lżejsze sprzęty. Rozwidnia się, złodzieje unosząc łup, uciekają. Za miastem grzmi regularna kanonada artyleryjska, w mieście padają pojedyncze strzały.
Za drzwiami z lewej strony słychać kroki i rozmowę, brzęk kluczy i zgrzytanie klucza w zamku.)
WOŹNA *(za sceną)*: Dom Smolaka też się pali, a do Ciechocińskiego wpadła bomba do stołowego pokoju i *(rozciągając)* wszyściutko zniszczyła.
WOŹNY *(za sceną)*: To nie bomba, to pocisk.
WOŹNA: Ja tam nie wiem, ale wszyś... *(drzwi otwierają się)* Boże, a co tu się dzieje!!! *(wchodzą i rozglądają się przerażeni po pokoju)* Co za bałagan!
WOŹNY *(idzie spiesznie do jednej z szaf)*: Maszyny ukradli!!! *(podchodzi do następnej)* Maszynę do liczenia też.
WOŹNA *(rozglądając się)*: Telefonów nie ma...
WOŹNY: Rzeczywiście, co komu po telefonie?
WOŹNA: ...i zegara... i jednego kosza do śmieci, bo tu były dwa. Piwoński miał jeden, a Drabik drugi.
WOŹNY *(szperając dalej po szufladach)*: Ołówki wszystkie wzięli, spinacze, atrament jest.
WOŹNA: Ale kałamarzy nie ma, a u Piwońskiego był taki ładny, z marmurka. A masz pan klucze od pokoju kreisamta?
WOŹNY: Mam, cały czas miałem. *(otwiera, zaglądają)*
WOŹNA: Tu, chwała Bogu, wszystko w porządku.
WOŹNY: Nic nie ruszone, jak zostawił, tak jest. Ale to już nie pokój kreisamta, a starosty.
WOŹNA: Dowbora?
WOŹNY: Ee tam, Dowbora. Dowbór w Londynie. *(zamykają pokój, z naciskiem)* Starosty!

WOŹNA *(ustawiając krzesła i zabierając się do porządkowania):* Panie Michalak! Kto teraz zostanie starostą, jak pan myśli?

WOŹNY: Skąd ja mogę wiedzieć? Po tym wszystkim, to nic nie wiadomo. Może znów tak, jak za Paderewskiego, co wtedy z Ameryki przyjechał i zrobił rząd. Albo jak za Piłsudskiego... został taki jeden, co pierwszy zadzwonił do Warszawy.

WOŹNA: A po co?

WOŹNY: Jak to po co? Żeby dowiedzieć się, kto wygrał.

WOŹNA *(do siebie):* He, zadzwonił i został starostą. *(głośniej)* Teraz to nawet nie ma z czego zadzwonić.

WOŹNY: A do kogo by pani chciała dzwonić?

WOŹNA: Jaa? A co mi do tego? A Dowbór, jak został starostą?

WOŹNY: Przyjechał samochodem.

WOŹNA: Tak sam przyjechał?

WOŹNY: Nie, z wojewodą, i już został. W ogóle, to były inne czasy.

WOŹNA: Pan wszystkich starostów przetrzymał.

WOŹNY: Wszystkich, i tego kreishauptmanna też, chociaż nieraz myślałem, że go nie przetrzymam. Pies był.

(Sprzątają)

WOŹNA: Co to będzie, panie Michalak, jak ci wszyscy ludzie wyjdą z podziemia na wierzch?... I tak już mieszkań nie ma.

WOŹNY: Pani myśli, że oni tak pod ziemią siedzą? Z pani to naprawdę głupia.

WOŹNA: Ja nie wiem, skąd mogę wiedzieć, tylko tyle, co od ludzi słyszałam. *(Woźny wzrusza bezradnie ramionami)* Co z tymi papierami zrobić?

WOŹNY: Wyrzuci się, teraz się będzie nowe składało.

WOŹNA: Będzie czym w piecu rozpalać. *(sprząta biurko)* Piwoński będzie się pieklił o ten kałamarz, taki był ładny, na imieniny go dostał.

WOŹNY: O kałamarz to on już się martwić nie będzie, o co innego go głowa boli... żeby usiąść z powrotem za tym biurkiem.

WOŹNA: A co on? Też prawie za wszystkich starostów tu siedział.

WOŹNY *(wskazuje na biurko):* Kto tu siedział za Niemców, to nieprędko sobie nowe miejsce znajdzie, chyba że będzie miał jakieś zasługi.

WOŹNA: Piwoński zawsze miał jakieś zasługi.

WOŹNY: Wszyscy mają jakieś zasługi, tylko nie wiadomo, za jakie będą dawali posady. Mało to teraz będzie ludzi z zasługami? Ten Karpiński...

WOŹNA: Z wydziału podatkowego?

WOŹNY: Ten sam. Podszedł do mnie niedawno i powiedział: — Panie Michalak, będę o panu pamiętał. Ja mam takie zasługi, że dużo będę mógł panu pomóc, ale niech i pan pamięta, że byłem dla pana zawsze ludzki.

WOŹNA: Ten też ma zasługi, kto by to pomyślał, taki drań! Przecież pan też ma swoje?

WOŹNY: Ale mam. Tacy ludzie jak ja zawsze mają swoje zasługi.

WOŹNA: Pan tę posadę woźnego dostał za swojego syna. Szkoda go, pamiętam go, jak jeszcze był taki malutki. Po co go pan puszczał wtedy na tę wojnę z bolszewikami?

(Wchodzi radziecki żołnierz z tyczką do szukania min.)

ŻOŁNIERZ: Już rozminowane! *(podchodzi do ściany i maluje „rozminowane")*

WOŹNA: Jezus Maria! My tu gadaliśmy sobie...

ŻOŁNIERZ: Wszystko w porządku.

WOŹNY *(podchodzi do okna, wygląda na ulicę):* Ile tego było!

ŻOŁNIERZ: Sto pudów, bądźcie zdrowi! *(wychodzi)*

WOŹNA *(w dalszym ciągu przerażona):* Rozerwałoby nas jak nic. A pan Michalak to też, zamiast zejść do piwnicy i zobaczyć, czy wszystko w porządku...

WOŹNY: A co, stróż jestem?

WOŹNY: Oni też nie stróże... Boże! Sto pudów! To pewnie inne domy też zaminowane!

WOŹNY: Rozminują.

(Słychać głosy za drzwiami.)

WOŹNY *(patrzy na zegarek):* Kogo tam diabli już niosą? Nie ma jeszcze ósmej.

(Rozmowa za sceną.)

BOGDAN: Może to tu, jakiś urzędowy gmach.

OLA: Wszystko jedno, już nie mam sił.

BOGDAN: Oprzyj się mocniej, tu są jakieś drzwi.

WOŹNA: Skocz-no pan, szukają czegoś.

(Drzwi otwierają się, wchodzą Bogdan, Waldek i Ola. Ola jest ranna w nogę, którą ma obandażowaną zakrwawionymi szmatami, jest wyczerpana, bliska omdlenia. Bogdan, ranny w rękę, prawie ją niesie. Oboje są zabłoceni.)

BOGDAN: Tu ktoś jest?

WOŹNY: O co chodzi?

WOŹNA: Też z pana człowiek, widzi, że kobieta ranna! *(podbiega i pomaga Oli przejść do najbliższego krzesła. Ola jęczy z bólu)* Boli?... Bo kto to widział chodzić pod kulami!

BOGDAN: Przez front przedzieraliśmy się.

WOŹNA: W taką strzelaninę przez front! *(do Woźnego)* Rusz się pan, krzesła trzeba zestawić.

OLA: Tu gdzieś blisko jest ambulans polowy... Mówili tam, że...

WOŹNA: To jeszcze kawałek, pani tam nie dojdzie.

WOŹNY: Znów nie tak daleko.

WOŹNA: Zaraz skoczymy po doktora, bo tam w tym jeich ambulansie tylko samych rannych znoszą.

WOŹNY: Ta pani też ranna.

WOŹNA: Ranna, ranna, ale tam sami wojskowi, mężczyźni. Panie Michalak, skocz pan po doktora Terlickiego, będzie w szkole.

OLA: Po co doktor, wystarczy ktoś z noszami.

WOŹNA: Terlicki przyjdzie, on zawsze przychodził do każdego. *(do Woźnego)* Powiedz mu pan, że ranni.

WOŹNY *(niechętnie zbierając się do odejścia):* On też ma samych rannych.

WOŹNA *(oglądając opatrunek):* O matko, ile krwi wyciekło. *(do Bogdana, który ogląda swoją zranioną rękę)* I pan ranny? Kto to widział przez front przechodzić, w piwnicy trzeba siedzieć. Ja trzy dni siedziałam... Zaraz wody przyniosę, tylko muszę na drugą stronę skoczyć, bo wodociągi nie działają,

wieżę wysadzili, psiekrwie. *(doskakując do okna, woła za odchodzącym Woźnym)* Panie Michalak!

WOŹNY: Czego?

WOŹNA: Gdzie są kubełki?

WOŹNY: Skąd ja mogę wiedzieć, pewnie pokradli.

WOŹNA: Co za ludzie! To nic, pożyczę od kogoś. *(wychyla się jeszcze raz przez okno)* Panie Michalak, tylko prędzej.

WOŹNY: Dobrze, idę przecież, niech pani tak nie krzyczy! Co pani myśli, że tacy jak pani będą teraz rządzić?

WOŹNA: Do szpitala to jest kawałek drogi, dawniej było blisko, a teraz szpital jest w szkole, bo tamten jeszcze przedwczoraj się zapalił, ledwo żeśmy chorych zdążyli wynieść, ludzie nam trochę pomogli. *(rozgląda się po pokoju)* Bo ludzie, proszę pani, to są różni, jedni dobrzy, drudzy źli. Od kogo ja ten kubełek pożyczę? Może Trzeciak da? *(wychodzi)*

OLA: Jakaś dobra kobiecina... A ten woźny już się martwi, że tacy będą rządzić... Bogdan, ty musisz zaraz skontaktować się z Komendanturą i przekazać im te wiadomości. Dobrze by było skontaktować się z Lublinem, może już mają połączenie polowe.

BOGDAN: Skąd, miasto dopiero dziś rano zdobyte. Jak tylko przyjdzie ten doktor, to pójdę... Olu, Olu, więc my przeżyliśmy...

OLA: Doczekaliśmy się.

BOGDAN: Więc tak wygląda wolność? Miasto płonie... Gruzy, ranni. A ja zawsze myślałem, że wolność będzie wyglądała jak wielkie święto. Olu! Więc my jesteśmy już wolni! Nie może mi się to pomieścić w głowie.

OLA: Musisz poszukać naszych towarzyszy, tu na pewno są nasi towarzysze.

BOGDAN: Zaraz pójdę na miasto. Ty już kłopoczesz się, nie możesz ani minuty żyć bez zmartwień. Pomyśl, żyjemy!

OLA: Właśnie dlatego.

BOGDAN: Pomyśl, Olu, pięć lat, pięć lat czekaliśmy!

OLA: Idź już, to trzeba zaraz przekazać.

BOGDAN: Już idę. Olu, jak to było w tym wierszu?

W pierś niech biją młotem, nie pęknie,
Zatnij usta, choć w ustach krew,
Jeszcze będzie jaśniej i piękniej,
Będzie radość i będzie śpiew.

Ileż razy mówiliśmy ten wiersz, Olu. Dlaczego nikt nie śpiewa, dlaczego nie ma śpiewu?... Pamiętasz, ile razy nam śpiewałaś na nocnych zebraniach, po odprawie, na której ustalało się, że Witek stanie na ulicy, Rysiek wejdzie z automatem do środka... Ustaliło się, a potem ty śpiewałaś:

Nierozważny raz był ze mnie goniec,
Z papierami biegłem tu i tam.

Zaśpiewaj, Olu, ty znasz przecież pieśni na taką chwilę.

OLA: Wyklęty powstań ludu ziemi...

BOGDAN *(gdy Ola śpiewa)*: Antek nie dożył, Janek nie dożył, Rysiek, Grażyna, Witek, Marcin, Emil, Adam, Lucyna...

ODSŁONA 2

Ten sam pokój, na podłodze leżą sienniki, koce. W pokoju biwakuje oddział AK, porozrzucana broń, menażki itp. Akowcy stoją w dwuszeregu, porucznik sprawdza listę.

PORUCZNIK: Piorun!

PIORUN: Jest!

PORUCZNIK: Wilk!

WILK: Jest!

PORUCZNIK: Mściciel!

MŚCICIEL: Jest!

PORUCZNIK: Albatros!

ALBATROS: Jest!

PORUCZNIK: Jeleń!

JELEŃ: Jest!

PORUCZNIK: Chmura!

CHMURA: Jest!

PORUCZNIK: Płomień... Płomień jeszcze nie wrócił?

PIORUN: Wrócił.

PORUCZNIK: Wyszedł na miasto.

CHMURA *(półgłosem)*: Gasi się.

PORUCZNIK: Milczeć! Ja wam pokażę żarty. Chmura, jak wy stoicie!

CHMURA: Jak wiatr zawieje, panie poruczniku.

PORUCZNIK *(z wściekłością)*: Coo! Gdzie wy jesteście! *(wrzeszczy)* Tu jest wojsko!

CHMURA: Tak jest, jest wojsko, panie poruczniku.

PORUCZNIK: Jastrząb!

JASTRZĄB: Jest.

PORUCZNIK: Żbik!

ŻBIK: Jest.

PORUCZNIK: Tygrys!

TYGRYS: Jest.

PORUCZNIK: Dąb!

DĄB: Jest.

PORUCZNIK: Spocznij! Rozejść się! *(wychodzi)*

PORUCZNIK: Plutonowy Piorun!

PIORUN: Tak jest.

PORUCZNIK: Gdzie Skrzetuski?

PIORUN: Na mieście.

PORUCZNIK: Niech się ludzie nigdzie nie rozłażą, czekać na rozkazy. A wy *(do Chmury)* wieczorem do raportu, do pana majora... i w ogóle bez meldowania nie wychodzić...

CHMURA: Rozkaz.

(Porucznik wychodzi, Chmura zabiera się do przerwanego apelem czyszczenia broni, Tygrys kładzie się na jeden z sienników, Dąb bierze książkę i siada w kącie, Wilk i Albatros zabierają się do wyjścia.)

MŚCICIEL: Po jaką cholerę jeszcze ta cała komedia? Wilk, Żbik, Lew, Tygrys, cały ogród zoologiczny! Mamy przecież swoje nazwiska.

PIORUN: To co z tego?

MŚCICIEL: Jak to co z tego? Żeby się nazywać jak człowiek, a nie wariatów robić z ludzi.

JELEŃ: Co to ja ojca, matkę zabiłem, żeby ukrywać swoje nazwisko? Broniarek się nazywam, jak chcesz wiedzieć.

MŚCICIEL: Partyzantka już się skończyła, Niemców bez nas wytłukli, a my ciągle swoje, wojsko, wojsko, już prawie tydzień ta komedia się ciągnie.

CHMURA: Ja, czy się będę nazywał Chmura czy Lewandowski, to uważam, że broń należy utrzymywać zawsze w czystości. Takie mam zasady.

PIORUN: Powiedz o nich naszemu majorowi.

CHMURA: Po co? Ty mu i tak wcześniej doniesiesz.

PIORUN: Najlepiej niech każdy pilnuje swoich spraw. A wy *(do Wilka i Albatrosa, którzy wychodzą)* dokąd?

ALBATROS: Pilnuj lepiej swoich spraw.

PIORUN: Słyszałeś rozkaz porucznika?

ALBATROS: Mam uszy, dużo rzeczy słyszę.

PIORUN: Dzisiaj na pewno coś się zdecyduje.

WILK: Mogło się wcześniej decydować, idziemy.

(Chwila kłopotliwego milczenia.)

PIORUN: Dokąd oni poszli? *(nikt nie odpowiada)* Ty, Chmura, dokąd oni poszli? *(Chmura przerywa czyszczenie broni, ale nie odpowiada. Do Jelenia)* A ty?...

JELEŃ: Albatros mówił, że...

DĄB *(przerywając ostro)*: Plutonowy! Ich się trzeba było wypytywać, nie nas.

JELEŃ: Ale bo tu prawdę jeden drugiemu powie?

(Wszyscy milkną i spoglądają na ulicę, gdzie stoją Albatros, Wilk, Jastrząb naradzając się nad czymś. Trudno dosłyszeć ich szepty, ale w pewnym momencie można dostrzec zdecydowany gest Albatrosa.)

MŚCICIEL: Zrobią tak, jak jest w odezwie do akowców. Pójdą na Komendę, zdadzą broń, dostaną przepustki.

(Tamci odchodzą. Wszyscy milczą.)

PIORUN: Ech, wszędzie zdrada.

JELEŃ: Jednego tylko nie rozumiem. Po co my tu właściwie siedzimy?

CHMURA: Tylko jednego nie rozumiesz?

PIORUN: Taki jest rozkaz.

CHMURA: Widzisz, wytłumaczył ci — taki był rozkaz, teraz już wiesz wszystko...

MŚCICIEL: Głupieję z tego wszystkiego. *(po chwili)* Gdyby żył kapitan Jan, to wszystko inaczej by poszło.

JELEŃ: Szkoda kapitana, to był człowiek, nie to, co nasz major. Ten to słowa do człowieka nie powie.

CHMURA: Teraz nic nie mówi, bo jeszcze nie wie jak.

JELEŃ: Jak to jak?

CHMURA: Jak ma powiedzieć, żebyśmy chcieli czekać. Aby kłamać, to trzeba najpierw wiedzieć jak.

PIORUN: Kto okłamuje, kto!?

CHMURA: Trudno dowieść, kto kogo okłamuje, może majora, który wierzy, że mówi prawdę, a może on już także wie i tylko nam kłamie.

MŚCICIEL: Stąd nas prędzej czy później wygonią, to jest budynek starostwa. Przyjdzie jakaś władza, to będzie chciała zająć.

TYGRYS: Jaka tam władza ma przyjść?

MŚCICIEL: No, jakaś musi przyjść.

CHMURA: Tygrys chciałby ustanowić swoją władzę, on się nawet nadaje na starostę.

JELEŃ: W Lublinie jest już podobno Wojsko Polskie.

PIORUN: Polskie?

JELEŃ: No, a jakie?

CHMURA: Widzisz, taki jest rozkaz, że nie polskie. Wojsko nie polskie, choć Polacy w polskich mundurach walczą na froncie, giną, ale wojsko nie polskie. Za to my, którzy siedzimy tu już od tygodnia i zapijamy się bimbrem, za to my jesteśmy prawdziwe wojsko polskie... Taki był rozkaz, że major, on i on, i ty, i ja jesteśmy prawdziwe wojsko, a tamci nie. I o tamtym wojsku masz zapomnieć, jak i masz zapomnieć własnego nazwiska.

PIORUN: Uspokoiłbyś się! *(groźnie)* Bo jak tak dalej będziesz szczekał, to...

CHMURA: To co? Przecież zawsze utrzymuję broń w należytej czystości i chciałbym już wreszcie tę broń wypróbować.

JELEŃ: Wiecie, nasz major to podobno z tych stron.

CHMNURA: Wszędzie są majorowie, pułkownicy i wszędzie są ich majątki, kamienice i fabryki.

JELEŃ: To on tu ma majątek?

CHMURA: Hrabia Ziembicz ma niejeden majątek.

MŚCICIEL: To nasz major nazywa się Ziembicz i jest hrabią?

PIORUN: Skąd o tym wiesz?

CHMURA: Hrabia Ziembicz był bardziej znany jako hrabia niż jako major Grom.

PIORUN: Według ciebie to nie powinno być właścicieli, tylko „wsio rawno, wsio maje".

CHMURA: Tak też byłoby niedobrze, z tobą musiałbym się dzielić.

JELEŃ: A jak właściwie teraz będzie z tymi fabrykami?

PIORUN: A co ma być?

JELEŃ: Tak jak było?

PIORUN: Będzie sprawiedliwość, prawdziwa sprawiedliwość.

CHMURA *(do Jelenia)*: Widzisz. Nieprawdziwa sprawiedliwość pójdzie sobie precz. Hrabia Ziembicz, przepraszam, major Grom ją wypędzi. Stanie i powie — niesprawiedliwa sprawiedliwość, odmaszerować.

JELEŃ: Ech, jak by miało być tak, jak przed wojną...

CHMURA: To co, zrobiłbyś rewolucję?

JELEŃ: Zrobiłbym.

CHMURA: Bez rozkazu?

JELEŃ: Żebym ja tylko dostał tego naszego dziedzica, co mnie na wywózkę naznaczył, to rozkaz, nie rozkaz, niech on mi tylko w moje ręce wpadnie...

(Wchodzi Porucznik)

PORUCZNIK: Plutonowy Piorun.

PIORUN: Jestem.

PORUCZNIK: Weźmiecie trzech ludzi i zorganizujecie podwody.

PIORUN: Tak jest. *(z wahaniem)* A po co?

PORUCZNIK: Nie pytać!... *(łagodniej)* Będziecie przewozić towary z fabryki, później powiem wam, dokąd, na razie zorganizujecie podwody, tylko szybko.

PIORUN: Tak jest.

PORUCZNIK: Za głośne rozmowy prowadzicie, tam major jest zajęty konferencją. *(wychodzi)*

CHMURA: Miało się dziś zadecydować i zadecydowało się. *(do Jelenia)* To co byś zrobił, jakbyś dostał tego dziedzica w swoje ręce?

JELEŃ: Ech, szkoda gadać.

CHMURA: Ty tylko przyjrzyj się, w czyje ty ręce wpadłeś.

PIORUN: Dosyć tego. Jeleń, Mściciel i Chmura, pójdziecie wykonać rozkaz. Zbierać się.

CHMURA: Widzisz przecież, że czyszczę automat, muszę skończyć.

PIORUN: Ty zawsze...

CHMURA: Ja zawsze wolę mieć czystą broń i czyste sumienie.

PIORUN: A co ma sumienie do tego?!

CHMURA: U ciebie absolutnie nic.

PIORUN: To ty, Tygrys, zabieraj się, pójdziesz z nami.

TYGRYS: Dlaczego zawsze ja, zawsze ja? A ja to co, nie mam sumienia?

CHMURA: Tygrysy na ogół nie mają sumienia, także napadają na bezbronnych.

TYGRYS: No ty, ja się twojej wyczyszczonej broni nie będę bał!

CHMURA: Dotychczas bałeś się, to i będziesz się bał. Zresztą kto sznurem po drogach wojuje, ten od sznura ginie.

PIORUN: Dosyć już polityki, wychodzić.

JELEŃ *(wychodząc)*: A co to, my o polityce gadamy czy co, porozmawiać nie można?

PIORUN: Wychodzić, wychodzić. *(w drzwiach zatrzymuje się i patrzy na Chmurę)* No... nic...

CHMURA *(drwiąco)*: Pewnie, że nic.

(Wychodzą)

DĄB *(odkłada książkę)*: Po co ty z tym szczeniakiem zaczynasz? Będzie cię miał na oku.

CHMURA: On? *(potrząsa automatem)* O!

DĄB: Więc dzisiaj pryskamy.

CHMURA: Nieodwołalnie.

DĄB: Jak myślisz, Albatros z Wilkiem urwali się?

CHMURA: Słyszałeś — poszli na komendę... Dostaną przepustki, jutro będą w wojsku. *(wskazując wzrokiem na drzwi)* Do ostatniej chwili mamili, że i my pójdziemy.

DĄB: Rozmawiałem z tym, co to tu organizuje milicję.

CHMURA: No i?

DĄB: To alowiec, przeszedł dopiero niedawno front, szli z całą grupą, ale ich wybili, przedostał się tylko on i jakaś kobieta.

CHMURA: Ale o czym z nim mówiłeś, co?

DĄB: Zacząłem z nim gadkę, że chcielibyśmy do wojska, ale nie wiemy, gdzie.

CHMURA: A on co?

DĄB: Chciał, żebyśmy do niego przyszli, do milicji.

CHMURA: To ty teraz dopiero o tym mówisz!

DĄB: Tak, ale jak się dowiedział, że ja stąd...

CHMURA *(po chwili)*: Edek, Edek, bo to się będzie za nami wlokło przez całe życie. Nie ufa, co?

DĄB: Nie.

CHMURA: I ma rację.

DĄB: Ty myślisz, że oni *(wskazuje na drzwi)* z powrotem konspiracja, z powrotem do lasu?

CHMURA: A po co ta komedia z pseudonimami?

DĄB *(po chwili)*: Słuchaj, a może od razu zdamy broń i pójdziemy?

CHMURA: Kawałek z tym musimy iść.

DĄB: Czemu właściwie ty się ich tak boisz? Albatros z Wilkiem poszedł i...

CHMURA: Albatros z Wilkiem, to co innego.

DĄB: ...nie bali się, a według nich *(wskazuje na drzwi)* to tak i tak dezercja. *(Chmura milczy)* Złapie nas jakiś patrol i tłumacz się potem. To jest, bracie, wojna, front. *(Chmura milczy)* Ty myślisz, że oni jeszcze tamtą historię pamiętają?

CHMURA: Czy pamiętają? Widziałeś, jakimi oczami major na mnie patrzy, on i Skrzetuski... Wtedy ja przecież majorowi meldowałem, że w tamtej wsi byli Niemcy... A on mnie kazał iść spać, a Jana posłał po prowiant... właśnie tam, Jan — to nie hrabia Ziembicz. Znajdą się tacy, co się upomną o niego, będą chcieli dochodzić, co i jak. A ja jeden mogę coś powiedzieć. Ja jeden. Bolek był drugi.

DĄB: Myślisz, że oni Bolka o to... *(ruch ręką)*

CHMURA: Bolek gadał o tej sprawie, krzyczał. On przecież tylko jeden ocalał z oddziału Jana. Ty wierzysz, że to był wypadek z bronią?...

DĄB *(wzrusza ramionami)*: Kto jak kto, ale Bolek umiał się z pistoletem obchodzić... Sukinsyny! A ty jeszcze rozrabiasz, robisz awantury z Piorunem.

CHMURA: A co, uszy położyć po sobie, to jeszcze gorzej. Niechby tylko zauważyli, że ja się ich boję.

DĄB: Boisz się?

CHMURA: Mało tu tych, co lubią zabijać. Tygrys, Skrzetuski, Piorun, gdyby się nie bał.

DĄB: Co oni mieli do Jana?

CHMURA: Bić się chciał, żądał nawiązania kontaktu z peperowcami i radziecką partyzantką, aby razem uderzać... Jana wszyscy lubili. To mieli do niego... *(chwila milczenia)*

(Rozmowę przerywa nagle nadejście Skrzetuskiego i Płomienia.)

PŁOMIEŃ *(podpity śpiewa)*: ...Pięciu chłopców z Albatrosa. I ten pierwszy... i ten drugi... i ten trzeci, co to z diabłem w karty grał...

SKRZETUSKI *(za drzwiami)*: Teraz nie można strzelać.

PŁOMIEŃ: Ja bym ich wszystkich... *(wchodzą)* Cześć, Chmurka. Jak automacik, czyściutki? *(podchodzi i chce wziąć automat, niby go obejrzeć)*

CHMURA: Jak zawsze.

PŁOMIEŃ: To dobrze, broń trzeba mieć zawsze czystą i tak jak ty to mówisz, trzeba mieć zasady. *(wskazuje głową na okno)* Jak ci się to podoba? Albatros z Wilkiem urwali się, chciałem ich kropnąć, ale *(wskazuje na Skrzetuskiego)* nie dał. A ty co, z tymi wszystkimi swoimi zasadami, zastrzeliłbyś?

CHMURA: Zastrzeliłbym.

PŁOMIEŃ *(złowrogo):* Kogo?

CHMURA: To by się okazało.

PŁOMIEŃ: Eee, teraz chcę wiedzieć, zaraz! No, do kogo, do mnie, do mnie strzelałbyś?

CHMURA: A dlaczego by nie do ciebie na przykład?

PŁOMIEŃ *(z pijackim uporem):* Do mnie, to razem z jednej miski jedliśmy, a ty do mnie!...

CHMURA: Ty chciałeś strzelać do tych, co też z tej samej miski...

(Płomień chce objąć Chmurę, jest pijany, ale udaje jeszcze bardziej pijanego, chce go obezwładnić i najwyraźniej wyrwać automat. Obcałowuje Chmurę.)

CHMURA: Siadaj, pijany jesteś, na czułości ci się zebrało.

PŁOMIEŃ *(szyderczo):* Na czułości, ech, ty — n a i w n y. Ja bym ciebie pierwszego!

SKRZETUSKI *(ostro):* Wy wiedzieliście, że Albatros i Wilk odchodzą.

CHMURA: My? Skąd?

SKRZETUSKI: Dobrze żyliście z nimi.

CHMURA: Tak jak i z wami żyję dobrze.

PŁOMIEŃ: Rycerzyki niepokalane, chcą walczyć o wielką, równą, niepodzielną, sprawiedliwą republikę chamów i robotników, i to kto: Albatros student, Wilk podchorąży, ten *(wskazuje na Chmurę)* maturzysta.

SKRZETUSKI: Major jest?

DĄB: Jest, ale tam jakaś konferencja.

(Skrzetuski wychodzi.)

PŁOMIEŃ: Ta ich milicja już jest na mieście. Ciućmoki pozakładali opaski i stare giwery na sznurki, w kapeluszach, władza ludowa!... Ale tamtych — znajdziemy ich wszystkich, znajdziemy.

DĄB: Po co ich szukać, trzeba było teraz zatrzymać albo dogonić jeszcze.

PŁOMIEŃ: Dogonimy jeszcze.

CHMURA: Czemu nie zaraz, tej milicji w kapeluszach się boisz? Bo tam i alowcy też są.

PŁOMIEŃ: Jest trochę tych zawszonych partyzantów, przechowali się.

CHMURA: Oni się nie chowali.

PŁOMIEŃ: Niee, nie brykali przed nami? Wystarczyło, żebyśmy się tylko pokazali.

DĄB: Nie każdemu przyjemnie ginąć z kulą w plecach.

PŁOMIEŃ: Czemu nie, plecy to takie wygodne miejsce do wpakowania kuli, szerokie... jak tarcza... i paf!

DĄB: Gdzieżeście się tak zabłocili?

PŁOMIEŃ: Byliśmy na takiej jednej robótce...

(Podniesione głosy na korytarzu. Kłócąc się wracają Piorun, Mściciel, Jeleń i zakrwawiony Tygrys.)

PŁOMIEŃ: A co znów z wami?

JELEŃ: Ta milicja chciała nas rozbroić.

PŁOMIEŃ: Co takiego?

PIORUN: Porucznik wysłał nas po podwody, poszliśmy na rynek, bo stało tam parę furmanek, ale chłopi zaczęli się stawiać i jeden poleciał na tę ich milicję...

MŚCICIEL: A ty od razu musiałeś złapać za kurę.

PIORUN: Co do cholery, od paru dni nie jadłem nic porządnego, nie zbidniałby.

PŁOMIEŃ: I co dalej było?

PIORUN: Przyszedł taki jeden obszarpaniec i z mordą na nas, ale jak go Tygrys zastawił pistoletem...

JELEŃ: O tak, pod nos mu podsunął.

PIORUN: ...to od razu zmiękł i już żeśmy mu chcieli tego giwera zabrać, ale cholera nadała tego szczeniaka, ich komendanta.

PŁOMIEŃ: To ich tylko dwóch było i daliście się wypłoszyć?

PIORUN: Podszedł go, *(wskazując na Tygrysa)* tak zbliżył się z rękami na wierzchu, bez broni. Tygrys nie zwrócił na niego uwagi i on podszedł bliziutko, lewą ręką wyciągnął pistolet, a prawą w mordę Tygrysa.

JELEŃ: On chyba w rękawie miał ten swój pistolet, nie wiadomo kiedy...

TYGRYS: A wy też, chojraki, od razu w nogi!

PIORUN: No bo te chłopy na nas od razu z kłonicami.

PŁOMIEŃ: Ech, w ten sposób, jak się będziemy chłopów bać, to nic nie zwojujemy.

JELEŃ: Z chłopami mam wojować!?

PŁOMIEŃ: Z chłopami, nie z chłopami, ale z wszystkimi, którzy okazują nieposłuszeństwo.

JELEŃ: Cholera wie, kogo słuchać.

CHMURA: Tych, co całe życie słuchałeś.

(Wchodzi Skrzetuski.)

SKRZETUSKI *(do Płomienia):* Chodź, musimy się zameldować majorowi.

PŁOMIEŃ: Zaczekaj, trzeba się jakoś oczyścić. *(do chłopców)* Nie ma tu kawałka jakiegoś papieru? *(do Skrzetuskiego)* Słyszałeś, jaka draka na rynku była? Ten komendant milicji zabrał Tygrysowi pistolet i jeszcze go skuł po mordzie.

SKRZETUSKI *(poruszony):* Gdzie, kiedy?

PIORUN: Na rynku, major nam kazał...

SKRZETUSKI: Zaczekaj! *(wraca do gabinetu i zjawia się po chwili z porucznikiem)* Piorun, do majora!

PORUCZNIK: Coście tam narozrabiali?

(Wszyscy trzej idą do drugiego pokoju.)

JELEŃ: Teraz to dopiero będzie awantura. *(do Płomienia)* Jak myślisz, pójdziemy odebrać ten pistolet?

MŚCICIEL: Jeleń, nie bądź głupi, co, strzelaniny chcesz?

JELEŃ: Nie, pójdziemy, powiemy im, a jak nie...
CHMURA: A jak nie, to co?
JELEŃ: Muszą oddać, broń jest nasza.
(Wchodzi Skrzetuski.)
SKRZETUSKI: Chłopcy, zabieramy się stąd.
MŚCICIEL: Dokąd?
SKRZETUSKI: Dowiecie się później. *(do Płomienia)* Z tobą major jeszcze chce porozmawiać...
JELEŃ: Dostanie ci się od majora.
PŁOMIEŃ: Za co?
JELEŃ: Zalany jesteś.
PŁOMIEŃ: Phi, taką robótkę odwaliłem majorowi, że wolno mi się było zalać.
DĄB: Co robiliście?
PŁOMIEŃ: Chodziliśmy po wsiach i po dworach i mówiliśmy chłopom w sprawie tej reformy rolnej... że my tu jeszcze jesteśmy.
JELEŃ: Chłopów straszyłeś!?
PŁOMIEŃ: Po co miałem ich straszyć. Mówiłem im tylko, że my reformy rolnej nie popieramy... A bać to już oni sami się będą.
JELEŃ *(groźnie)*: Chłopów straszyłeś! *(łapie Płomienia za klapy)*
(Wchodzą Major i porucznik Skrzetuski, Piorun, Płomień i Tygrys prostują się służbiście na baczność; Mściciel i Dąb stają w niedbałej pozycji, zaperzony Jeleń stoi obok Płomienia nie zwróciwszy uwagi na wejście oficerów; Chmura siedzi dość daleko od niego, na stole leży automat wyrwany mu poprzednio przez Dęba. Major przechodzi sprężyście przez połowę sceny, jakby nic nie spostrzegając, nagle zatrzymuje się i wpatruje w Jelenia.)
MAJOR: Baczność!
(Jeleń staje służbiście na baczność. Major kieruje wzrok na Mściciela, który wypręża się w przepisowej postawie, następnie na Dęba. Chmura siedzi nieporuszony, Major wpatruje się teraz w niego, on, nie podnosząc się, patrzy na Majora, Major robi krok naprzód, Chmura siedząc wyciąga rękę po automat. Porucznik sięga do kabury, a Tygrys za siebie po automat Jelenia. Chmura przysuwa automat, bierze go do ręki i staje na baczność. Major rozgląda się po pokoju, widzi leżący na podłodze zmięty papier.)
MAJOR: Co tu za nieporządki, papiery na podłodze, sprzątnąć!
(Piorun zrywa się i wrzuca papier do kosza, który stoi pod stołem obok Chmury, staje z powrotem na baczność. Major odwraca się, robi kilka kroków w stronę wyjścia. Chmura schyla się po papier, major zatrzymuje się i odwraca w stronę Chmury. Chmura staje na baczność.)

ODSŁONA 3

Ten sam pokój, trochę uporządkowany, nie ma sienników. Piorun i Jeleń pakują swoje manatki, upychają z trudem różne części garderoby. Na stole leży pistolet Pioruna. Przez cały czas rozmowy nie przerywają pakowania, są nim bardzo zajęci.
PIORUN: Ameryka nie da nam zginąć.

JELEŃ: Po co my Ameryce?
PIORUN: Ehe, nie bój się... oni myślą. *(pauza)* Jaka tam, bracie, policja... samochody... kolty... gazy... To nie to, co te łachudry.
JELEŃ: Nasza policja przed wojną też była niezgorsza.
PIORUN: Gdzie jej do tamtych.
JELEŃ: Ja widziałem naszą przy robocie, jak u nas we dworze był strajk... Dobra była policja.
PIORUN: Walić to też umieli.
JELEŃ: Myślisz, że tu przyjedzie amerykańska policja?
PIORUN: Sami damy radę.
(Pauza)
JELEŃ: Ile taki policjant może zarabiać?
PIORUN: Fiuu, i to w dolarach.
(Pauza)
JELEŃ: Dużo dostałeś?
PIORUN: Za ten rok dwadzieścia sześć dolarów... to jeszcze nie koniec roku.
JELEŃ: Ja tylko dziewięć, no, ale ty plutonowy.
PIORUN: Plutonowy, szeregowy, to tylko teraz.
(Pauza)
JELEŃ: Wszystko jedno, głupi ten Chmura...
PIORUN: Jeszcze go spotkam.
(Pauza)
JELEŃ: Wiesz, Mściciel zapisał się do milicji.. opaskę taką ma. Przyjęli go, jest na miejskim posterunku.
PIORUN *(podejrzliwie):* Zdradził łobuz. Gadałeś z nim?
JELEŃ: Gadałem.
PIORUN: No i co?
JELEŃ: Namawiał, żebym i ja poszedł, ale ja nie taki głupi... Ciekawe, ile on może zarabiać?
PIORUN: Co tam te pieniądze warte.
(Pauza)
JELEŃ: Dobrze, ale Ameryka trzyma z Sowietami.
PIORUN: Do czasu... Taka polityka i racja stanu... Taki mają rozkaz.
JELEŃ: Ameryka? Od kogo?
PIORUN: Od masonów. Ale my, bracie, i masonów wykończymy!
JELEŃ: Cholera!
(Pauza)
PIORUN: Teraz inna struktura... mordę w kubeł. *(pauza)* Zmiana pseudonimów.
JELEŃ: Na jakie?
PIORUN: Ja się będę nazywał Grzmot, a ty?
JELEŃ: Nie wiem, tak się przyzwyczaiłem do tego Jelenia.
PIORUN: Jeleń, Jeleń, to teraz nie pasuje... *(pauza)* Jaguar, dobre, co?
JELEŃ: A co to jest? Jak?... Jaguar?
PIORUN: Takie zwierzę... amerykańskie.
JELEŃ: Niech będzie ten... Jaguar.
(Pauza)

PIORUN: Dokąd idziesz?
JELEŃ: Chyba do domu.
(Pauza)
PIORUN: Tam u was pewnie będzie ta reforma rolna.
JELEŃ: Ano tak.
PIORUN: Pamiętasz, co ci Skrzetuski mówił? Na tę ziemię nie ma się co łaszczyć... Też się zrobi z czasem i tu reformę... A dla nas ziemi starczy, tam, bracie, dobra ziemia...
JELEŃ: Mój ojciec mówił, lepsze gówno w garści niż wróbel na dachu!
(Pauza)
PIORUN: Uważaj na tych alowców, jak spotkają, to przykaraulą jak nic. Broń dobrze schowaj.
JELEŃ: Zakopię.
PIORUN: Chodźmy już stąd, major ma tu jeszcze swoje rzeczy, zaraz może przyjść. *(pomaga Jeleniowi włożyć plecak)*
JELEŃ: To major jeszcze w mieście?
PIORUN: Co cię to obchodzi!
(Słychać czyjeś kroki na korytarzu, obaj rozglądają się niespokojnie, wchodzi radziecki kapitan-lotnik.)
KAPITAN: Dzień dobry! O, polskie partyzanty!
PIORUN *(skwapliwie):* Tak, tak, partyzanci... biliśmy Niemców.
(Z niepokojem spogląda na stół, gdzie leży jego pistolet)
KAPITAN: Wiem, wiem, rozmawiałem już z jednym z waszych... Wy też w milicji?
PIORUN: Nie, my do wojska.
KAPITAN: Dobrze, w Lublinie jest już Polskie Wojsko.
PIORUN: My właśnie tam.
KAPITAN *(siada):* Towarzysze, ja mam do was taką sprawę, szukam żelaznego piecyka, w ziemlankach zimno...
JELEŃ: Żelazny piecyk, żelazny piecyk — kaflowe.
KAPITAN: Aa — kaflowe.
PIORUN: My nie tutejsi, nie znamy.
KAPITAN: Szkoda, zimno, a ja parę razy strącony... *(spostrzega pistolet i bierze go do ręki)* Dobry pistolet... zdobyczny?
JELEŃ: Ze zrzu...
PIORUN: Tak, tak, zdobyczny, zdobyliśmy na Niemcach, całą kompanię wtedyśmy rozbili...
KAPITAN *(oglądając broń):* Ot, geroje... angielska... Angielska produkcja. Niemcy pewnie to zdobyli w Dunkierce, ale trafiło w dobre ręce... Dobry pistolet.
PIORUN: Tak, dobry...
KAPITAN: Wasz?
PIORUN: Tak.
(Kapitan oddaje Piorunowi pistolet.)
KAPITAN: No cóż, trzeba iść dalej, szukać tego piecyka.
JELEŃ: Może kolejarze mają, oni zawsze mają żelazne piecyki, panie kapitanie.
KAPITAN: Panie, panie, ja towarzysz!... Ech, wy Polacy, panie, panie...

Trzeba iść do tych panów kolejarzy. (wstając) Wy do wojska, a po wojnie co? Nauka... Na uniwersytet i budować, co?

PIORUN: Tak jest, pa... towarzyszu kapitanie.

(Kapitan wychodzi)

PIORUN: Towarzyszu... żebyś się udławił!

JELEŃ: Na uniwersytet — mówił...

PIORUN: Po co ci uniwersytet?

(Wychodzą)

JELEŃ: Jak myślisz, kiedy się wojna skończy?

PIORUN: Ta? Niezadługo.

(Ulicą, za oknami idą Bogdan, Major i Porucznik AK. Bogdan w stroju półcywilnym, półwojskowym, z opaską MO na ramieniu, Major w stroju cywilnym. Za nimi idzie dwóch milicjantów, jeden starszy, robociarz, z karabinem, i Waldek z pepeszą. Bogdan będzie w czasie całej rozmowy nieufny, Major zaś serdeczny, ojcowski. Wchodzą, Major puszcza Bogdana przodem.)

MAJOR: ...W ten sposób nigdy się nie dogadamy. Stawiacie sprawę tak, jak to my byśmy byli inspiratorami tego zajścia. Naprawdę nie mam pojęcia, kto to mógł być. *(do Porucznika)* To chyba nikt z naszego oddziału.

PORUCZNIK: Ja też tak myślę.

BOGDAN: To był któryś z waszych... Nie był sam, było ich kilku.

MAJOR: Mieliście go w ręku, komendancie.

BOGDAN: Za dużo ludzi było na rynku, nie będę narażał niewinnych dla jednego drania, ale powiedzcie... tym swoim, jak by im przyszła ochota kiedykolwiek rozbrajać milicjanta, że ja trafiam na dwieście metrów... Dość dużo strzelałem...

MAJOR: Mam takie wrażenie, jak byście nas traktowali jak wrogów. *(pauza)* Wszyscy jesteśmy Polakami, o jedno walczyliśmy, jedno jest nam wszystkim drogie, choć może mamy różne poglądy...

BOGDAN: Czy wasi ludzie...

MAJOR: O, znów — wasi ludzie, po co ten podział, komendancie, wasi, nasi...

BOGDAN: Czy wasi ludzie długo jeszcze zamierzają wałęsać się z bronią? Znacie rozporządzenie o obowiązku zdawania broni?

(Major nagle staje się suchy i oficjalny.)

MAJOR: Cóż, ja swoją broń zdałem, nie możecie mnie czynić odpowiedzialnym za ludzi, którymi *(z naciskiem)* dotychczas dowodziłem... Oddział jest rozwiązany i teraz...

PORUCZNIK: Panie majorze, może to ci dwaj, którzy...

BOGDAN: Co za dwaj?

MAJOR: Bardzo prawdopodobne — na pewno. Komendancie, to jest taka dość przykra dla nas sprawa. Dwóch ludzi z mojego dotychczasowego oddziału zniknęło i o ile ich znam — wiecie, różny element, demoralizacja okupacyjna — poszli na bandytyzm. Ja ich od dawna miałem na oku, ale w ostatnich dniach mi się wymknęli. Zaraz podam panu nazwiska. Jeden — to Jan Lewandowski, pseudonim Chmura, a ten drugi... *(szuka w pamięci)*

PORUCZNIK: Kulik Edmund...

MAJOR: Pseudonim Dąb... i bardzo możliwe, że to oni spowodowali tę awanturę, tak jak to opisujecie, to najprawdopodobniej...

BOGDAN *(wstając):* Poza tym mam meldunki, że dwóch waszych chodziło po wsiach i straszyło chłopów... w związku z reformą rolną.

MAJOR: Nie, to już jest oszczerstwo! Wie pan dobrze, że my, AK, nigdy nie zajmowaliśmy się polityką!

BOGDAN: Szczególnie silne nasilenie tej agitacji daje się zauważyć w waszych majątkach, obywatelu hrabio!

MAJOR: Po co ta ironia!

BOGDAN: Kiedy opuścicie ten lokal?

MAJOR: Jest już od wczoraj do waszej dyspozycji, wezmę tylko swoje prywatne rzeczy.

BOGDAN: Wy, obywatelu majorze, a także wy, poruczniku, macie obowiązek jak najszybszego zgłoszenia się w najbliższym RKU.

MAJOR: Wiemy, wiemy.

BOGDAN: I jeszcze jedno. Dzisiaj otrzymaliśmy rozporządzenie, w związku z reformą rolną, że właściciele majątków mają opuścić majątki...

MAJOR: Nie przebywam!

BOGDAN: ...i osiedlić się poza granicami powiatu, w którym ich majątki się znajdują... *(pauza)* Termin, w jakim mają tego dokonać, ustalają władze powiatowe. *(pauza)* Więc dla was, obywatelu hrabio, ustalam termin... w ciągu dwudziestu czterech godzin.

(Bogdan i dwaj milicjanci wychodzą.)

MAJOR: Rządzą. *(pauza)* A gdzie Skrzetuski?

PORUCZNIK: Jest na wiecu, zaraz przyjdzie.

MAJOR: A Tygrys?

PORUCZNIK: Tygrys poszedł za Chmurą, zgodnie z pana rozkazem...

MAJOR: Teraz to już niepotrzebne — na razie, odwołajcie go. Dajcie mu trochę pieniędzy i niech zwiewa. Macie jeszcze trochę kennkart?

PORUCZNIK: O, sporo.

MAJOR: Zróbcie mu dowód. Mieszkanie Płomienia?

PORUCZNIK: Skrzetuski załatwił.

MAJOR: Z nim trzymać stały kontakt... tego Tygrysa odnajdziemy, jak będzie nam potrzebny.

PORUCZNIK: W związku z Albatrosem i Wilkiem...

MAJOR *(macha ręką):* Cholera z nimi.

PORUCZNIK: Mam wiadomości o nich. Przemawiali wczoraj w Garwolinie, do ochotników...

MAJOR: Są już w wojsku?

PORUCZNIK: Tak, byli w mundurach.

MAJOR: Szkoda, ale mówi się trudno... Teraz ich ruszyć nie można. Gdzie ten Skrzetuski?

PORUCZNIK: Już powinien być.

MAJOR: Jego tu nikt nie zna, co?

PORUCZNIK: Nie, zupełnie nie.

MAJOR: Na jakich on dokumentach?

PORUCZNIK: Swoich, wileńskich.

MAJOR: Zróbcie mu warszawskie... Teraz warszawiacy budzą współczucie. Warszawę zna?

PORUCZNIK: Chyba tak.

MAJOR: Bo ten komendant też warszawiak.

PORUCZNIK: Wiecie już?

MAJOR: Tak... Mieszka na Kościelnej... Powiedzcie Płomieniowi, żeby się go wystrzegał, ale niech go nie rusza... na razie... Dużo tu poza nim alowców?

PORUCZNIK: Przeżyło dwudziestu sześciu.

MAJOR: Z doktorem rozmawialiście? *(Porucznik rozkłada ręce)* Z nim trzeba będzie inaczej pogadać.

PORUCZNIK: Idzie Skrzetuski!

(Skrzetuskiego widać najpierw za oknami, po chwili wchodzi do pokoju.)

MAJOR: Rządzą już, co?

(Skrzetuski wita się z majorem i porucznikiem.)

MAJOR: Nic, jeden rząd lubelski już przetrzymaliśmy, przetrzymamy drugi.

SKRZETUSKI: Przyjechali właśnie z tego Lublina. Dwóch z tej polskiej Pierwszej Armii, jeden z nich miejscowy, robotnik, ta baba z KC.

MAJOR: Dużo ludzi przyszło na wiec? *(Skrzetuski nie odpowiada)* Mówcie, mówcie śmiało, wiecujących nie ma się co obawiać.

SKRZETUSKI: Dużo.

MAJOR: Z miejscowych zabierał kto głos?

SKRZETUSKI: Kilkunastu.

MAJOR: O!

SKRZETUSKI: Oni mieli tu swój komitet w czasie okupacji.

MAJOR: Należało się tego spodziewać, ostatecznie to robotnicy. A ci z miasta?

SKRZETUSKI: Przyszło też sporo, kilku przemawiało.

MAJOR: Kto?

SKRZETUSKI: Nauczyciel...

MAJOR: Że oczekiwali, że się wreszcie doczekali, znamy tę gadkę. Jeszcze się doczekają. Robotnicy jak?

SKRZETUSKI: Podejmują od jutra pracę.

PORUCZNIK: Szkoda tych magazynów. Wspaniałe towary były.

MAJOR: Co byś z nimi teraz robił?

PORUCZNIK: Ale później.

SKRZETUSKI *(do porucznika)*: Czy Tygrys poszedł za Chmurą i tym drugim?

MAJOR: Kazałem odwołać. Nimi zajmie się ktoś inny. Gdyby się to nie udało... to wtedy... przede wszystkim Chmurę. *(do Skrzetuskiego)* Czy mieszkanie dla Płomienia załatwione?

SKRZETUSKI: Załatwione, dziś się wprowadzi.

MAJOR: Tam, gdzie mówiłem?

(Podchodzą do okna, Skrzetuski pokazuje sąsiedni dom.)

SKRZETUSKI: Tu.

MAJOR *(przygląda się dokładnie ulicy, następnie rozgląda się po pokoju)*: Świetnie!... Już się dowiedziałem. Tu *(wskazuje na pokój)* będzie urzędowała milicja — ten szczeniak z AL-u. Na piętrze starostwo. Słowem najważniejszy gmach w mieście.

PORUCZNIK *(tajemniczo)*: Może coś podłożyć?

MAJOR *(pogardliwie wzrusza ramionami, do Skrzetuskiego):* Czy Płomień, jak dostanie rozkaz, wykona wszystko?

SKRZETUSKI: Płomień? Tak.

MAJOR: A z tamtego domu ucieczka dobra?

SKRZETUSKI: Dom przejściowy.

MAJOR: No a inni, Piorun, Mściciel, Jeleń?

SKRZETUSKI: Piorun w porządku. *(cmoknięcie)* Jeleń, jak Jeleń, gadałem z nim. Mściciel poszedł do milicji, to już wam meldowałem.

MAJOR: Jednak zwiał. Ilu nam w takim razie zostało? *(liczy na palcach jednej ręki, potem macha ręką)* Muszą się bać!

PORUCZNIK: Nas?

MAJOR: Nie, ich.

SKRZETUSKI: Czy będą jeszcze jakieś rozkazy?

MAJOR: Tak, chciałem z tobą pogadać. Poruczniku, spakujcie moje rzeczy i zanieście je wiecie gdzie. *(Porucznik przechodzi do drugiego pokoju)* Nikomu nie można ufać, a chciałbym pogadać z tobą o pewnej sprawie. *(wychodzą)*

(Na ulicy radzieccy żołnierze z łączności ciągną linę polowego telefonu. Jest z nimi Waldek, mały milicjant.)

WALDEK *(do telefonistów):* To tutaj!

(Żołnierze przerzucają kable przez okno i przez okno wskakują do pokoju. Stawiają na stole polowy telefon. Radziecki żołnierz robi próbę linii, kręci korbką, dmucha, nasłuchuje. Podaje sygnał wywoławczy centrali.)

ŻOŁNIERZ: Wolność! Wolność! Halo! Wolność!

(Porucznik przechodzi z walizkami przez pokój. Radziecki żołnierz oddaje słuchawkę Waldkowi.)

ŻOŁNIERZ: Dobrze słychać?

WALDEK: Wolność, halo, słyszycie? Wolność, Wolność!

AKT II

ODSŁONA 1

Ten sam pokój. Bogdan siedzi za biurkiem, na którym stoją polowe telefony. Na biurku leżą teczki, papiery, segregatory, widać, że Bogdan gubi się w tym. Przed Bogdanem siedzi para staruszków i cierpliwie czeka, aż on skończy rozmowę telefoniczną.

BOGDAN *(do telefonu, zdenerwowany):* ...Wam, jako pełnomocnikowi reformy rolnej przekazałem na tym majątku dwanaście krów i sześć koni. *(słucha)* Ja nie wiem, kto ukradł, komitet folwarczny, złodzieje czy wy? *(słucha)* To powsadzam wszystkich, i was też *(słucha)* Tak, i będę za to odpowiadał! Wy utopicie naszą reformę rolną w tych papierkach! Tego miernicze go wypuszczę tylko pod eskortą, niech skończy pomiary!

(Odkłada słuchawkę, patrzy na dwoje staruszków, jakby nie mogąc sobie przypomnieć, po co oni przyszli.)

BOGDAN: Skąd ja mogę wiedzieć, gdzie jest wasza córka? Co, milicja ma cudzych dzieci pilnować?! Ile miała lat?

KOBIETA: Dwadzieścia cztery.
BOGDAN: Idźcie do sierżanta Filipowicza.
(Wchodzi Waldek.)
WALDEK: Bogdan! Dwa wagony spirytusu zginęły ze stacji.
BOGDAN: Jak to zginęły?
WALDEK: Nie ma.
BOGDAN: Postawiłeś wartowników?
WALDEK: Postawiłem.
BOGDAN: No i co, gdzie oni są?
WALDEK: Pijani.
BOGDAN: Rozbrojeni?
WALDEK: Nie.
BOGDAN: Na co czekasz? Jak otrzeźwieją, dasz mi ich tutaj.
(Waldek nie zdążył wyjść — wchodzi inny milicjant.)
MILICJANT: Obywatelu poruczniku, na rynku złapano gościa, który chciał sprzedać maszynę do pisania.
BOGDAN: Gdzie on jest?
MILICJANT: Na rynku...
BOGDAN: Kto go pilnuje?
MILICJANT: No nikt, zobaczyłem go i przybiegłem.
BOGDAN: Jasna cholera! Brać go i wsadzić, maszynę zabrać. Filipowicz niech zrobi dochodzenie. *(łapie za słuchawkę)* Wolność, Wolność! Dajcie mi posterunek miejski. Filipowicz? Wolność! Nie przerywać! Kto tam? Dawać!
KOBIETA *(z płaczem):* Panie poruczniku — to nasze jedyne dziecko, co ja teraz zrobię?!
BOGDAN: Kołobiel! Roman! To ty! Co słychać? Mów głośniej... Tak, tak, no, no i co?... I ty kapitulujesz, opuściłeś ręce i zgodziłeś się z tym! Oni ci powiedzieli, że bez butów nie będą służyli, że boso nie pójdą na patrol, a tyś się z nimi zgodził! I to powiedzieli ci partyjniacy i ty, partyjniak, nie umiałeś im odpowiedzieć! To ja ci, Roman, powiem, my Polskę będziemy budowali bez butów!... Tak, właśnie dlatego, że oni walczyli i wywalczyli, i teraz muszą bronić boso! Ja ciebie czynię odpowiedzialnym, ani jeden milicjant nie zejdzie z posterunku!... Oli? Ja też powiem Oli! *(kładzie słuchawkę, do milicjanta)* Czego stoicie, szybciej po tę maszynę!
(Wchodzi Milicjant II.)
MILICJANT II: Protokół rewizji.
BOGDAN: Co znaleziono?
MILICJANT II: Dwa automaty niemieckie, sześć pistoletów, amunicję i paczkę dolarów...
BOGDAN: Przeliczone?
(Milicjant milczy.)
BOGDAN: To wy mi protokół przynosicie, pistolety liczyć umiecie, a dolarów już nie? Waldek! Idź z nimi. *(bierze słuchawkę telefonu)* Wolność! Łączyć ze starostą... Towarzysz Janicki?... Słuchajcie, ja muszę dostać trzydzieści par butów... Co było poniemieckie, dawno jest rozdane. Zrozumcie, ludzie rzucają służbę!... A skąd weźmie komendant wojenny? Jak będzie działała nasza intendentura, to ja do was nie będę dzwonić, towarzyszu Janicki! W Społem leżą buty... To co z tego, że majątek społeczny?... Ludzkie zdrowie też

jest majątkiem społecznym i jak tak stawiacie sprawę, to ja postawię inaczej: ja te buty zarekwiruję, ludziom dam, a wy mnie później możecie sądzić!... Wy mnie rewolucyjnej praworządności nie uczcie, wy boso na warcie nie stoicie... Staliście? To wiecie, jak to jest!... To przyślijcie ten kwit. *(dzwoni drugi telefon)* Filipowicz! Czekaj, co ja od ciebie chciałem? Aha, przede wszystkim, jak jeszcze raz się dowiem, że kogoś uderzyłeś! Co znaczy, stawiał się?!... Wiem, że nie mocno. Słuchaj, jest taka sprawa, tam na rynku ktoś handluje maszynami do pisania, zajmij się tym mądrze, bo to na pewno te maszyny ze starostwa. Tam inne rzeczy też się znajdą... A tych dwóch, tak, tak, to na pewno ci sami, ci mi ten ich major mówił, ten Chmura czy jak... Dobrze, w nocy tam ich naskoczymy... Tak, ja też pójdę. Posyłam do ciebie dwóch ludzi, im córka zginęła. Załatw tę sprawę... Nie... mam kaca jak cholera! *(odkłada słuchawkę, do pary staruszków)* Idźcie do Filipowicza.

KOBIETA *(płacząc):* Panie komendancie, my już dwa dni chodzimy.

BOGDAN: Ja wam córki nie ukradłem. *(dzwoni telefon)* Halo! To ja, dzień dobry, doktorze! *(do wychodzących staruszków)* Zaczekajcie! *(do telefonu)* Uderzeniem? Zaraz poślę kogoś z wydziału śledczego... Jak? Przez i, e, chwileczkę. Jak wasze nazwisko?

KOBIETA: Kiepka Stanisława.

BOGDAN: ...Dawno? Dobrze, zaraz tam kogoś poślę. *(do staruszków)* Idźcie do szpitala, do kostnicy.

CHŁOP: Gdzie, gdzie...?

KOBIETA *(wybucha płaczem):* O, moje dziecko, moje dziecko...

(Staruszkowie wychodzą, wchodzi kolejarz.)

KOLEJARZ *(zaraz od drzwi):* Ja się przyszedłem zapytać, jak to jest z tą sprawiedliwością ludową u was?! Ja jestem trzydzieści dwa lata kolejarzem, ale ani za sanacji, ani za okupacji nie było tak, żeby żona moja, chora, mam zaświadczenie, musiała spać na ziemi.

BOGDAN *(zmęczony):* O co chodzi?

KOLEJARZ: Ja mam jeden pokój i kuchnię, pokój o taki *(pokazuje)*, w którym mieszka siedmioro ludzi. I tak nie ma się gdzie poruszyć...

BOGDAN: Wyrzuca was ktoś z mieszkania czy co?

KOLEJARZ: Nie wyrzuca, ale mnie, robotnikowi, dokwaterować w takich warunkach jeszcze jednego lokatora...

BOGDAN: Kto wam dokwaterował? Milicja? Milicjanta?

KOLEJARZ: Nie, to nie milicjant...

BOGDAN: No to czego ode mnie chcecie?

KOLEJARZ: ...nie milicjant, tylko jakiś...

(Dzwoni telefon)

BOGDAN: Chwileczkę! *(podnosi słuchawkę)* Halo!... A to dynamo da odpowiedni prąd na Rentgena? Samochodu nie mam. O furmankę mogę się wam postarać. *(odkłada słuchawkę)*

KOLEJARZ: ...nie milicjant, tylko jakiś warszawiak.

BOGDAN: Kto mu dał nakaz?

KOLEJARZ: On mówi, że starostwo.

BOGDAN: No to idźcie do starostwa.

KOLEJARZ: Ale ja tu zaraz mieszkam, naprzeciwko, o tutaj, w tym do-

mu. Żeby ktoś ze mną poszedł, wylegitymował go, dzieciaki już trzeci dzień śpią na podłodze...

BOGDAN: Idźcie do starostwa. Jak dali nakaz, to żądajcie, żeby go odwołali, a jak nie dali nakazu, to jeszcze lepiej, to ktoś pójdzie i go wyrzuci.

KOLEJARZ: Ech, widzę, że wy nie umiecie rządzić, znów się zaczyna chodzenie.

(Kolejarz wychodzi, wchodzi Waldek.)

WALDEK: Trzysta dwadzieścia dolarów. Co z nimi zrobimy?

BOGDAN: Przekazać. Czekaj, komu się takie rzeczy przekazuje?...

WALDEK: Niech leży u nas w kasie, protokół jest.

BOGDAN: Przynieś-no szklankę.

WALDEK: Masz coś?

(Bogdan kiwa głową, Waldek wychodzi i po chwili wraca, Bogdan podchodzi do szafy i wyjmuje pełną flaszkę mętnego płynu.)

WALDEK *(przyglądając się szklance):* Trochę brudnawa.

BOGDAN: Daj.

(Pukanie do drzwi, wchodzi Woźny, ze zgorszeniem patrzy na butelkę.)

WOŹNY: To od obywatela starosty.

BOGDAN *(bierze list):* Dziękuję. *(wyjmuje kwit)* Dał mi pięćdziesiąt par butów!

WALDEK: Bogdan, przydziel mi jedne buty.

BOGDAN *(nalewając wódkę):* Przecież ty jeszcze masz dobre.

WALDEK: Ale się zedrą.

BOGDAN: To ci później przydzielę. *(pije, odstawia szklankę)*

WALDEK: Skąd wtedy weźmiesz?

BOGDAN: To się wtedy będę martwił. *(pije)*

WALDEK: Dobry bimber, skąd masz?

BOGDAN: Filipowicz wczoraj zarekwirował.

WALDEK: On się wczoraj spił jak bela... Nalej mi też.

BOGDAN *(nalewa):* Masz ten kwit, weź jakiś wózek i do „Społem" po te buty.

WALDEK: Bogdan, wezmę sobie jedną parę!

BOGDAN: Weź i nie nudź. *(Waldek wychodzi. Bogdan stoi chwilę namyślając się, bierze słuchawkę)* Wolność! Dajcie wydział oświaty. Wydział oświaty? Tu Komendant Powiatowy Milicji Obywatelskiej. Słuchajcie, jest taka sprawa. Musicie przyjąć do waszego internatu jednego chłopca... Co, przepełnienie?... To jest partyzant, zupełna sierota, teraz służy w milicji, ale się deprawuje, rozpija... Znajdziecie, znajdziecie, on musi się uczyć... Zanotujcie sobie: Waldemar Radzyń. W tych dniach się do was zgłosi. *(drugi telefon brzęczy)* Komenda Powiatowa. Dajcie ten Kałuszyn. Wacek, no, co jest? Dwóch? Czekaj, jak pseudonimy? Grom i Jaguar. Z pistoletami i amunicją, zaraz sprawdzę. *(szuka wśród papierów)* Nie, takich nie było, może to inna grupa, a nazwiska? Ten Jaguar przyznał się, jak nazwiska? Suchanek? Jest taki, ale pseudonim Jeleń. O, figuruje, że zdał broń, karabin, przy nim... ile? dziewięć dolarów, a ten drugi dwadzieścia sześć, no, przyślij mi, jeden do eskorty starczy. Instrukcje, instrukcje...

(Wchodzi Ola.)

BOGDAN: Dzień dobry!

OLA: Dzień dobry, jak ci leci?

BOGDAN: Rządzę, wydaję rozkazy, zamykam ludzi, przeprowadzam rewizje, wymyślam. Jestem uzbrojony proletariat... Napijesz się?

OLA: Napiję.

BOGDAN: Podobno wyjeżdżasz?

OLA: Tak, jutro rano.

BOGDAN: Tam, w Lublinie, lepsze wódki.

OLA *(odstawiając szklankę):* Skarżyli mi się na ciebie, Bogdanie.

BOGDAN: No?

OLA: Tak nie można. *(ostrzej)* Partyjnych ludzi straszysz pistoletem, grozisz, że zamkniesz.

BOGDAN: Kogo?

OLA: A pełnomocnik reformy rolnej?

BOGDAN: Ach ten, ja już z nim...

OLA: Co ty już z nim?! Masz z nim pracować, masz mu pomóc w dzieleniu ziemi. Pomóc! A ty straszysz i grozisz. Tak to bardzo łatwo rządzić.

BOGDAN: Wiesz przecież, co się dzieje w majątkach. W Rudzienku zabili...

OLA *(nagle innym tonem):* I tam?... Kto?

BOGDAN: Już i tam... A kto? Hrabia Ziembicz odwiedza swoje majątki...

OLA: Ilu ich jest jeszcze na powiecie?

BOGDAN: Kogo? Bo są różni...

OLA: No, tych z wołyńskiej dywizji AK.

BOGDAN: Przyszło ich przeszło pięćset, tak, razem, dwustu poszło do wojska, to wiem, ponad drugie tyle zdało broń...

OLA: Wszystką?

BOGDAN: A skąd ja mogę wiedzieć, na pewno nie wszystką, ale porozłazili się, po chałupach siedzą. Na ochotnika się nie zgłosili, a pobór będzie dopiero za dwa tygodnie. Zobaczymy, ale prawie stu wsiąkło, poszli do bandy Ziembicza.

OLA: Pamiętasz, jak nam w oddziele towarzysze mówili o jakiejś historii z kapitanem Janem z AK. Podobno na tle rywalizacji z Gromem-Ziembiczem czy nawet różnicy poglądów politycznych napuszczono go na silny oddział niemiecki. Trzeba to sprawdzić.

BOGDAN: Pamiętam, ale po co? To są ich sprawki. Kto tego teraz dojdzie?...

OLA: A ty myślisz, że teraz takie konflikty nie istnieją? To są żywi ludzie, którzy myślą, patrzą, przeżywają konflikty, a ty mówisz: „stu". Nimi trzeba się zająć.

BOGDAN: Mało się zajmuję?

OLA: No tak, ale tymi, co tutaj byli i jeszcze są, powinieneś się bliżej zająć.

BOGDAN: A co ja innego robię?

OLA: Nie tak. Sprawdziłeś, czy ten major nie straszył ich? Może groził?

BOGDAN: A to nie mają oni swojego rozumu? Ja ci już swoje zdanie powiedziałem. Trzeba było ich wszystkich zamknąć, jak tu jeszcze stali.

OLA: To było głupie zdanie, wszystkich pięciuset?

BOGDAN: Nawet i pięciuset.

OLA: A tych dwustu, którzy poszli do wojska? A te drugie dwieście, co

rozeszło się do domów? Ty myślisz, że oni prysną do lasu? A ja ci mówię, że nie. Trudno, musimy mieć do ludzi zaufanie. Część z nich czeka, większa część nastraszona, przycupnęła, bo się boi. Dwadzieścia parę lat straszono ich komunistami, z ambony straszono, w szkole straszono, w książkach. I do nich chciałeś przyjść z nakazem aresztowania? Nie poszli za majorem, bo mu przestali wierzyć, do wojska nie poszli, bo nam jeszcze nie wierzą, a wiesz, co ty byś zrobił tym swoim zdaniem? Że uwierzyliby majorowi i poszli do lasu na każde jego zawołanie.

BOGDAN: Jak zawoła...

OLA: Teraz jeszcze, jak zawoła, to pięciu, dziesięciu pójdzie, ale za rok... *(Bogdan milczy.)*

OLA: Władza ludowa nie będzie trwała miesiąc...

BOGDAN: Pietrzak zginął...

OLA: Zginął... Ty się boisz? Może ty się boisz i dlatego...

BOGDAN: No wiesz!

OLA: Dlaczego, dlaczego nie możesz zrozumieć, że... Bogdan, przypomnij sobie, przypomnij sobie te lata, tak od początku, jak wstąpiłeś do Partii, jak chodziłeś na pierwsze akcje. Wiedziałeś, o coś walczył, przecież wiedziałeś!

BOGDAN: I teraz wiem.

OLA: Nie, nie wiesz. Tak jak mi powiedziałeś, że wydajesz rozkazy, aresztujesz i że... Robisz to, ale nie wiesz, dlaczego, nie rozumiesz. I widzę, że trzeba ci przypomnieć, o coś walczył. Co z tobą jest?

BOGDAN: Ty mi wspomnień nie przywołuj!

OLA: A to dlaczego!?

BOGDAN *(wybucha)*: Co by było, jakbym ja usiadł za tym biurkiem i wspominał!

OLA: A co z tego, że ty siedzisz za tym biurkiem i wydajesz rozkazy! Głupie rozkazy!! Ludzi straszysz, ludzi zrażasz do władzy ludowej! Przez ciebie ludzie opacznie pojmują politykę Partii. Nie wspominasz, nie chcesz, żeby ci przywoływać wspomnienia. A ja myślę, że te wspomnienia pozostaną, i dobrze, że pozostaną.

BOGDAN: Mam takich, co z warty schodzą, bo mają wspomnienia, co to mówią — ja walczyłem, ja tego dokonałem, tamtego dokonałem, tamto przecierpiałem, więc na warcie stać boso nie będę. Sam walczę ze swoimi wspomnieniami, bo przeszkadzają, a to, że... No, przeszkadzają. *(nalewa Oli i sobie wódkę, swoją podnosi do ust)* Pij! *(Ola bez słowa odbiera szklankę Bogdanowi)* Sama wiesz, jak jest.

OLA: W czym ci one przeszkadzają?

BOGDAN: Te wspomnienia?...

OLA: Wspomnienia.

BOGDAN: Wczoraj była u mnie matka Pietrzaka. To był jej jedyny syn. Przyszła, żeby chociaż dać jej jaki czarny garnitur. Czarny garnitur... Powiedziała, że „jak zginął dla was, to chociaż powinniście mu dać..." To już trzecia matka przychodzi do mnie w tym tygodniu. I co ja im mam mówić?! Że zachowamy pamięć o nich? Że jak już będzie jaśniej, piękniej... Olu, kiedy oni przestaną strzelać?

OLA: Mój Janek... Czekaj, ile ty masz lat?

BOGDAN: Osiemnaście.

OLA: Teraz miałby dwanaście, też pytał się: „Mamo, kiedy oni przestaną się strzelać?" A jeszcze przedtem pytał się: „Kiedy będzie wreszcie ten twój świat, żeby nie ganiali ciebie z więzienia do więzienia?"

BOGDAN: Przecież nie wiesz na pewno...

OLA: Nic nie mów... Zabili go... Nic nie mów... Kiedy przestaną strzelać? Chcesz, żeby ci odpowiedzieć, że za rok, za miesiąc, za dwa lata... Wtedy przestaną strzelać, kiedy już wszyscy ludzie zrozumieją, do czego tamci dążą i do czego my dążymy. I ty w tym zrozumieniu musisz ludziom dopomóc, ale ty sam nie rozumiesz. Siedzisz, rządzisz i tylko tym *(ruch ręką)* żyjesz. Nie widzisz dalej. Nie poznaję cię, rozżalony jakiś, rozczarowany. Pamiętam, jak mówiłeś, tu nawet, w tym pokoju, dlaczego wolność nie wygląda jak wielkie święto, dlaczego nikt nie śpiewa. Bo ty myślałeś, że jak już przejdziemy front, to skończy się walka, to już tak wszystko będzie dobrze, to już będzie tak, jak marzyłeś... To ty niesłuszne miałeś marzenia. I stąd rozczarowanie. A teraz nie marzysz, no, o niczym nie marzysz? Powiedz, tak do tej Oli, nie do sekretarza wojewódzkiego, o czym marzysz? *(Bogdan milczy)*

BOGDAN: A tak, czasami, jak nieraz budzę się po nocy i myślę, skąd wziąć ludzi na posterunki, skąd wziąć dla nich buty. Ach, jakie to tam teraz marzenia!

OLA: Ale przecież marzysz?

BOGDAN: Ludzie bez marzeń żyją i dobrze im jest... No, myślę sobie tak o tej przyszłości. O tym, że jak te miasta będziemy już budować, te takie wielkie, nowe, że jak już będziemy budować i zbudujemy te piękne, wielkie fabryki. No, kiedy już wszystkie dzieci będą chodziły do szkół i żarówka w każdym domu. I... no o tym wszystkim, o czym kiedyś marzyłem... Ale to trochę tak jak w dzieciństwie. To tak jak marzenie o podróżach i nowych lądach! Kiedy to będzie? Ten... nasz świat, kiedy już strzelać nie będą. To tylko nasi ludzie potrafią tak marzyć.

OLA: Czas już skończyć z tym podziałem na naszych i nie naszych. Dziel na wrogów.

BOGDAN: A, o wrogach w ogóle się nie mówi. Dzielę świat na tych, co myślą tak jak my, i na tych, co — wydaje mi się — w ogóle nie myślą.

OLA: Ludzi trzeba uczyć myśleć i marzyć. Dla tych marzeń ludzie przychodzili do Partii, walczyli, ginęli. Te miasta będą...

BOGDAN: No wiesz... Front na Wiśle, banda hrabiego Ziembicza gdzieś niedaleko, kto wie, czy nie szykują się może właśnie teraz do najścia na miasto, a my tu o marzeniach. Niepotrzebnie ci tylko o nich mówiłem, ja tylko tak, czasami. *(telefon)* Halo! Filipowicz?! Masz już furmanki. Tak, zaraz jedziemy. Te maszyny załatwiłeś? Przyzna się, tylko nie bij! *(odkłada słuchawkę)*

OLA: Dokąd jedziesz?

BOGDAN: Otrzymaliśmy meldunek, że w Drawsku ukrywa się kilku bandziorów, właśnie jedni z tych stu.

OLA: Kto ci meldował?

BOGDAN: Nie mnie, Filipowiczowi, ktoś ze starostwa. O, to są moje marzenia. Ty mi powiedz, jak mam otoczyć bandę hrabiego Ziembicza?

OLA: Bandę Ziembicza trzeba otoczyć, po to ty tu jesteś, ale chodzi o to, abyś i ludzi uczył myśleć, a tego nie dokonasz nakazami aresztowania. To

nie są tylko twoje marzenia. Ucz ludzi myśleć, ucz ich swoich marzeń, oczy im otwieraj.

BOGDAN: Wyjeżdżasz już?

OLA: Tak, nie mogę przecież zajmować się tylko milicją.

BOGDAN: Olu, czy te miasta będą?... *(Ola bez słowa przytakuje głową. Wychodzi).*

BOGDAN *(podchodzi do okna, woła):* Służbowy! *(wchodzi Milicjant)* Wzięliście miarę na siatkę w oknach? Kiedy stolarz ją nam zrobi? Jeszcze granat tu podrzucą.

MILICJANT: Nie miałem czasu, zaraz zrobię. *(wyjmuje „calówkę", mierzy)*

BOGDAN: Jak to nie mieliście czasu? Przecież mówiłem, żeby zaraz.

MILICJANT: Szkolenie było i towarzyszka Ola...

BOGDAN: A...

MILICJANT: ...mówiła nam o otoczeniu kapitalistycznym.

BOGDAN: No co, zrozumieliście wykład?

MILICJANT: Pewnie! Ja już dawniej wiedziałem, co to jest to otoczenie... Dobrze by nam było bez niego, no nie?

BOGDAN: Ano tak.

MILICJANT: Magazynier mówił, że o taką siatkę trudno będzie.

BOGDAN: Wystarajcie się koniecznie.

(Wchodzi Waldek)

WALDEK: Filipowicz już czeka z podwodą.

BOGDAN: Już idę. *(bierze automat)*

WALDEK: Weź mnie z sobą.

BOGDAN: Ty tu zostaniesz. Jak będzie telefon z Kołobieli, to powiedz, że buty są, niech kogoś przyślą po nie, ale sam nie dzwoń.

WALDEK: Kiedy wrócisz?

BOGDAN: Rano. *(wychodzi)*

(Waldek czeka, aż jego kroki oddalą się, bierze butelkę wódki, dzwoni telefon.)

WALDEK: Komenda Powiatowa Milicji Obywatelskiej, kapral Waldemar przy telefonie... A, to ty, Roman... Nie, Bogdana nie ma, ale kazał ci powiedzieć, że buty są, przyślij kogoś, ale ci mówię, fajne kamaszki. Co!... Co!! Nie żartuj! Dawaj ją...! Zosieńka!!! Żyjesz!!! Ale się Bogdan ucieszy!

ODSŁONA 2

Pusty pokój, na stole leży automat, butelka po wódce. Za oknem starosta Cieślak i kolejarz.

STAROSTA: Mówię wam, że sprawdzałem i starostwo żadnego takiego nakazu kwaterunkowego nie wydało. Jak mogliście w ogóle wpuścić kogoś do swojego mieszkania bez nakazu? Sami jesteście sobie winni.

KOLEJARZ *(zdenerwowany):* No tak, ja jestem winny. Widzę, że już zawsze tak będzie, że biedny człowiek będzie winny. Ja nie mam dzieci gdzie położyć, tydzień już śpią na podłodze.

STAROSTA *(zmęczony):* Powtarzam wam, zwróćcie się do milicji, oni sprawdzą, co to za jeden.

KOLEJARZ *(natarczywie):* Chodźcie, to tu zaraz, i wylegitymujecie go.

STAROSTA: Czekajcie, ja sam powiem komendantowi.

(Słychać kroki na korytarzu, kolejarz stoi chwilę, przechodzi na drugą stronę ulicy i znika w sąsiednim domu.)

STAROSTA *(wchodzi do pokoju, rozgląda się):* Jest tu kto? *(podchodzi do stołu, sprawdza automat, bierze do ręki butelkę, energicznie wraca do drzwi)* Służbowy, służbowy!

MILICJANT *(za sceną):* Czego? *(bliżej)* Kto się tam drze! *(wchodzi w stroju półwojskowym, niedbale niesie karabin. Staje w drzwiach)* O co chodzi?

STAROSTA: Co tu za porządki? Broń nabita, jakieś urzędowe papiery na wierzchu. Wejdzie ktoś, ukradnie...

MILICJANT: Ee tam...

STAROSTA: Gdzie komendant?

MILICJANT: Nikt nie ukradnie, a komendant na akcji. Waldek tu siedział, gdzieś poszedł.

STAROSTA: Jak wy stoicie, jak wy trzymacie karabin! Wy na służbie?

MILICJANT: A bo co? Jak trzeba, to ja go dobrze trzymam, a wy nie krzyczcie, bo do krzyczenia to nas tu jest dużo, ale jak dwie doby stałem na warcie, to zluzować mnie nie miał kto. Zaraz Waldka zawołam. *(krzyczy)* Waldek! Waldek! *(z kimś rozmawia)* Gdzie Waldek? Szczeniak zostawił automat na stole i teraz awantury. Zaraz wróci. *(odwraca się do starosty)* Zaraz Waldek wróci, a co żeście chcieli?

STAROSTA: Z komendantem chciałem.

MILICJANT: Komendant na akcji.

(Milicjant spojrzał w okno, nagle drgnął i zaczął pośpiesznie porządkować mundur. Przybiera zasadniczą postawę. Za oknem szybko przechodzi Ola. Słychać jej kroki i głos na korytarzu.)

OLA: Bogdan jest?

MILICJANT *(służbiście):* Nie, nie ma, towarzyszko, jest na akcji.

OLA *(wchodząc):* A Waldek?

MILICJANT: Powinien zaraz być.

(Ola na widok Starosty staje zdumiona, tak samo Starosta.)

OLA: Paweł!...

STAROSTA: Katarzyna!...

OLA *(podchodząc):* Katarzyna... Jak to było dawno! Paweł, ty żyjesz? Mówili mi towarzysze z Berezy...

STAROSTA: Mnie też towarzysze mówili, że... I ty żyjesz! To ty jesteś ta Ola?

OLA: Tak, teraz jestem Ola i już tak zostanę, nie trzeba zmieniać imion. A ty Paweł?

STAROSTA: A ja Paweł.

(Pauza.)

OLA: A co ty tu robisz?

STAROSTA: Jestem starostą.

OLA: No tak. *(uśmiecha się)* Dobrze, że żyjesz, jest taka sprawa do załatwienia. W Kamionce ta stara dziedziczka wywiozła wszystko zboże, także i to, które miało iść do podziału między fornali. W to i miejscowy wójt jest

zamieszany. Trzeba im posłać chociaż z pięć ton żyta, ludzie nie mają chleba. Masz jakieś zboże?

STAROSTA: Pięć ton trudno będzie.

OLA: Na razie ile możesz, a Bogdan gdzie?

MILICJANT *(który cały czas stał w drzwiach):* Bogdan jest na akcji, towarzyszko Olu.

OLA: Ach prawda, kiedy wróci?

MILICJANT: Powinien z rana... coś się musiało stać. A bo co, może ja załatwię?

OLA: Tam w tym majątku zamordowano dziewczynę. *(szuka po kieszeniach notesu)* Może słyszeliście coś o tym?

MILICJANT: Może to tę Kiepkę Stanisławę? Ja prowadziłem śledztwo.

OLA: Tak, tak, Kiepka. Ona podobno zauważyła, jak wywożą to zboże, i właśnie wtedy... Trzeba tam jechać.

MILICJANT: To ja pojadę.

STAROSTA: Mówiliście, że trzy doby...

MILICJANT: Eee tam, szkoda gadać. Ja was przepraszam, towarzyszu starosto, ja nie wiedziałem, że wy... tego... z towarzyszką Olą...

OLA: A co, co?

STAROSTA: E, nic.

OLA: To jedźcie, jedźcie tam jak najszybciej.

MILICJANT: Towarzyszko Olu, Zosia się podobno znalazła!

OLA: Zosia? Bogdana? Skąd wiecie?

MILICJANT: Waldek mówił. No, ale ja już idę.

OLA *(gdy wyszedł):* Dobre chłopaki. *(starosta robi nieokreślony ruch ręką)* Mieliście z nim jakieś zatargi?

STAROSTA: Zatargi nie, ale im się wciąż zdaje, że to jeszcze partyzantka.

OLA: To minie, trzeba ich nauczyć, jak należy żyć. Poza partyzanckim życiem innego nie zaznali. A wy z Pierwszej Armii?

STAROSTA: Z Pierwszej Armii, a wy cały czas tutaj?

OLA: Cały czas tutaj.

STAROSTA *(przypominając sobie):* Wy mieliście syna, tak, tak, przypominam sobie dokładnie, był wtedy na naszej rozprawie w Brześciu, siedział na sali w pierwszym rzędzie. Ile on wtedy mógł mieć lat? Osiem? Gdzie jest teraz? *(Ola milczy. Starosta po chwili)* Tak, ja swojej rodziny też nie zastałem... banderowcy...

OLA: O, idzie Waldek.

WALDEK *(wbiega wołając):* Zosinek, to tutaj, tutaj! *(do Oli)* Ola! Zocha się znalazła!

(Wpada Zosia w żołnierskim płaszczu, z plecakiem i automatem.)

OLA: Co się z tobą działo? Dlaczego nie dawałaś znaku? Wszyscy myśleliśmy, że wtedy, na tej wsypie w Lublinie, i ty wpadłaś!

ZOSIA: Wpadły tylko moje dokumenty, dlatego nie mogłam wracać, byłam w oddziale Bema.

OLA: Ty w wojsku?

WALDEK: Odkomenderowana na partyjną robotę, ale ją Bogdan zatrzyma przy nas!

OLA: Tak?

ZOSIA: Tak. Co z Bogdanem? On jako komendant milicji! Jak mogliście na to pozwolić.

STAROSTA: Nawet dobrze się wywiązuje... a może *(do Oli)* towarzyszka by do nas przyszła, do starostwa.

OLA: Nie, ona do nas, do Komitetu Wojewódzkiego, stary łącznik, zna teren większy niż ten powiat i ludzie ją znają.

STAROSTA: Wiesz, jak mi brak ludzi.

WALDEK: A u nas co? Batalion rezerwowy mamy?

OLA: Przecież nie będzie stawiał jej na warcie.

WALDEK: Pewnie że nie, ale sekretariat by poprowadziła, patrz, jaki bałagan, sprawozdań nie ma kto pisać.

ZOSIA: Nie ma się o co kłócić, już mam skierowanie do ciebie.

OLA: To świetnie.

STAROSTA: A może kogoś z Komitetu byście mi dali?

OLA: Ludzi, ludzi. Ludzie nawet są, ale roboty tyle. Będziecie mieli kogoś tam na tego nowego wójta?

STAROSTA: Właśnie nie.

OLA: Zobaczymy, przyjdźcie do Komitetu. *(do Waldka)* Waldek, co z Bogdanem?

WALDEK: Dzwoniłem tam na posterunek, dyżurny mówił, że była jakaś strzelanina, ale nic więcej nie wiedział.

STAROSTA: We wsiach znów pokazał się hrabia Ziembicz.

OLA: Waldek, zadzwoń-no jeszcze raz na ten posterunek.

(Waldek przez cały czas aż do uzyskania połączenia będzie wywoływał „Wolność" i żądał połączenia z posterunkiem Drawska. Wchodzi Skrzetuski z papierami.)

OLA *(do Zosi)*: A ty będziesz miała podwójną robotę, w Komitecie i z Bogdanem. No cóż, towarzyszu starosto, może damy im ślub?

STAROSTA: Nie ma ustawy, trzeba by księdza.

OLA: Nawet nie pytałam się Zochy, Zocha, chcesz? *(pauza)* A Bogdan?

ZOSIA: Nigdy z nim o tym nie mówiłam, wiesz, jak to było.

SKRZETUSKI: Przepraszam, obywatelu starosto, ale to pilne.

STAROSTA: Dajcie. *(przegląda)* Tylko tyle mięsa dla fabrycznej stołówki?

SKRZETUSKI: Nie ma.

STAROSTA *(podpisuje)*: Słusznie. Klarmana niech przyjmą z powrotem *(do Oli)* W pierwszych dniach ludzie tak byli uczuleni, że wszystkich o niemieckich nazwiskach traktowali jako współpracowników Gestapo, nawet starych mieszkańców tego miasta. *(do Skrzetuskiego)* Dziękuję, proszę to natychmiast wysłać.

(Skrzetuski wychodzi.)

OLA: Co to za jeden?

STAROSTA: Warszawiak, jeden z pierwszych zgłosił się do pracy.

OLA: A wiecie, co to za jeden?

STAROSTA: Wypytywałem się, ale nikt go tu nie zna. Nie mam ludzi, do pracy zgłosiła mi się zaledwie jedna trzecia urzędników, a jacy oni są i jak pracują, możecie sobie wyobrazić... Ten, to nawet dość sprawny. O, cholera, zostawił jedno podanie... Pewnemu tutaj kolejarzowi dokwaterowali lo-

katora, sam ma siedmioro dzieci i jeden pokój. I powoływali się na rozporządzenie starostwa. Trzeba tego lokatora stamtąd usunąć. *(wstaje i otwiera drzwi, rozglądając się po korytarzu)* Panie Michalak! Niech pan to zaniesie Tyrańskiemu.

WOŹNY *(za sceną):* Zaraz... Ależ tu brudno. Przyślę Dziewońską, żeby posprzątała.

STAROSTA: Dobrze, dobrze.

OLA: Bogdana wciąż nie ma. Co się tam stało?

(Dzwoni telefon. Waldek podnosi słuchawkę.)

WALDEK: Komenda, tak... W drodze... A Bogdan? I kto jeszcze ranny?... Dwóch z waszego posterunku. Dobrze, zadzwonię do szpitala!

ZOSIA: Co z Bogdanem?

WALDEK: Z Bogdanem w porządku, Filipowicza zabili.

STAROSTA: Tego z miejskiego posterunku.

WALDEK: Tak i jest dwóch rannych. *(kręci korbką)* Wolność! Wolność! *(pauza)* Wolność! Jak długo trzeba czekać na was? Dajcie szpital! Komenda Powiatowa Milicji Obywatelskiej, kapral Waldemar. Jest doktor?... Jak skończy operacje, to powiedzcie mu, żeby natychmiast jechał do Drawska, tam jest dwóch rannych... Nie wiem, jaka rana, jasne, że od kuli... Nie można przewieźć... Felczera to wy wysyłajcie do czyraków!

OLA: Waldek, nie można tak.

(Waldek macha ręką.)

WALDEK: To niech jedzie ten młody... Czym chce, rowerem, furmanką, pieszo, aby natychmiast...

OLA: Czekaj, ja załatwię samochód.

WALDEK: Zaraz będzie samochód, niech się przygotuje. *(odkłada słuchawkę)*

OLA: Połącz z komendanturą.

WALDEK: Wolność! Dajcie Wołgę! Wołga!? Praszu wojennu kamendanturu!

OLA: Daj, daj! *(bierze słuchawkę)* Wojenna Komendantura? *(mówi po rosyjsku)* Towarzyszu pułkowniku... *(do Waldka)* W jakiej to wsi?

WALDEK: Drawsko.

OLA: ...we wsi Drawsko bandyci ranili dwóch milicjantów... Nie, teraz już wszystko w porządku, trzeba tylko na miejsce zawieźć doktora... Tylko samochód, lekarz nasz pojedzie. Karetka pod szpital. Dziękuję! *(słucha)* No, pogadamy jeszcze. *(odkłada słuchawkę, bierze Waldka za włosy, żartuje)* Ty „wojennu Kamendanturu".

(Tupot nóg, wchodzi Bogdan, ma zabandażowaną rękę, jest wzburzony.)

BOGDAN: Filipowicza zabili! *(nie dostrzega Zosi)* Mówili nam we wsi, że... *(spostrzega Zosię)* Zocha!! Zosinek mój!! *(podają sobie ręce)*

ZOSIA: Wszystko ci później opowiem, a ty? *(dotyka opatrunku na ręku)*

BOGDAN: Głupstwo! *(do wszystkich)* Zajechaliśmy na tę wieś, żeby ich aresztować, a ludzie mówią nam: „Panowie — to spokojni chłopcy." Poszliśmy do nich na śmiałego, sprawdzić tylko, co za jedni. Siedzieli w domu, Filipowicz wszedł pierwszy i jego na miejscu zastrzelili, a... dwóch ranili.

OLA: Co z nimi?

BOGDAN *(wzrusza ramionami):* Co, miałem czekać, aż mi wszystkich wystrzela?

OLA: Obydwóch?

BOGDAN: Jeden poddał się. Ja od razu chciałem ich wszystkich pozamykać, jak jeszcze tu siedzieli...

WALDEK: To któryś z nich?

BOGDAN: Tak, ci sami, o których ten major mówił, Chmura i Dąb. Siedzieliby w piwnicy, to byłby spokój.

OLA: Wszystkich nie można zamykać, co ty chcesz...

BOGDAN: Co ja chcę, mniej ofiar, mniej trupów i mniej bandytów po lasach, bo z nich tylko bandyci...

OLA: Trzeba im tłumaczyć, Bogdanie!!

BOGDAN: Idź, wytłumacz matce Filipowicza, wytłumacz jego żonie i temu dziecku, które będzie za trzy miesiące. Każda inna matka, której mąż zginął na froncie, w obozie, w więzieniu, będzie w stokroć szczęśliwszej sytuacji niż ona. *(krzyczy)* Tamta, tamta matka będzie mogła powiedzieć swojemu dziecku: „Twój ojciec zginął na froncie, twojego ojca zamęczyli faszyści, zabiło Gestapo..." A ta, co powie? Bo dziecko ją kiedyś zapyta... Co odpowie dziecku? Że ojca zabili Polacy? *(krzyczy)* A dziecko się zapyta, którzy! Przecież będzie żyło wśród Polaków. Będzie chciało, aby matka wskazała mu ręką, którzy to. *(pauza)* Podobno kula z tyłu bardziej boli. Bo jak ranią wprost, z początku nic się nie czuje.

STAROSTA: Ile lat miał ten Filipowicz?

OLA: Dwadzieścia.

BOGDAN: Chciałbym mieć dzieci... *(mocniej)* Ale chciałbym zaoszczędzić swoim dzieciom tej tragedii! Waldek! Dzwoń po wszystkich posterunkach. Ostre pogotowie, dziś w nocy obława! Wyaresztujemy ich wszystkich... Pozamykamy!

(Waldek bierze za słuchawkę, ale Ola kładzie rękę na telefonie.)

OLA: Co chcesz zrobić — wojnę domową!?

BOGDAN: Ja nie, to oni chcą i skoro chcą — będą ją mieli...

OLA: Nie wolno ci nawet tak myśleć!...

BOGDAN *(bierze słuchawkę od Waldka):* Daj, ja zadzwonię!

OLA: Nie!!!

(Milczenie)

AKT III

ODSŁONA 1

Ten sam pokój wieczorem, siedzą Zosia i Bogdan. Bogdan jest przygnębiony.

BOGDAN *(powtarza z uporem):* Ola nie miała prawa, nie miała prawa. Teraz ich jeszcze wszystkich mogę wygarnąć, chociaż tych dwustu, co siedzą po domach i czekają.

ZOSIA: Ola miała prawo.

BOGDAN *(zirytowany):* Ja jestem komendantem.

ZOSIA: Bogdan! Czy poza tym *(wskazuje ręką pokój)* nic więcej nie widzisz, nic więcej nie możesz zrozumieć?...

BOGDAN: Ty znałaś Filipowicza?... Nie? Co ten chłopak przeżył, co przeszedł! Ojciec komunista, siedział w więzieniu, a w domu był głód. W partyzantce poznał dziewczynę... Pokochali się tak jak my, marzyli tak jak my... *(cicho)* Jak on się cieszył z tej wolności.

ZOSIA: Niejeden zginie.

BOGDAN: Przestańmy, dlaczego nawet w takiej chwili, kiedy odnalazłaś się, musimy mówić o tych rzeczach?

ZOSIA: I zawsze tak będzie, zawsze będziemy mówili przede wszystkim o tych sprawach. *(pauza)* Nie potrafimy mówić o miłości... Kochamy się, a mówić o tym nie potrafimy... Może będą mieli kiedyś do nas o to żal, może będzie to i słuszny żal, że o miłości mówić nie potrafimy... Budować będziemy, wybudujemy i będziemy szczęśliwi. Pamiętasz: „będzie jaśniej i piękniej, będzie radość i będzie śpiew".

BOGDAN *(podchodzi do okna):* Budować, budować. Od tygodnia cicho na froncie. Żołnierze leżą zmęczeni, nie ma ich kto zluzować, a mają w nogach pół tysiąca kilometrów ofensywy. Kiedy my tory odbudujemy? *(pauza)* O... idzie kapitan Siergiej Michajłowicz!

ZOSIA: Kto to taki?

BOGDAN: Lotnik, chodzę do niego codziennie po komunikaty, on czasami do mnie zachodzi. Wspaniały człowiek, zobaczysz.

(Wchodzi Kapitan.)

KAPITAN: Witajcie!

BOGDAN: Cześć, są komunikaty?

KAPITAN: Są, nawet dwa. Znalazłem wreszcie piecyk, a poza tym Bukareszt wzięty, dzisiaj rano. Znaczy, dzisiaj rano znalazłem piecyk. A u ciebie? *(widzi opatrunek)* Znów ranny?

BOGDAN: Znów.

KAPITAN: Ot, durak ze mnie. Tu siedzieli, pistolet leżał na stole, a ja myślałem, że to twoi ludzie. A to kto?

BOGDAN: Przepraszam, zapomniałem przedstawić, żona.

KAPITAN: Zofia Lwowna, bo ja was znam, znam! Ileż on mi o was naopowiadał. A jaka cudna, a jaka piękna, a jaka dobra. No, pocałujmy się! Ja też piękny jestem! No, to trzy dobre komunikaty! Ja znalazłem piecyk, ty żonę i Bukareszt wzięty! Można się napić?

BOGDAN: Napijmy się. *(nalewa)* Tylko jedna szklanka.

KAPITAN: Gorsze to, że butelka niepełna!

BOGDAN: Zaraz będzie. *(bierze słuchawkę)* Wolność! Dajcie posterunek miejski. Posterunek? Fili... *(pauza)* No, jak tam u was, wszystko w porządku... Komendant. Słuchajcie, tego cukru dużo jest tam u was? Usypcie dziesięć kilo, dla żony Filipowicza... Ja pokwituję. Klucze od jego pokoju kto ma?... Ja tam przyślę Waldka, to dajcie mu te klucze. *(odkłada słuchawkę, woła Waldka)* Waldek! *(wchodzi zapłakany Waldek)* Wiesz, gdzie Filipowicz trzymał wódkę? Tam w szafie, pod oknem. Skocz, kochanie, dolej tutaj. Klucze da ci dyżurny.

WALDEK *(z płaczem):* Obywatelu poruczniku, ja nie pójdę do tej szkoły! Naszych strzelają, a ja się będę uczył!

BOGDAN: Właśnie dlatego, kapralu Waldemarze.

WALDEK *(wychodząc):* Ja nie pójdę!

KAPITAN: A wiecie, jak ja ten piecyk znalazłem? Wyszedłem rano na miasto i poszedłem poszukać tam, w stronę fabryki. Patrzę, na wartowni mają piecyk. Mówię im, pożyczcie mi, a oni mówią, nie możemy, ale jak wam tak potrzebny, to za dwie, trzy godzinki zrobimy wam taki piecyk. I zrobili. Ja od razu po oczach poznałem, że to dobrzy ludzie, bo komunistów to się po oczach poznaje. *(pauza)* Ciężki dziś miałem lot, myślałem, że już ze mną koniec. Nie łatwo jest żyć komuniście, ale ciężej umierać, wie przecież, ile traci. No co, czemu nic nie mówicie? Też wam ciężko? Ano, wy też komuniści. *(do Zosi)* On to taki trochę anarchista. Młodość! Ale nie martwcie się, rozpaczać... to nie my. *(Waldek przynosi wódkę.)* Nie, nie, nie będę dziś więcej pić. Jutro mam ciężki lot, a wy ciężki dzień... my nigdy nie mamy lekkich dni. Do widzenia! Przyjdźcie jutro posłuchać komunikatów, u mnie teraz ciepło, mam piecyk. *(w drzwiach)* Jutro mam znów lot za Wisłę... Piękna jest ta wasza Polska, tak piękna, jak moja Rosja. *(wychodzi)*

BOGDAN *(do Zosi):* Trzeba by było iść do żony Filipowicza... Zanieść ten cukier. Pójdziesz ze mną?

ZOSIA: Pójdę.

BOGDAN: Waldek, tutaj ma przyjść ten z góry, od starosty, będzie przeglądał niemieckie papiery w tych dwóch szafach. Uważaj na niego, nie daj mu nigdzie zaglądać. Zresztą czekaj. *(zamyka szuflady)* A ty się nie martw.

(Wychodzi. Waldek zostaje sam, po chwili nalewa sobie kieliszek wódki, wypija, nalewa drugi. Wchodzi Skrzetuski.)

SKRZETUSKI: Ja tutaj mam przeglądać papiery.

WALDEK: To przeglądajcie. *(wypija drugą szklankę, ale się krztusi)*

SKRZETUSKI: W takim młodym wieku i tyle pić.

WALDEK: Co was to obchodzi, róbcie swoje, więcej przeżyłem od was.

(Wchodzi Woźna.)

WOŹNA: Tu rzeczywiście trzeba pozamiatać.

(Waldek nie odpowiada, Woźna zamiata, zamieciony kurz i papiery wsypuje do kosza, kosz wynosi. Po chwili wraca z pustym koszem. Dostrzega śpiącego Waldka.)

WOŹNA: Zmęczony. *(nachyla się)* Zasnął. Takie to młode i już musiało walczyć.

SKRZETUSKI *(ironicznie):* Zmęczony? Pijany.

WOŹNA: E, co też pan opowiada. *(wychodzi)*

(Skrzetuski przegląda papiery, wchodzi doktor.)

DOKTOR: Jest kto z komendy? *(widząc Skrzetuskiego)* To pan tu pracuje?

SKRZETUSKI: Nie, ja na górze, w starostwie, tu tylko porządkuję te rzeczy. Ma pan jakiś interes?

DOKTOR: Tak, jeden z tych rannych milicjantów, co mi go dziś przywieźli, umiera, chce złożyć zeznania. *(chce budzić Waldka)*

SKRZETUSKI: Zaczekaj pan, panie doktorze, co to za jeden, ten milicjant?

DOKTOR: To nawet jeden z waszego oddziału. Zaraz, zaraz, ja go badałem. *(szuka w notesie)*

SKRZETUSKI: Waszego — chyba naszego.

DOKTOR: Wszystko jedno. Tak, ognisko w lewym płucu, badałem go — Mściciel...

SKRZETUSKI: Mówi pan, że umiera...

DOKTOR: Tak, trzeba natychmiast go obudzić, niech kogoś przyślą, bo to może ważne zeznanie, a on niedługo pociągnie. *(ponownie chce budzić Waldka)*

SKRZETUSKI *(zniecierpliwiony):* Chwileczkę, doktorze. *(sprawdza, czy Waldek rzeczywiście śpi)* Mam polecenie porozumienia się z panem...

DOKTOR: Polecenie porozumienia się ze mną?...

SKRZETUSKI: Tak, od majora Groma...

DOKTOR: Ach, partyzantka już się skończyła. Major Grom, pułkownik Błyskawica!

SKRZETUSKI: Pan mówi, że się skończyła, skąd pan o tym wie, myśmy takiego rozkazu jeszcze nie otrzymali. Pan, panie kapitanie, jest oficerem służby czynnej, jest pan oficerem Armii Krajowej, która istnieje! Jest pan lekarzem naszej jednostki, podlegającej majorowi Gromowi, którego ja w tej chwili tu zastępuję.

DOKTOR: Więc czego chcecie?

SKRZETUSKI: Pan jest dyrektorem szpitala, tak?

DOKTOR: Tak.

SKRZETUSKI: Więc pan musi zrezygnować z tego dyrektorstwa, musi pan przestać zajmować się szpitalem!

DOKTOR: Coo!!! Ja!!! Ja jestem prawie jedynym lekarzem w tym szpitalu! Mam czterystu chorych zostawić bez opieki?!

SKRZETUSKI: Tak.

DOKTOR: Zwariowaliście!

SKRZETUSKI: Taki jest rozkaz.

DOKTOR: Rozkazy możecie wydawać wy sobie, jeżeli was to bawi. Przestać zajmować się szpitalem, dobre sobie! To jest moje rodzinne miasto, pan wie? Tu wszyscy, którzy chodzą po ulicach albo siedzą teraz w domach, a także ci, którzy leżą w szpitalu, to są moi znajomi albo przyjaciele. I ja, ja mam opuścić szpital!!

SKRZETUSKI: Słyszał pan rozkaz, czy pan go wykona?

DOKTOR: Nie, ani tego, ani żadnego innego!

SKRZETUSKI: Ciszej! Bez względu na konsekwencje?

DOKTOR: Co wy mnie straszycie konsekwencjami, kim wy jesteście, jaką macie tu władzę? Możecie mnie najwyżej zabić!

SKRZETUSKI: Więc mówił pan, że Mściciel dogorywa, tak... A zabić?... Czy to mała władza?

ODSŁONA 2

Ten sam pokój, Bogdan i Waldek jedzą zupę, na stole leży bochenek chleba, obok zamiast noża niemiecki sztylet.

WALDEK: Ja do szkoły nie pójdę. Jak tak stawiasz sprawę, to ja postawię inaczej.

BOGDAN: No?

WALDEK: Ja... ja... puszczę to wszystko i... bimbrem będę handlował.

BOGDAN *(odkłada łyżkę):* Za taką mowę dobrze by ci było dać po gębie.

WALDEK: Bogdan, ja... ja żartowałem z tym bimbrem... Ja... ja nie naprawdę, to mi się tak powiedziało.

BOGDAN: Jedz, bo wystygnie.

(Wchodzi Ola.)

OLA: Dzień dobry!

BOGDAN: Cześć! Wróciłaś już? Siadaj, zjesz z nami. Waldek skoczy po jeszcze jeden talerz zupy.

OLA: Nie, nie, o, daj kawałek chleba.

(Waldek bierze sztylet i kraje chleb.)

BOGDAN: Czekaj. *(wstaje i podchodzi do szafy, Ola bierze z rąk Waldka kromkę chleba i przygląda się jej)*

WALDEK: Trochę z plewami, piekarz już siedzi.

OLA: Nie miał mąki?

BOGDAN: Miał, znaleźliśmy, sąd wojskowy będzie go sądził. *(bierze z szafki słoik, otwiera go i podaje Oli)* To ze spiżarni hrabiego Ziembicza. Od czasu, jak jesteśmy na stopie wojennej, nie krępujemy się. Wymknął mi się wczoraj.

OLA *(bierze słoik i sztyletem smaruje chleb):* Truskawki?

BOGDAN: Coś takiego.

OLA: Tak, to truskawki... Generał obiecał dać jedną kompanię do akcji na hrabiego Ziembicza. Już wam się nie wymknie.

BOGDAN: Na kiedy obiecał?

OLA: Skontaktuj się z nim... Bogdan, w każdej chwili może się rozpocząć ofensywa, musisz być przygotowany na to, że trzeba będzie dać część swoich ludzi.

BOGDAN: Skąd ja wezmę ludzi, wiesz dobrze, jak jest.

OLA: Przyjdź na wiec w starostwie. *(Bogdan wzrusza ramionami)* Ty musisz przyjść.

BOGDAN: Przyjdę, ale co to da... gadanie.

OLA: Trzeba szukać nowych ludzi, nie można ograniczać się tylko do alowców. A z fabryki?

BOGDAN: Olu, po co ta mowa. *(drwiąco)* Ty już sama wybrałaś wszystko z fabryki, teraz mnie tam posyłasz. Szkoła oficerska — ludzi stamtąd, trzeba było do województwa — też stamtąd, do Lublina — też stamtąd. A nowi nie przychodzą. Za zupkę i bochenek chleba, to tylko starzy robotnicy potrafią pracować i my... Może jednak coś zjesz? Zupa na mięsie.

OLA: Nie, nie, idę zaraz na zebranie. Dąbrówka — to już ostatni majątek do podziału. No co, Bogdanie, skończyliśmy reformę!

BOGDAN: Dąbrówka — to też majątek hrabiego Ziembicza. Dlaczego pojechałaś bez obstawy?

OLA: Czy starosta podrzucił zboże do Kamionki?

BOGDAN: Dwie tony, na trzydzieści sześć rodzin. Wywiozła stara cholera zboże, a tak prosiła: „wdowa jestem, mam drobne dzieci". Tego zboża wypada po sześćdziesiąt kilo na rodzinę i nie wiem, czy im to starczy na miesiąc. Do tego młynarz nie chce im przemielać.

OLA: Byłeś tam?

BOGDAN: Byłem, nadzieleńcy nie mają koni; większość nie ma krów, a jak kto ma, to nie ma czym karmić, musi pożyczać. Nie mają kartofli na sadzenie, też będą musieli pożyczać. *(pauza)* Tak, tak, Olu, reforma kwestii rolnej nie załatwiła. *(pauza)* O czym myślisz?

OLA: A chyba o tym samym.

WALDEK: Ola, Bogdan chce mnie wysłać do szkoły!

OLA: Słusznie.

WALDEK: Wcale niesłusznie, co ja będę w szkole robił? Ja zdezerteruję ze szkoły.

OLA: Waldek, nie można tak. Ty mówiłeś mi kiedyś, że nie lubisz tych inżynierków i adwokacików.

WALDEK: Nie, nie lubię. No to co?

OLA: A dlaczego?

WALDEK: Bo burżuazja.

OLA: A myślisz, że proletariackich inżynierów nie będzie potrzeba?

WALDEK *(pokazuje automat):* Tamtych zmusimy.

OLA: Zmuszać nie będziemy, będą pracować, ale trzeba będzie nimi kierować i to nie za pomocą tego. *(wskazuje automat)* Widzę, żeś się na Bogdana zapatrzył.

BOGDAN: Przecież ja go wysyłam!

OLA *(do Bogdana):* Ciebie też trzeba będzie wysłać. A ty nie dezerteruj ze szkoły.

WALDEK: Bogdan mnie tam wysyła, a sam...

OLA: Nie Bogdan cię tam wysyła, lecz Partia. Nie Bogdanowi jest potrzebna twoja nauka, lecz Partii, i ty nie zdezerterujesz ze szkoły. *(do Bogdana)* Dużo masz ludzi w areszcie?

BOGDAN: Dwóch akowców, których z bronią zatrzymano w Kałuszynie... Tego jednego, co wczoraj, no, tych chłopów, którzy nas wprowadzili w błąd mówiąc, że tamci to spokojni ludzie.

OLA: Chłopów wypuść, ale jeszcze ich przepytaj i dobrze rozważ, co ci powiedzą. Rozważ przed badaniem tamtego, któregoście złapali. Może oni rzeczywiście szli do wojska?

BOGDAN: Dlaczego przedtem nie zdali broni?

OLA: Chłopi by was specjalnie nie wprowadzili w błąd.

BOGDAN: Ale boją się tamtych!

OLA: Któż z nas nie boi się śmierci, kiedy mu śmiercią grożą?

BOGDAN: Gdyby nas nie wprowadzili w błąd...

OLA: Wiem, wiem, to bylibyście ostrożniejsi. Ale pamiętaj, Bogdanie, o jednym: my nie bronimy siebie, my bronimy władzy, sprawiedliwej władzy.

(Daleki gwizd lokomotywy.)

BOGDAN: To już piąty dzisiaj, same czołgi.

OLA: Jeszcze trzy, cztery miesiące, Bogdanie, i koniec wojny. *(wstając)* Zocha mówiła mi, że tamtej mojej decyzji jeszcześ nie zrozumiał. Trzeba się wielu rzeczy nauczyć! *(w drzwiach)* Przyjdź koniecznie na ten wiec... Zobaczysz, że są ludzie i to jacy ludzie. I ty, Waldek, też przyjdź.

BOGDAN: Kiedy to się zaczyna?

OLA *(patrząc na zegarek):* Za pół godziny.

BOGDAN: Dobrze, mam tu jeszcze trochę roboty.

(Za oknem zjawia się coraz więcej przechodniów, którzy przez cały czas następnych scen będą wypytywali się stojącego na ulicy wartownika, gdzie jest zebranie. Wartownik będzie im odpowiadał: „Tam, na górze, u starosty". Później słychać będzie niewyraźny głos przemówień przerywanych oklaskami.)

BOGDAN: Waldek, zawołaj-no mi tych dwóch.

WALDEK: Akowców?

BOGDAN: Nie, tych naszych, co wczoraj przepili dwa wagony spirytusu. A zresztą zawołaj tylko Cebulaka.

(Waldek wychodzi, po chwili wprowadza Cebulaka. Cebulak ma na sobie pas.)

BOGDAN: Od kiedy to w areszcie siedzi się w pasie? *(do Waldka)* Kto ich zamykał?

WALDEK: Wczoraj miał dyżur Ostrowski.

CEBULAK *(prosząco)*: Bogdan!

BOGDAN: Zdjąć pas! Waldek! *(Waldek nie rusza się, Bogdan wstaje zza biurka, Cebulak zdejmuje pas)* Polskę chcecie przepić. *(wychodzi zza biurka, zdenerwowany krąży po pokoju)* Sprawę klasy robotniczej chcecie przepić...

CEBULAK: Ty wiesz, że...

BOGDAN *(wybucha)*: Co ja wiem!... Wiedziałem, że plutonowy Armii Ludowej, Cebulak, jest odważnym żołnierzem — to wiedziałem. A teraz wiem, że plutonowy milicji, Władysław Cebulak — to łajdak, który za butelkę wódki oddaje powierzone mu mienie. Za butelkę wódki schodzi z posterunku — tego się dowiedziałem.

CEBULAK: Bogdan, my znajdziemy...

BOGDAN: Co znajdziecie, złodziei może znajdziecie, bo my już ich szukamy, ale swojej przeszłości, i to jakiej przeszłości, już nie znajdziecie, swojej opinii, i to jakiej opinii, też już nie znajdziecie!

CEBULAK: Te sukinsyny...

BOGDAN: Co sukinsyny?

CEBULAK: Zimno było, nudziło się nam, no i tak od słowa do słowa zaczęliśmy gadać i namówili nas, żebyśmy...

BOGDAN: Otworzyli wagon i napili się trochę. *(Cebulak kiwa głową)* A po co wy jesteście? Żeby porządnych ludzi pilnować czy sukinsynów? Czy ty wiesz, jaka jest twoja sytuacja? Starostwo i w ogóle cały powiat nie mają ani grosza gotówki. PKWN powiedział, że na razie na wydatki administracyjne ani grosza nie da i zwolnił te dwa wagony do rozprzedaży...

CEBULAK: Wypuść nas z ciupy, a my ich już złapiemy!

BOGDAN *(już spokojnie)*: Pewnie że ciupę mam nie dla takich jak wy. Idźcie do Stelmaszczyka, on prowadzi śledztwo w tej sprawie, możecie odejść. *(Cebulak stoi)* Masz ten pas, masz, ale... *(bierze papier z biurka, drze go na kawałki)* Wiesz, co to było? Twoja nominacja na sierżanta. *(Bogdan chodzi chwilę po pokoju, do Waldka)* A ty, Waldek, też sobie nieźle pociągnąłeś wczoraj. W nocy, jak tu wszedłem, można było wszystko wynieść! A mówiłem ci, żebyś pilnował tego ze starostwa, jak będzie przeglądał papiery. O której on skończył?

WALDEK: Nie wiem, późno, ja dopiero jak on... wyszedł.

BOGDAN: Powiedz, niech przyprowadzą tego Lewandowskiego.
(Waldek wychodzi, wraca po chwili.)
WALDEK: Zaraz...
BOGDAN: Po tego Lewandowskiego... no, Chmura on, tak?
WALDEK: No tak, Chmura.
BOGDAN: Przysłali już kogoś z Prokuratury Wojskowej?
WALDEK: Czekają. A śledztwo już skończyłeś?
BOGDAN: Już. Co tam za śledztwo! Złapany z bronią w ręku, dwóch milicjantów zabili.
WALDEK: On strzelał?
BOGDAN: Cholera go wie, strzelanina była. W magazynku miał osiem kul, ale wiesz, do parabellum wchodzi i dziewiąta. Zresztą mógł zdążyć zmienić magazynek, noc. Przyprowadź go. *(za wychodzącym Waldkiem)* A później skocz do kapitana Siergieja, po komunikaty. *(przegląda papiery, gdy wprowadzają Chmurę, zamyka teczkę. Do Waldka)* Ci z Prokuratury mają upoważnienie?
WALDEK: Chyba tak.
BOGDAN: Sprawdź. *(do Chmury)* A wy do zabójstwa sierżanta Filipowicza i szeregowego Jankowiaka nie przyznajecie się?
CHMURA: Nie, ja nie strzelałem.
BOGDAN: Ale jak was ujęliśmy, broń mieliście w ręku odbezpieczoną...
CHMURA: Tak, bo...
BOGDAN: Proszę odpowiedzieć — tak albo nie: odbezpieczoną?
CHMURA: Odbezpieczoną.
BOGDAN: Ile kul mieliście w pistolecie?
CHMURA: Dziewięć.
BOGDAN: Nie więcej?
CHMURA: Nie, to było parabellum, więcej nie wchodzi.
BOGDAN *(otwiera szufladę):* Wasz pistolet?
CHMURA: Mój.
BOGDAN: I wy mówicie, że w tym pistolecie mieści się dziewięć kul, osiem w magazynku i dziewiąta w lufie, tak?
CHMURA: Tak.
BOGDAN: I więcej nie wchodzi? *(Chmura milczy. Bogdan wyciąga magazynek)* Magazynek ten sam?
CHMURA: Ten sam.
BOGDAN *(podaje magazynek Chmurze):* Przeliczcie, ile jest kul.
CHMURA: Osiem.
(Bogdan wyciąga z kabury pistolet, wyjmuje magazynek, a z niego jedną kulę i wkłada ją w magazynek pistoletu Chmury. W pewnym momencie przerywa to, przysuwa do siebie leżące na stole pistolety, kula weszła do magazynku.)
BOGDAN *(pokazuje magazynek):* Wchodzi dziewiąta. *(Chmura milczy)* Zobaczymy, czy nie wchodzi dziesiąta! *(wkłada następną kulę)* Z trudem, ale weszła dziesiąta! Mogliście mieć nie dziewięć, jak twierdzicie, lecz jedenaście.
CHMURA: Miałem dziewięć. Tak to się niszczy sprężyna.
BOGDAN: Pistolet służy do niszczenia ludzi. Niektórzy wolą zniszczyć

sprężynę i mieć w pistolecie o dwie kule więcej, niż o dwóch milicjantów za dużo.

CHMURA: Ja nie strzelałem, to kolega strzelał, można poznać po pistolecie.

BOGDAN *(patrząc w lufę):* Lufa jest czyściutka: albo była przestrzelona, albo dobrze wyczyszczona, tego nie można poznać.

(Wchodzi Plutonowy wojskowy, za nim poirytowany Waldek.)

PLUTONOWY *(melduje się):* Obywatelu poruczniku, plutonowy Aworski melduje swoje przybycie! Obywatel porucznik żądał okazania pełnomocnictw od prokuratora, proszę. *(podaje kopertę)*

WALDEK: On mnie nie chciał...

(Bogdan ucisza go gestem.)

PLUTONOWY: To ten, obywatelu poruczniku?

BOGDAN: Chwileczkę. Możecie odejść, zaraz was zawołam.

PLUTONOWY: Tak jest! *(wychodzi)*

WALDEK: Ja chciałem, żeby on mnie pokazał, a on...

BOGDAN *(zniecierpliwiony daje znak ręką, aby skończył, Waldek bierze z kąta swój automat i siada przy drzwiach):* A ten wasz kolega, który, jak twierdzicie, strzelał, jak się nazywał?

CHMURA: Edmund Kulik.

BOGDAN: Pseudonim Dąb, tak?

CHMURA: Tak.

BOGDAN: Dlaczego on strzelał, dlaczego wyciągnęliście broń na nasz widok? *(Chmura milczy)* Dokąd żeście szli?

CHMURA: Do wojska.

BOGDAN: Z bronią? Z naładowanymi pistoletami? Szliście do wojska i na widok milicji od razu strzelaliście!? Ci, co poszli do wojska, tu zdali broń, przepustki dostali. *(Chmura milczy)* Z własną bronią to się idzie albo na bandytyzm, albo... do ponownej konspiracji!

CHMURA: Myśmy szli do wojska...

BOGDAN *(przerywa ostro):* To słyszałem, a broń?

CHMURA: Broń wzięliśmy ze sobą, bośmy się bali...

BOGDAN: Kogo?

CHMURA: Majora Groma.

BOGDAN: Groma?

CHMURA *(po chwili):* Baliśmy się, znaczy ja się bałem... jakiejś zemsty...

BOGDAN: Za co miał się mścić? Większa część waszych poszła do wojska. Za krótkie jego ręce, żeby się mógł na wszystkich mścić!

CHMURA: Major Grom za takiego jednego, kapitan Jan się nazywał, nie wiem, czy pan słyszał o tej sprawie...

BOGDAN: Słyszałem, no...

(Drzwi otwierają się nagle, wpada śpiesznie Skrzetuski z papierami.)

SKRZETUSKI: Od pana starosty, w spra...

(Widząc plecy Chmury i poznając go Skrzetuski zatrzymuje się nagle i gwałtownie cofa. Zresztą Waldek, gdy tylko drzwi się otworzyły, zerwał się i zagrodził mu drogę, a teraz zaczyna go wypychać, zamykając za nim drzwi. Chmura, który przez cały czas badania jest w najwyższym stopniu przygnębiony, na głos Skrzetuskiego wstrząsa się, podrywa i odwraca, ale

Skrzetuskiego nie zobaczył. Za Skrzetuskim wchodzi Ola. Widzi przestrach i prawie że ucieczkę Skrzetuskiego oraz gwałtowny ruch Chmury. Waldek przepuszcza Olę i dopiero potem powtarza słowa Bogdana. Ola do końca badania będzie siedziała gdzieś z boku, nie wtrącając się, lecz pilnie przysłuchując śledztwu.)

BOGDAN: Do cholery, śledztwo jest, nie wchodzić. *(do Waldka)* Powiedz tam, żeby nikogo nie wpuszczali.

WALDEK: Nie wpuszczać nikogo, śledztwo jest.

BOGDAN *(do Chmury):* A wy co...?

CHMURA: Kto to był?

BOGDAN *(który dopiero teraz zauważył zmianę na twarzy Chmury):* Piotrowski, ze starostwa. Znacie go?

CHMURA: Piotrowski, Piotrowski, skąd on? Z Wilna może?

BOGDAN: Nie, z Warszawy, znacie go?

CHMURA: Nie, nie, jeśli z Warszawy, to nie znam, zdawało mi się.

BOGDAN *(po chwili):* Kiedyście się obawiali, to trzeba było przyjść tu, złożyć zeznania, a nie strzelać na widok milicji.

CHMURA: Kolega, ten Kulik, myślał, że to właśnie ktoś od majora, bo tam z wami był jeden z AK, od nas, Mściciel, jak nazwisko — nie wiem. Mówił, raz, ale zapomniałem, to ten sam, co go Kulik... trafił... Myśleliśmy, że to oni po nas przyszli...

BOGDAN *(chwilę się namyśla, telefonuje, do Waldka):* Wyprowadź na chwilę!

(Gdy Waldek wyprowadza, w drzwiach pojawia się Plutonowy)

PLUTONOWY: Czy już?

BOGDAN *(poirytowany):* Za chwileczkę! Wezwę was! *(wraca Waldek)* Pilnuje go tam kto? Wyjdźcie na chwilę. *(woła)* Dyżurny! *(wchodzi Milicjant)* Uważajcie! *(do telefonu)* Wolność! Połączcie ze szpitalem... Doktora Terlickiego... Co? Nie ma w szpitalu, chory? Kto go zastępuje?... Tak, dobrze. Tu komendant powiatowy. Słuchajcie, doktorze, co jest z tymi dwoma milicjantami, cośmy ich wczoraj przywieźli? Tak, jeden z kulą w brzuchu, a drugi z dwiema w płucach. Co, umarli? Jakie zeznania?... Nie, Terlickiego nie było u mnie... Nie, nie, jakby był, to by mnie powiedzieli, bo był tu dyżurny... A nie wie pan, co to były za zeznania?... Szkoda... Jak on się nazywał?... Jankowiak. *(odkłada słuchawkę, kręci korbą i znów łączy się z centralą)* Wolność! Dajcie posterunek milicji w Drawsku! Jurek! Tu Bogdan. Słuchaj. Ty przyjmowałeś tego Jankowiaka... Nie żyje... Co to za jeden?... Z byłego AK... Ujawnił w życiorysie? Ale mówiłem ci, żebyś takich bez porozumienia się ze mną nie przyjmował... Co on tam miał za rodzinę?... Przypadkowo trafił do AK czy nie przypadkowo?... A kto za nim ręczył?... Nie, nie o to chodzi i tak już nie żyje... No, wiem, Dymkowski porządny człowiek, jak ręczył za kogoś, to był pewny. Rodzinę zawiadom... Nie, pogrzeb my urządzimy, ostatecznie nasz człowiek... Buty, znów buty, trzy pary ci wystarczą?... To co, że Roman piętnaście par, Roman umie się bić o swoje sprawy. *(odkłada słuchawkę)* Dyżurny! *(wchodzi dyżurny)* Wprowadź więźnia. *(do Chmury)* Znaliście tego zastrzelonego, jaki on miał pseudonim?

CHMURA: Mściciel.

BOGDAN: Nazwisko Jankowiak.

CHMURA: O tak, tak, Jankowiak, teraz sobie przypomniałem.

BOGDAN: Nie żyje. Kto może potwierdzić wasze zeznania?

CHMURA: Matka. Zanim poszliśmy, wstąpiłem do matki.

BOGDAN: Długo byliście u matki?

CHMURA: Parę godzin.

BOGDAN: Co wam się tak nagle zaczęło spieszyć do tego wojska, żeście nawet u matki nie posiedzieli? Dwa tygodnie tutaj toście siedzieli, nie było wam spieszno. *(po chwili)* Matka, matka, zeznania matki sąd może przyjąć lub odrzucić i z reguły odrzuca... Sami zdajecie sobie sprawę, że matka będzie zeznawała tak, by was wyratować, bez względu na to, czy będzie mówiła prawdę, czy też będzie kłamała. Kto jeszcze może potwierdzić wasze zeznania? *(Chmura milczy, a Bogdan szuka czegoś po szufladach, wyjmuje świeczkę, pieczątkę, do Waldka)* Daj laku, tam jest w szafie, na górnej półce, trzeba to zalakować. *(zbliżając podany mu przez Waldka lak do świecy)* Co jeszcze możecie powiedzieć, co możecie dodać na poparcie swoich zeznań lub chociażby na swoje usprawiedliwienie? *(manipulując świecą i lakiem)* Wiecie, co wam grozi, więc mówcie prawdę.

CHMURA: Poruczniku, wtedy, jakeście wpadli do tej chałupy, gdzieśmy spali, jak najpierw... wpadło tych dwóch, co ich Kulik zabił... jak potem wpadliście wy... trzeci i strzelaliście do Kulika... to ja... to ja wtedy mogłem was zabić. Wy nie widzieliście mnie... Ja miałem nabity pistolet... ja... ja już celowałem do was... *(unosi się, łapie Bogdana za rękę)* ja mogłem was zabić... I jak... i jak poznałem, że to wy... że to nie od majora... nie strzeliłem...

(Bogdan zdejmuje rękę Chmury ze swojej ręki, ale nie bierze z powrotem laku.)

BOGDAN *(z wahaniem)*: Nie wiem, mogliście, nie mogliście. *(powoli bierze lak i pieczętuje teczkę z aktami Chmury)* A nie macie jakiegoś listu, w którym piszecie, że chcieliście iść do wojska? Może mówiliście o tym jakiejś trzeciej osobie? Jakiś... jakiś dowód rzeczowy tej waszej chęci, to... coście mówili przed chwilą, to jest hipoteza, nie dowód. *(do Waldka)* Zawołaj tego plutonowego.

WALDEK: Plutonowy, do porucznika!

PLUTONOWY *(za sceną)*: Plutonowy, plutonowy, świnie ze mną pasłeś? *(wchodzi służbiście)* Melduję się na rozkaz.

(Bogdan kończy pieczętowanie akt, Waldek wzywa gestem a następnie wyprowadza Chmurę. W gestach i zachowaniu się Waldka widać sympatię dla niego. Waldek zaraz wraca.)

BOGDAN *(do Plutonowego)*: Jak prędko może być sprawa?

PLUTONOWY: To z paragrafu za dezercję i w dodatku z bronią. Do tego dwa zabójstwa. Takie sprawy u nas szybko idą... czapa murowana.

(Bogdan daje mu akta, Plutonowy ogląda zapieczętowaną teczkę, później oddaje ją Bogdanowi.)

PLUTONOWY: Tak, poruczniku, nie pójdzie. Musi być lak, a na nim metalowa pieczątka urzędowa albo plomba.

BOGDAN: Przecież jest zalakowana!

PLUTONOWY: Lak lakiem, ale takie są przepisy jeszcze z sanacji, że trzeba metalową pieczątkę urzędową albo plombę. Ja w prokuraturze już cztery miesiące jestem, to wiem.

BOGDAN: Jeszcze nie mamy plombownicy, a pieczątkę mam tylko gumową.

PLUTONOWY: To ja nie wiem, ja tak nie przyjmę, poruczniku.

WALDEK: Bogdan, daj, ja odniosę.

PLUTONOWY: Odniosę, odniosę. Co to, bielizna do prania? To dokumenty śledztwa, akta oskarżenia. To ja mam potem opie... przepraszam, poruczniku, do raportu stawać.

BOGDAN *(telefonuje):* To wy? Starosta woła na zebranie. Tak, tak, zaraz tam przyjdę. Towarzyszu starosto, macie już pieczątkę?

PLUTONOWY: To wszystko jedno, jaka pieczątka, aby było z pieczątką.

BOGDAN: Bo tu wysyłam akta do prokuratury wojskowej i muszą być zapieczętowane. No dobrze. To ześlijcie kogoś. Już idę, już. No, coś tam powiem. *(do Waldka)* Zaraz przyślę tu kogoś, to zapieczętuje. *(do Plutonowego)* To poczekajcie, zaraz tu przyjdzie ze starostą.

(Wychodzą Bogdan i Waldek, Plutonowy idzie za nimi do drzwi.)

BOGDAN *(na korytarzu):* Służbowy! Uważajcie, ja na chwilę wychodzę, będę na górze.

PLUTONOWY *(do stojącego na korytarzu Chmury):* Chodźcie. *(Chmura wchodzi)* Poczekajcie chwilę, przejedziemy się zaraz samochodem. *(wchodzi Skrzetuski z pieczątką w ręku)* Wy ze starostwa?

SKRZETUSKI: Ja tu mam jakieś akta zapieczętować.

PLUTONOWY: A tak, te. Macie sznur?

SKRZETUSKI: Mam.

PLUTONOWY: To pieczętujcie, ja zaraz zawołam samochód. *(wychodzi)*

CHMURA: Ty tu!?

SKRZETUSKI: A ja tu! *(szyderczo rozglądając się)* Może ci ułatwić ucieczkę? Co, może jeszcze raz chcesz od nas uciec!? Niee, od nas nie uciekniesz, zdawało ci się tylko, że zdążysz uciec. No i co, w tym samym pokoju jesteś z powrotem! A po coś uciekał? Może byłbyś razem ze mną tutaj, a tak... *(ruch pieczątką)*

CHMURA: Wy, wy! To wszystko wy!... Teraz rozumiem. Mordercy!!!

SKRZETUSKI: Mordercy? My? *(wskazuje akta)*

CHMURA: Mordercy!!! Zapłacicie za to! *(chce się rzucić na Skrzetuskiego, ale wchodzi Plutonowy, który na widok tej sceny zwraca się brutalnie do Chmury)*

PLUTONOWY: Co jest!!! To z ciebie taki ptaszek! *(do Skrzetuskiego)* Wam nic nie zrobił?

SKRZETUSKI: Nie, nic.

PLUTONOWY: Nie powinienem go zostawiać samego, wy tam o tym nie mówcie.

SKRZETUSKI: Ach, skąd. *(chce wyjść)*

PLUTONOWY: Czekajcie, czekajcie, pokwitowania muszę wam zostawić.

SKRZETUSKI: To nie mnie.

PLUTONOWY: To już tam oddacie swojemu komendantowi *(podchodzi do biurka i pisze)*

CHMURA: Panie plutonowy, ja chciałem!...

PLUTONOWY *(odwraca się):* Cicho!

CHMURA: Ja chciałem zeznanie złożyć!

PLUTONOWY *(szybko kończy pisanie):* Dobra, dobra, nie dość, że ludzi bijesz, to jeszcze mnie chcesz wkopać. *(Plutonowy wyprowadza Chmurę. Skrzetuski zostaje)*

(Skrzetuski stoi chwilę w pokoju, wchodzi Ola, Bogdan i Waldek.)

BOGDAN *(do idącej za nim Oli):* A co ja tam będę gadał!

OLA: Trzeba było jednak coś powiedzieć.

BOGDAN *(widząc Skrzetuskiego):* A wy tu co? *(przypominając sobie)* Aha. Zabrali go już?

SKRZETUSKI: Tak, tu jest pokwitowanie *(Skrzetuski chce wyjść, Ola zatrzymuje go gestem)*

OLA: A wy z Wilna?

SKRZETUSKI: Tak. *(powiedział to szczerze i pewnie, ale natychmiast orientuje się i zaczyna kręcić)* To znaczy mieszkałem tam kiedyś, już dawno, ale urodzony jestem w Warszawie i ostatnio mieszkałem w Warszawie.

OLA: Gdzie?

SKRZETUSKI: W Warszawie.

OLA: Na jakiej ulicy?

SKRZETUSKI: Ach, na... na Trębackiej.

OLA: Pod którym?

SKRZETUSKI: Pod... szóstym.

OLA: Szóstym? Pod szóstym dom się spalił w 39 roku...

SKRZETUSKI: To znaczy ja do wojny tam mieszkałem.

OLA: A później?

SKRZETUSKI: A później... Później na Solcu, tak różnie, no.

OLA: Kłobukowskiego znaliście?

SKRZETUSKI: Kłobukowskiego, Kłobukowskiego? Coś sobie przypominam...

BOGDAN: On miał sklep na Trębackiej.

SKRZETUSKI: Ach tak, przypominam sobie. *(chwila milczenia)* Czy mogę odejść?

OLA: Proszę. *(Skrzetuski wychodzi)* Ty jutro przynieś mi jego życiorys.

BOGDAN: Myślisz, że on nie z Warszawy?

OLA: Tak mi się coś wydaje. *(wychodzi)*

BOGDAN *(daje Waldkowi pokwitowanie):* Schowaj to.

WALDEK: Bogdan, czy on... on mógł ciebie zabić?

BOGDAN *(machinalnie gasząc świecę, która się cały czas paliła):* Mógł.

WALDEK: Ty, a może te zeznania matki...

BOGDAN *(otrząsa się):* Trzeba ją wezwać... Czekaj, lepiej ja sam do niej pójdę. *(po chwili)* Daj-no mi tamtych dwóch i *(głośniej)* skocz-no po te komunikaty.

(Po chwili wchodzi Jeleń. Jeleń jest przerażony, Piorun trzyma się hardo.)

BOGDAN *(do Pioruna):* To wy jesteście Piorun? *(Piorun milczy)* No nic, później sobie pogadamy. *(do dyżurnego)* Wyprowadźcie go, zawołam. *(zostaje Jeleń, zza drzwi wychyla się głowa Waldka)*

WALDEK: Bogdan! To ja lecę po komunikaty do kapitana.

BOGDAN: Leć, leć. *(do Jelenia)* No i co powiesz, wojaku? *(Jeleń milczy, Bogdan przegląda papiery na biurku)* Jak wasz pseudonim?

JELEŃ: Nagar.
BOGDAN: Jak? Nagar? Po jakiemu to, może Niger?
JELEŃ: Nie, to jakoś inaczej.
BOGDAN: Może Niagara?
JELEŃ: Bardziej podobne, ale jeszcze nie tak.
BOGDAN *(ubawiony tą sceną)*: Ale powiedzcie mi chociaż, co to miało oznaczać. Rzekę, kraj, drzewo?
JELEŃ: Zwierzę, takie amerykańskie.
BOGDAN: To chyba jaguar?
JELEŃ: O, o właśnie, Jaguar.
BOGDAN: A jak ten jaguar wygląda, wiecie chociaż?
JELEŃ: Nie wiem, to taki amerykański... Tak mi się kazali nazywać.
BOGDAN: Kiedy?
JELEŃ: Teraz, niedawno, przedtem nazywałem się Jeleń.
BOGDAN: Dokąd szedłeś?
JELEŃ: Do domu.
BOGDAN *(wyjmuje z szuflady i pokazuje mu jego pistolet)*: Do czego ci to było potrzebne?
JELEŃ: Miałem zakopać.
BOGDAN: Po co?
JELEŃ: Taki był rozkaz.
BOGDAN: Czyj?
JELEŃ: Majora Groma i... Skrzetuskiego.
BOGDAN: Gdzie oni są teraz?
JELEŃ: Nie wiem.
BOGDAN: Dlaczego do wojska nie poszedłeś? *(Jeleń milczy)* No, dlaczego?
JELEŃ: Przysięgę składałem.
BOGDAN: Komu?
JELEŃ: Majorowi.
BOGDAN: A o co pan major walczy?
JELEŃ: No, o Polskę.
BOGDAN: A gdzie się o Polskę walczy? W domu? Zakopuje się broń? Kto jeszcze jest po tamtej stronie Wisły?
JELEŃ: Niemcy.
BOGDAN: I z kim należy walczyć o Polskę?
JELEŃ: No, z Niemcami.
BOGDAN: A ten pan major gdzie jest, na froncie walczy o Polskę?
JELEŃ: Nie wiem, gdzie jest.
BOGDAN: Wasz ojciec jest robotnikiem folwarcznym?
JELEŃ: Tak.
BOGDAN: Ziemię waszemu ojcu kto dał? Pan major? Pamiętaj, że nie majorowi przysięgałeś — Polsce. Bić się trzeba z faszyzmem, a major z ciebie chciał zrobić faszystę. Chciał, żebyś ty wystąpił przeciwko swojemu ojcu. Co teraz będziesz robił?
JELEŃ: Ja nie wiem, co pan porucznik każe.
BOGDAN: Nie jesteś na folwarku u pana majora. Dokąd teraz pójdziesz?
JELEŃ: Aa... Ja będę... mógł pójść?
BOGDAN: Tak.

JELEŃ: Ja chciałbym do wojska.

BOGDAN: Dyżurny! *(wchodzi dyżurny)* Powiedzcie, żeby wydali mu wszystkie jego rzeczy i wypisali zwolnienie.

DYŻURNY: Ale formalne zwolnienie!...

BOGDAN: Powiedzcie, że ja kazałem! *(Jeleń z dyżurnym wychodzą)* I przyprowadźcie tego drugiego.

DYŻURNY: Zaraz?

BOGDAN: Tak, zaraz.

DYŻURNY *(do Jelenia na korytarzu)*: Zaczekaj! *(po chwili wprowadza Pioruna)*

BOGDAN *(do dyżurnego, który chce już wychodzić)*: Zaczekaj. *(pisze coś na kartce)* Idź jeszcze do magazynu, niech mu dadzą suchy prowiant.

DYŻURNY: A co oni tam mają?

BOGDAN: To, co mają.

(Bogdan wyciąga z szuflady pistolet i dolary Pioruna.)

BOGDAN: No i co na to powiesz? *(Piorun milczy)* Pociągów dużo wysadziłeś? *(Piorun milczy)* Gestapowców wielu zabiłeś? *(Piorun milczy)* A za co zostałeś plutonowym?

PIORUN: Za wierną służbę!

BOGDAN: A komu tak wiernie służyłeś, gdy Hitler mordował miliony Polaków?

PIORUN *(z determinacją)*: Polsce!

BOGDAN: Polsce? Ale to chyba była jakaś inna Polska, Ojczyzna nie tych, co ginęli w Majdanku, ani tych, co giną jeszcze w Oświęcimiu! *(Piorun milczy)* Służyłeś i nie zabijałeś okupantów? *(mocniej)* Nie zabijałeś, a dosłużyłeś się plutonowego! Dlaczego nie poszedłeś do wojska?

PIORUN: Panie komendacie, ja byłem otumaniony, ja nie wiedziałem, co robię.

BOGDAN *(bierze do ręki dolary)*: To cię tak tumaniło? Widziałeś obwieszczenia o obowiązku zdawania broni, tam było jasno napisane, dlaczego należy broń zdawać.

PIORUN: Ja...

BOGDAN *(głośniej)*: Czytałeś czy nie czytałeś?

PIORUN: Czytałem.

BOGDAN: Po co była ci ta broń? Do kogo chciałeś z niej strzelać? Do kogo? Skoro nie strzelałeś ani razu do Niemców.

PIORUN: Wszystko powiem... Ja wam będę wiernie służył, nie zawiedziecie się na mnie... *(wpada Waldek)*

WALDEK *(z płaczem)*: Bogdan! Kapitana Siergieja Michajłowicza zastrzelili Niemcy!

BOGDAN: Co!!?

PIORUN: Możecie mnie wysłać na każde zadanie, ja wam o wszystkim doniosę.

BOGDAN: Ach, ty łobuzie! *(uderza go w twarz, na Pioruna chce się rzucić Waldek z podniesioną kolbą, ale Bogdan powstrzymuje go)*

PIORUN *(płaczliwie)*: Ja nic nie zawiniłem.

(Bogdan chce go uderzyć jeszcze raz, wchodzi Ola.)

OLA: Bogdan!!!

ODSŁONA 3

Ten sam pokój, nie ma już broni, na stołach, na podłodze leżą rzędem segregatory. Na biurku leży wypchany plecak, paczka, a o biurko oparty jest karabin, na nim zawieszona czapka Bogdana. W pokoju nie ma nikogo. Na ulicy pada śnieg, słychać daleką kanonadę artyleryjską i bliżej rosyjskie wojskowe piosenki nadawane przez głośnik. Za oknem przechadza się Tygrys i za każdym razem mijając okna wygwizduje pierwsze takty „Serca w plecaku" — brzmi to jak sygnał. Wchodzi Skrzetuski, za nim Woźna, wnoszą segregatory i układają rzędem na podłodze. Tygrys na widok Skrzetuskiego natarczywie gwiżdże swój sygnał.

WOŹNA: Ale nam muzykę zrobili, na całe miasto słychać, od rana do nocy. *(Skrzetuski podaje jej segregator)*

SKRZETUSKI: Niech to pani położy na szafie.

(Woźna bierze krzesło i z trudem układa segregatory na szafie.)

WOŹNA: Fiuu, ile tu kurzu. *(krztusi się)* Muszę zaraz pójść po szmatę i wytrzeć. *(podchodzi do okna, otwiera je pokazując palcem na siatkę w oknach)* Osiatkowali się, jakby nie wiem co. Czego oni się właściwie tak boją? *(wygląda przez okno)* Ludzie od rana czekają pod głośnikiem na komunikaty. Strzelają! Już cztery godziny! Człowiek jednak do wszystkiego może się przyzwyczaić.

SKRZETUSKI *(z niepokojem wpatruje się w okno, za którym spaceruje Tygrys):* Skoczcie no jeszcze po te teczki. *(Gdy Woźna wychodzi, podbiega do okna)* Durniu! Czego tak gwiżdżesz! Co chcesz?

TYGRYS: Przyniosłem rozkaz od majora.

SKRZETUSKI: Dawaj.

TYGRYS: Zaraz. *(rozgląda się)* Major kazał powiedzieć, żeby tę babę kropnąć możliwe po cichu, ale koniecznie dzisiaj, bo podobno ma wyjeżdżać. Zresztą tu jest napisane.

SKRZETUSKI *(zdenerwowany, rozgląda się):* Dawaj szybciej.

TYGRYS: Poruczniku, a kiedy będą pieniądze?

(Tygrys rozpiął wreszcie płaszcz i ma już wyciągnąć list z kieszeni, gdy wtem wchodzą Bogdan i Zosia. Skrzetuski zdążył jeszcze wziąć jakąś teczkę z papierami i z udanym zainteresowaniem ją przegląda.)

ZOSIA *(strzepując śnieg):* Ależ pada.

BOGDAN: To dobrze, gorzej, że podobno na Wiśle lód nie za gruby.

(Nie zwracając uwagi na Skrzetuskiego Bogdan sprawdza plecak, nakłada płaszcz z opaską MO, zapina pas z ładownicami. Skrzetuski wychodzi.)

ZOSIA *(podchodzi do Bogdana i głaszcze go po włosach):* Tak ci ciężko?

BOGDAN: Nie, nie, Zośka.

ZOSIA *(do siebie):* Będzie jaśniej i będzie piękniej, będzie radość i będzie śpiew.

BOGDAN: Teraz już nie ten wiersz. Mówiliśmy go sobie wtedy, gdy było tak źle... tak źle... Jest coraz piękniej, reformę rolną skończyliśmy, lada chwila ruszy ofensywa. Tyle przed nami perspektyw. Wyjeżdżasz z Olą?

ZOSIA: Tak, mamy jechać zaraz za frontem.

BOGDAN: Już muszę iść. *(wchodzi Waldek, bez broni, bez pasa)* Jak ci w szkole leci, Waldek?

WALDEK: Bogdan, ja też zawiniłem...
BOGDAN: Ano zawiniliśmy...
WALDEK: Na jakim posterunku będziesz?
BOGDAN: Zdobyczy klasy robotniczej.
WALDEK: Nie, na jakiej gminie?
BOGDAN: W Kołobieli, u Romana.
WALDEK: Jako szeregowy?
BOGDAN: Jako szeregowy.
WALDEK: Komenda milicji dokąd się przenosi?
BOGDAN: Na Warszawską ulicę, tam gdzie posterunek miejski. Tu będzie urzędował starosta. *(Zakłada plecak, wchodzi Skrzetuski z papierami)*
WALDEK: Odprowadzę ciebie kawałek.
BOGDAN: Nie, wracaj do szkoły, przecież widzę, żeś się urwał z lekcji. *(Wchodzi Ola ze Starostą.)*
BOGDAN: Do widzenia, Olu. *(podaje jej rękę)*
OLA: Idziesz od razu do Kołobieli?
WALDEK: A zeznania matki tego Chmury?
BOGDAN: Kiedy nie miałem czasu, to już nowy komendant załatwi, mówiłem mu.
(Skrzetuski wychodzi.)
OLA: Ty nie masz do mnie żalu, zrozumiałeś już wszystko?
BOGDAN: Zrozumiałem.
OLA: Partia postawiła ciebie na tym stanowisku, bo myśleliśmy, że świadomość, jaką masz, nie pozwoli ci na... takie wybryki. Okazało się, że masz mało tej świadomości, więc Partia zdjęła ciebie z tego stanowiska i nie miej żalu o to, że tak ostro... My zawsze w stosunku do siebie byliśmy i będziemy ostrzy!
BOGDAN: Rozumiem to. Czy masz broń?
OLA: Ty znów swoje.
BOGDAN: Dobrze wiesz, że strzelają do nas i będą do nas strzelali.
OLA: O tym wiem.
BOGDAN *(wyciąga pistolet)*: Masz, to dobry pistolet.
OLA *(bierze pistolet i odkłada go na biurko)*: To ten, który sam zdobyłeś? Dziękuję ci...
BOGDAN: Tak. *(do Starosty)* A wy się zaraz tu przenoście, w tamtym pokoju nic nie ruszałem. Klucze ma woźny.
STAROSTA: Dobrze. *(do Oli)* No to ja pójdę jeszcze na górę i zaraz się tu przeniosę.
OLA: Tylko nie wychodźcie nigdzie, bo zaraz może być rozkaz wyjazdu.
STAROSTA *(uśmiecha się)*: Przedtem będą jeszcze katiusze.
BOGDAN: No to do widzenia, towarzysze! Do widzenia, Zosinek. *(do Waldka)* Nie rób w szkole głupich kawałów.
(Wszyscy wychodzą, głos Starosty na korytarzu.)
STAROSTA: Panie Wacławie, niech pan tu robi porządek, niech pan zawoła woźnego, żeby otworzył drzwi, ja się tu zaraz przeniosę.
(Wchodzi Skrzetuski z plikiem papierów pod pachą. Przez okno widać Bogdana, Zosię i Waldka, śpiesznie podchodzi do nich kolejarz.)
KOLEJARZ: Panie komendancie, jak jest z tą władzą ludową? Nikt jej

nie słucha! Mam już nakaz, żeby się ten drań wynosił, a on leży cały dzień do góry brzuchem... Ani gdzie dzieciaków podziać, ani gdzie się ruszyć. Niech ktoś pójdzie i zrobi porządek.

WALDEK: Czekaj, ja skoczę.

BOGDAN: Nie, Waldek, ty już nigdzie nie skoczysz, nie zapominaj, że jesteś już tylko uczniem. *(do kolejarza)* Komenda jest teraz na Warszawskiej, idźcie tam, obywatelu...

KOLEJARZ: Odsyłają jeden do drugiego, takie porządki...

BOGDAN *(do Waldka):* Idź z obywatelem na posterunek, niech dadzą kogoś, zaraz. Trzeba raz z tym zrobić porządek.

WALDEK: Bogdan, ja sam.

BOGDAN: Nie, idź, niech tu zaraz ktoś przyjdzie i jego wylegitymuje. *(Bogdan odchodząc zwraca się do Zosi)* Wracaj, wracaj, bo zaraz będziecie wyjeżdżać.

ZOSIA: No... to do zobaczenia!

(Bogdan bez słowa wychodzi, Zosia stoi chwilę i odchodzi. Skrzetuski podchodzi do okna i z niepokojem wygląda, cicho gwiżdże ten sam sygnał, co poprzednio Tygrys. Nikt nie odpowiada. Wchodzi Woźny, dobierają klucze do następnego pokoju. Wchodzą tam razem ze Skrzetuskim.)

WOŹNY: Tu się będzie lepiej urzędowało. *(wracają)* Tak powinno być od razu. To jest urząd, a nie milicja, ciągle tylko aresztowani, zatrzymani.

SKRZETUSKI: Pan tu dawno pracuje, panie Michalak?

WOŹNY: Dwadzieścia cztery lata, od dwudziestego roku, bez żadnej przerwy, nikt tak długo nie pracował, jak ja. Trzeba sprzątaczkę przysłać, niech posprząta.

(Woźny zamyka pokój i machinalnie chce schować klucz do kieszeni. Skrzetuski wyciąga rękę.)

SKRZETUSKI: Klucze niech mi pan da.

(Woźny waha się chwilę, oddaje klucze.)

WOŹNY: Ano, pan teraz po staroście druga osoba, razem pan z nim będzie urzędował.

SKRZETUSKI: Tak, razem.

WOŹNY *(oddaje klucze):* Dowbór, pan go nie zna, pan nie stąd, on był tutejszy starosta, dał mi te klucze, jak do Londynu wyjeżdżał, w trzydziestym dziewiątym roku... Cały czas je miałem. I tak sobie myślałem, ech, jak to będzie pięknie, gdy będę te klucze oddawał... Ech... Pójdę po woźną, niech posprząta.

SKRZETUSKI: Ale to już jak wyjadą.

WOŹNY *(wychodząc):* Dobrze, dobrze, ale powiem jej. *(Skrzetuski jeszcze raz podchodzi do okna, jest zdenerwowany, wraca i otwiera pokój starosty, zagląda do środka, ale nie wchodzi, chwilę się namyśla. Z nagłą decyzją przechodzi przez pokój, rozgląda się na korytarzu i wychodzi. Woźny wsadza głowę).* Panie Piotrowski!... Gdzie on się podział?

(Po chwili wraca Skrzetuski z Płomieniem.)

PŁOMIEŃ: Już i mnie to lokatorstwo bokiem wychodziło.

SKRZETUSKI: Więc wiesz, co masz robić?

PŁOMIEŃ: Wiem.

SKRZETUSKI: To jest rozkaz majora, pamiętaj: przede wszystkim w nią, ja tu obok zaraz będę z Tygrysem.

PŁOMIEŃ: I pryskamy przez ten dom przechodni?

SKRZETUSKI *(zaskoczony):* Jak? A tak, tak!

PŁOMIEŃ *(rozgląda się):* Zupełnie jak w kryminalnej powieści... Poruczniku, czy to... tak koniecznie?

SKRZETUSKI: Rozkaz majora. A dlaczego się pytasz?

PŁOMIEŃ: Ciężko będzie stąd pryskać.

SKRZETUSKI: Nie bój się. Wybierz taki moment, jak będzie sama. A jak by co... no, to kto popadnie. My tu będziemy czekali.

(Wprowadza Płomienia do pokoju, oddaje klucze.)

SKRZETUSKI: Zamknij się.

PŁOMIEŃ: Dobrze by się nam tu urzędowało.

SKRZETUSKI: Trzymaj się!

PŁOMIEŃ *(nagle innym tonem):* Tylko wy... nie zostawiajcie mnie!

SKRZETUSKI: Nie, nie bój się!

(Wchodzi Doktor, Skrzetuski szybko domyka drzwi) Kogo pan szuka, panie doktorze? *(poufale)* Już pan wyzdrowiał?

DOKTOR: Zupełnie. Nawet źle się czuję po tej swojej chorobie.

SKRZETUSKI: To niech pan jeszcze pochoruje, położy się do łóżka, takie choroby najlepiej przeleżeć.

DOKTOR: Nie! Ja jestem lekarzem i sam dobrze wiem, co mi może zaszkodzić, a co mi może pomóc.

SKRZETUSKI: Pan nie jest specjalistą od tych chorób. *(Doktor podchodzi do niego)*

DOKTOR: Wy jeszcze chcecie mnie straszyć!... Jeszcze!!! Nie, panie poruczniku od specjalnych poruczeń, ja się już nie boję! Bać się mogą tylko ci, którzy mają nieczyste sumienia, a moje sumienie jest czyste, i tylko ci, którzy nie wiedzą, jacy jesteście słabi... Bezsilni!!! Zabijecie, zabijecie mnie, jeszcze jednego i jeszcze jednego. I co myślicie, że to UB położy kres temu zabijaniu, milicja? Nie, przed UB i milicją wy moglibyście się ukrywać. Ukrywać, to wy potraficie, ukrywać prawdę, ukrywać siebie, ukrywać własną słabość, to wy potraficie. Ludzie was rozszarpią! Ludzie! Jak psów was zatłuką! Bo jesteście jak psy!

SKRZETUSKI: Ludzie? Tłum?

DOKTOR: Społeczeństwo!

SKRZETUSKI: Czy pan będzie trzymał język za zębami?

DOKTOR: A jeżeli nie, to co?

SKRZETUSKI: Ostatecznie — nie posłuchacie rozkazu, to jeszcze nie to, co zdrada.

DOKTOR: I wy śmiecie mówić o zdradzie, wy!

SKRZETUSKI: Widzę, że pan zostanie donosicielem, że spełnianie obowiązków lekarza panu nie wystarcza!... Skoro pan tak chce leczyć ludzi, to ostatecznie... ale pan chce zostać ich szpiclem. *(telefon)* Starostwo. Tak. Tak jest... *(do Doktora)* O, właśnie pana wzywają do szpitala!

DOKTOR *(wyrywa słuchawkę):* Terlicki! Poważnie!? A jak aorta? Zastrzyk adrealiny... Przygotować salę operacyjną, już idę. *(wybiega, w drzwiach zderza się z Olą)*

OLA: O, doktor, zdrów, jakże się cieszę.
DOKTOR *(wybiegając):* Zdrów... Zdrów... Zdrów...
OLA *(do Skrzetuskiego):* Co mu się stało, dokąd on tak pobiegł?
SKRZETUSKI: W szpitalu jakiś wypadek.
OLA: Kochany człowiek.
(Wchodzi Starosta.)
SKRZETUSKI *(do Starosty):* Panie starosto, czy mogę wyjść na jakieś pół godzinki?
STAROSTA: Możecie, ale wróćcie najdalej za pół godziny.
SKRZETUSKI: Naturalnie.
(Wchodzi Zosia.)
ZOSIA: Ola, jak ludzie nadsłuchują tego, po tamtej stronie frontu, czekają.
STAROSTA: Zaraz powinno się skończyć, już trwa cztery godziny... Panie Wacławie, gdzie jest to sprawozdanie wydziału podatkowego?
SKRZETUSKI *(wskazując plik papierów):* Tutaj.
STAROSTA: Proszę mi poszukać.
(Skrzetuski wraca i podenerwowany przerzuca papiery. Głos katiusz.)
STAROSTA: Zaczyna się! Za chwilę żołnierze pójdą do ataku. Znam to uczucie.
OLA: Byliście pod Lenino?
STAROSTA: Byłem.
(Wchodzi Waldek.)
WALDEK: No co, kiedy jedziecie?
OLA: Czekamy na telefon.
WALDEK: Byłem z milicjantem u tego kolejarza, ale już ten łobuz się wyniósł. Ciekawe, kto to był.
OLA: Waldek, czy ty nie powinieneś być na lekcjach?
WALDEK: Ola, w taki dzień... Napiszesz mi usprawiedliwienie... bo, bo mnie nie ma kto pisać... Napiszesz?
OLA: Napiszę.
(Kanonada artyleryjska nagle urywa się, cisza, wszyscy podchodzą do okna.)
STAROSTA: Teraz żołnierze wychodzą z okopów, mocno ściskają automaty... Ktoś tam krzyczy „za Warszawę", „za Polskę", już wszyscy krzyczą „hurra". Chłopcy, „hurra"!
ZOSIA: Tam teraz ludzie wylegli z domów, dzieci tulą się do matek, więźniowie słyszą bicie własnych serc.
OLA: Jak to, Zosieńko, Bogdan mówił: „będzie jaśniej i piękniej, będzie radość i będzie śpiew!"
SKRZETUSKI *(podaje papier):* Proszę.
STAROSTA *(wyrwany z zadumy):* Aa... *(wyjmuje pióro i podpisuje)* To trzeba zaraz wysłać.
SKRZETUSKI: Dobrze. *(chce wyjść, wchodzi Woźny)*
WOŹNY: A, panie Piotrowski, szukałem pana. *(do Starosty)* To już w porządku?
STAROSTA: Panie Michalak, niech pan da klucze od tego pokoju.
WOŹNY: Dałem panu Piotrowskiemu.
SKRZETUSKI: Tak, tak, zaraz przyniosę.

WOŹNY: A wiecie państwo, na kołobielskiej szosie strzelanina była i kogoś zabili!

WALDEK: Gdzie?

WOŹNY: Tu zaraz, jeszcze w mieście, jak na Kołobiel się idzie! Tam ktoś do kogoś strzelał i potem rąbanina była, ten szewc Drewnowski mi mówił. Jednego do szpitala zabrali, ale podobno już kona!

WALDEK: Bogdana! Bogdana zabili!

OLA: Dzwońcie do szpitala.

STAROSTA *(kręci korbką. Widząc, że Skrzetuski chce wyjść)* Panie Wacławie, niech pan zaczeka, może pan być jeszcze potrzebny. Wolność? Szpital, szybko szpital... Szpital? Tu starosta. Doktora Terlickiego... Właśnie, a kto to był, kogo on teraz operuje?

ZOSIA: Co z Bogdanem?!

STAROSTA *(niecierpliwie macha ręką):* To dowiedzcie się natychmiast!... Tak, zadzwonię. *(odkłada słuchawkę)* Terlicki operuje kogoś ciężko rannego właśnie na kołobielskiej szosie, ale nie wiedzą, kto to jest.

ZOSIA: Chodźmy do szpitala.

STAROSTA: Zaczekajcie, zaraz zadzwonię.

OLA: Chodźmy. *(Ola, Zosia i Waldek wychodzą)*

STAROSTA: Co za historia. Ale kto to mógł zrobić, w biały dzień? *(Skrzetuski chce wyjść)* Panie Wacławie, niech pan poczeka, może pan być jeszcze potrzebny. Zaraz zadzwonię do szpitala, czy to bardzo poważne. *(trzymając słuchawkę)* Jak on to mówił wtedy — że kula w plecy bardziej boli... A pan, panie Wacławie, jak pan sądzi, bardziej boli?

SKRZETUSKI: Ja... ja nie wiem...

STAROSTA: Wolność! Wolność! Szpital?... No i jak tam?... Kogo?... A Bogdan?... No, porucznik Bogdan?... Wyszedł już, do starostwa... No dobrze... Dziękuję. *(odkłada słuchawkę)* Jakiś bandyta. Już nie żyje.

SKRZETUSKI: Panie starosto, ja bym chciał na pół godzinki, ja mam jedną sprawę.

STAROSTA: Dobrze, tylko niech mi pan da te klucze.

SKRZETUSKI: Nie mam przy sobie, zaraz przyniosę. *(wychodzi, Starosta podchodzi do drzwi i naciska klamkę, drzwi nie ustępują)*

(Wchodzą Ola, Zosia, Bogdan i Waldek.)

OLA: Myślisz, że z bandy Ziembicza?

BOGDAN *(wyciąga rozdartą kopertę):* To było przy nim.

STAROSTA: Co to?

OLA *(czyta):* „Proszę natychmiast zlikwidować osobę, o której mówiliśmy, gdyby nie było możliwe inaczej, osobiście, bez względu na okoliczności. Resztę przekaże panu Tygrys. Starać się pozostać na dawnym stanowisku. O wykonaniu rozkazu zameldować normalną drogą. Grom, major".

WALDEK: Kogo?

ZOSIA *(do Bogdana):* Może ciebie?

BOGDAN: Nie! To, że on do mnie strzelił...

WALDEK: On pierwszy?

BOGDAN: Pierwszy, nie zauważyłem go. To przypadek, że mnie spotkał.

OLA: Do kogo ten rozkaz mógł być przesyłany?

(Milczenie.)

STAROSTA: Najważniejsze, że nie dotarł.
OLA: Ten Tygrys nie żyje?
BOGDAN: Nie.
(Telefon.)
STAROSTA: To już.
OLA *(bierze słuchawkę)*: Tak. *(rozczarowana)* Aha. *(daje znak ręką Staroście, że to nie ten telefon)* Prokurator? Jestem przy telefonie. Co za zeznania?... Że z Wilna, wileńskie AK... Rozumiem... I jakie zeznania złożył?... To co z tego, że są dostateczne dowody winy?... Trzeba to sprawdzić... Jak? Chmura? Halo! Halo! Słucham, jestem... Tak, tak, tak. Już jedziemy. Wszystko w porządku... Znamy hasło. *(odkłada słuchawkę)* No, towarzysze, front przerwany, jedziemy?
STAROSTA: To ja pójdę zawiadomić towarzyszy, niech siadają.
OLA: Zocha! Idź, zobacz, czy wszystkie materiały agitacyjne są już załadowane. *(Starosta i Zosia wychodzą, do Waldka)* No a ty, daj, napiszę ci to usprawiedliwienie.
(Waldek szuka na biurku jakiegoś papieru i podaje jej brudny skrawek.)
OLA: Nie, na takim nie można, szkołę trzeba szanować. Skocz na górę.
(Waldek wybiega.)
BOGDAN: Doktor mówił, że chce złożyć jakieś zeznania.
OLA: Co za zeznania, w związku z tym?
BOGDAN: Nie wiem, był zajęty jeszcze tą operacją. Zaraz tu przyjdzie.
OLA: Ty zadzwoń do Prokuratury, przerwali nam rozmowę. *(pauza)* Zostaniesz tu i przeprowadzisz śledztwo w związku z tą sprawą, ale decyzja Komitetu pozostaje w mocy.
BOGDAN: Dobrze... Ten rozkaz dotyczył ciebie.
OLA: Przeprowadź śledztwo, ale błędów nie rób!
(Bogdan podchodzi i chce zamknąć okno. W tym momencie drzwi do pokoju starosty otwierają się, wychyla się Płomień, strzela do Oli. Widząc Bogdana chce strzelić i do niego, ale Bogdan strzela pierwszy. Ola chwieje się i pada. Bogdan podbiega do niej.)
BOGDAN: Oleńka!
OLA: Niech towarzysze jadą... Twoja Zosia wie, co ma robić... I wy wszyscy wiecie... A ty... ludzi nie krzywdź.
BOGDAN: Ola! Oleńka!
(Muzyka za oknem urywa się. Słychać sygnał Moskwy, głos radzieckiego spikera: „Mówi Moskwa. Rozkaz głównodowodzącego Marszałka Stalina. Wojskom, które wyzwoliły stolicę Polski, Warszawę..." Ola umiera. Wpada Waldek.)
WALDEK: Oleńka! Warszawa zdobyta! *(widząc Olę)* Oleńka! Przecież, przecież Warszawa!... Nasza! Oleńka, co ty, miałaś mi... Oczy otwórz... Otwórz... *(wchodzą Zosia i Starosta)*
STAROSTA: Towarzyszko!
WALDEK: Oj, mamusiu... mamusiu...
(Ostatnie słowa komunikatu: „Chwała żołnierzom, którzy polegli za Ojczyznę". Słychać salwy armatnie, kurtyna wolno opada.)

Józef Kuśmierek

TADEUSZ BREZA

Psychologia debiutu

Kiedy w dyskusji po wieczorze autorskim pytania zaczynają się powtarzać, a odpowiedzi autora kurczyć, znak, że należy kończyć. Wyczuwam to i ja. A przynajmniej staram się wyczuć moment, od którego spada zainteresowanie sali i moja werwa zaczyna dogasać. Jeszcze raz próbuję więc ogarnąć w krótkim podsumowaniu wszystko, o czym traktowałem, po czym zamykam zebranie i — dziękuję. Wówczas dopiero przychodzi rodzaj epilogu, który zwykle o wiele silniej pamiętam niż sam wieczór i samą dyskusję. Oto z tłumu publiczności odrywa się trochę osób i przybliża do stolika, za którym jeszcze sterczę i nadal kłaniam się, bo ludzie klaszczą.

Wśród tych, co podeszli, jest zawsze jakiś staruszek albo jakaś sędziwa pani. Często z laseczką, czasem z woaleczką, stale w rękawiczkach. Raz jeszcze obrzucają mnie bystrymi oczkami i na koniec przechodzą do kwestii, której zawdzięczam króciutką rozmowę z nimi, a prawdopodobnie w ogóle ich obecność na moim wieczorze. Zapytują, czyj jestem syn; albowiem zdarza im się od czasu do czasu w gazetach spotkać znajome nazwisko. Rozstrzygam tę rzecz. Rozwiązuję zagadkę. Muszę się jednak w sekundę decydować, by zabiec drogę całej litanii pytań. Inaczej końca temu nie będzie. Wiem z poprzednich doświadczeń, że w przeciwnym razie zmuszą mnie, bym wyliczył wszystkich moich zmarłych, wszystkich z pokolenia moich rodziców czy moich dziadów, gdyż przeważnie będą się pytali o takich, którzy się rozstali z tym światem.

Tedy żegnam się jak umiem najserdeczniej. Zawsze — oburącz. By potem, skoro już obie ręce wprowadziłem w ruch, ni to uchwycić, ni to ogarnąć po kolei państwa za łokcie, i delikatnie, z rewerencją odsunąć na bok. Bez wysiłku mi to przychodzi, przynajmniej — fizycznego, a to stąd, że najczęściej są wyschnięci i zupełnie przez to lekcy. Jeszcze przez dobrą chwilę czuję niejako flankami ciała ich obecność. Patrzą, świdrują mnie parami pożółkłych oczek. Udzieloną przeze mnie genealogiczną informację przymierzają do starej, niepotrzebnej nikomu, posiadanej przez nich wiedzy. Konfrontują moje rysy i moje gesty z rysami i gestami tych osób, o które by pytali, gdybym ich przed momentem nie odstawił na boczny tor.

Konfrontują, przeżywają i pamięć ich ulata w przeszłość. Moja figura najniewinniej im w tym pomogła. Ulatują więc. Gorzko-słodkim nastrojem od nich bije. Gorzkim, ponieważ jest im w teraźniejszości gorzko, a słodkim też, bo z pradali zamajaczyła im na minutkę epoka inna. Innych praw i innych zasad. A przede wszystkim tej fundamentalnej dla nich reguły, którą można by ująć krótko i trawestacyjnie, że — k a ż d e m u w e d ł u g j e g o u r o d z e n i a.

A ja tymczasem rozmawiam z następną kategorią postaci, które przyciągnął mój stolik. Jest to kategoria specyficznego rodzaju. Czasem zabłąka się do niej któryś z lokalnych polonistów. Czasem jest to ktoś z miejscowej biblioteki. Czasem z jakiegoś wydziału kultury. Zawsze zaś z patentowanej,

przedwojennej inteligencji. Nikt znany mi osobiście, ale jakże mi znany jako gatunek. Bez wątpienia! Znam ich! Zajmują miejsca z boczku pod oknem, pod ścianą, nigdy w pierwszym rzędzie. Skromni, ale — szanujący się i szanowani. Oczytani, zorientowani, często niemałej kultury. Taką też i mają reputację.

Złaknieni zawsze wyższej rozrywki. A więc na wieczorze byli. Wszystkiego, co do sali mówiłem zza stołu, wysłuchali uważnie. Najczęściej nie brak wśród nich ludzi, którzy chętnie stawiają mi pewne pytania publicznie. Właśnie — pewne! Natomiast z innymi, podług nich nie nadającymi się do jasnego sformułowania, dwuznacznymi, delikatniejszymi, mniej więc pewnymi, teraz się przybliżyli. A o cóż to im chodzi? O zasadnicze ideały. O literaturę. O sztukę. O to, czy ja, jako artysta, nie obniżam swoich lotów. Ja i nie ja, w ogóle — twórcy. O to, czy u nas nie obraca się piór, rylców, ołówków i pędzli w narzędzia li tylko służebne. O to wreszcie, czy da się połączyć natchnienie z realizmem socjalistycznym, zwłaszcza jeżeli się musi. Ot — tyle!

Takie są mniej więcej strapienia podobnych osób. Tych postaci nie mogę — na podobieństwo moich staruszków — wziąć za łokcie i z całym nabożeństwem odstawić na bok. Nie tylko dlatego, że mają całkiem inną wagę fizyczną, będąc jeszcze najczęściej w sile wieku, ale głównie dlatego, że ich sprawa ma też inną wagę polityczną i ideową. Inny walor społeczny. Przecież oni, w sposób jakiś tajny lecz rzeczywisty, promieniują na otoczenie. Nawet jeśli nie są wychowawcami w dosłownym znaczeniu. Nawet jeśli nie tkwią po różnych szkołach czy przy różnych kursach. A cóż dopiero jeżeli tkwią! Uczą w nich tak, jak się do mnie odzywali na głos ze swoich boczkiem zajmowanych miejsc pod ścianą czy pod oknem. Być może. Ale to ich nie wypełnia całkowicie. Wręcz przeciwnie. Noszą w zanadrzu najróżniejsze powątpiewania. Nie są wrogami. Inna z nimi bieda. A mianowicie ta ich uparta wiara, że jeszcze całej prawdy nikt nie wydrukował, nie napisał ani nie wypowiedział na żadnym zebraniu; chociaż jakaś taka prawda podstawowa, naczelna, główna istnieje, przekazywana od człowieka do człowieka w cztery oczy.

No więc oni podsuwają się po nią do mnie, dyskretnie, płochliwie, niczym po wtajemniczenie masońskie. Jestem zakłopotany ufnością, którą obudziłem. Na wieczorach autorskich staram się jak najmniej czytać, jak najwięcej opowiadać i rozmawiać. Staram się też nie narzucać żadnych prawd. Nie ogłaszać żadnych pewników. Nie zakładać ich, ale do nich wspólnie dochodzić. Adresat wieczorów autorskich rzeczywiście nieraz bywa inny nieco niż po prostu adresat książek i pism literackich. Zwłaszcza wieczorów bardziej kameralnych. W salach pomniejszych, gromadzących to wszystko, co się potem zwykło w sprawozdaniach nazywać „miejscową inteligencją".

Taki adresat przychodzi na wieczory po coś, czego mu po książkach i po pismach brakuje. Przychodzi pogadać o ogniwach, które widać w książkach i w pismach potraktowaliśmy niedostatecznie. Po jakieś ogniwa w naszych rozumowaniach czy obrazowaniach, ogniwa czasem nieobecne albo stanowiące w nich to, co medycyna zwie, kiedy rozprawia o swoich problemach, *loci minoris resistentiae*. Czyli, mówiąc po ludzku, stanowiące dla

nich słabe punkty. Dobra! Pięknie! Słusznie! Lecz to chyba co innego — słabo wykute ogniwa, niż to, po co suną ku mnie wspomniane powyżej postaci. Jest to nawet absolutnie co innego!

Ale — stało się! Obudziłem ufność! Sam tego chciałem. Bynajmniej się nie skarżę. Bo rozmowa, która się toczyła z salą, była ciekawa. Główny jej nurt był taki, jakiego pragnąłem. Ważny i osobisty, i — żywy. Odczuwam, że niejedno ogniwo wzmocniłem. Niejedną zgrabniejszą i — myślę — trwalszą łatę dałem na miejsce dziurawe. Zgrabniejszą i bardziej stosowną — na miarę moich sił i moich horyzontów. To zaś, z czym teraz mam się porać, jest niejako bękartem mojego stosunku nawiązanego z salą. Niezamierzonym i pozaplanowym efektem mojej metodyki. Co robić? Ano znowu resztki werwy zebrać jeszcze na jaką chwilę i przysiąść pod oknem czy pod ścianą, tak właśnie jak takie postacie lubią. I — próbować. Próbować już nie mocy ogniw, lecz tego, czy w ogóle jest gdzie to pierwsze, to wstępne uczepić. Macać i badać z tym nieznośnym poczuciem, że wszystko to jest marnowaniem czasu. Z podskórną złością na tych ludzi, którzy umieją tyle, a jednego ani rusz nie mogą się nauczyć — abecadła. Ze złością na te ich wynalazcze, wieczne, niepokonalne p e r p e t u u m w a h a b i l e. Ze złością tym większą, że nie im poświęciłbym najchętniej resztę swego poodczytowego i podyskusyjnego animuszu, lecz całkiem komu innemu.

Oczywiście tym kilku chłopcom i tym kilku dziewczynom, które nie opuszczają sali. Krążą nadal, niezdolni przekroczyć orbity ewenementu już przecież zakończonego. Czasem proszą o podpis w sztambuszku czy w kajecie albo o autograf na najtańszej z moich książek, na czterozłotowym J o k k m o k k u. Patrzę ku nim, zerkam. Pośród nich dostrzegam takich, którzy zabierali głos w dyskusji. To znaczy postawili mi jakieś pytanie w sposób trwożliwy albo w sposób nonszalancki. Pytania najczęściej nieważkie, najczęściej bynajmniej nie oryginalne. Ja jednak, jak mi się zdaje, znam podszewkę takich pytań.

Tak jak znam podszewkę i tej nieśmiałości, i tej nonszalancji, obu tych tonów, z jakimi mi je stawiali, tonów z pozoru diametralnie różnych — niby raz bas, drugi raz wiolin jednakowej tonacji. Znam z własnych przeżyć i z własnych wspomnień. Z tych lat, które we mnie wybuchają z papamięci po każdym wieczorze autorskim. Ja się tak samo kręciłem dobrych parenaście lat temu, kręciłem po salkach w Lublinie czy w Poznaniu, gdzie kończyłem szkoły. Kręciłem, kiedy z odczytem przyjeżdżał literat. Kręciłem nawet wówczas, kiedy nie znałem jego książek. Fascynował mnie jednak każdy. Nie zabierałem głosu, gdyż na moje szczęście nie bywało wówczas dyskusji. Ale gdyby taki obyczaj istniał już, też bym wywlókł ze swego gardła jakieś pytanie, postawione na siłę, na ślepo, na ryzyko. Zwalczając przemożne uczucie nieśmiałości, którego doznawałem jeszcze przez lata w obliczu każdego większego zbiorowiska ludzi.

I też zabrzmiałoby ono, to pytanie, albo jaskółczo, albo kogucio. W zależności od tego, jaka warstwa psychiczna w danym momencie wzięłaby we mnie górę. Wola, żeby się jakoś zaznaczyć, wydać z siebie głos. Czy też wrażliwość, dla której podobne rzeczy są torturą. Nie było to jednak w obyczaju. Nie mówiąc o tym, że w ogóle wtedy kontakty pisarzy z pu-

blicznością należały do rzadkości. Mogłem więc sobie spokojnie słuchać i siedzieć bez tych najpewniej strasznych imperatywów bodących dziś moich przyszłych kolegów od środka. Mogłem cichcem siedzieć oraz chyłkiem przecinać kartki książki przemawiającego autora, kupowanej najczęściej w ostatniej chwili.

Kończył się odczyt. Podchodziłem wraz z innymi. Podchodzili jego znajomi, podchodzili jego admiratorzy, podchodzili zbieracze autografów, podchodzili zwykli gapie. A wśród nich i — ja. Już t k n i ę t y. Już p o w o ł a n y, ale jeszcze taki szczeniak, że ani w y b r a n y, ani n i e w y b r a n y. Ciągnął magnes. Pchała potrzeba, żeby popatrzeć z bliska. Taka, jaka pcha nas do wszystkich mających rozgłos ludzi. Lecz wtedy to jest zwykłe gapiostwo. To, o którym mówię, nie jest zwykłe. Bo ja już pisałem. I wiersze, i różne kawałki prozą. Z pisaniem jest jednak taka sama sprawa, jak z odzywaniem się publicznie. Coś pcha do tego, a coś — wstydzi. Wstydzą też człowieka ludzie. Wstydzi otoczenie. Myślę, że w takiej początkowej epoce zobaczyć sobie jak na dłoni żywego, autentycznego literata, dobrze robi. Coś się przez to w człowieku potwierdza. Do czegoś to ośmiela. Pokazuje się, że można takim być. Od tego przybywa rezolucji.

Ciekawe, że w takiej wstępnej fazie pisarz, którego się ogląda, może być bliżej nieznany, a nawet całkowicie nieznany, albo też, co jest jeszcze bardziej symptomatyczne, chociaż poznany na drodze książkowej, lecz — obojętny. Byle był żywy i miał rozgłos, spełnia swe zadanie, określone wyżej, bo dodaje otuchy. Od takich spotkań zapewne przybywa papierków zapisanych wierszami. Przybywa świstków zapisanych myślami albo różnymi zdarzeniami z życia. Pojawia się pamiętnik. Na koniec — rusza powieść, która najczęściej urywa się po paru rozdziałach. Krytycyzm ją zdusił, ślepa uliczka fabularna, a jeszcze częściej już zmiana planów twórczych czy nawet życiowych.

Bywa tak, bywa inaczej, jednym słowem — różnie bywa. Jedno w podobnych losach jest zawsze nieuchronne, że zwiększa się powoli ilość kart, karteczek i karteluszków. Są — tajemne. A za młodu ten termin — tajemność — oznacza zawsze jedno i to samo, że istnieją — wtajemniczeni. Bratnie dusze, najczęściej jednak właśnie nie bracia, ale siostry, kuzynki czy ciotki. Tak przynajmniej sprawa się układa u inteligentów. Na wsi inaczej, jak to z różnych relacji się słyszy. Tam takie pierwsze audytoria są mniej babie. Są też w stosunku do tekstów czynniejsze, mniej cmokierskie. Treść tam więcej znaczy. W każdym razie w jakimś kółeczku, w jakiejś malutkiej społecznej komórce już człowiek jest pod pewnym względem inny. Inny niż pozostali ludzie. Pod tym właśnie dziwnym względem, że — pisze. Umie robić taką sztukę, jakiej inni nie umieją. Tacy inni mogą sobie wyobrażać, że ona nie ma sensu. Mogą sobie wyobrażać, że nie jest to żadna rzecz życiowa. Sto różnych rzeczy mogą sobie myśleć i nie tylko — mogą, ale i — myślą.

A pomimo to jest się od nich innym. O czym świadczą nie tylko pogryzmolone kartki i świstki, lecz wiele innych różności. Jakieś więc zadęcie psychiczne, które człowiek w sobie wyczuwa. Kłucia, przypływy czegoś i porywy. I często jakaś niesubordynacja w stosunku do reguł zdrowego rozsądku. W zasadzie — tak zapowiadająca, a w praktyce — tak nieznośna.

A pisaniny przybywa. Naraz epoka luźnych kartek zamyka się. Otwiera epoka — zeszytów. Różnych formatów i różnych grubości.

Charakteryzują one wszystkie razem — im grubsze, tym silniej — przyrost wiary człowieka w siebie. Kajet, a jeszcze lepiej — tęgi brulion oprawny, to rzecz trwalsza od kartek. Przyszły pisarz już sięga po trwałość. Bibliotekarze mają swój termin na określenie książek. Mówią o nich — druki zwarte. Podoba mi się ten przymiotnik. Tym więcej, że akurat mi się przyda. Ta epoka, o której przed chwilą wspomniałem, to właśnie epoka pisanin z w a r t y c h. Kiedy w taką epokę człowiek wkracza, nie wystarcza mu samo popatrzenie na pisarza. Człowiek już zdał egzamin w jakimś małym kółku. Może rodzinnym. Może szkolnym. Pragnąłby uczynić dalszy krok. Porozmawiać z kimś. Z kimś, c o s i ę z n a. Z jakimś autorytetem.

Jakże ja go rozumiem! Mogę nawet powiedzieć, że rozumiem go do dziś. Niezależnie od tego, że tak wybornie pamiętam własną istotę z tych czasów. I to jak wybornie, z jaką świeżością! Do tego stopnia żywo, że zawsze podczas wieczorów autorskich, a zwłaszcza po ich zakończeniu, kiedy tak pod ścianą czy pod oknem sterczę i biedzę się z moimi ośmielonymi, mówiąc językiem St. I. Witkiewicza, w a h a b i t a m i, półświadomie, machinalnie rozwiązuję sobie pewną zagadkę. Z tej młodzieży obdarowanej przeze mnie tym minimum, jakie jej dać mogłem z siebie, to znaczy — autografem, które z nich — pisze?

Który z tych chłopców, która z tych dziewczyn, co to się tak kręcili koło stołu autorskiego? Ci, na przykład, co to znowu nie po żadne autografy, a także nie z żadnym pytaniem, lecz o tak, bez celu? Ale może właśnie nie tak całkiem bez sensu? Może właśnie któreś z nich kreśli sobie luźne zwrotki czy scenki na świstkach, jeszcze — na wiatr. Albo może już przeszło do następnego etapu, do etapu twórczości z w a r t e j? Albo też może ani tak, ani siak, a tylko — pośrednio? Może ich Muza składa swe twory już nie na luźnych kartkach, ale jeszcze nie w zeszytach specjalnych? Muza-kukułka. Które więc z nich?

Czy ten chłopiec piegowaty, chudoręki, taki bystry? Czy ta — senna, sowiooka, wielkogłowa, z rozdziałkiem wyrazistym i poprowadzonym z przerażającą konsekwencją od czoła po sam kark? Jeśli tak, to czemu się do mnie nie odezwą? Najpewniej z tych samych powodów, dla których ja się kiedyś w podobnych sytuacjach nie odzywałem. A nie odezwałbym się za nic. Przenigdy w świecie. Chociaż taki byłem naładowany pytaniami. Tymi wieczystymi, trwałymi, stałymi. Jest ich cały kłąb. Zdają się niezmienne, a przecież odpowiedź na nie musi się z pokolenia na pokolenie zmieniać. Musi jakoś pasować do swojej epoki. Uwzględniać ją. A nawet więcej niżeli uwzględniać, bo ogarniać i ją samą, i jej potrzeby, i jej specyficzności.

A oto parę pytań z niekończącej się listy: Jak pisać? Jak się do tego przygotowywać? Jak się odnosić do sądów czytelniczych? Czy pracować niezależnie od natchnienia, czy czekać aż — przyjdzie? Co czytać? Jakich filozofów? Jakich pisarzy? Ot, dajmy na to, przykłady takich pytań. Różne bywają i różnie sformułowane. Ale jedno pojawia się zawsze. Jest najważniejsze. Jest — przed wszystkim. Czy w ogóle — warto?! Czy —

oto jego najczęstsze brzmienie — m n i e warto? Krzyżowe pytanie! Pytanie wańka-wstańka. Pytanie jak cień chodzące za każdym z nas. Pytanie uparte.

Lecz zanim się przekonamy, że na to nie ma rady, zanim się przekonamy, że na jego upór nie ma lekarstwa, właśnie za młodu, kiedy pojawiamy się na wieczorze autorskim i przysłuchujemy żywemu, autentycznemu literatowi, takie pytanie naskakuje na nas z ogromną siłą. Człowiek z chciwością pożąda rozstrzygnięcia. Jego wola przekroczenia malutkiego kręgu odbiorców pcha go do tego, by je rzucić. Wrażliwość cierpnie na samą myśl. Ja cierpłem. Inni cierpli. Tysiące całe od nieskończonej ilości pokoleń literackich. A więc może i ten chłopiec piegowaty i żywy, i ta sowiooka i senna, jeżeli — rzecz prosta — ich odgadłem? Ale nic nie mówią. Zwycięża w nich rozsądek. Zwycięża milczenie, które w tym wypadku bez wątpienia jest złote.

Bo odpowiedź na to kardynalne pytanie, zawsze najważniejsza odpowiedź w ogóle — tak przynajmniej ja sądzę — nie może przyjść z zewnątrz. A zwłaszcza takiej odpowiedzi nigdy nie może udzielić jednostka. Raczej już ludzie, no i czas. Przy czym nie zawsze bieżący, a co do ludzi, niestety, nie zawsze — współcześni. Czasem więc replika na to pytanie główne przychodzi po dziesiątkach lat. Bywa niekiedy i tak! To prawda, że rzadko.

Natomiast rzecz zwyczajniesza i znacznie bardziej typowa — to słabiutkie początki, mizerniutkie, niewiele wróżące, a potem — piękne owocowanie. Bo pierwsze utwory — to ogromnie często tylko odgłosy naśladowcze. Wypływające z naczytania, nakołysania się czyimś stylem, czyimś widzeniem świata. A więc utwory — nieświadome pastisze. Mogą się udać. Mogą wypaść całkiem kształtnie. I co wtedy? Co o nich sądzić i co o nich mówić? Psychiatrzy mają swoje określenie na pewien objaw schorzeniowy. Myślę o — echolalii. Jednostka dotknięta nim — co usłyszy, to odkuka. Całkiem jak nieraz początkujący liryk, co to gada głosem cudzym. Czasem gadający jak z nut. Czy to wtedy oznacza, że jest zdolny? A ktoś inny, który w ten sposób podchwytywać nie potrafi — nie? Nic się tu nie da powiedzieć. Strunka naśladowcza prędko staje się niepotrzebna. Jest to niejako ząb mleczny twórczości. Ale tak samo również wygląda odbiorczość na sztukę do tego stopnia aktywna, że musi się uzewnętrznić. A bywa też, że niesie pierwszy słabiutki wytop czegoś własnego. Albo więc to tylko echo gra, albo naprawdę coś się kołacze. Czy to pierwsze, czy to drugie, na to dopiero przyszłość odpowie.

Ale w tym wypadku odpowiedzi nie udzieli na podstawie owych pierwocin, chociażby je jakaś biblioteka przechowała do sądnego dnia. Udzieli jej na podstawie następnych robót. Zatem trzeba je mnożyć. Pomimo tego, że nadal pozostawać będzie w zawieszeniu ta kardynalna sprawa, czy w literaturze człowiek się kiedyś znaznaczy czy nie. Bo o ten ślad, o ten wkład właściwie chodzi tym wszystkim pytającym, czy — warto. Człowiek nie chciałby się literaturze naprzykrzać. Ani sztuce, ani społeczeństwu. Jest to z jego strony duży dla nas wzgląd. Człowiek chciałby też mieć coś zagwarantowane. Niestety! Ani zaręczeń, ani gwarancji, ani obiecanek — w tym wypadku — nie ma. Idzie się tu na niewiadome. A wszystkie

przejawione cnoty i godne szacunku skrupuły też nic nie pomogą. Ani właśnie ta ostrożność, ani ta delikatność. Ani przyzwoitość i niechęć do tego, by ewentualnie nie pchać ludziom do rąk towaru podejrzanego i do tego jeszcze — własnej produkcji.

Ani cnoty nie pomogą, ani nawet — wady. Ani więc podszepty miłości własnej, mówiące, że nie wypada nam być terminatorem, jeśli nie ma pewności, że na koniec będziemy mistrzem. Jakimś — wielkoludem literatury! Za żadne skarby szaraczkiem! Lepiej — nikim i niczym! Nic z tego. Choć człowiek jest pyszny i drażliwy, będzie się pchał. Zadecyduje coś w jego środku. Coś bardzo ludzkiego. Coś, co chociaż się tak stawia, godzi się czasem brać przez całe życie po łbie. Coś, co miewa najczęściej naturę okropnie zarazem nieśmiałą, a umie się upierać. Coś, co równocześnie jest takie niecierpliwe, nerwowe, ciskające się, a potem na niezmierne, różne mordercze trudy okazuje się wytrzymałe.

Jak to nazwać? Dajmonionem? Iskrą bożą? Różnie bywało tytułowane. Można by o tym napisać pracę doktorską. Ja sądzę, że jest to rodzaj naporu wyobraźni. Wyobraźnia zaś jest to po prostu zaktywizowana pamięć. Aktywizacja ta natomiast polega na tym, że — jak wiadomo — żyjąc z pamięci wyobraźnia miele, co pamięć daje, przetwarza, uzupełnia przez różne interpelacje i rzutowania. Wszystko to razem szuka potem ujścia. Chce się przedostać na zewnątrz. Chodzi za człowiekiem. Miota się w ludzkim środku jak kot w worku. Tadeusz Boy Żeleński opowiadał, że zanim się na stałe zabrał do pisania, histeryzował. Po cichutku, dyskretnie, niemniej przeto boleśnie. Miejsca sobie nie mógł znaleźć, aż je dopiero znalazł przy biurku.

Leonid Leonow, próbując sprecyzować, na czym polega ów nacisk, owa siła odśrodkowa, mówi, że pisze „z naturalnej, prawie fizjologicznej potrzeby". Moim zdaniem Leonow kładzie tu palec na samym nerwie rzeczy. Podobnie zresztą jak Boy, którego wyznanie należy w ten sposób rozumieć, że gdy nie dawał owej potrzebie ujścia, to mu boleśnie i zakwaszająco dokuczała. A więc o tym, czy mnie warto pisać, owa „prawie fizjologiczna potrzeba" z reguły decyduje. Bywa naskórkowa, bywa denna, bywa różna. Zawsze jednak ma tę moc, żeby za nas postanawiać. A zupełnie ściśle mówiąc, ma tę moc, by wciąż i wciąż, z roku na rok w naszym imieniu prolongować stan rzeczy oparty właśnie na takiej niedopowiedzianej decyzji i niepostanowionym postanowieniu. Zatem — piszemy. Dajemy upust naszemu impulsowi. Nam warto, a czy ludzie coś z tego będą mieli, to się okaże. Gdyż upust upustem, zyskiwanie równowagi psychicznej zyskiwaniem równowagi, wszystko to pięknie-ładnie, lecz to jest dopiero warunek, nie zaś — cel naszego pisania. Bo smutna by to była sprawa, gdyby nasze pisanie miało odnieść tylko ten skutek.

To jasne. Każdy próbujący tak czuje. Wynika to również z pytań, jakie stawia. Tych pytań, których próbki przytoczyłem. Któż zdrów na umyśle zadawałby je ludziom, a przede wszystkiem — sobie, któż by jakością swego pisania tak się ambarasował, gdyby mu szło jedynie o własny święty spokój. A tymczasem on o taką psychiczną wygodę wcale nie dba. Zaspokojenie „prawie fizjologicznej potrzeby" jeszcze niczego mu nie załatwia. To jest tylko drobny zysk na boczku operacji, w której o znacznie poważniej-

sze korzyści chodzi. Chodzi o jakość, jak to już powiedziałem. O jak najdoskonalszy kształt. O możliwie najbardziej ścisłe, przenikliwe, nieuniknione — jak powiada Jan Parandowski — słowo. Jest to troska tym dziwniejsza, że najczęściej wybiegająca w przyszłość. Jest to troska o to, by w sposób jak najpełniejszy wyrazić rzeczy, o których się jeszcze nic nie wie.

Bo kiedy pytamy starszego kolegę, co czytać, nie pytamy z myślą o naszych bieżących gryzmołach. A zarazem nie pytamy bezinteresownie. Nie pytamy jako prosty czytelnik, ale jako ktoś, kto szuka nauki, w pełni świadomi tego, że zaowocuje ona w nas dopiero kiedyś. Podobnie rozpytując się i u starszych, i u mądrzejszych o różne inne zagadnienia warsztatowe, czyż nie troszczymy się niejako na odległość? Bez wątpienia! Nieraz po latach jakaś kwestia, jakiś jego bohater, jakaś sytuacja coś na tym zyska. A pytający przygotowuje się do ich wyrażenia już dziś, zupełnie jak gdyby wiedział, o co mu później będzie chodzić. Tak się z nim sprawa przedstawia.

Jak widać, wcale nie goni on za tym, by mieć lżej. Nie taki ma cel. A więc w takim razie — jaki? Przecież także nie pisze wyłącznie dla wprawek. Ani też dla zabawy. Chyba, że w całkiem szczególnym rozumieniu tego słowa. W takim, w jakim użył je również Leonid Leonow, powiadając o pisaniu, że jest to „bardzo ostra i niemiła przyjemność".

Może zatem dla popisu? Dla — zaimponowania? Także nie! W ten sposób odpowiadając też nie trafimy w sedno. Już nie trafiamy. Owszem, początkowo, kto wie, czy nie odgrywał pewnej roli podobny wzgląd, ale dosyć szybko zszedł na drugi plan. Przekonać się o tym można zwłaszcza w wypadkach, kiedy jakiś terminator włada o wiele bardziej przemawiającymi i bardziej dostępnymi sposobami imponowania, a choć włada lepiej, tylko by pisał i pisał. Po jakie więc licho?

Czyżby był świadom roli pisarskiego zawodu? Czyżby na przykład obecnie, mając więcej klaru ideowego w głowie niż setki chłopców i dziewczyn innych epok, czyżby widział w nim narzędzie walki? Jedno z tych wspaniałych narzędzi, przy których pomocy można nie tylko świat poznawać, ale i odmieniać? I to odmieniać na tej najpiękniejszej drodze odmieniania świata — poprzez odmianę człowieka? Czyżby, krótko mówiąc, jasno zdawał sobie z tego sprawę, że chce być „inżynierem dusz"? Na pewno jeszcze nie. Nawet jeśli zna ten cytat. Nawet gdyby znał inne. Nie ogląda w nich siebie. Na myśl mu nie przyjdzie dopatrzeć się w nich wyjaśnienia swoich zajęć. Kierunkowskazu, gdy kreśli swoje prace w kajetach. A to dlatego, że na razie tak dalece jest dopiero przedmiotem procesów, w których może kiedyś zajmie rolę podmiotu. Tak dalece również zaabsorbowany jest tymi piętrowymi procesami, którym podlegają dusze przyszłych inżynierów dusz. Pierwsze moce kształtotwórcze taka dusza obraca na swój użytek, na użytek własnego wnętrza, nie mając ich na wynos.

Toteż zaczątkami pisania nie kierują żadne ostateczne horyzonty. Nawet kiedy na koniec przechodzi się od „pisaniny zwartej" do tej upragnionej fazy, fazy pierwszych drukowanych utworów, drukowanych luźno, po czasopismach — jeszcze te horyzonty pozostają za mgłą. A zdarza się,

że także i wtedy, kiedy nasz pierwszy tomik się pojawi. Etap po etapie realizujemy nasze marzenia. Przebijamy się jeszcze przez jedną warstwę i jeszcze przez jedną warstwę. Skupieni całkowicie na tym wysiłku, żeby się przedostać do ludzi. Od malutkiego kółeczka znajomych do szerszego ogółu. Taka jest natura naszych początków. Taki jest nasz najbliższy cel.

Na koniec zaczynamy wierzyć, żeśmy się przedostali. Jeżeli jeszcze nie przedostali się do szerokiego ogółu, to w każdym razie wydostali na szersze wody. A tę przejmującą wiarę budzą w nas napływające wiadomości o tym, że nasz głos dotarł do n i e z n a n y c h ludzi. Że ci nam nieznani zauważyli go. Że go — przyjęli. Robi to na nas wrażenie duże. Inne wprawdzie, niż sprawił widok pierwszego wydrukowanego utworu, a zwłaszcza pierwszego wydanego tomiku. Od takich widoków zawsze aż coś targnie człowiekiem. A tymczasem wspomniane wieści wręcz przeciwnie — napełniają nas jakąś ciszą. Zarówno duchową, jak fizyczną. Nieustatkowany nabiera statku, a senny — ożywia się. Jeśli więc rzeczywiście piszą, zgodnie z moimi podejrzeniami, ów młody człowiek i ta dziewczyna, o których napomknąłem na początku tych refleksji, sfolgują im trochę: jemu — nerwowość, jej — tumanowatość; te tak typowe, choć sobie przeciwstawne, objawy pierwszych kontaktów z Muzą.

Bo coś się w nas podówczas rzeczywiście odpręża. Przychodzi na nas rodzaj opamiętania. Ów upór, który nas tak omotał, staje się mniej ślepy. My zaś w naszych dążeniach stajemy się bardziej wielkoduszni i bezinteresowni. Czegoś innego zaczynamy pragnąć niż tego tylko, żeby się przebić. P o z i o m naszych dążeń podnosi się. Mgły jeszcze dużo, a na naszych oczach łusek a łusek, ale już pewne światło się przez te mgły i poprzez te łuski przebija. Spokojniejsi i bezinteresowniejsi, robimy się także bardziej krytyczni. Mniej posłuszni każdej radzie. Mniej wpływowi, gdyż we wpływach zaczynamy przebierać. Każdy majster nie będzie od tej chwili dla nas mistrzem. To jest słusznie. To jest dobrze. Nawet te trochę spokoju, które się w nas obudziło, też jest dobre. Chociaż wszelki pełniejszy spokój nie byłby tu uzasadniony. Ponieważ właśnie po wydrukowaniu pierwszych utworów, po wydaniu pierwszego tomiku dopiero zaczyna się prawdziwy start. Start — ostry. Ten, co zadecyduje, czy ze strony Muzy wszystko dotąd było tylko kaprysem, czy też odczuwa ona do nas coś głębszego. Tak więc ta meta jest stanowcza. Ale to są już zagadnienia wykraczające poza sprawy debiutu, którym się zajmuję.

Inna kwestia natomiast nie wykracza i obraz sprawy, choć z konieczności szkicowy, byłby bez niej zupełnie nie do przyjęcia. Chodzi o akcent czasowy. A jeszcze lepiej — dziejowy. Bo nie można debiutanckiej problematyki rozważać tak, jak gdyby się rozważało problemy „obrotu ciał niebieskich", ciał stałych w swoich regułach, ciał niczym nie dających się zbić ze swoich torów. Z debiutami tak nie jest. Elementy trwałe mieszają się tu z elementami uwarunkowanymi epoką. A im epoka jest wyrazistsza, tym te zmienne elementy czyni wyraźniejszymi. W chłopcu nerwowym i chudorękim oraz w panience sowiookiej i sennej rozpoznaję siebie i swoich rówieśnych. Gdybym nawiązał z nimi znajomość — jeżeli tylko sobie nie uwidziałem tego, że piszą — czytałbym jak we własnym pamiętniku. Wszystkie ich

krygi, wstydy, żary, smutki i uniesienia bym rozpoznawał. Krótko mówiąc, całą tę psychologię, a chciałoby się nawet powiedzieć: fizjologię, debiutu. Ale na tym podłożu w nieco inny sposób bujają dzisiaj pędy. Zarysowują się już różnice. Te różnice, które staną się z roku na rok coraz bardziej zaakcentowane.

Pisarstwo to teraz czołowy zawód. Zawód, który awansował. A więc obecnie, kiedy jakaś młodziutka istota o nim myśli, jej otoczenie nie może samego kierunku podobnych marzeń lekceważyć. Albo też inna odmiana — też w swoim rodzaju przewrót! Kiedy stawia ona te swoje odwieczne zapytania, wyspecyfikowane powyżej, czyż nie otrzymuje, przynajmniej w zasadzie, odpowiedzi z e ś r o d k o w u j ą c e j uwagę jej na jednym? Na jednej filozofii i na określonej literaturze? Przełom tu polega nie tylko na tym, że jest to filozofia jedynie słuszna i że jest to literatura jedyna do przyjęcia, co każdy widzi, ale również na tym, o czym mniej pamiętamy, a co dla duszyczek debiutujących jest takie cenne, mianowicie, że rady dzisiaj działają na nie skupiająco, podczas gdy te, które, dajmy na to, moje pokolenie otrzymywało, działały rozpraszająco. Myśmy się przez to wyłaniali jak gdyby z chaosu, wyruszali z rozstajów, pojawiali z rozdroży. Aż przyszła epokowa pora, że jest inaczej.

Nie oznacza to, aby trud młodych był dzisiaj mniejszy, lecz — że jest inny, bardziej celowy. Nie jest mniejszy, gdyż obszar filozofii, o której mówię, jest olbrzymi. Z klasyków marksizmu wybrać sobie musi ten, co się kształci na pisarza, dzieła nie tylko pouczające, ale również te z nich, które jego myśl wprowadzą w stan szczególnego intelektualnego drżenia. Musi sobie znaleźć wśród nich coś dla siebie. Takie prace, by poruszały problemy, na które jest najbardziej uwrażliwiony. Takie, których głos najmocniej się w niego wdraża. Wdraża przez najbardziej mu odpowiadający sposób wiązania myśli. Przez jakiś — powiedziałbym — ulubiony sposób rozumowania.

Podobnie sprawa przedstawia się z literaturą piękną. Z faktu, że ci, którzy dzisiaj przygotowują się do zawodu literackiego, zamiast także czytać mnóstwo utworów nieistotnych czy mylnych, będą poznawać, przynajmniej w teorii, w y ł ą c z n i e rzeczy rzetelne, nie wynika, by mieli lżejszą robotę. Bo wcale przez to nie będą czytać mniej. Tym więcej, że i tu, tak jak w dziedzinie filozofii, niemały jest dorobek. Jego obszar też jest bardzo rozległy. I też z tego obszaru przyszły debiutant wybrać sobie winien takie rzeczy, od których uczuciowo i artystycznie najmocniej wibruje. Takie, których sposób obrazowania i sposób całego wysłowienia artystycznego o s o b i ś c i e go zniewala. Takie, przed którymi nie tylko w teorii skłania głowę, ale w wewnętrznej praktyce, jako czytelnik.

A pojęcie tego ogółu ludzi, do którego debiutant tak pragnie się przebić, czy dzisiaj też nie jest inne niż lat temu dwadzieścia, pięćdziesiąt lub sto? Dla tych państwa, co to z laseczką, z woaleczką, w rękawiczkach podchodzili do mnie po autorskim wieczorze, wiedza o tej inności jest gorzka. Dla moich pełnych kultury w a h a b i t ó w wiedza o tym jest nadal tajemna. Ale nie dla tych, co obecnie zaczynają. Dla nich to taki sam konkret, jak powietrze, chleb czy ziemia. Jest więc pod tym względem również inaczej i jest — jaśniej. Fakt skonkretyzowania się raz na zawsze

charakteru tych nieznanych ludzi, do których nasz głos będzie docierać, też ma swój wpływ. Też koncentruje na jednym.

„Prawie fizjologiczna potrzeba", o której wspominałem, nie stanie się jednak przez to mniej dynamiczna. Szukać ona sobie będzie ujścia po staremu, z właściwą jej natarczywością. Ani więc uporu, ani energii tym, których mus popycha, by się przebili — nie zbraknie. Bo takie są impulsy psychologiczne wszelkich — jak Montaigne powiada — głodomorów sławy. A że jaśniej im zaczynać, sądzę, że dalej zajdą. To znaczy — oczywiście w pewnej perspektywie i z należytą cierpliwością rzeczy biorąc — dzięki temu, że świat i w ogóle wszystkie zostało im bliżej określone, pojmą ten świat i wszystko — głębiej.

Tadeusz Breza

MARIA DĄBROWSKA

Szkice myśli o Bolesławie Prusie

1

Życie Bolesława Prusa — to historycznie okres stosunkowo niedawny, a jednak wiadomości o jego biografii są nader szczupłe i niepewne. Prawdziwe jego nazwisko brzmi Aleksander Głowacki, ale do potomności przeszedł pod sławnym pseudonimem literackim, to jest jako Bolesław Prus. Piotr Chmielowski w swej Historii literatury polskiej, wydanej w roku 1900, podaje datę urodzenia Prusa na 1846. W czasie dwudziestolecia międzywojennego ustalono tę datę na rok 1847. Zygmunt Szweykowski, którego dzieło Twórczość Bolesława Prusa ukazało się w roku 1947, powiada, że „Aleksander Głowacki urodził się dnia 20 sierpnia 1845 roku", a w przypisach uzasadnia ten właśnie rok przyjścia na świat pisarza poważnymi argumentami. Dodaje nadto, że urodził się „w okolicach Hrubieszowa jako syn skromnego oficjalisty prywatnego w dużym majątku". Ale Gabriel Korbut powiada: „Prus urodził się w Hrubieszowie, nie w Żabczu koło Hrubieszowa".

Prus wcześnie utracił rodziców i wychowywał się pod opieką tzw. Rady Familijnej, a głównie — ciotki swej, Domicelli z Trembińskich Olszewskiej. W twórczości Prusa można wykryć wiele pierwiastków autobiograficznych (nawet w postaci Wokulskiego). Możliwe, że często w jego utworach obrazy ubogiego, niełatwego i smutnego dzieciństwa (Sieroca dola, Grzechy dzieciństwa) są zabarwione wspomnieniami własnych lat chłopięcych, o których nic prawie nie wiemy. Tak samo niezwykle ciepłymi choć rubasznymi słowy skreślony portret matki w noweli Omyłka jest podobno wizerunkiem ciotki, która, jak pisze Szweykowski, „zostawiła w pamięci pisarza dużo gorącego sentymentu, głęboki szacunek i wdzięczność".

W roku 1863 Aleksander Głowacki jako młodzieniec prawdopodobnie osiemnastoletni wziął udział w powstaniu, z którego wyszedł ranny na ciele (rana czy kontuzja głowy z uszkodzeniem oka) i na duszy. Tragiczne wspomnienia tego czasu będą mu się dawały we znaki przez całe życie.

Po powstaniu Aleksander Głowacki jest jakiś czas więziony w Lublinie; w tymże mieście, wróciwszy po zwolnieniu do ławy szkolnej, kończy liceum w roku 1866, a potem wstępuje na wydział matematyczno-fizyczny warszawskiej Szkoły Głównej. Po dwu latach rzuca studia uniwersyteckie. Sądząc z doli studenckiej opisywanej i w Lalce, i w nowelach (Sen, Z opowiadań lekarza, Pojednani) można przypuszczać, że nie miał za co się kształcić. Mówi o tym i fakt, że niebawem widzimy go jako guwernera, a nawet jako pracującego w fabryce Lilpop i Rau w Warszawie. Humoreska Konkurs żniwiarek może być reminiscencją z tej fabryki maszyn rolniczych.

W Warszawie też upływa odtąd życie Bolesława Prusa. Stąd wyjeżdżał niekiedy na wypoczynek lub kurację do Nałęczowa, raz jeden w Tatry, dwa bodaj razy do Krakowa; raz jeden w roku 1895 wyrusza w podróż za granicę; zwiedził wtedy Szwajcarię (gdzie mieszkał przez sześć tygodni u Stefanostwa Żeromskich w Raperswilu), Niemcy i Paryż. Podróże były dla niego ciężkim wysiłkiem duchowym i fizycznym, po-

dejmował je tylko z nakazu woli poznawczej. Cierpiał bowiem przez większość życia na chorobę zwaną lękiem przestrzeni (*agorafobia*). Cierpienia tego nie zdołał zwalczyć próbami podróżniczymi, wbrew tekstowi zabawnej swojej noweli W górach, głoszącej z humorem „zasadę homeopatów", że „podobne leczy się podobnym". Stanisław Stempowski, mieszkający około roku 1900 w Warszawie przy Al. Jerozolimskich 37, pisze o tym w swych Pamiętnikach: „Pod nami na trzecim piętrze mieszkały panny Boguckie, kuzynki Prusa. Spotykałem go często na schodach, jak szedł, biedaczysko, trzymając się ściany i zwrócony do niej twarzą, żeby nie widzieć przestrzeni za poręczą" (Pamiętniki, str. 241). Bolesław Prus ożenił się w roku 1875 z Oktawią Trembińską, krewną swej matki, która była z domu Trembińska. Umarł w Warszawie 19 maja 1912 roku.

2

Rodzaj studiów uniwersyteckich a później charakter wielu wypowiedzi Bolesława Prusa świadczą o tym, że gotował się on do kariery uczonego. A w każdym razie za młodych lat i długo jeszcze potem naukę stawiał najwyżej ze wszystkich dóbr kultury. Nadto w uprawianiu nauk i w szerzeniu się wiedzy upatrywał jedyny sposób na wydźwignięcie narodu z upokorzeń i klęsk, w jakie wtrąciła go niewola. Jednak natura nie dała się oszukać. Wrodzony talent pisarski, którego próby sięgają jeszcze lat szkolnych, sprawił, że zamiast naukowca wyrósł nam wielki artysta.

Że w Polsce ówczesnej trudno było zostać uczonym, a nawet w ogóle ukształconym w jakiejkolwiek dziedzinie człowiekiem, to widać z mnóstwa utworów Prusa. Czy on sam w innych warunkach stałby się znakomitym uczonym, to czcze pytanie. Sądząc po zostawionym dorobku literackim, geniusz pisarski był jego właściwym darem, a upodobania naukowe — jednym z tych ubocznych zamiłowań, które żywi każdy prawie artysta na marginesie swej głównej pracy twórczej. Lecz Aleksander Głowacki długo nie chciał być pisarzem artystą. Nie mogąc być naukowcem został po prostu dziennikarzem. W tej roli mógł jeśli nie odkrywać prawdy naukowe, to przynajmniej popularyzować wiedzę, budzić pasję do myśli badawczej, uczyć prawidłowego myślenia o faktach życiowych i trzeźwego ich rozróżniania; mógł nadto do woli moralizować, wstrząsać tzw. sumieniem społecznym, wskazywać wszystkie rażące go bolączki życia zbiorowego, doradzać środki naprawy. A gdy publicystyka serio zdawała mu się dla tego celu za mało przekonywająca, sięgał po niezawodny swój oręż, jakim był humor i dowcip. Celna satyra, ironia, humor i dowcip przenikają większość wypowiedzi jego publicystyki w ogóle; pisywał jednak i drobiazgi o charakterze wyłącznie humorystycznym. Współpracował też stale z pismami humorystycznymi: Mucha i Kolce; Muchę nawet jakiś czas redagował i — podobnie jak rosyjski pisarz Antoni Czechow — długo znany był i ceniony głównie jako humorysta. Z figlarnych wierszyków, przypowiastek, scenek dialogowanych i śmiesznych opowieści rodzi się właściwa twórczość artystyczna, którą Aleksander Głowacki zrazu lekceważy jako niegodną pozytywisty, społecznika i myśliciela. Doszło do tego, że utworów swoich zatrącających bodaj cokolwiek literaturą piękną nie chciał podpisywać nazwiskiem, podpisywał je pseudonimem Bolesław Prus. Prus I — to herb zubożałej rodziny Głowackich, ostatni błahy strzępek jej szlachetczyzny, tyle wart właśnie, by nim podpisywać błahe — jak sądził autor — pisaniny. Czy Aleksander Głowacki

przeczuwał, że podniesie ten zetlały przydomek do godności jednego z największych polskich nazwisk? W każdym razie Głowacki długo walczył z Prusem, ale Prus w końcu zwyciężył. W miarę jak rośnie sława nowelisty, redaktorzy i publiczność domagają się podpisu „Prus" już i na wypowiedziach publicystycznych. Odtąd K r o n i k i T y g o d n i o w e i artykuły dziennikarskie młodego autora zyskują nową cenę i wartość; ludzie czytają w nich i rozważają nie tylko to, co Prus napisał, ale d l a t e g o, że wielki popularny artysta Prus to napisał. Powieściopisarz nie rzuci zresztą prasy do końca życia. Mucha i Kolce, Przegląd Tygodniowy, Kurier Świąteczny, Opiekun Domowy, Gazeta Polska, Kurier Warszawski, Ateneum, Nowiny, Kłosy, Bluszcz, Kraj (petersburski), Wędrowiec, Kurier Codzienny i wreszcie do końca życia — Tygodnik Illustrowany — oto lista gazet i czasopism, w których drukował Prus-publicysta; a zarazem ich pozgonne wspomnienie, bo żadne z tych pism już nie istnieje. W prasie nadto drukują się przed książkowymi wydaniami wszystkie niemal nowele Prusa i wszystkie jego wielkie powieści.

Współpraca Prusa z czasopismami nie jest zresztą zjawiskiem odosobnionym. Wszędzie na świecie byli i są pisarze artyści — prozaicy i poeci — mający za sobą całe lata publicystyki czy pracy dziennikarskiej albo uprawiający publicystykę dorywczo przez całe życie.

3

Prus był pisarzem płodnym. Sama tylko jego twórczość artystyczna obejmuje w przedwojennym wydaniu 26 tomów; same tylko K r o n i k i T y g o d n i o w e obejmą w rozpoczętym właśnie wydaniu PIW-u 20 tomów, a to grubo nie cała jego publicystyka. Skala jego zainteresowań i artystycznych, i dziennikarskich jest ogromna. W K r o n i k a c h, artykułach i rozprawach poruszał niemal wszystkie sprawy obchodzące człowieka. W powieściach, nowelach, opowiadaniach i przypowieściach dał rozległe malowidła, portrety, szkice albo humorystyczne trawesty wszystkich niemal środowisk ludzkich od starożytnych niewolników i współczesnych nędzarzy po arystokrację, mężów stanu i władców. Stworzył imponującą galerię typów o najrozmaitszych losach i charakterach, typów pełnych zawsze tej przekonywającej prawdy, która z ust czytelnika wyrywa mimo woli słowa: „Jak on zna życie i ludzi!"

Tym znawcą życia, tym najlepszym u nas wyrazicielem prawdziwego oblicza swojej epoki był człowiek, co malusieńko podróżował, co z domu bez koniecznej zawodowej, rodzinnej czy towarzyskiej potrzeby nie wychodził, co zwiedzać niczego nie lubił, bo najmniejsze nierówności terenu przyprawiały go o nieznośnie cierpienia nerwowe.

Czy to znaczy, że wielki realizm Prusa jest jakimś cudem wymyślony bez żadnej konkretnej znajomości świata? Oczywiście — nie. To znaczy, że wielkim pisarzem zostaje się nie p r z e z życie obfitujące w działalność publiczną, podróże czy innego rodzaju wydarzenia; i nie p r z e z tak popularne dzisiaj (i tak skądinąd potrzebne) „studia w terenie". Wielkim pisarzem zostaje się dlatego, że ma się zdolność dobywania typowych, istotnych i artystycznie wartościowych tematów z j a k i e g o k o l w i e k szczegółu rzeczywistości, który przejdzie przez oczy, uszy czy osobiste doświadczenia życia. Żadne studia w terenie, celowo zamierzone i z góry zakładające, co chcemy albo powinniśmy zobaczyć, nie mogą gwarantować rzeczywistego artystycznego przeżycia ani powstania trwałego utworu literatury. Droga jest odwrotna. Rzeczywiście artystyczne przeżywanie wszystkiego, co się nastręcza, właściwe

ludziom darem geniuszu pisarskiego władającym, wymaga, zwłaszcza przy tworzeniu dzieła obszerniejszego zamysłem i kompozycją, dodatkowych studiów i sprawdzania realiów — i pisarze takie studia prowadzą wykorzystując dla swych celów — jak to dalej zaznaczymy — źródła najprzeróżniejsze.

Prus był nie tylko wyjątkowo udarowanym twórcą, ale i pilnym pracownikiem. „Przeciętny... światły Polak wyobraża sobie — pisał w roku 1890 — że powieściopisarzem można zostać... ot tak... natychmiast, byle mieć talent!... Ten światły Polak ani domyśla się, że powieściopisarz musi odbywać jakieś specjalne studia. Że wybornie musi znać loikę... psychologię... socjologię... a nareszcie, że musi choć po łebkach obeznać się z mnóstwem innych nauk i bardzo wiele czytać"...

Na czytaniu też wyłącznie polegały studia potrzebne do napisania F a r a o n a. Domniemanie, że Prus jedyną swoją podróż do Berlina i Paryża odbył dla studiów egiptologicznych, jest mało uzasadnione wobec tego, że F a r a o n ukończony został „2 maja 1895 roku o godzinie 3-ciej po południu", a zagraniczna podróż autora odbyła się dopiero latem tego roku. Możliwe jednak, że Prus chciał niejako sprawdzić swoje dzieło w miastach, gdzie mógł znaleźć więcej realiów starożytności egipskiej niż nad Nilem. Za przykładem Flauberta Prus już nie poszedł i do Egiptu się nie wybrał, choćby dla zaznania klimatu, zobaczenia pejzażu i piramid. I mimo to, a może właśnie dlatego napisał powieść bodaj że lepszą niż S a l a m m b ô. Gdyż nie o podpatrzenie autentycznych szczegółów chodziło w F a r a o n i e. Realizm powieści historycznej polega na czymś cokolwiek innym niż realizm dzieł o tematyce autorowi współczesnej.

Przy pracy nad L a l k ą i E m a n c y p a n t k a m i Prus miał warszawskie realia pod ręką; studiował je — żyjąc. Ale znamienne jest, że P l a c ó w k ę pisał w Nałęczowie, który zaczynał być już uzdrowiskiem, ale był jeszcze i chłopską wsią, i dworem. Stefan Żeromski w liście do narzeczonej z 1892 roku, projektując założenie „muzeum nałęczowskiego" pisze: „...wynajmiemy pokój (na zbiory—przyp. mój) w pałacu, ten, gdzie Prus pisał P l a c ó w k ę". Jeden zaś z moich czytelników donosi mi na podstawie wspomnień swej rodziny, że Prus nie tylko w Nałęczowie — chłopów, ale i w innych miejscowościach Lubelszczyzny studiował życie niemieckich kolonii wiejskich. Lecz Prus nie napisałby P l a c ó w k i tak dobrze, gdyby wieś nie była już przedtem częścią jego życia. Dzieciństwo, wakacje u krewnych, guwernerka. Trzon swoich realiów pisarz nosi w swym losie.

Pisarze są indywidualnościami bardzo się między sobą różniącymi. Każdy ma inne metody tworzenia, inne sposoby poznawania rzeczywistości, każdy na inne bodźce twórcze jest uczulony. Punktem, około którego zaczyna się kształtować i rozwijać kompozycja dzieła literackiego, może być własne przeżycie, czyjeś opowiadanie, wielkie publiczne wydarzenie, a może nim być i przypadkowy drobiazg, taki jak ogłoszenie czy wiadomość z „kroniki wypadków" przeczytane w gazecie.

W jednym z grudniowych numerów Przekroju z roku 1949 krytyk literacki, Henryk Markiewicz, ogłosił artykuł pt. P r a w d z i w e ż y c i e I z a b e l i Ł ę c k i e j. Przytacza w nim za Gazetą Polską z roku 1887 opis procesu o lalkę, jaki odbył się w Brnie Morawskim. Przebieg tego procesu (o którym pisał przed wojną i Szweykowski) jest identyczny z opisem procesu wytoczonego w L a l c e pani Helenie Stawskiej przez baronową Krzeszowską. Markiewicz opatruje zacytowaną notatkę słowami: „Jak

świadczy sam Prus, ta wiadomość gazetowa wywołała w jego umyśle skrystalizowanie się, »sklejenie« całej powieści."

Markiewicz cytuje prócz tego cały szereg wiadomości z prasy warszawskiej, stwierdzających autentyczność wielu wydarzeń L a l k i. Które z tych wydarzeń Prus brał z własnych zapamiętanych przeżyć, sprawdzając tylko w prasie sprzed lat dziewięciu (tyle lat dzieli akcję L a l k i od jej napisania) ich daty, a którymi — poznawszy je z gazet — posłużył się jako „punktami krystalizacyjnymi" dla charakterystycznych epizodów powieści — nie wiemy. Ale zwrócono tu cenną uwagę na pewną szczególną formę bezwiednej pomocy, jaką daje prasa pisarzom szukającym potwierdzenia realiów albo źródła inwencji twórczej. Prus nie był zresztą odosobniony w takim wykorzystywaniu prasy. Istnieje wersja mówiąca, że Dostojewski niektóre ze swych powieści wysnuł z kroniki wypadków albo sądowej gazet sobie współczesnych.

Jerzy Kornacki, dowiedziawszy się, że mam pisać o Prusie, dostarczył mi notatkę drukowaną w Przeglądzie Technicznym z czerwca roku 1875, wyrażając przypuszczenie, że z opisanego w niej wypadku Prus mógł wziąć temat do P o w r a c a j ą c e j f a l i. Notatka mówi, że 15 kwietnia 1875 roku w Tomaszowie (chyba Mazowieckim), w fabryce Püschla nastąpiło pęknięcie kotła o sile 35 koni. I podaje następujące szczegóły katastrofy: „Püschl, człowiek ubogi, dorobił się oszczędnością własnej fabryki tkackiej. Siła kotła nie odpowiadała potrzebom fabryki, więc właściciel przygniótł klapę bezpieczeństwa drągami opartymi o sufit kotłowni, podnosząc ciśnienie do 6 atmosfer, gdy kocioł obliczony był na cztery. Kocioł pracował tak przez parę miesięcy grożąc każdej chwili rozsadzeniem. Chciwość żądała więcej. W dniu rozsadzenia założono do maszyny jeszcze parę krosien mechanicznych, więc przeciążona maszyna zwolniła obroty. Palaczowi kazano bez ustanku podsycać ogień, ale mimo tego maszyna nie chciała zwiększyć szybkości. Palacz wezwał Püschla, ten stwierdził 8 atmosfer, przestraszył się, kazał wszystkim uciekać, lecz w tej chwili kocioł pękł na trzy części, z których jedna z kopułą wyleciała w powietrze i padła w staw odległy jakieś 500 kroków. Inna zburzyła ścianę kotłowni. Było 11 zabitych łącznie z właścicielem, Ludwikiem Püschlem".

Łatwo stwierdzić, że opisany wypadek ma wiele punktów zbieżności z treścią P o w r a c a j ą c e j f a l i. Tak samo właściciel fabryki jest Niemcem pochodzącym z rodziny ubogich majstrów tkackich. Tak samo dorabia się majątku oszczędnością, przy czym Prus daje przejmujący obraz tej „oszczędności" polegającej na ciągłym obcinaniu płac i w ogóle na najstraszliwszym wyzysku pracy, zdrowia i życia robotników. Tak samo fabryka znajduje się w niedużym miasteczku. Tak samo właściciel ginie pod jej gruzami.

Jest jednak i kilka różnic. W noweli Prusa nie ma katastrofy pęknięcia kotła, tylko wypadek z robotnikiem Gosławskim, któremu wskutek nieludzkiego przemęczenia pracą ręka wkręca się w tryby maszyny, z czego, przy braku skasowanej przez „oszczędność" pomocy lekarskiej w fabryce, wynikła śmierć Gosławskiego, wartościowego człowieka. Wypadek ten zdarza się w środku akcji opowiadania, zakończonego, jak wiadomo, spaleniem fabryki przez właściciela, który sam ginie w jej płomieniach z obłąkanej rozpaczy po śmierci jedynego syna.

Nie idzie naturalnie o to, że akcja noweli jest nieco inna i bardziej powikłana niż treść notatki o katastrofie w Tomaszowie. Idzie o co innego. Myślą przewodnią noweli (częstą u Prusa) jest

przekonanie autora, że zło rodzi zło, że nikczemne uczynki zawierają w sobie jako nieubłaganą konsekwencję karę, co jak fala powraca i sprawcę zła zatapia. Otóż treść notatki Przeglądu Technicznego zawiera tak doskonałą, klasycznie po prostu czystą ilustrację tej tezy, że zjawia się pewna wątpliwość, czy Prus znając tę notatkę nie poprzestałby na jej piekielnie wymownych realiach, potęgując je tylko włączeniem zadziwiająco trafnego wątku o Gosławskim. I czy wprowadziłby jeszcze osobisty dramat Gotlieba Adlera jako sprawcę zniszczenia fabryki i śmierci jej właściciela? A jednak możliwe jest, że silniejszą od klasycznej wymowy faktów okazała się, tak właściwa całej twórczości Prusa, potrzeba obdarzenia złego człowieka jakąś jedną bodaj ludzką cechą (namiętna miłość do syna) i ugodzenie go poprzez niszczącą siłę zła w najboleśniejsze miejsce. Prusowi mogło nadto zależeć na ocaleniu od zagłady robotników, z których żaden w jego noweli nie ginie.

Ale koniec końców nie to jest najważniejsze, czy Prus znał notatkę Przeglądu Technicznego i czy ją najtrafniej zużytkował. Ważne jest, że jeśli nawet Prus nie znał tej notatki, fakt przez nią podany jest sprawdzianem świetnej orientacji autora P o w r a c a j ą c e j f a l i nie tylko w realiach, ale w i s t o c i e realiów społecznych jego czasu.

4

Obserwując od dziecka po dziś dzień własne czy innych ludzi reakcje na wielkie dzieła literatury postrzegałam wielokroć, że tym, co w nich najpierwej zdobywa czytelnika, jest uczuciowa strona ludzkich przeżyć. Oczywiście nie tylko miłosnych. Skala tu przeogromna. Lecz wszystko, co się w niej mieści, musi mieć tę wysoką temperaturę uczuciową i w ludziach, i w sytuacjach, która porywa wyobraźnię i serce czytelnika. Z tym wiążą się i z tego się rodzą nasze pierwsze sądy moralne, pierwsze próby wartościowania, pierwsze płodne zadumy nad tym — jak żyć?

Osiąga się ten efekt — rzecz prosta i dawno wiadoma — przez umiejętność stwarzania postaci bezwarunkowo żywych, prawdziwych psychologicznie i w słowach, i w myślach, i w uczynkach. Pasjonująca fabuła epicka, liryczna czy dramatyczna — owszem — to zajmuje na równi z uczuciowymi przeżyciami bohaterów, odpowiada tkwiącemu w każdym z nas — jeśli nie życiowo, to wyobraźniowo — zmysłowi przygody, intrygi, żywej akcji. Ale będzie to zajmowało tylko przez chwilę i wnet utonie w niepamięci, jeśli nie będzie dotyczyło pulsujących życiem postaci, zdolnych wzniecić naszą sympatię, antypatię lub uczucia mieszane, lecz zawsze przejmujące i silne.

Dopiero gdy to podstawowe znamię realistycznej sztuki pisarskiej w utworze istnieje, zaczynamy znajdować upodobanie we wszystkich innych jego cechach. Rozróżniamy i oceniamy coraz lepiej: dowcip i humor, prawdę wewnętrznego życia bohaterów, świetność pokazanego środowiska, wartość drugoplanowych wątków i postaci, rolę tła społecznego i aby tak rzec, klimatu ideowego dzieła, rolę przyrody i mistrzostwo jej powiązania z człowiekiem; co ważne, bo los człowieka jest jedynym prawowitym przedmiotem literatury i wszelkiej w ogóle sztuki. Chyba na końcu przychodzi świadome napawanie się pięknością czy celnością języka i stylu, choć nieświadomie czaruje nas on już przedtem. Wyrażamy to zazwyczaj słowami: autor tak się dobrze, tak lekko i łatwo czyta.

Wszystkie te cechy prawdziwego artyzmu, przesądzające o komunikatywności, znaczeniu i trwałości utworów literackich znajdujemy w obfitości u Pru-

sa. Nie miejsce tu na ich obszerną analizę, ale może przystoi zatrzymać się w opisanej kolejności nad paru bodaj elementami artyzmu tego wielkiego pisarza.

Umiejętność stwarzania żywych postaci! Pomyślmy o jednej tylko z nich — o Wokulskim. Otóż nigdy nie zdarzyło mi się ani samej osobiście odczuć, ani od innych czytelników słyszeć, że ta skłócona z sobą i ludźmi postać — jedna z największych naszych kreacji powieściowych — jest artystycznie poroniona. Można było Wokulskiego lubić albo nie lubić, potępiać go albo usprawiedliwiać; można było wreszcie w miarę wczytywania się w L a l k ę krytyczny sąd o nim zmieniać i pogłębiać. Ale uznać go za porażkę artystyczną Prusa, to do niedawna jeszcze wydawałoby mi się niepodobieństwem.

A jednak taki sąd znajdujemy w świetnej socjologicznej analizie L a l k i pióra Jana Kotta. Stwierdza on „brak konsekwencji w zarysowaniu postaci Wokulskiego". Mówi, że przez tę właśnie postać „przebiega... głębokie pęknięcie idące wzdłuż całej powieści". „Wewnętrzny portret bohatera — pisze Kott — nie zgadza się z jego czynami. Wokulski, niepoprawny marzyciel, ślepo zakochany w pannie Izabeli, irytuje nas, drażni i zniechęca". A dalej powiada: „W porównaniu z przepysznie narysowaną postacią Izabeli obraz miłości Wokulskiego wydaje się jeszcze fałszywszy, bardziej mdły i sztuczny. Ta wielka miłość zrobiona jest z papieru".

Przytoczone sądy nie są „wyssane z palca", lecz oparte na poważnych przesłankach prowadzących — o ile dobrze rozumiem — do wniosku: Wokulski, eks-powstaniec, eks-subiekt i kandydat na uczonego robi wielką karierę finansową, której motywem i romantycznym (dla Prusa) usprawiedliwieniem ma być nieszczęśliwa miłość. Wokulski na koniec, wielki aferzysta i handlarz bronią w skali międzynarodowej (współdziałał w transakcjach Suzina), a jednocześnie „bezradny, przeczulony i nieudany kochanek", marzący nadto o uszczęśliwieniu ludzkości — jest „nie do uwierzenia"; jest postacią nietypową dla „okresu rozwoju kapitalizmu wrastającego w imperializm" i — zwłaszcza — jako współtwórca tego okresu. A co za tym idzie — jest postacią sztuczną, nieżywą, chybioną artystycznie.

Studium Kotta o L a l c e, pełne olśniewająco trafnych spostrzeżeń, wspaniale osadzające akcję powieści w odkrywczo pokazanej rzeczywistości epoki, stanowi cenny wkład w naszą wiedzę o Prusie i w ogóle o literaturze. Nie zamierzam z tą piękną pracą polemizować. Chciałabym tylko zaproponować jej autorowi nieco inną interpretację postaci Wokulskiego, bynajmniej nie kłócącą się z ogólnymi tezami wspomnianego studium. Zastanowiłam się mianowicie ze smutkiem, jak to jest możliwe, żeby powieść zawsze kochana przez czytelników, a dziś uważana słusznie za nasze największe dzieło realizmu krytycznego, była „pęknięta wewnętrznie" i to właśnie „wzdłuż postaci" głównego bohatera. I żeby główny bohater takiej właśnie powieści był postacią niekonsekwetnie zarysowaną, sztuczną i papierową w najważniejszej sprawie swego życia osobistego, będącej nadto głównym wątkiem narracji. Czymże więc trzymała się ta powieść? Dlaczego była po wielokroć z takim wzruszeniem i zajęciem czytana przez pokolenia, które przecie nie orientowały się jeszcze, że jej największą wartością jest „obraz życia mieszczaństwa polskiego w okresie rozwoju kapitalizmu i wrastania kapitalizmu w imperializm"? Czy aby nie dlatego zobaczyliśmy w niej to wszystko, że trzymała się prawdą psychologiczną, żywością swych wszystkich konfliktów i postaci? Takiego zdania jest w każdym razie Stanisław Wokulski,

człowiek żywy, mój dobry znajomy od 10-tego roku mego życia, a ja z nim. I z czytelnikami jego losów.

Sądzę więc, że na tle naszej literatury, bardzo ubogiej w przekonywająco pokazane sprawy miłości, L a l k a Prusa jest fenomenalnie żywą i prawdziwą monografią tych spraw. Nie tylko. Jest pierwszym w prozie polskiej „romansem" na wielką miarę, napisanym z siłą, pasją, ze zdumiewającym znawstwem psychologii uczuć, a przecie po stendhalowsku męsko, dyskretnie, oszczędnie, bez krzty sentymentalizmu. Sądzę dalej, że L a l k ą jako romansem Prus nie tylko góruje nad wszystkimi polskimi pisarzami, którzy sobie wielką miłość za bohatera powieści obierali; góruje nawet nad pokrewnymi sobie Dickensenem i Balzakiem; żaden z tych pisarzy przy całym ich geniuszu w wielu rzeczach Prusa przewyższającym, nie dał obrazu dziejów wielkiej namiętności miłosnej równie przejmującego i mocnego. A powiązanie romansu Wokulskiego z całokształtem ówczesnej rzeczywistości tak ścisłe, że wszystkie jego perypetie niby okrutny lancet chirurga odsłaniają bez reszty schorzałe wnętrze tej rzeczywistości, każe znów mimo woli myśleć o Stendhalu. Że nie godzimy się na miłość Wokulskiego, że nas ona, budząc współczucie, zarazem irytuje, męczy i drażni, to tylko świadectwo niepapierowości tego nieszczęśliwego romansu. Doświadczamy wobec niego tych samych uczuć, co Wokulski; jest w nim przecież ciągle dwu ludzi: jeden owładnięty miłosnym obłędem, drugi przypatrujący się obłąkanemu z zimną, potępiającą i wzgardliwą rozpaczą. Pęknięcie idzie nie przez powieść; jest w samej psychice jej bohatera; i jest, jak myślę, świadomym zamierzeniem artystycznym Prusa.

I czy rzeczywiście Prus potrzebował i szukał aż nieszczęśliwej miłości, aby usprawiedliwić to, że Wokulski robi pieniądze? Ja tego w tekście L a l k i nie znajduję. Kiedy Wokulski jedzie do Bułgarii jako dostawca wojenny, to nie uważa się jeszcze za nieszczęśliwie zakochanego. Mimo wstrząsu, jakiego doznał od pierwszego ujrzenia panny Izabeli, rozpoznaje od razu jej „gatunek" i zaczyna strategię zdobywania niedostępnej na razie partnerki. I to jest w porządku rzeczy. Kapitalizm nie powstał w świecie pozaludzkim. Tworzą go ludzie i to właśnie ludzie o silnych namiętnościach o s o b i s t y c h. „Romantykiem" staje się Wokulski wtedy, kiedy pod wpływem „obłędu" nieszczęśliwej miłości zaczyna postępować niekonsekwentnie, lekceważyć i tracić swe miliony, myśleć o samobójstwie i wywoływać w podejrzewającym go zawsze o „romantyzm" politycznym Ignacym Rzeckim pewność, że „Stach" przygotowuje co najmniej... nowe powstanie.

Oczywiście, że Wokulski nie jest typowy dla kapitalizmu w P o l s c e. Bardziej typowy będzie tu cudzoziemiec, Gotlieb Adler, z P o w r a c a j ą c e j f a l i, choć i on ma „pęknięcie" w postaci obłąkanej miłości do równie jej niegodnego syna, dla którego zbiera i przez którego niszczy swoje miliony. Ale dlaczego Wokulski nie jest typowy dla kapitalizmu w Polsce? Dlatego, że kapitalizm w Polsce był zasadniczo tworzony przez zgoła inne elementy niż zdeklasowani szlachcice i eks-powstańcy. Rozwój kapitalizmu w Polsce różnił się w pewnych szczegółach od rozwoju kapitalizmu na Zachodzie; a także w Rosji, która już w XVIII wieku miała silne, drapieżne kupiectwo z chłopów pańszczyźnianych własnego chowu (zob. świetną powieść Szyszkowa J e m i e l i a n P u g a c z o w). Kott sam zresztą to rozróżnienie przeprowadza z właściwymi sobie i wiedzą, i talentem. Myśmy nie mieli prawie rdzennie polskiego mieszczaństwa; ci zaś Polacy, którzy tworzyli albo chcieli stwarzać

wartości kapitalistyczne handlowe czy przemysłowe, to najczęściej byli właśnie albo tacy strupieszali arystokraci, jak ci z Lalki, albo ludzie obciążeni takim pochodzeniem i takimi inteligenckimi fanaberiami i rozdźwiękami jak Wokulski. Toteż wydaje mi się, że Wokulski jest wcale typowy jako rodzima odmiana czy polski „podgatunek" kapitalisty, należący do tego samego plemienia, co znacznie zresztą mniej udany i gorzej „zarysowany" — Żeromskiego „aferzysta" i przedsiębiorca kapitalistyczny, Ryszard Nienaski. Słusznie Kott mówi, że wielki Balzak inaczej poprowadziłby karierę dorobkiewicza Wokulskiego. Ale bo też Balzak nie miałby we Francji do czynienia z człowiekiem takiego pokroju jak Wokulski. A gdyby przypadkiem miał, to wybrałby dla niego raczej los Vautrina rozmiłowanego w Lucjanie — Ochockim.

Czy Wokulski jest może tylko „emanacją" losów i rojeń samego Prusa, także eks-powstańca, eks-szlachcica, kandydata na uczonego i zarazem pozytywisty widzącego w kapitalizmie wielkie możliwości postępu gospodarczego? Czy nie ma on (jak i Nienaski Żeromskiego) pokrycia w konkretnym życiu swego czasu? Myślę, że prowadząc dalsze badania nad epoką Prusa nasi uczeni odnajdą niejeden żywy model Wokulskiego. Bo mnie znów trudno uwierzyć, aby ta pulsująca życiem postać była wymyślona. Może pewien przyczynek do studiów nad tą polską „odmianą" kapitalistów czy pseudokapitalistów znalazłby się m. in. w cytowanych tu już Pamiętnikach Stanisława Stempowskiego zawierających na str. 275—6 charakterystykę przemysłowca, białoskórnika Leona Niemyskiego, jednego z wydawców sympatyzującego z socjalizmem tygodnika Ogniwo.

Wracając do Wokulskiego, jestem pewna, że tak nim, jak i innymi postaciami Prusa będziemy się nieraz jeszcze zajmowali, gdy nasi naukowcy podejmą z kolei pracę nad analizą artystyczną twórczości Prusa, której obszerną próbę dał nam dotąd — poza kilku drobniejszymi pracami (J. Bystroń, J. Putrament, J. Kulczycka-Saloni) — jedynie Szweykowski.

Jakże ciekawe byłoby np. przestudiowanie wielkiego bogactwa bardzo urozmaiconych środków używanych przez Prusa dla charakteryzowania swych bohaterów. Autor Lalki wykazuje tu ogromną i celnie stosowaną pomysłowość.

5

Stefan Żeromski napisał w swym uczniowskim dzienniku następujące słowa o humorze Prusa: „Jaki ten Prus ma dowcip — to niech go nie znam. ...Czym są wszyscy felietoniści wobec niego? Torby sieczki nie warci... Istnieją pisma humorystyczne. Co w nich jest? To samo, co było w roku zeszłym i będzie w przyszłym. Prus to typ i kwintesencja humoru polskiego. Jego śmiech, to śmiech serdeczny..."

Żeromski nie tylko w latach młodzieńczych zachwycał się humorem Prusa. Entuzjazmował się nim i w latach dojrzalszych, jak zresztą całą twórczością Prusa. W roku 1892 napisze w liście do narzeczonej: „Gdyby Prus żył przed stu laty, to dziś znaczylibyśmy w literaturze od niego epokę. Nie mogę pojąć, jak on jest w ogóle nie doceniony w Europie..." Żeromskiemu więc nie dosyć było dla Prusa uznania swoich, pragnął dla niego sławy europejskiej. Lecz aby pisarz wielki był na świecie, dzieło jego musi obrastać w wielkie i wartościowe dla świata dzieje narodu, w którym się pojawił. Istnieje konieczność stwarzania takich dziejów i ta myśl obarczała na pewno sumienie pisarskie i Prusa, i Żeromskiego. Ze względu na wagę obu pisarzy może nie od rzeczy będzie mała dygresja na temat ich wzajemnych stosunków. Prus

pozostawał z młodym Żeromskim w bliskiej przyjaźni, poniekąd kierował pierwszymi krokami jego drogi pisarskiej, ułatwiał mu druk jego pierwszych utworów i z niezwykłą radością witał jego pierwsze sukcesy. Liryczne były dzieje tej przyjaźni zainicjowanej przez młodą pracownicę redakcji Wędrowca, Oktawię z Radziwiłłowiczów Rodkiewiczową, późniejszą pierwszą żonę Żeromskiego. Inteligentna ta i urocza wedle świadectwa współczesnych, młoda osoba zaopiekowała się utworami Żeromskiego odrzuconymi przez Wędrowca, i ona to zapoznała przyszłego autora Ludzi bezdomnych z Prusem, z którym łączyła ją dawna i zażyła znajomość. Ta druga bliska Prusowi Oktawia (imię to nosiła również jego żona), pełniąca obok zajęć w redakcji rolę wychowawczyni na pensji Henryki Czarnockiej (jakoby pani Latter z Emancypantek), stała się też, jak wieść ówczesna głosi, natchnieniem twórczym dla obu pisarzy. Wedle wiadomości podanych m. in. przez St. Noyszewskiego (Stefan Żeromski, dom, dzieciństwo, młodość, Warszawa, 1928) jej artystycznym wizerunkiem są: Madzia z Emancypantek i Joasia z Ludzi bezdomnych. Do niej też, już jako do narzeczonej, Żeromski w liście z dnia 22.II. 1892 pisze po przeczytaniu Pojednanych Prusa: „...To jest brylant nowelistyki całego świata... to jest artyzm, jakiego nie znał Dickens ani Heine, ani Szczedryn... Dowcip Szczedryna jest inny, dowcip mędrca, który znienawidził z głębi duszy otaczające go warunki i wyszydza je z całym jadem zemsty; Lam poszukuje dowcipu, a Prus włada nim jak rzeźbiarz gliną, jak malarz farbami!"

Sąd młodego Żeromskiego odpowiada na pewno powszechnemu w owym czasie odczuwaniu humoru Prusa. Nie wyraża jednak całej pełni ani całej istoty tego humoru. Prus nie uważał się za „typ i kwintesencję humoru polskiego", o którym sam powiada: „... Dowcip polski ma na celu żołądek... W istocie żądają oni (Polacy) dowcipu, który by wywoływał śmiech, to jest ruch przepony, nader zbawienny dla trawienia..." Prusowi nie obcy jest i taki śmiech czystej zabawności, ale Prus posługuje się bardzo rozległą gamą środków humorystycznych; znajdziemy więc u niego i „śmiech serdeczny", i „humor szczerozłoty", i tkliwy, rzewny „śmiech przez łzy", z jakim traktuje miłe jego sercu postacie w rodzaju Antka, Anielki, studentów, Madzi albo Rzeckiego. Ale w stosunku do świata w ogóle humor ten nie jest bynajmniej tak złoty i niewinny i tak daleki (choć jest całkiem inny) od jadowitości — dajmy na to — Szczedryna; a cele ma bardzo różne. Postaciom dodatnim przydaje ciepłego człowieczeństwa — Madzia byłaby ckliwym schematem, gdyby nie była tak naiwnie zabawna; dla grzesznych i błądzących budzi współczującą litość; typy wyraźnie złe odziera z wszelkiego demonizmu. A nade wszystko — łagodzi ponury obraz życia i świata, jaki Prus daje w swych utworach. Gdybyśmy usunęli z pism Prusa komizm jego postaci i humor stworzonych przez niego sytuacji, ujrzelibyśmy pisarza okrutnego, bezlitośnie zdzierającego wszystkie maski, pokazującego bez — odkrytej właśnie przez Dostojewskiego — psychoanalizy, metodą pokrewną Dickensowi i Gogolowi, wszystkie podszewki zdarzeń i ludzi, całą grozę tryumfu zła i głupoty nad dobrem i rozumem, cały odmęt egoizmu, krzywdy, wyzysku i nędzy, bez oszczędzania jakiegokolwiek człowieka czy środowiska, w którym się zło przejawi.

Humor nie jest jedynym pozytywnym bohaterem Prusa, jak to powiedziano o Rewizorze Gogola. Jest u Prusa wiele postaci pozytywnych, niemal anielskich albo wręcz bohaterskich

i z reguły... krzywdzonych, cierpiących, nieszczęśliwych. Ale humor jest jedynym bohaterem optymistycznym Prusa. Antek nie jest „jedną z rzadkich u nas nowel rzetelnie humorystycznych", jak nazywa ten utwór, o dziwo, Piotr Chmielowski. Przecież w tej noweli opisane jest spalenie żywcem chorej dziewczynki w piecu chlebowym przez pragnącą jej w ten sposób „zadać na dobre poty" znachorkę. Antek — to najbardziej posępny obraz biednej i ciemnej wsi tego czasu, w której marnieje utalentowane dziecko-artysta. Ale szczypta rozmaitych rodzajów humoru zabarwiająca to opowiadanie pozwala nam znieść jego straszliwą wymowę, rozładowuje beznadziejność, zdaje się mówić: „Śmieję się, bo mimo wszystko kocham was, lituję się nad wami, mam nadzieję na waszą lepszą przyszłość". Kłopoty babuni*) uważane do niedawna za błahą farsę i w istocie operujące na wskroś farsowymi efektami, to w gruncie rzeczy przygnębiający obraz wszystkich sfer i stosunków ówczesnej prowincji, nie zarażający pesymizmem tylko dlatego, że od pierwszej do ostatniej stronicy przewietrzony istnym huraganem dowcipu i humoru. Ładunek farsowy tak silny, że możemy śmiać się nic nie zauważywszy; lecz kto dostrzeże świat tym humorem potraktowany, struchleje i zarazem odetchnie poczuwszy w humorze oręż walczący.

W twórczej pracy pisarza-realisty humor jest elementem najdosłowniej może twórczym. Inwencja fantazji pisarskiej gra tutaj większą rolę niż przy posługiwaniu się innymi środkami artystycznego wyrazu. Operuje nie tyle doborem i biegiem realnych faktów, ile pomysłową kombinacją wywołanych przez nie skojarzeń. I trzeba być artystą co się zowie, aby te fikcyjne kombinacje miały smak rzetelnej prawdy realistycznej, mimo że zawarta w nich dawka tzw. „realiów" jest stosunkowo nieduża. Utwory o wielkiej sile komizmu satyrycznego, takie jak Kłopoty babuni, Klub Pickwicka czy Martwe dusze (niezależnie od ciężaru gatunkowego, który w Martwych duszach jest największy) mają fabułę umyślnie błahą, schematyczną, a nawet mało prawdopodobną, ważna w nich jest bowiem tylko twórcza nadbudowa dowcipu, ironii, satyry. Jeśli potrafimy doskonale odróżnić realizm artystyczny od naturalizmu, to w realizmie najdalszym od naturalizmu jest humor. Toteż słusznym tytułem do wielkości Prusa jest jego poczucie humoru konstruktywne, optymistyczne i walczące o lepszy świat skuteczniej niż osłabiające jego artyzm rozważania filozoficzno-moralizujące.

6

Język i styl Prusa należą do gatunku, który nazywamy „nieobecnym". Nie narzuca się i nie zwraca uwagi. Daleko mu do nieskazitelnej, wspaniałej polszczyzny Sienkiewicza i nie słowo „piękny" przychodzi na myśl, gdy jego naturę rozważamy. Trafiają się u Prusa i niepoprawne zwroty, i naleciałości obcych języków, zwłaszcza rusycyzmy i germanizmy. A jednak język to bardzo charakterystyczny, bogaty i oddający precyzyjnie wszystko, co autor chce powiedzieć. Styl Prusa, to znaczy sposób władania językiem twórczym, jest giętki, a zarazem oszczędny i nigdy nie ozdobny (chyba że tego wymaga charakterystyka postaci). Żadnej też gadatliwości, raczej zwięzła konstatacja nadająca utworom Prusa tok epicki, ale nie rozlewny jak bywa u Sienkiewicza i Orzeszkowej.

Ale najważniejszą może cechą stylu Prusa jest jego celność i ścisła zgodność z charakterem środowiska, sytuacji czy

*) Autorski tytuł Prusa brzmiał: Kłopoty babki.

typu, który w grę wchodzi. Prus włada stylem tak jak kobieta o dobrym smaku — strojem. Nigdy nie włoży na siebie czegoś niestosownego do miejsca i czasu. Podobnie jak w rodzajach dowcipu i humoru, jest Prus pełny rozmaitości i w swoim stylu. W jednej tylko L a l c e jak różnym — choć zawsze tym samym Prusowskim — stylem podani nam są: Izabela, Wokulski, Rzecki. Wokulski — styl to nerwowy, na przemian energiczny, refleksyjny, ironiczny, wreszcie naładowany gniewną czy zrozpaczoną pasją; Izabela, to styl niemal „analizy naukowej posuniętej do wyżyn wielkiej sztuki" (jak wyrażał się Conrad o Prouście). A jakże inny jest subiektywny, liryczny, uroczo naiwny styl i język Rzeckiego.

W utworach o charakterze refleksyjnych przypowieści, a także w partiach powieściowych wznoszących się do patosu styl Prusa nabiera cech niemal biblijnych; gdzie indziej staje się rozkosznie figlarny i żartobliwy. Pomysły stylistyczne Prusa bywają nawet czasem zaskakujące. Nowela W w a l c e z ż y c i e m zawiera list miłosny młodego plebejskiego inżyniera, Grodka, do tajemnie kochanej córki podupadłego ale pysznego magnata. Oto próbka stylu, jakim list jest pisany: „Lubię patrzeć na ciebie, o krzaku róż piękny i zdradziecki! Jak dziwnie zjednoczyłeś w sobie cudowne kwiaty i cierń bolesny, jak dziwnie w życiu roślinnym wypowiedziałeś historię ludzkiej miłości! Lubię patrzeć na ciebie, bom wybrał jeden rozwijający się pączek, podziw przechodnia, a ozdobę macierzystej gałęzi. Różo, ty, różo!"

Czytamy i przecieramy oczy. Jestże to styl Prusa? Ten styl rzeczowy, unikający metafor i w ogóle „figur stylistycznych" i nawet porównania rezerwujący raczej tylko dla motywów humorystycznych? To zatrąca raczej albo po-romantycznym stylem Żmichowskiej czy innych Entuzjastów, albo jakby przeczuciem symbolizmu, modernizmu, Młodej Polski, nawet młodego Żeromskiego; chociaż tych manier literackich jeszcze u nas wtedy nie było — utwór jest napisany w 1877 roku. Tym stylem, bądź wziętym z niedalekiej przeszłości, bądź wyczutym z prądów nawiewających już być może od Zachodu (gdzie Grodek się kształcił), Prus chciał snadź wyrazić trochę koturnową i strojną w smutek egzaltację cierpiącej młodości.

Mimo pozornej „nieobecności" stylu Prus bardzo dbał o dobry język i jego literackiej polszczyzny w żadnym razie nie można uważać za niedbałą lub nieopracowaną. Wedle Szweykowskiego w rękopiśmiennej, przepadłej w pożodze, puściźnie Prusa były notatki do badań nad stylem nie tylko pisarzy artystów (Mickiewicza, Sienkiewicza, Dickensa), lecz i uczonych (Carlyle, Taine). Prus opracowywał nawet wskazówki używania języka artystycznego zastanawiając się szczegółowo nad tym, ile słów z każdej części mowy powinno być w zdaniu, ażeby było dobre. „Dobry język — pisał — to język prosty, jasny i dokładny. W dobrym stylu powinno być dużo rzeczowników konkretnych... Liczba czasowników może być mniejszą niż połowa rzeczowników..." I kończy te rozważania: „W każdym razie duszą wszelkiego mówienia i pisania są rzeczowniki, rzeczowniki i jeszcze raz rzeczowniki konkretne!" To nie jest, oczywiście, prawo absolutne dobrego stylu. Nasza epoka dobry styl znajdowałaby może raczej w zdaniach o dużej liczbie czasowników. Ale przytoczone słowa Prusa charakteryzują i jego poszukujące zainteresowania językowe, i jego potrzebę — przede wszystkim — n a z y w a n i a rzeczy po imieniu, nazywania jednoznacznego, ścisłego i jasnego.

Nie mamy dotąd (ale na pewno będziemy je mieli) obszernego i wnikliwego studium o języku Prusa, jak zresztą

i o języku innych pisarzy. Jak dotąd językiem pisarzy najwięcej interesują się lingwiści. Istnieje np. wielkie dzieło prof. W. Doroszewskiego o języku Jeża. Lecz lingwiści rozpatrują język artystów z innego punktu widzenia i mają inne cele poznawcze. A choć wyniki tych badań są bardzo pożyteczne i dla pisarzy, i dla literaturoznawców, konieczne jest jednak, żeby ci ostatni wystąpili z własnymi badaniami na ten temat. Konieczna jest zresztą, jak już wspomniałam, szczegółowa analiza wszystkich środków pisarskich, jakimi Prus wyrażał treści swych dzieł. Młodzi pisarze poszukujący wzorów mogą je znaleźć tylko w trafnie im pokazanych „tajemnicach" rzemiosła wielkich klasyków literatury.

7

Prus to pisarz myślący. A tym samym człowiek — prawie tragiczny. Bo nie dobrze to w Polsce być myślącym człowiekiem. My wolimy wszystko niż myśleć. Wolimy umrzeć dla jakiejś sprawy niż ją przemyśleć. A dzieje Prusa to dzieje nie tylko wielkiego serca, lecz i poszukującej myśli. W jednej zwłaszcza dziedzinie szukanie to jest męczarnią. Zatrzymajmy się chwilę nad męką p a t r i o t y c z n e j myśli Prusa. Polska myśl patriotyczna w warunkach niewoli nigdy nie mogła przejawić się dość przezroczyście i w pełni. To stawało się nieraz powodem fatalnych nieporozumień co do poglądów i stanowisk ludzi troscе patriotycznej usiłujących dać wyraz. Ofiarą fatalnej O m y ł k i był i Prus, nie mogący rozmawiać ze swym narodem prosto, jasno i bez ogródek.

Klęska powstania 63 roku pchnie zrazu młodego Prusa w beznadziejną rozpacz rezygnującą nawet z marzeń o wybiciu się Polski na wolność. Z biegiem upływających lat rozpacz i rezygnacja ustąpią twórczemu dociekaniu przyczyn. Prus osądzi klęskę powstania jako klęskę błędu. W czasach, gdy cenzura zelżała, napisze o tym (N a s z e o b e c n e p o ł o ż e n i e, Tyg. Ill. 1910) nieco wyraźniej: „Gdyby zebrać w jedno miejsce krew wylaną przez Polaków za wolność, może powstałoby drugie Gopło; gdyby zgromadzić kości tych, co polegli w bojach, na szubienicach, w katorgach, na osiedleniach i wszelkiego rodzaju tułaczkach, może usypałby się z tego drugi Wawel. Lecz... jakiż z tego pożytek? Nie ma! I nawet być nie może, gdyż patriotyzm polski składa się z wybuchów namiętnych gwałtownego uczucia, którego, niestety! nie oświetlał rozum i nie przerodził go w akty twardej woli". Jakie akty twardej woli mógł mieć na myśli Prus mówiąc o ludziach, co dosyć woli pokazali walcząc i ginąc? Nie rewolucję socjalną, to pewne, ale w każdym razie — czynną wierność temu nurtowi myśli demokratycznej, który na próżno przy okazji wszystkich powstań chciał Polskę obrócić twarzą w przyszłość. W tej samej wypowiedzi Prus wyrazi to słowami: „Naród nasz nie jest jak owi Purytanie, co mężnie szli w nieznane, ażeby zbudować nową, wolną i potężną ojczyznę, ale jest jak dziecko, k t ó r e z r o z p a c z ą w y c i ą g a r ę c e k u o d s u w a j ą c e j s i e p r z e s z ł o ś c i". W samej rzeczy po stracie niezawisłego państwa dążenia większości tzw. „niepodległościowców" obracały się około mechanicznego przywrócenia utraconego *status quo*, poprawionego o mniej lub więcej radykalny program uwłaszczenia chłopów; co było postępowością w okresie Manifestu Połanieckiego, ale już w okresie następnych powstań prześcignięte zostało nawet nie przez rewolucje ludowe, ale przez rządy państw o normalniejszym niż Polska rozwoju. Tymczasem Prus wiedział i widział, że dzieje ludzkości ani przez chwilę nie stoją w miejscu. Nie stoją także dla

narodów cierpiących niewolę. A Polska — jak mu się zdawało — w oczekiwaniu na cud wyzwolenia rozumiany jako powrót do utraconej dawności, zdradzała tendencje do stanięcia w miejscu, a nawet do cofania się. Zagrażało, że gdy istotnie przyjdzie możliwość walki o wolność, zastanie ona Polskę nie gotową pod względem duchowym i materialnym, nie mającą odpowiadających czasowi i godnych poparcia celów, nie mówiąc już o niezdawaniu sobie sprawy z szans i ze środków, jakie do walki użyte być powinny; a w takim razie żadna broń nie pomoże i sprzymierzeńcy się nie znajdą, bo Polska nie będzie reprezentowała żadnej sprawy obchodzącej ludzkość.

Rezygnując na razie ze zbrojnej walki o wolność Prus domagał się więc od swego narodu zaniechania politycznych „mrzonek", a tworzenia natomiast we wszystkich dziedzinach życia takich wartości, które — mimo jej los polityczny — uczyniłyby Polskę, a przynajmniej Polaków, czymś cennym i n i e z b ę d n y m dla świata. Prus nie uznawał wymawiania się niewolą od ciągłych i upartych wysiłków doskonalenia życia. Swój program ocalenia i wywyższenia narodu widział to w kształceniu władz poznawczych, to w tworzeniu siły gospodarczej, to w sumiennym wypełnianiu wszystkich powszednich obowiązków życia, to — w okresie mistyczno-religijnym — w dosłownym stosowaniu na codzień nauki Chrystusa. Ostatecznego wniosku, że wszystko to ma doprowadzić Polskę do j a k i e j ś postaci wolności, znaczenia i potęgi, Prus nie mógł już w warunkach ówczesnej cenzury jasno wypowiedzieć, a i bez niej trudny on byłby do wyprowadzenia z takich przesłanek. Przemycał go w okresie powstania greckiego (1897) pod postacią losów tego kraju, któremu, jak wierzył, Europa w walce o wolność dopomoże, bo stworzył „dzieła w s z e c h l u d z k i e" i miał bohaterów, co „walczyli i ginęli za w s z e c h l u d z k i e d u c h o w e s k a r b y".

Wszystkie te poglądy, skądinąd pożyteczne, a nawet zbawcze dla narodu skłonnego do wszelkich „grzechów opuszczenia", w praktyce wyglądały nader podobnie do ugodowego programu konserwatystów reprezentujących klasy posiadające i część związanej z nimi inteligencji. Stały się też niepopularne śród młodszej i radykalniejszej części społeczeństwa, ściągnęły na głowę Prusa gromy i szyderstwa, doszło nawet do osobistej na niego napaści dokonanej przez kilku krewkich młodzieńców, na pewno nie silących się na zrozumienie trudnej myśli Prusa. Swój dramat niezrozumianego patrioty przedstawił Prus w noweli O m y ł k a, tym najtragiczniejszym z jego kilku posępnych i niesamowitych utworów.

Oczywiście myśl patriotyczna Prusa szła zygzakami, omylnymi drogami, srogo się nieraz błąkała. Lecz artysta ma psychikę bardzo złożoną, a jego wartość nie leży w nieugiętości, jednolitości czy poprawności poglądów. Ważna jest właśnie ta droga poszukująca i to, czy, choćby zbaczając, idzie się w dobrym kierunku. A Prusowi — gdy spekulacje myślowe zawiodły w publicystyce — właściwy kierunek wskazywało gołębio czułe, a jastrzębio bystre oko wielkiego artysty. W imię z i m n e j trzeźwości świadomie wyzbywającej się złudzeń Prus potępił walki zbrojne o wolność podejmowane bez kilku przynajmniej ważnych szans na zwycięstwo. Ale choć nie operował naszymi dzisiejszymi kryteriami, co pozwalają precyzyjnie oddzielić od błędu czysty i przyszłościowy nurt ruchów narodowo-wyzwoleńczych, oko i serce artysty wyłowi ludzi tego nurtu i otoczy ich pełną humoru i tkliwości sympatią. Szczytowym wyrazem tej sympatii będzie arcydzieło charaktery-

styki, jedna z najpiękniejszych postaci Prusa — syn woźnego, uczestnik rewolucji węgierskiej, anielski subiekt Ignacy Rzecki. Jeszcze bardziej bezpośrednio wskaże nam Prus dziedzica najlepszych tradycyj wolnościowych w słabszym, drobnym utworze Milknące głosy. W opowiadaniu tym ubogi szewc i jego nieletni syn to jedyni ludzie, co dostrzegli, powitali i uczcili przybyłego do kraju tułacza, żołnierza wolności. Artystyczna twórczość Prusa wskazuje, że mimo wszystkich potępień dla nieobmyślonej gotowości ginięcia za wszelką cenę, Prus nigdy się sentymentu do polskich tradycji bojowych nie wyzbył; związał je tylko z losem prostego człowieka. Prosty człowiek jest we wszystkich utworach Prusa najważniejszy, nie dlatego oczywiście, że raz przeszkodził samobójstwu dobroczynnego kupca uwikłanego w obłęd miłosny.

To samo znajdziemy w innej sprawie. Prus-publicysta długo mniemał, że nie oglądając się na polityczną stronę życia Polska może zająć wybitne stanowisko pośród narodów świata przez twórczą wiedzę, przez szlachetność i zdolność umiejętnego, słusznego rozwiązywania codziennych zagadnień życia. Ale Prus-artysta dostrzegł, że jeśli celem istnienia organizmu narodowego jest stworzenie jak najwyższej cywilizacji rzeczowej i kultury, to bez własnego państwa cel taki nie może być osiągnięty. Że trzeba wskrzesić w społeczeństwie także i rozum polityczny, i pojęcia o państwie. Tej kwestii pod cenzurą carską Prus nie mógł traktować bezpośrednio — stąd pomysł Faraona. Ta powieść nie jest bynajmniej apoteozą państwa, przeciwnie, i tu Prus wykazuje, że państwa wznoszą się i upadają, a istotą życia „zostaje prosty człowiek", jego praca, jego niedola lub szczęście. Ale jak silnie temat państwa pochłonął Prusa, świadczy to, że ów piewca głównie życia codziennego i szarego człowieka dał w Faraonie nie tylko wysokiej wartości powieść własną, ale jedyną chyba w literaturze światowej wielką powieść o mechanizmie polityki i władzy.

8

Prus nie byłby Prusem, gdyby w swej myśli patriotycznej nie oddawał pierwszeństwa zagadnieniu krzywdy społecznej. Tu zjawia się pytanie, jaki był stosunek Prusa do socjalizmu. Że interesował się socjalizmem przez wiele lat swej kariery pisarskiej, to wiadomo. Już w roku 1883 drukuje w Nowinach cykl artykułów pt. Co to jest socjalizm? I w tym cyklu, i w innych na ten temat artykułach ustosunkowuje się do socjalizmu rzeczowo, nie bezkrytycznie, ale z niewątpliwą, choć umiarkowaną, życzliwością. Socjalizmu rewolucyjnego w tym czasie nie uznawał i nie pochwalał. Widział w socjalizmie „system logicznie poprawny", spodziewał się, że wszystko to, „co w socjalizmie jest zgodne z wskazywanymi przez naukę prawami rozwoju historii" przeniknie do życia w sposób naturalny i niejako ewolucyjny. Ale w Lalce, znów jako artysta, napomknie ustami „mizernego subiekta Kleina", że „Socjalizm to potęga" większa od innych sił kształtujących stosunki ludzkie. Jest zasługą Jana Kotta, że wyśledził autentyczne realia niepokaźnego strumyczka socjalizmu sączącego się poprzez stronice Lalki. Że stwierdził na podstawie źródeł owego czasu, z jakimi faktami pierwszych poczynań „Proletariatu" i pierwszych represji zastosowanych do tego ruchu związane są najdrobniejsze wzmianki powieści dotyczące Kleina i studentów, niewątpliwych socjalistów. Szczupłość tego wątku nie świadczy, jak mi się zdaje, o przypisywaniu małego znaczenia socjalizmowi. Prus, wielki realista, pokazał go w takiej proporcji, w jakiej prze-

jawiał się on wśród życia mieszczańskiego. Lecz pokazał niedwuznacznie, jako jedną z tych wartości, o których — cytuję za Anną Kowalską — Frycz Modrzewski powiedział, że są „prawdą niewielu, która w przyszłości stanie się prawdą wszystkich".

O dostrzeganiu sprzeczności interesów klasowych mówił Prus gęsto w swych wypowiedziach i publicystycznych, i artystycznych. Ileż to razy wspomina, że „pałac naszej cywilizacji stoi na bagnie", że „pod gmachem cywilizacji roją się ludzie cierpiący biedę, ciemnotę i nieobyczajność społeczną", że „zapomnienie o masach pracujących" grozi upadkiem cywilizacji niesprawiedliwej. Inna rzecz, że nie widział właściwych wyjść praktycznych z wybornie spostrzeganych sprzeczności; że wciąż doradzał tylko niesprawiedliwym klasom większą miłość bliźniego i odrodzenie moralne. Inne wyjście zobaczył dopiero w ostatnim roku swego życia. Dał temu wyraz w niedokończonej, niestety, powieści Przemiany, drukowanej w Tygodniku Illustrowanym, a w okresie dwudziestolecia wydanej w pismach zebranych Prusa. Śmierć zaskoczyła go nad pisaniem tej powieści.

Przemiany mało były czytane i uznano ten utwór za słabą już pozycję dorobku Prusa. Co do mnie, przeczytałam tę powieść niedawno z największym zajęciem; sądzę, że i artystycznie posiada ona mniej więcej wszystkie właściwe Prusowi zalety. W niej też — na ile można sądzić z nieskończonego tekstu — autor Lalki zdaje się wskazywać na socjalizm, i to socjalizm rewolucyjny, jako na siłę sprawczą mającą kształtować przyszłe stosunki ludzkie, a więc i dzieje Polski.

W rozdziale drugim, który czytelnicy znajdą w niniejszym wyborze pism Prusa, jest przedstawiony piknik w lesie i zabawa towarzyska polegająca na wskazaniu najlepszego pomysłu ocalenia więzionej przez smoka księżniczki. „Księżniczką" ma być Polska. Gdy młodzi ziemiańscy paniczykowie wymyślają różne heroiczne sposoby, „Moskal", Dymitr Permski, korepetytor jednego z wiejskich dworów, ripostuje podsuwając trudności nieprzewidziane przez pochopną polską rycerskość. Na wymówkę, że stwarza trudności, aby wykazać niemożność ocalenia uwięzionej, Permski odpowiada: „Ja nie potrzebuję stwarzać trudności, bo one już są. Ale ja należę do takich, którzy nie cofają się przed trudnościami. Dla nas nie ma niepodobieństw". Na zapytanie, czy do zbieranych dla wyzwolenia „księżniczki" sił mają należeć także (stanowiący tło sceny) Antek — chłopak kredensowy, i Walek — stangret, główny bohater powieści, student Józef Trawiński, odpowiada: „Przecież to główne siły!" Na co Permski do Trawińskiego: „Zapamiętajcie sobie, co mówię: Antek i Walek to nasze zasadnicze siły. Ale wyraz Antek znaczy — wszecheuropejski proletariat, a wyraz Walek — rosyjska rewolucja." Dwa tylko zdania i nie wiemy na pewno, jak miał zamiar ustosunkować się do nich Prus w dalszym ciągu niedokończonej powieści. Lecz te dwa zdania będą dziś, w czterdzieści lat po śmierci Prusa towarzyszyły na każdym kroku naszemu życiu.

Dar proroczy? Nieraz obserwujemy u Prusa ten dar i nie jest on żadnym cudem. Trafne „przepowiadanie" przyszłości nie musi pojawiać się u pisarzy, nawet wielkich. Lecz jeśli się pojawia, jest wynikiem nieomylnie trafnej obserwacji życia i sprawnego, prawidłowego posługiwania się myślą. „Prorocze" widzenie świata znajdujemy u Prusa i w sformułowaniach myślowych, i w obrazowaniu, i w niektórych postaciach. Prorocze jest dostrzeżenie Gosławskiego, ślusarza fabryki Adlera, w

Powracającej fali. Dopiero w początkach XX wieku socjologowie nie-marksiści zaczęli systematyzować dane o wynalazczości nieznanych robotników, co przyczynili się do rozwoju przemysłu. Prus już w 1880 rozpoznał postać robotnika, „na którym stoi fabryka", udoskonalacza i narzędzi, i metod pracy, prekursora dzisiejszych przodowników pracy i racjonalizatorów; choć nie dostrzegł jeszcze roli mas robotniczych, występujących w noweli tylko w postaci smutnego tła.

Byłoby dziwne, gdyby Prus, entuzjasta wiedzy, nie zauważył groźnych perspektyw nauki w służbie zła. Nie spostrzeże wprawdzie roli nauki w służbie kapitalizmu, co trafnie zaznacza Kott; przeciwnie, będzie roił (choć może i to rojenie okaże się prorocze), że wynalazki nauki rozwiążą sprawę szczęścia ludzkości (tak myślał i Żeromski); ale dostrzeże złowrogą rolę nauki w służbie polityki, czyli koniec końców.., imperializmu. W roku 1900 Prus pisze w Kurierze Codziennym: „Żyjemy w epoce, kiedy nauka zaczyna tracić charakter prawd powszechnych, a stawać się zbiorem fałszów i narzędziem drapieżnej polityki". A oburzywszy się na niemieckiego filozofa, Roberta Hartmana (autora dzieła: Filozofia nieświadomości), że „objąwszy rolę politycznego ajenta zalecał swoim ziomkom wyplenienie Polaków" — doda: „... tylko patrzeć, jak na pniu sławnej nauki niemieckiej wyrośnie »nowa chemia« do trucia niemiłych sobie ludów, »nowa medycyna« do zalewania ich epidemiami". Dziś ta rola nauki w służbie imperializmów jest konkretną troską naszych nocy i dni.

Proroczą jest również i mała scenka z opowiadania Widziadła, w której trzej przyjaciele, zamroczeni miodem, oglądają w imaginacyjnym kinematografie na ścianach starej winiarni Fukiera historię Rynku Starego Miasta. I oglądając ów Rynek dźwigający się w ciągu wieków z wielokrotnych ruin, ujrzą go w ostatniej wizji właśnie takim, jakim w tej chwili my, dzisiejsi, oglądamy go z dumą i radością. Prorocze jest również zdanie Prusa: „Pomimo ciężkich warunków bytu, pomimo jeszcze cięższych błędów, jakie co chwila popełniamy, mimo niedorzeczności, jakimi przeładowana jest nasza historia bodaj czy nie od dwu wieków, mimo to wszystko naród nasz nie tylko może wydźwignąć się z obecnego położenia, ale jeszcze w przyszłej historii cywilizacji odegrać piękną, wspaniałą rolę."

Właśnie tę rolę, wbrew pesymistom i na przekór wszystkim uciążliwym trudnościom epoki Przemian, grać zaczynamy. I tym „meldunkiem" składamy hołd pisarzowi, co był nie tylko „sercem serc", jak głosi napis na jego grobie, ale usiłował być i płodną myślą polskich mózgów.

Maria Dąbrowska

VI Zjazd Związku Literatów Polskich

WARSZAWA 8.VI — 11.VI

EDWARD OCHAB

*

Drodzy Przyjaciele! W imieniu Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej serdecznie witam i pozdrawiam Walny Zjazd Delegatów Związku Literatów Polskich.

Partia nasza zawsze przywiązywała wielką wagę do pracy pisarzy, pamiętając, że literatura piękna była i jest potężną bronią ideologiczną, że wywiera ona głęboki wpływ na życie społeczeństwa, kształtując w poważnym stopniu świadomość i aktywność społeczną szerokich, milionowych rzesz czytelników.

Cztery lata dzielące nas od poprzedniego Waszego Zjazdu były przede wszystkim latami wytężonej pokojowej pracy naszego narodu, rozwiniętego budownictwa socjalistycznego, systematycznego umacniania sił obronnych naszego kraju, poważnego zwiększenia naszego dochodu narodowego, nieznanego nigdy przedtem rozmachu w upowszechnianiu oświaty i w podnoszeniu poziomu kultury milionowych mas robotniczo-chłopskich.

Były to lata niestrudzonej walki przeciwko siłom starego obumierającego świata o nowe socjalistyczne oblicze naszego narodu, o rozwinięcie wszystkich jego materialnych i duchowych sił twórczych.

Z dumą możemy mówić o bilansie ostatnich czterech lat, podobnie jak całego dziesięciolecia Polski Ludowej, o wzroście produkcji stali z 2 mln. 300 tys. w r. 1949 do 3 mln. 600 tys. ton w r. 1953, o wzroście globalnej produkcji przemysłowej w tym samym okresie z 17,2 miliarda zł do 39,5 miliarda (licząc w cenach niezmiennych), o powstaniu w latach 1950—1953 z górą 7 800 istniejących po dziś dzień spółdzielni produkcyjnych, o zbudowaniu w tych latach 1037 nowych budynków szkolnych i ponad pół miliona nowych izb mieszkalnych, o wydaniu w ciągu tego czterolecia niemalże takiej ilości książek, jaką wydano w ciągu całego dwudziestolecia rządów burżuazyjnych, o wydaniu w tym okresie niemal czterech milionów egzemplarzy dzieł Mickiewicza i Słowackiego oraz kilkunastu milionów egzemplarzy utworów współczesnych pisarzy Polski Ludowej.

W tym bilansie twórczej socjalistycznej pracy polskich robotników, chłopów i inteligencji niemały jest pośredni i bezpośredni udział naszych pisarzy, współbudowniczych nowego, sprawiedliwego ustroju społecznego, niosącego wyzwolenie człowiekowi pracującemu i całej ludzkości.

Podkreślamy nasze osiągnięcia, aby wskazać, że idziemy po słusznej drodze, aby uwypuklić te niemal nieograniczone możliwości rozwoju, które daje nam ustrój socjalistyczny i braterska przyjaźń z potężnym Związkiem Radzieckim i krajami demokracji ludowej.

Uwagę Partii i mas pracujących staramy się jednak skupić przede wszystkim na trudnościach, które przyjdzie nam pokonać, i na zadaniach, które będziemy realizować, aby w wolności, w dobrobycie, w szczęściu mas ludowych rozkwitała Polska, która szykuje się do obchodu swego tysiąclecia, ale tryska pełnią młodzień-

czych sił, płynących z głębi wiecznie młodych mas ludowych, będących dziś gospodarzami swego młodego państwa i budowniczymi nowego ustroju społecznego.

Węzłowym zadaniem, które II Zjazd PZPR postawił przed Partią i całym ludem pracującym, jest szybsze niż w okresie poprzednim podniesienie stopy życiowej szerokich mas poprzez szybszy wzrost produkcji dóbr konsumcyjnych, a zwłaszcza produkcji rolnej.

Wzrost produkcji wymaga wzrostu aktywności społecznej i produkcyjnej milionowych mas robotniczych i chłopskich, wymaga głębokiej świadomości naszych wielkich klasowych i narodowych celów oraz atmosfery proletariackiego entuzjazmu i poświęcenia w walce przeciw wrogom klasowym i trudnościom obiektywnym, których niemało piętrzy się na naszej drodze.

Praca nad wzrostem aktywności społecznej i produkcyjnej szerokich mas, nad dalszym pogłębianiem ich świadomości socjalistycznej, nad umocnieniem ducha ofiarności i żarliwości rewolucyjnej w walce o realizację naszych porywających celów klasowych — oto wielkie, bojowe zadanie naszej Partii a zarazem zaszczytne zadanie naszej głęboko związanej z ludem literatury i sztuki.

Niechże troska o należyte rozwiązanie tych wielkich zadań towarzyszy Wam, Przyjaciele, w czasie obrad zjazdowych i w Waszej pracy twórczej.

Praca nad systematycznym wzrostem produkcji rolnej, nad uruchomieniem już dziś wszystkich rezerw, tkwiących w indywidualnej gospodarce rolnej, wiąże się nierozerwalnie z perspektywą stopniowego, dobrowolnego przechodzenia milionowych mas małorolnych i średniorolnych chłopów na tory gospodarki zespołowej.

Szeregi partyjne jak również i przodująca część bezpartyjnej inteligencji twórczej muszą być uzbrojone w świadomość tego, że tylko wielka, zmechanizowana, zespołowa, socjalistyczna gospodarka rolna może wykorzystać wszystkie siły przyrody, zapewnić obfitość produktów rolnych, podnieść na wysoki poziom wartość produkcji rolnej i dobrobyt rolnika, zdjąć z barków milionów chłopów i chłopek średniowieczne brzemię pracy wykonywanej przy pomocy starodawnych narzędzi ręcznych i zacofanych metod agrotechnicznych, zastąpić w szerokim zakresie pracę ludzką przez pracę traktorów i innych skomplikowanych mechanizmów, wyzwolić miliony dzieci chłopskich od średniowiecznego postronka wciąż jeszcze przywiązującego je do krowy i pastwiska, zapewnić w pełni jasne, socjalistyczne dzieciństwo chłopcom i dziewczętom wiejskim, zabezpieczyć wszechstronny rozwój wysokiej socjalistycznej kultury nie tylko w mieście, ale również i na wsi.

Pierwsze lata naszej pracy nad rozwojem spółdzielczości produkcyjnej na wsi wskazują, podobnie jak wskazuje doświadczenie bratnich krajów, że siły dnia wczorajszego stawiają zaciekły opór naszej socjalistycznej ofensywie, która raz na zawsze zlikwiduje możność wyzysku wsi pracującej przez kułaków i spekulantów.

Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej jest głęboko przekonany, że w tej gigantycznej pracy, która zostanie dokonana dla przygotowania największego przełomu w wielowiekowych dziejach wsi polskiej — zaszczytne miejsce przypadnie literaturze pięknej, że pierwsze osiągnięcia naszej literatury w tej dziedzinie będą wzbogacone o nowe, dojrzałe dzieła pisarzy, którzy sami głęboko wniknął w problematykę współczesnej walki klasowej na wsi i potrafią oddać drama-

tyczne napięcie tej walki, piękno duchowe ofiarnych bojowników o socjalizm, rodzenie się nowego człowieka na wsi, wczoraj często zahukanej i ciemnej, zastygłej i patriarchalnej, a dziś walczącej coraz bardziej świadomie o zwycięstwo nowego nad starym, kultury nad zabobonem, postępu nad zacofaniem, traktoru nad sochą i motyką, socjalizmu i humanizmu nad kapitalizmem i podeptaniem człowieka.

Walka nowego ze starym, która najostrzejsze formy przybiera na wsi, toczy się oczywiście w całym kraju i we wszystkich dziedzinach naszego życia. Tylko zakochany w sobie i beznadziejnie ślepy pięknoduch łudzi się czasem urojeniami, że można zachować pozycję neutralną w obliczu tej tytanicznej walki o nowe, piękne oblicze naszego kraju i całego świata, o najgłębszy sens życia każdej jednostki i każdego narodu, o wyzwolenie człowieka pracy i całej ludzkości.

Wielka literatura i sztuka może się rodzić tylko w najgłębszym związku z życiem, w służbie dla ludu, w ogniu walki o wielką ludową sprawę. Dlatego też wydaje nam się rzeczą słuszną, że my — żołnierze PZPR, spotykając się z Wami, partyjnymi i bezpartyjnymi przedstawicielami naszej literatury pięknej, walczącej o wspólne nasze socjalistyczne ideały, widzimy w Was braci-żołnierzy wielkiej robotniczej sprawy, głęboko narodowej a zarazem międzynarodowej.

Dlatego też mówimy do Was przede wszystkim o zadaniach, które rozwiązane będą przez polską klasę robotniczą przy pomocy wszystkich sił, skupiających się pod sztandarem robotniczym, a więc również przy Waszej, Towarzysze, pomocy.

Jesteśmy głęboko przekonani, że troska o dobro mas pracujących, o socjalistyczny rozwój naszego narodu będzie Wam towarzyszyć w toku obrad zjazdowych i ułatwi Wam właściwe decyzje w sprawie sposobów i środków przezwyciężania różnych specyficznych trudności na drodze dalszego rozwoju i rozkwitu literatury realizmu socjalistycznego, literatury, budzącej nową, socjalistyczną świadomość i walczącej o nowe, socjalistyczne życie.

Śmiało stawiajcie w swej twórczości trudne problemy naszego burzliwie rozwijającego się życia, oświetlajcie głębokie przemiany i dramatyczne konflikty w stosunkach między ludźmi, w walce nowego ze starym w duszy człowieka i w świadomości mas ludzkich.

Śmiało nawiązujcie do wielkich tradycji naszej literatury narodowej, wykorzystujcie doniosłe doświadczenia, zdobyte przez najlepszych przedstawicieli literatury radzieckiej, z pasją i męstwem Żeromskiego i Gorkiego walczcie o nowego człowieka, o umocnienie nowego socjalistycznego społeczeństwa.

Pomagajcie młodym pisarzom, aby nie ulegli łatwej pokusie upraszczania czy lakierowania naszego życia, aby nie zrażali się niepowodzeniami czy potknięciami na drodze realizmu socjalistycznego, na drodze trudnej, ale jedynie wiodącej do celu.

Pasja twórcza wypływająca z miłości do człowieka, do swej klasy i swego narodu, połączona z coraz głębszą rzetelną znajomością życia i jego praw rozwojowych, pomoże naszym pisarzom stworzyć dzieła trwałe i godne naszej wielkiej epoki.

Obecność licznych delegacji i gości zagranicznych na Waszym Zjeździe jest jeszcze jednym dowodem, że tak jak Polska Ludowa jest jedną z brygad szturmowych międzynarodowego ruchu robotniczego i rewolucyjnego, tak i polska literatura piękna jest jednym z ogniw wielkiego międzynarodowego frontu żołnierzy pióra, walczących w

imię tych samych socjalistycznych ideałów wolności i braterstwa ludzi pracy, w obronie pokoju przed wojną imperialistyczną, w obronie wielowiekowej kultury i dorobku cywilizacyjnego ludzkości, zagrożonych przez rozpasany obłęd amerykańskich miliarderów i wandali.

Wierzymy, że obrady Wasze, a zwłaszcza dalsza praca twórcza naszych pisarzy, będą oznaczać również wzrost wkładu naszego utalentowanego narodu, naszej literatury narodowej, która szczyci się takimi mocarzami, jak Mickiewicz i Słowacki, do wielkiej międzynarodowej skarbnicy dorobku kulturalnego i artystycznego.

W imieniu Komitetu Centralnego PZPR życzę Wam, Drodzy Przyjaciele, owocnych obrad i nowych sukcesów w pracy twórczej, w wiernej służbie klasie robotniczej, narodowi polskiemu i kulturze ogólnoludzkiej.

Edward Ochab

LEON KRUCZKOWSKI

*

Cztery lata dzielą nas od poprzedniego Zjazdu Związku Literatów Polskich, organizacji naszego pisarstwa odbudowanej przed 9 laty, natychmiast po wyzwoleniu kraju z jarzma hitlerowskiej okupacji. Jak wiadomo, dotychczasowe Zjazdy odbywały się w terminach dorocznych, było ich mianowicie pięć: krakowski (1945), łódzki (1946), wrocławski (1947), szczeciński (1949) i warszawski (1950). Zgodnie z nowym statutem Związku, uchwalonym na zjeździe warszawskim, pierwszy raz zbieramy się po okresie znacznie dłuższym od dawniejszych okresów międzyzjazdowych. Po raz pierwszy mamy możność objęcia myślą już nie miesięcy, lecz lat. Oczywiście, cztery lata — to nie jest w rozwoju literatury zbyt wiele, bądź co bądź jednak mamy na tym Zjeździe możność pewnego wydłużenia spojrzeń i miar, jakimi chcemy oceniać przebywaną przez nas drogę.

Nie chodzi zresztą jedynie o te ostatnie, sprawozdawcze lata. Rok obecny jest przecież rokiem dziesięciolecia Polski Ludowej. Trudno nam na tym Zjeździe nie wspomnieć ze wzruszeniem owych dni, kiedy bohaterska Armia Radziecka, przynosząc wyzwolenie naszemu narodowi — nam, pisarzom polskim, po pięcioletnim milczeniu przywracała głos, przywracała podstawowe warunki pisarskiej pracy — kiedy zaczynaliśmy w radosnej krzątaninie tworzyć nowe czasopisma, wyciągać z okupacyjnych schowków nasze rękopisy, odbudowywać naszą związkową organizację, nawiązywać niejako od nowa nasz pisarski dialog z narodem.W tamtych historycznych dniach rodziły się uczuciowe przesłanki naszej zbiorowej i indywidualnej pracy nad dalszym rozwijaniem narodowego piśmiennictwa pięknego. Mimo dzielących nas różnic światopoglądowych i artystycznych czuliśmy niemal wszyscy, że dla twórczości naszej otwierają się zupełnie nowe, nieznane możliwości, że z ciasnoty problemików literackich dwudziestolecia wychodzimy na jakąś bardzo inną, groźnie piękną drogę, tętniącą sprawami najwyższej miary.

Od dziesięciu lat żyjemy i pracujemy jako pisarze w państwie zwycięskiej rewolucji społecznej, uczestniczymy codziennie w wielkich przeobrażeniach życia naszego narodu, w tworzeniu nowej epoki jego dziejów. I tę dziesięcioletnią perspektywę winniśmy mieć na

oku we wszystkim, o czym mamy mówić na tym Zjeździe.

Ściślejsze nasze obrachunki objąć mają blisko połowę dotychczasowego okresu istnienia Polski Ludowej. Jeśli dodamy, że właśnie ubiegłe cztery lata były latami budowania podstaw socjalizmu w naszym kraju, decydującymi latami zwycięskiej realizacji Planu 6-letniego, że przyniosły nam one historyczny akt Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, wyrażający i utrwalający dokonane w naszej ojczyźnie rewolucyjne przemiany — to tym bardziej uświadomimy sobie szczególną doniosłość zadań, stojących przed tym Zjazdem, zadań, polegających w pierwszym rzędzie na sumiennej, ostrowzrocznej, krytycznej ocenie minionego czterolecia, na śmiałym i troskliwym zbadaniu jego osiągnięć i błędów, jego dobrych i złych doświadczeń.

Na tym jednak, oczywiście, nie kończą się zadania tego Zjazdu. Podsumowanie i krytyczne osądzenie ubiegłego czterolecia jest nam potrzebne dla wysnucia trafnych wniosków na najbliższą przyszłość, dla lepszego, doskonalszego i bardziej skutecznego prowadzenia dalszej walki o nową literaturę, w pełni i z całym bogactwem artystycznych środków odzwierciedlającą współczesne życie naszego narodu.

Niespełna trzy miesiące temu przeżyliśmy historycznej doniosłości II Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, awangardy polskiego ludu pracującego, organizatorki jego zwycięstw w walce o zbudowanie ustroju sprawiedliwości społecznej w naszej ojczyźnie. Dorobek tego Zjazdu, wypracowany w atmosferze zarówno szczerej krytyki, jak i żarliwej wiary w siły narodu, będzie miał wielkie znaczenie dla pełniejszego niż dotąd wyzwolenia twórczych energii mas, dla usunięcia wielu przeszkód, jakie dotychczas hamowały ich prężność opóźniły nasz rozwój na poszczególnych odcinkach. Niemało takich zahamowań i opóźnień odczuwamy również— a może nawet szczególnie — w naszym życiu kulturalnym, między innymi również na froncie literatury. I one także muszą być przezwyciężone wspólnym naszym wysiłkiem. Śmiało i szczerze, jak tego uczy nasza Partia, sięgnąć musimy na tym Zjeździe do korzeni, do przyczyn błędów i niedostatków naszej dotychczasowej pracy twórczej i związkowej — po to, ażeby błędy te i niedostatki przełamać i w ten sposób wyzwolić całą pełnię naszych pisarskich możliwości, wzbogacić ich wielostronność, wyostrzyć ich celność ideową, wzmóc siłę ich emocjonalnego działania. Słowem uczynić wszystko, abyśmy byli w stanie dobrze spełniać wysokie i piękne zadania, jakie przed swymi pisarzami stawia naród budujący socjalizm.

W referacie moim chcę zdać Zjazdowi sprawę z ubiegłych czterech lat działalności Związku Literatów Polskich jako samorządnej organizacji pisarzy, której państwo ludowe powierzyło odpowiedzialną rolę jednego z ważnych instrumentów naszej polityki kulturalnej. Jest rzeczą jasną, że życie i działalność tej organizacji muszą być w znacznej mierze odbiciem ogólniejszych zjawisk i procesów zachodzących na całym froncie ideologicznym. Przemawia to za koniecznością nakreślenia pewnego tła, niezbędnego dla oceny działalności Związku z punktu widzenia jego najistotniejszych zadań. Sądzę, że uzyskamy takie tło w ogólnym obrazie rozwoju naszej polityki kulturalnej w omawianym okresie. Spróbuję najważniejszym elementom tego obrazu poświęcić pierwszą część mojego referatu.

Nikt nie zaprzeczy, że w Polsce Ludowej, dzięki zasadniczym przemianom gospodarczo- i społeczno-ustrojowym, dokonuje się również r e w o l u c j a

kulturalna. Istotą jej stało się szerokie — jak jeszcze nigdy w naszej ojczyźnie — udostępnienie dóbr kulturalnych podstawowym masom narodu, dotąd i w tej dziedzinie wydziedziczonym, rozbudzenie ich potrzeb i ich rosnącej aktywności kulturalnej. Po raz pierwszy w Polsce książka stała się dobrem powszechnym, dostępnym dla milionów. Dzieła trzech tylko mistrzów naszej literatury: Mickiewicza, Prusa i Żeromskiego, wyszły w okresie ubiegłych pięciu lat w łącznym nakładzie 7 milionów egzemplarzy. Roczna frekwencja w teatrach polskich wyraża się obecnie liczbą równą połowie ludności kraju, wobec niespełna 15% przed wojną.

Lecz rewolucja kulturalna nie może poprzestać na największych nawet osiągnięciach w dziedzinie upowszechniania. Musi ona objąć również dziedzinę samej twórczości. Chłonąc dzieła klasyków, masy ludowe tym goręcej zaczynają pragnąć równie porywających dzieł nowej, „swojej" literatury, odzwierciedlającej ich życie, ich pracę i walkę, wyrażającej ich dążenia, ich troski i nadzieje. Przed współczesnymi twórcami staje zaszczytny obowiązek zaspokajania tych pragnień. Przed polityką kulturalną ludowego państwa staje trudne zadanie dopomożenia twórcom w ich wysiłkach, w ich walce o literaturę związaną z życiem narodu budującego socjalizm. Oto dlaczego jej zasadniczym motywem i najważniejszą wytyczną działania stać się musiała walka o realizm socjalistyczny. Proklamowana na szczecińskim zjeździe naszego Związku w styczniu 1949, stała się ona w ubiegłym czteroleciu głównym nurtem zarówno indywidualnych wysiłków twórczych, jak i życia ideologicznego środowisk artystycznych, dominantą niezliczonych dyskusji w związkach i sekcjach związkowych, wreszcie — codzienną troską wydawnictw, krytyków i redaktorów oraz działaczy społecznych i państwowych w dziedzinie kultury i sztuki.

W naszych warunkach walka o realizm socjalistyczny, czyli o metodę artystycznego odtwarzania rzeczywistości w jej ruchu, w jej rewolucyjnym rozwoju, musiała stać się przede wszystkim walką o „przełom tematyczny". Tak przynajmniej stanęła ona jako praktyczne zadanie dla polityki kulturalnej. O ile bowiem przebudowa warsztatów twórczych była i jest w głównej mierze sprawą samych pisarzy oraz sprawą krytyki, o tyle stwarzanie warunków, ułatwiających twórcom poznawanie życia, zwłaszcza tematyki i problematyki socjalistycznego budownictwa, leżało w zakresie możliwości organizatorów życia kulturalnego. W tej dziedzinie polityka kulturalna sprowadza się przede wszystkim do systemu bodźców, mających pobudzać twórczość do rozwoju w określonym kierunku, do atakowania określonego tworzywa, tworzywa naszej współczesności.

Rozważmy krótko, jakim systemem bodźców — i w jaki sposób — posługiwała się nasza polityka kulturalna w okresie ubiegłego czterolecia dla pobudzania rozwoju nowej literatury, realistycznej literatury narodu budującego socjalizm. W jakim stopniu bodźce te pomagały, w jakim zaś przeszkadzały procesom tego rozwoju, w jaki sposób wpływały na ich przebieg i ich rezultaty?

Do stosowanych najczęściej należały konkursy o określonych założeniach tematycznych, akcje wyjazdów pisarzy „w teren", zamówienia i stypendia na określone prace, wreszcie — organizowanie narad i konferencji, poświęconych ideologicznej i artystycznej problematyce nowej literatury. Nie umniejszając znaczenia tych ostatnich należy jednak pamiętać, że ich zadaniem było

raczej sporadyczne mobilizowanie świadomości twórców wokół ogólnych zagadnień frontu ideologicznego w danym okresie, niż bezpośrednia inspiracja poszczególnych pisarzy do konkretnych zamierzeń twórczych. Te bowiem rodzić się mogą nie w dyskusjach teoretycznych, lecz jedynie w indywidualnym stykaniu się twórców z życiem, zwłaszcza z jego najbardziej węzłowymi ogniwami, tymi, które decydują o przeobrażaniu się społeczeństwa, o przemianach zachodzących w samym człowieku, w ludziach budujących socjalizm. Zbliżyć do „nowego", zwyciężającego w upartych, codziennych zmaganiach ze „starym", ułatwić pisarzom poznanie ludzi i spraw, środowisk i zjawisk, przeniknięcie do tworzywa żywych faktów rewolucyjnej rzeczywistości — oto było jedno z głównych, codziennych, praktycznych zadań dla instytucji i ludzi, mających realizować wytyczne polityki kulturalnej.

Na drodze wypełniania tego zadania osiągnięty został niejeden piękny lub co najmniej zadowalający rezultat. Przełamana została w znacznej mierze tradycyjna inercja środowiska pisarskiego, odziedziczona po dwudziestoleciu, inercja ograniczająca pole widzenia do najbliższego, własnego kręgu socjalnego. Z szerokiej akcji wyjazdów pisarzy „w teren", zorganizowanej w r. 1950 przez Ministerstwo Kultury wspólnie z naszym Związkiem, zrodziło się kilka zasługujących na uwagę książek, wśród nich ni mniej ni więcej tylko P a m i ą t k a z C e l u l o z y. I choć Newerly z tego swojego spotkania z żywą współczesnością przywiózł powieść poniekąd „historyczną", wiemy, że jest to jedna z tych książek, jakie naprawdę rodzić się mogą raz na wiele lat.

Nie można jednak zamykać oczu na fakt, że w zakresie inspirowania twórców przez budzenie w nich określonych zainteresowań tematycznych popełnione zostały również pewne błędy, nie tylko o doraźnym, lecz i o trwalszym działaniu.

Myślę, że głównym z tych błędów było zbyt biurokratyczne rozumienie pojęcia „zamówienia społecznego", takie mianowicie rozumienie, w którym znikał przymiotnik „społeczne". Zapominano często, że s p o n t a n i c z n o ś ć jest jedną z najistotniejszych cech twórczości. Zapominano nieraz, że poznawanie życia przez pisarza nie może się odbywać z pozycji „służbowo delegowanego" urzędnika, lecz że jest ono i musi być głębokim procesem wewnętrznym. Wbrew tej prawdzie próbowano nieraz osiągać „przełom tematyczny" drogą zamówień bez cudzysłowu, a wiele naszych konkursów wskazywało na niedostateczne przemyślenie metod twórczej inspiracji.

Rezultatem takiego zbyt mechanicznego podchodzenia do trudnej sprawy było powstanie sporej ilości książek i sztuk teatralnych o tematyce „produkcyjnej", zrodzonych z powierzchownej obserwacji, pozbawionych znamion wewnętrznego przeżycia. Słowem: utworów, na próżno usiłujących zamknąć burzliwą prawdę naszego współczesnego życia w bezkrwistych, ubogich schematach. Ale jeżeli główną winę za to zjawisko ponoszą sami pisarze — a tak przecież jest na pewno — to raz wreszcie należy szczerze odpowiedzieć na pytanie: na czym ta ich wina polegała? Czy tylko na nieumiejętności żywego, nie schematycznego przedstawiania rzeczywistości, na ideologicznych i artystycznych niedostatkach warsztatów pisarskich? Nie, nie tylko. Sądzę, że polegała ona również na zbyt łatwym uleganiu owym mechanicznie stosowanym bodźcom inspiracyjnym, na podejmowaniu zamierzeń pisarskich bez wewnętrznej konieczności, bez dojrzałego osobistego stosunku do tematu, c z ę s t o j e d y n i e n a z a s a d z i e dobrych

chęci i wąsko pojętego zawodowstwa literackiego, mniejszej lub większej sprawności rzemiosła. Jasne, że taka zasada „twórczości" musiała nieuchronnie prowadzić do schematyzmu, do książek i dramatów bezkrwistych, nieszczerych — do pisaniny bez pasji ideowej, a zatem i artystycznej, tej pasji, bez której pisarz nie jest w stanie ani dostrzec, ani odtworzyć żywej prawdy życia. Słusznie powiedział Lew Tołstoj, że jeśli pisarz ma projekt książki, ale może jej nie pisać, to raczej powinien wyrzec się tego projektu. Jeśli ta głęboko mądra rada była słuszna w starym, burżuazyjnym społeczeństwie — o ileż mocniej powinna obowiązywać w epoce budowania socjalizmu! Niestety, w dotychczasowym okresie walki a realizm socjalistyczny zbyt wiele napisano u nas utworów, które równie dobrze — bez żadnej szkody dla duchowego życia autorów — mogły nie być napisane.

Moglibyśmy myśleć dziś o tym mniej surowo, gdyby chodziło tylko o pewną ilość niedobrych, schematycznych książek i dramatów. Ale wydaje się, że mamy do czynienia ze zjawiskiem nieco szerszym, ogólniejszym i głębiej sięgającym w nasze pisarskie środowisko. Oto stosunkowo duża ruchliwość owego systemu bodźców inspiracyjnych, stosowanego w najlepszej wierze przez instytucje, urzędy i organizacje społeczno-kulturalne, zamiast mobilizować pisarzy — działała raczej demobilizująco. Brzmi to pozornie jak paradoks, a jednak tak właśnie było. Niejeden z naszych pisarzy zaczął przywykać do owych bodźców zewnętrznych, z reguły popieranych zachętą finansową, jako do normalnych i właściwych impulsów aktywności twórczej. Tym samym wyzbywał się, sam nawet nie zdając sobie z tego sprawy, niezbędnego dla twórcy poczucia swobody, a więc i o d p o w i e d z i a l n o ś c i za własną pracę, za jej walor społeczny i artystyczny. Wyzbywał się czujności i odwagi żołnierza wysuniętego na przedpola frontu, nabierał cech urzędnika odrabiającego schematyczne „kawałki". Umyślnie trochę tu przejaskrawiam, gdyż sądzę, że w dalszej naszej walce o realizm socjalistyczny nie wystarczy odżegnać się od pewnej liczby schematycznych książek i dramatów; trzeba również przezwyciężyć to, co — w rezultacie popełnionych błędów — głębiej niż przypuszczamy tkwi w naszym środowisku: zbyt małe zaufanie do własnych sił, a stąd nadmierną skłonność do oglądania się na bodźce płynące z instytucji życia kulturalnego i zbytnią łatwość reagowania na nie, niedostatek wewnętrznej inwencji twórczej, a tym samym umniejszenie poczucia samodzielności i odpowiedzialności za każde indywidualne zamierzenie twórcze.

Czy to ma znaczyć, że nasza polityka kulturalna ma wyrzec się aktywnej roli pobudzania pisarzy do wysiłków twórczych w określonym kierunku — w kierunku śmiałego atakowania problemów naszego współczesnego życia, naszego socjalistycznego budownictwa? Nic podobnego. Wiemy z dziejów literatury i sztuki, że niejedno, wybitne nieraz, dzieło zrodziło się z inspiracji zewnętrznej, pod wpływem bodźców świadomie do twórcy skierowanych. Nie w zasadzie inspiracji tkwił nasz błąd, lecz w gatunku stosowanych bodźców, w nadmiernym i nieoględnym, nieraz zbyt administracyjnym ich używaniu.

Tyle, jeżeli chodzi o krytyczną ocenę tego zakresu działań polityki kulturalnej, który polega na pobudzaniu aktywności twórczej w określonym kierunku. Lecz dla przebiegu i rezultatów naszej walki o realizm socjalistyczny daleko większe znaczenie posiada drugi, jeszcze trudniejszy zakres działań polityki kulturalnej, polegający na ocenie, na krytycznym wartościowaniu powstają-

cych dzieł. Rozpatrzmy więc z kolei i to zagadnienie.

Zacznijmy od stwierdzenia, że — wbrew opinii głupców — realizm socjalistyczny nie jest dla twórców żadną „taryfą ulgową", żadnym „życiem ułatwionym". Przeciwnie, tworzenie dzieła realistyczno-socjalistycznego jest sprawą niezwykle trudną. Jest zadaniem szczególnie trudnym w epoce takiej, jak nasza — w epoce rewolucyjnych przemian, w epoce budowania nowego ustroju, które odbywa się w zaciętej walce klasowej, w obliczu kapitalistycznego otoczenia.

Widzieć i odtwarzać rzeczywistość w rewolucyjnym rozwoju, życie społeczeństwa *in statu nascendi*, człowieka w procesie przemian; widzieć nie tylko to, co jest, ale i to, co dopiero się rodzi; przenikać nie tylko obrazy i zdarzenia, ale również działające pod ich powierzchnią siły; śledzić, jak w złożach starej świadomości przebijają się kiełki myślenia, czucia i działania p o n o w e m u — któż z nas, pisarzy i nie pisarzy, może zaprzeczyć, że to naprawdę trudne zadanie? Chyba trudniejsze, niezależnie od stopnia talentu czy geniuszu, od tych trudności, przed jakimi stali dobrzy czy świetni pisarze-realiści epok dawniejszych, opisujący — z aprobatą lub z pasją krytyczną — życie swoich ustabilizowanych, powoli rozwijających się społeczeństw.

Dlaczego o tym mówię? Ponieważ z tego wynika, że metody i mierniki oceniania dzieł naszej literatury współczesnej, tworzącej się w walce o realizm socjalistyczny, powinny być szczególnie czułe, troskliwie wypracowane i bardzo rozważnie używane. Czy to znaczy, że krytyka nasza — we wszystkich swoich ogniwach — powinna być pobłażliwa, protekcyjna? Nic podobnego. W szkole realizmu socjalistycznego muszą obowiązywać raczej trudne niż zbyt łatwe egzaminy. Jedno atoli jest pewne: metody i kryteria oceny nie powinny pozbawiać twórcy poczucia samodzielności, przekonania, że ma on światu coś do powiedzenia, jakąś nową, odkrywczą, indywidualnie odczutą i uformowaną prawdę o życiu, o człowieku — i że jedynie wówczas ma prawo brać za pióro. Nie powinny więc premiować samych tylko dobrych chęci ideowo-tematycznych, nie powinny też — z drugiej strony — być systemem nożyc, przecinających każdą nierówność czy wybujałość żywo urodzonego tworu. I wreszcie: winny szukać odbicia p e ł n i rzeczywistości nie w każdym utworze z osobna, oddzielnie osądzanym, lecz w sumie dzieł, w ich wielostronnym zespole.

Spróbujmy teraz odpowiedzieć na pytanie: jak nasza polityka kulturalna w omawianym tu okresie spełniała swoje funkcje w zakresie krytycznego oceniania dzieł rodzącej się nowej twórczości?

Mówiąc o polityce kulturalnej mam tu na myśli wszystkie jej ogniwa wartościujące: wydawnictwa, różne kolegia redakcyjno-programowe, a wreszcie — właściwą krytykę literacką. Nikt nie zaprzeczy, że w wielu wypadkach spełniały one dobrze swe zadania sojusznicze wobec twórców, pomagały w rozwijaniu ich samokrytycyzmu, w podnoszeniu ich pisarskiej świadomości a nawet przyczyniały się do lepszego ideowo i artystycznie ukształtowania niejednego konkretnego dzieła. Trudno jest nie stwierdzić, że odegrały one również rolę o wiele mniej chwalebną, że wydatnie dopomagały pisarzom w wydeptywaniu ciasnych ścieżek twórczości schematycznej, asekuranckiej, lakierniczej.

Wydaje mi się, że głównym błędem działań wartościujących w poszczególnych ogniwach polityki kulturalnej było przekonanie o możliwości istnienia mierników krytycznych — w oderwaniu od praktyki twórczej. Wiadomo, że takiej możliwości nie ma. Wiadomo, że

normy i systemy estetyczne wyrastają z konkretnych zjawisk twórczości — jak normy prawne z rozwoju stosunków społecznych. To samo dotyczy realizmu socjalistycznego w literaturze i sztuce. Znamy ogólnie jego założenia ideologiczne, ale ściślejsze kryteria wartościowania są dopiero do zdobycia. Podstawą ich osiągnięcia może być mianowicie wybitna, wielostronna i bogata praktyka twórcza, której „złotym funduszem" są dziś niektóre — najdoskonalsze — dzieła literatury i sztuki radzieckiej.

Nic więc dziwnego, że w naszej sytuacji, wobec niewielkiej jeszcze i ułomnej praktyki twórczej w dotychczasowym okresie naszej walki o realizm socjalistyczny — to, co stanowić miało kryteria, było w istocie zbiorem recept, schematycznych przepisów. Ściśle biorąc, działania wartościujące sprowadzały się w głównej mierze, a czasem niemal wyłącznie, do mierników polityczno-ideologicznych. Ta jednostronność, nie uwzględniająca specyfiki zjawisk literacko-artystycznych, była drugim źródłem błędów w działaniach wartościujących powszedniego dnia naszej polityki kulturalnej.

Na czym one polegały? Na wyostrzonym widzeniu niedostatków ideologicznych dzieła, nieraz zupełnie drugorzędnych, przy równoczesnym niedocenianiu w nim tego, co mogło zabrzmieć świeżo i mocno, sugestywnie i pobudzająco. Na osądzaniu utworu głównie za to, czego w nim n i e m a — przy znacznie mniejszej wrażliwości na to, co autor c h c i a ł powiedzieć i nieraz dobrze powiedział. A wreszcie, jakże często, zwłaszcza w wydawnictwach, na „asekuranctwie" i rutynie ideologicznej lub — co najgorsze — na nieznajomości życia większej u krytyka czy redaktora niż u ocenianego autora.

Nie trudno zrozumieć, że i w tym wypadku działania, które miały pomagać twórcom, rozwijać ich świadomość ideowo-artystyczną, pobudzać ich wewnętrznie — wpływały nieraz demobilizująco, osłabiały u twórcy wiarę w siebie, we własne możliwości. Jeżeli nie szkodziły mocniejszym indywidualnościom, to w każdym razie miały dostatecznie szeroki zasięg, aby wpływać na „klimat" w środowiskach twórczych — częściowo zobojętniać je lub — co gorsza — uczyć oportunistycznej nieszczerości.

Na jedno jeszcze zjawisko trzeba tu zwrócić uwagę. Zastanawialiśmy się nieraz nad przyczynami milczenia, braku aktywności twórczej niektórych, wybitnych nieraz pisarzy naszych, zwłaszcza starszego pokolenia — pisarzy, o których skądinąd wiemy, że czują się dobrymi obywatelami Polski Ludowej, że widzą swoje miejsce w naszym Froncie Narodowym. Niewątpliwie jedną z tych przyczyn były szczególne trudności, na jakie pisarze ci, ukształtowani jako dojrzałe talenty w Polsce przedwrześniowej, musieli natrafić, z chwilą kiedy stanęli wobec zupełnie nowych dla siebie, nawet teoretycznie, zjawisk, wobec rewolucyjnych przemian w życiu narodu, wobec ogromu faktów socjalistycznego budownictwa. Nie sądzę jednak, aby to wystarczało dla wyjaśnienia niektórych wypadków nagłego zahamowania żywej przedtem aktywności twórczej tych pisarzy — w okresie, kiedy podjęliśmy w polskiej literaturze walkę o realizm socjalistyczny. Rzecz chyba i w tym, że w dotychczasowym, pierwszym okresie tej walki tu i ówdzie dochodził do głosu pogląd, jakoby twórczość realistyczna w społeczeństwie budującym socjalizm możliwa była tylko z określonych, a mianowicie marksistowskich, pozycji światopoglądowych, filozoficznych. Sugestie te oniemiły niejednego wartościowego pisarza, zwłaszcza spośród tych, którym dojrzałe poczucie odpowiedzialności nie pozwalało zbyt pochopnie podejmować zamierzeń

twórczych, do których nie czuli się dostatecznie przygotowani.

Sądzę, że nie rezygnując ani na jotę z postulatu realizmu socjalistycznego jako metody twórczej pozwalającej najpełniej ujmować rzeczywistość w ruchu, w dynamice rozwojowej — winniśmy widzieć również obszar innych jeszcze możliwości realistycznej literatury i sztuki w Polsce Ludowej, i to możliwości bynajmniej nie marginesowych. Wybitnymi przykładami tych możliwości są ogłoszone niedawno nowelistyczne utwory Marii Dąbrowskiej i Jarosława Iwaszkiewicza. Granicami realizmu są granice prawdy o życiu, a z dziejów literatury światowej wiemy doskonale, ile prawdy o życiu pozostawili w swoich dziełach także ci pisarze-realiści, których światopogląd filozoficzny i społeczny daleki był od rewolucyjności. Mobilizujące dla jednych znaczenie walki o realizm socjalistyczny nie powinno równocześnie demobilizować innych, każde uczciwe i utalentowane postępowe pióro jest nam potrzebne — jest potrzebne narodowi — i nie może być paraliżowane jedynie dlatego, że w tym czy innym ogniwie wykonawczym polityki kulturalnej straszą skłonności wulgaryzatorskie.

Wszystko to nie może nam zamykać oczu na fakt, że cztery ubiegłe, pierwsze lata naszej walki o realizm socjalistyczny, przy wszystkich niedoskonałościach metod i środków tej walki, przyniosły nam początek jakiegoś zasadniczego przełomu na froncie literatury. Świadczy o tym dorobek omawianego okresu, nieporównanie bogatszy w wybitne osiągnięcia twórcze od dorobku okresu poprzedniego, tzn. pierwszej połowy naszego dziesięciolecia. Świadczy o tym fakt, że obok wielu książek i sztuk teatralnych nieudanych, schematycznych, nieszczerych — powstały również utwory poczęte z autentycznej pasji ideowo-artystycznej, prawdziwie nowatorskiej, że te utwory są gorąco czytane i dyskutowane, rozchodzą się w ogromnych nakładach i poruszają setki tysięcy widzów na widowniach teatralnych. Świadczy o tym powstanie w ostatnich latach kilku dzieł, poczętych z ducha szczerego internacjonalizmu, które zdobyły sobie uznanie zarówno w kraju, jak i poza jego granicami.

W ogóle nigdy jeszcze pisarze polscy nie byli tak licznie tłumaczeni na języki obce, jak w okresie kilku lat ostatnich.

Lecz najważniejszym faktem, świadczącym o dokonanym początku przełomu, jest to, że do literatury polskiej, która — jak każda inna — niemało dawniej uwagi poświęcała przeżyciom próżniaków, po raz pierwszy weszła jako bohater p r a c a — nie jako jarzmo i przekleństwo gniotące wydziedziczonych, lecz jako dźwignia wyzwolenia człowieka, doskonalenia ludzkiego społeczeństwa. Zadzierzgnięta została w ten sposób niezmiernie istotna więź literatury z narodem, z ludem polskim, z klasą robotniczą i pracującym chłopstwem. Literatura nasza uzyskuje dzięki temu grunt pod stopami, jakiego nieraz jej brakowało w dawniejszych epokach.

Tych pozycji pisarstwo polskie już nie odda. Będzie ich z całym przekonaniem bronić przeciwko wszelkim wpływom schyłkowej burżuazyjnej ideologii, przeciw nihilistycznej „dżumie atomowej". Trudno nam jednak wyzbyć się gorzkiego przekonania, że w okresie tych pierwszych, najtrudniejszych lat naszej walki o nową literaturę nie zdołaliśmy rozwinąć pełniej naszych możliwości, że popełniane błędy osłabiały naszą prężność, hamowały nasz rozwój — umniejszyły w naszym środowisku poczucie indywidualnej i zbiorowej odpowiedzialności za losy literatury w Polsce Ludowej. Czujemy, że zasadniczy przełom został dokonany. Chodzi obecnie o to, aby

dalszą drogę naszego rozwoju rozszerzyć, a narzędzia naszej walki udoskonalić i wzbogacić. To zadanie stoi dziś przed naszą polityką kulturalną, przede wszystkim jednak przed nami, pisarzami: przed każdym z nas osobiście i przed naszą organizacją związkową.

Przechodzę teraz do właściwego przedmiotu mojego referatu: do omówienia działalności naszego Związku w okresie ubiegłego czterolecia. Będę działalność tę omawiał na tle i w ścisłym powiązaniu z nakreślonym w pierwszej części obrazem działań praktycznych naszej polityki kulturalnej na odcinku twórczości, ponieważ — jak wspomniałem już na wstępie — Związek Literatów Polskich stał się w Polsce Ludowej, zwłaszcza od poprzedniego zjazdu warszawskiego, ważnym tej polityki ogniwem. We wszystkim, o czym dotychczas mówiłem, organizacja nasza miała jakiś swój udział i odgrywała swoją rolę. Miała więc także swój udział w błędach, które omawiałem, popełnialiśmy również swoje własne błędy.

Myślę, że dużą winą środowiska pisarskiego, zrzeszonego w Związku, a przede wszystkim winą związkowego kierownictwa, było niedostateczne przeciwdziałanie zjawiskom, które utrudniały i opóźniały prawidłowy rozwój naszej nowej twórczości, wulgaryzowały naszą walkę o realizm socjalistyczny. Zjawiska te były przecież nam najlepiej znane, stwierdzaliśmy wielokrotnie demobilizujące działanie niektórych bodźców inspiracyjnych, praktyk redakcyjnych w wydawnictwach czy administracyjnych wypaczeń w instytucjach takich jak Centralny Zarząd Teatrów — jednakże poza sporadycznymi wypadkami nie prowadziliśmy z nimi konsekwentnej i skutecznej walki. Niewątpliwie osłabiało to główny front ideologiczny naszej literatury, tak jak nieporządek na tyłach armii osłabia i utrudnia walkę pierwszej linii.

Oczywiście, o sile lub słabości tego frontu decyduje co innego: siła lub słabość nas samych, naszych osobowości twórczych, prężności ideowej i artystycznej każdego z nas. Nawet popełniane — przez kogokolwiek — błędy polityki kulturalnej byłyby o wiele mniej szkodliwe lub w ogóle byłoby ich znacznie mniej, gdyby większa była ogólna suma naszych energii twórczych i wyższy ogólny poziom naszej ideologicznej świadomości.

Gorki mówił kiedyś o potrzebie kolektywnej odpowiedzialności środowiska pisarskiego za wszystkie zachodzące w nim zjawiska. Mówił to z okazji powołania do życia w roku 1934 Związku Pisarzy Radzieckich. My również od kilku lat pragniemy przekształcać nasz Związek właśnie w organizację kolektywnej odpowiedzialności pisarzy polskich za wszystkie najważniejsze sprawy naszego środowiska, za warunki, atmosferę i kierunek rozwoju naszej twórczości. W jakim stopniu udało nam się to osiągnąć w okresie ubiegłego czterolecia?

Na pewno na tej drodze zrobiliśmy kilka kroków naprzód w porównaniu z okresem poprzednim. Mam przede wszystkim na myśli działalność naszych s e k c j i t w ó r c z y c h. Powołane przed czterema laty, miały one stać się głównym łożyskiem życia ideowego członków Związku, pomagać im w rozwoju twórczym, w zbiorowej pracy nad krystalizacją pojęć i sądów, związanych z problematyką literatury współczesnej, przede wszystkim z naszą walką o realizm socjalistyczny.

Myślę, że w pewnym stopniu sekcje spełniały te zadania. Prawdę mówiąc, dopiero ich powstanie zainicjowało w jakiś widoczny sposób życie wewnętrzne środowiska związkowego, z trochę bezpostaciowej przedtem masy członkowskiej wyłoniły się bardziej spoiste ze-

społy, powiązane bliskością zainteresowań twórczych, pracujące w sposób ciągły i mniej więcej programowy. Pozwoliło to bardziej zaktywizować szeregi związkowe, wciągnąć znaczną liczbę starszych i młodszych pisarzy do mniej lub więcej żywej wymiany poglądów zarówno na ogólniejsze, jak i na bardziej szczegółowe zjawiska i problemy naszego życia literackiego. Pozwoliło to również, w miarę posiadanych na ten cel środków budżetowych, ożywić robocze kontakty pisarzy pozawarszawskich ze środowiskiem stołecznym.

Te wszystkie dodatnie skutki powstania sekcji dotyczą zwłaszcza pierwszej połowy omawianego okresu. Niestety, stwierdzić należy, że w miarę upływu czasu pierwotna aktywność sekcji wyraźnie zaczęła opadać, ilość zebrań i frekwencja oraz żywość dyskusji wykazywały tendencję malejącą. Było to uchwytnym wyrazem ogólniejszego zjawiska pewnej dezorientacji naszego środowiska pisarskiego, postępującej zwłaszcza w okresie ostatnich dwóch lat. Gdzie szukać przyczyn tego zjawiska?

Wydaje się, że zaczęły tu działać, prócz trudności i niepowodzeń twórczych, również skutki niektórych błędów, popełnianych przez poszczególne ogniwa naszej polityki kulturalnej — błędów, którym organizacja związkowa i jej kierownictwo nie umiały od początku skutecznie przeciwdziałać. Jest rzeczą zrozumiałą, że pewne skłonności do „administrowania" w kulturze, z jakimi niewątpliwie mieliśmy do czynienia w omawianym okresie, nie zwalczane w zarodku z dostateczną siłą, musiały w prostej konsekwencji prowadzić do bierności w środowiskach twórczych, osłabiać ich samopoczucie, zniechęcać, przytłumiać ich prężność, ich wiarę w siebie.

Nasuwa się pytanie: czy głębszych przyczyn tego zjawiska wewnętrznej demobilizacji nie należy szukać raczej w naciskach ideologicznych wroga, w reakcyjnych wysiłkach hamowania naszej rewolucji kulturalnej na odcinku literatury? Myślę, że przeczą temu pewne znane fakty. Przecież właśnie okres ostatnich dwóch, trzech lat zaznaczył się w naszych środowiskach twórczych raczej dalszą, coraz wyraźniejszą krystalizacją stanowisk ideologicznych w duchu naszego Frontu Narodowego, dalszym wiązaniem się wielu wybitnych nieraz twórców z wielką sprawą naszego budownictwa, znacznym wzrostem organizacji partyjnych, jak choćby naszej przy Związku Literatów, wreszcie coraz wydatniejszym udziałem pisarzy, partyjnych i bezpartyjnych, w publicystyce, w życiu społecznym, w ruchu obrońców pokoju. Jasne, że w tym kierunku działały zarówno osiągnięcia nasze w toku realizacji Planu 6-letniego, szybki wzrost siły gospodarczej i politycznej Polski Ludowej, rozmach naszych prac w dziedzinie upowszechniania kultury, jak i rozwój sytuacji międzynarodowej, potężne narastanie sił obozu pokoju i zaostrzanie się przeciwieństw między amerykańskim imperializmem a resztą kapitalistycznego świata oraz rosnąca na tym tle groźba odradzania się odwetowego imperializmu niemieckiego w państwie bońskim.

Te wszystkie fakty grały niewątpliwie — i grały coraz skuteczniej — na rzecz rosnącego przyciągania inteligencji twórczej w orbitę naszego Frontu Narodowego, w poważnej mierze również pod sztandary naszej Partii.

Jeśli więc równocześnie obserwowaliśmy w naszym pisarskim środowisku pewne osłabienie tętna w życiu zarówno twórczym, jak i wewnętrzno-związkowym, jeśli lakier zaczynał powlekać obraz naszej literatury i przygasały dyskusje na zebraniach naszych sekcji — to chyba słuszny wydaje się wniosek, że było to w pewnym przy-

najmniej stopniu wynikiem złych, zbyt łatwych, zbyt prymitywnych metod naszej bezpośredniej walki o nową, współbieżną z życiem twórczość; złych metod, które grały p r z e c i w temu, co przynosiło co dzień nasze życie, nasze budownictwo, wysiłek klasy robotniczej i inteligencji technicznej, wielka praca naszego narodu dla socjalizmu i pokoju pod niezłomnym, dalekowzrocznym kierownictwem Partii. Inaczej mówiąc, że nie umieliśmy dotąd — i my, pisarze, w naszym Związku, i ludzie w instytucjach polityki kulturalnej — stworzyć takich dla naszej pracy pisarskiej warunków, takiej atmosfery, takich podniet i takich kryteriów wartościowania, które by wyzwalały maksimum naszych energii twórczych, pełny lot naszych uzdolnień, pełne możliwości dawania naszemu narodowi żywych, krwistych, celnych ideologicznie i sprawnych artystycznie dzieł — takich, jakich on potrzebuje w swojej codziennej pracy i walce.

W tej sytuacji nie było chyba przypadkiem, że tą spośród sekcji związkowych, której działalność ocenić trzeba jako najmniej zadowalającą, była sekcja dramatu. Scenopisarstwo jest bowiem tą dziedziną twórczości literackiej, której losy są stosunkowo najbardziej zależne od czynników administracyjnych, od Centralnego Zarządu Teatrów. Szereg błędów, jakie ta instytucja polityki kulturalnej popełniła, zwłaszcza w okresie konkursu i festiwalu polskich sztuk współczesnych, poważnie przyczynił się do nastrojów demobilizacyjnych w środowisku dramaturgów, do najbardziej rzucającego się w oczy osłabienia żywej z początku działalności sekcji dramatu. W twórczości wystąpiło to jako powszechny niemal odwrót do tematyki historycznej — nazajutrz po festiwalu sztuk współczesnych!

Nie było też zapewne przypadkiem, że jeden, niezmiernie ważny, rodzaj naszego pisarstwa, będący niezwykle istotnym, bezpośrednim narzędziem polityki kulturalnej, w ogóle nie zdołał w ciągu ubiegłych czterech lat znaleźć własnego miejsca w organizacji związkowej ani też formy pracy odpowiadającej sekcjom. Mówię tu, jak Koledzy się domyślają, o krytyce. Zbyteczne byłoby podkreślać szczególną ważność tej dyscypliny pisarskiej w takim jak nasz okresie. Nie trzeba też chyba uzasadniać tego, że praca krytyków, z istoty swojej operująca metodą dyskursywną, szczególnie winna odczuwać potrzebę jakiegoś kolektywnego warsztatu, jakiejś szlifierni precyzyjnych narzędzi, kuźni ścierających się pojęć, mierników i sądów. Powołując do życia sekcje, Zarząd Główny uznał za najwłaściwszy ich odpowiednik dla kolegów-krytyków formę komisji — komisji krytyki. Podobnie jak sekcje, miała ona opracować dla siebie zakres, metodę i plan działalności. Nie będę tutaj streszczał krótkich, ale bądź co bądź prawie trzyletnich dziejów tej komisji, złożonej z czołowych naszych krytyków. Cóż bowiem można streszczać, jeżeli była ona przez cały czas fikcją, nie przejawiła żadnej widocznej działalności, a swoje formalne istnienie zaznaczyła bodaj tylko w uchwałach Zarządu Głównego — w dwóch mianowicie uchwałach: powołującej i likwidującej.

Warto się nad tym zastanowić. Myślę, że w naszej dyskusji zjazdowej sporo uwagi poświęcić musimy faktowi, że nasi krytycy, którzy powinni stanowić najbardziej bojowy, szermierczy kolektyw w społeczności związkowej, nie zdołali w ciągu czterech lat ubiegłych stworzyć dla siebie żadnej formy zespołowej pracy. Nie tłumaczy ich bynajmniej to, że indywidualnie zdarzało się im uczestniczyć w pracach istniejących sekcji: prozy, dramatu, poezji czy innych. Byli-

by tam na pewno bardziej pożyteczni, gdyby ponadto we własnym gronie pracowali nad swoimi warsztatowymi chociażby problemami (a pamiętajmy, że problemy warsztatowe krytyka, to w większym jeszcze stopniu niż w warsztatach „twórczych" — problemy ideologii).

Jak w ogólnym bilansie można ocenić dotychczasowe doświadczenia z działalności sekcji związkowych — i jakie wyciągnąć z tych doświadczeń wnioski na przyszłość? Myślę, że w pracy sekcyjnej powinniśmy nadal widzieć główny nurt życia związkowego, właściwe ogniwa formowania się opinii owego poczucia kolektywnej odpowiedzialności, o którym mówił Gorki — wspólnej naszej odpowiedzialności za losy polskiej literatury współczesnej, jej całości i jej poszczególnych dziedzin. Zachwiana w ostatnim roku systematyczność i frekwencja zebrań sekcyjnych winna być przywrócona i należycie przestrzegana, jak tego słusznie domagano się na ostatnim przedzjazdowym zebraniu sekcji literatury młodzieżowej i dziecięcej. Oczywiście, frekwencję trudno było i trudno będzie zabezpieczyć tylko mechanicznym stosowaniem przepisów regulaminowych. Ale trudno nam też już dzisiaj wyobrazić sobie Związek bez sekcji, dawną bezpostaciowość środowiska związkowego, dawne wyłącznie niemal kawiarniane formowanie się opinii literackiej — i to jest na pewno cenne osiągnięcie ubiegłego czterolecia. Rzecz jednak w tym, aby sekcyjne ogniwa Związku ożywić, rozwinąć i wzbogacić formy sekcyjnej pracy, a przede wszystkim w większym niż dotąd stopniu związać ją z konkretnymi zjawiskami bieżącej twórczości, z praktyką warsztatów pisarskich, z indywidualnymi poszukiwaniami i wątpliwościami.

Niedostatki pracy sekcyjnej w pewnym stopniu korygowane były przez dość szeroką w omawianym okresie akcję spotkań pisarzy z czytelnikami, prowadzoną zarówno przez Komisję Imprezową przy Zarządzie Głównym, jak i przez poszczególne Oddziały Związku. Rozmiary tej akcji wzrastały z roku na rok, dochodząc w roku 1953 do liczby przeszło 5.000 spotkań. W całym okresie sprawozdawczym było ich blisko 16.000. Do tego dodać należy niemałą liczbę dyskusji z pisarzami, organizowanych przez różne instytucje bez pośrednictwa Związku.

Lecz zestawienia statystyczne są w tym wypadku mniej ważne. Wielkie znaczenie akcji, o której mowa, polega na żywym obcowaniu pisarzy z masowym odbiorcą literatury, z jej bezimiennym adresatem. W dyskusjach i pogawędkach z czytelnikami i widzami teatralnymi częściej niż na sekcjach lub w prasie mogli pisarze słyszeć szczere, zawsze niemal z wewnętrznego przekonania płynące osądy ich pracy, uczyć się rozumieć własne błędy lub czerpać wiarę we własne siły, a przede wszystkim uświadamiać sobie ogrom odpowiedzialności ciążącej na pracy pisarza.

Ważne jest również to, że akcja spotkań literackich obejmowała, choć niejednolicie, teren całego kraju, a przede wszystkim Ziemie Zachodnie, zwłaszcza obszary z tzw. ludnością autochtoniczną (Mazury, Opolszczyzna). Doświadczenie wykazało, że rola pisarza na tych terenach, dotąd kulturalnie zaniedbanych, może być szczególnie pożyteczna, aktywizująca społecznie i narodowo.

Przechodzę do drugiego, bardzo ważnego zakresu działalności i zadań Związku — do zagadnienia pracy z młodzieżą literacką. Sprawa ta istnieje dla nas w dwóch

aspektach: w jednym dotyczy samych szeregów związkowych, w drugim — tzw. Kół Młodych, istniejących przy Oddziałach Związku. W pierwszym wypadku jest to zagadnienie młodej kadry pisarskiej, aktywnej twórczo i legitymującej się pierwszymi samodzielnie opublikowanymi pracami oraz członkowską lub kandydacką przynależnością do ZLP. W drugim — chodzi o ujawniającą skłonności literackie, najmłodszą, przeważnie studencką młodzież, z której mogą się rekrutować przyszli pisarze. W obu wypadkach zadaniem Związku jest ułatwianie rozwoju, pomoc dojrzałych i doświadczonych pisarzy dla potencjalnych lub już widocznych wyraźniej talentów. W obu wypadkach chodzi przecież o rzecz najwyższej doniosłości: o przyszłość naszej literatury. Jak Związek wywiązywał się z tego zadania?

Niewątpliwie, możliwości startu literackiego są dzisiaj w Polsce Ludowej o wiele szersze, niż były u nas kiedykolwiek. Wystarczy wskazać, że liczba pisarzy, którzy zostali przyjęci do ZLP w ciągu dziewięciu lat powojennych, czyli w olbrzymiej większości zadebiutowali w tym okresie, wynosi około 550 osób, to znaczy niemal dokładnie tyle, ile liczyło całe pisarstwo polskie zrzeszone w przedwojennym Związku. Nie ma w tym nic dziwnego, jeśli się zważy, jak bardzo rozszerzyła się w państwie ludowym baza rekrutacyjna inteligencji, jak wydatnie rozbudowało się nasze szkolnictwo wszystkich szczebli, z jakim rozmachem rozwija się upowszechnianie kultury, jak potężnie wzrosły nakłady książek i czasopism, jak szczerze życzliwy jest stosunek władzy ludowej do potrzeb kulturalnego budownictwa.

Jeśli weźmiemy pod uwagę, że wśród dzisiejszych 710 członków Związku (łącznie z kandydatami) znajduje się tylko 194 pisarzy ze „stażem" przedwojennym, czyli niewiele ponad 25% — trudno nie widzieć, że świat pisarstwa polskiego uległ w ciągu ostatnich paru lat niezwykle gwałtownemu odmłodzeniu. Mamy więc do czynienia z sytuacją z punktu widzenia prawidłowości rozwojowej raczej anormalną. Gdzie jak gdzie bowiem, ale w dziedzinie twórczości kulturalnej, wymagającej dłuższych niż gdziekolwiek procesów krystalizacyjnych, stosunkowo powolnego narastania sumy doświadczeń, dojrzewania wiedzy o życiu i umiejętności kształtowania tworzywa — tak gwałtowne przemiany w stosunkach ilościowych muszą pociągać za sobą okresy specyficznych trudności rozwoju. Jest to dość oczywiste w okresie, jak nasz, przełomowym, ale jeśli dodamy jeszcze, że z anormalnie szczupłej w stosunku do całości naszego środowiska kadry dojrzałych i doświadczonych pisarzy „przedwojennych" znaczną część stanowią tacy, którzy sami w ciągu ubiegłych lat, często nie bez oporów i wahań, odbywali swoją własną obywatelską i pisarską drogę do rzeczywistości Polski Ludowej — zrozumiemy już w całej pełni trudności, jakimi najeżona była w tym okresie nasza praca związkowa z młodzieżą literacką. Zrozumiemy, dlaczego głównym brakiem działalności naszych sekcji był brak konkretnej pomocy starszych, dojrzałych pisarzy — dla ich młodszych, mniej doświadczonych kolegów.

Młode i najmłodsze pokolenie literackie weszło szeroką falą do naszej literatury — szeroką jak jeszcze nigdy — w okresie zaczynającego się w niej przełomu ideologicznego, tematycznego, estetycznego. Co więcej, to właśnie ono musiało stać się w głównej mierze sprawcą tego przełomu — dokonać go, ugruntować i rozwijać. I rzeczywiście, to niemal wyłącznie oni, pisarze z pokolenia Brauna i Konwickiego, Zalew-

skiego i Ścibora-Rylskiego, dali nam pierwsze, pionierskie próby pisarskiego przebijania się do węzłowych spraw nowego życia, do gorącej i trudnej tematyki socjalistycznego budownictwa, dość nieszczęśliwie nazywanej tematyką „produkcyjną".

Powiedzmy sobie szczerze: to również oni wystawieni byli najbardziej na niebezpieczeństwa, wynikające z błędów realizacyjnych naszej polityki kulturalnej: najdotkliwiej odczuwali zły styl pracy redakcji wydawniczych i prasowych, najbardziej nadstawiali skórę pod tępe narzędzia schematycznej, „wszystkoidalnej" krytyki. Przy masowości ich startów literackich obserwowaliśmy w rezultacie nierzadkie zjawiska przedwczesnego zawodowstwa, nieoględną czasem eksploatację nieokrzepłych jeszcze sił i umiejętności twórczych, opartą na powierzchownej obserwacji życia, nie pogłębionej poważną pracą myślową i osobistym nurtem uczuciowym.

Sądzę, że ulepszenie metod działania naszej polityki kulturalnej na odcinku twórczości może i powinno nam przynieść istotną poprawę sytuacji na tym odcinku życia związkowego. Wśród starszych, doświadczonych pisarzy należy wzmocnić, w pewnych wypadkach wręcz odbudować, przekonanie, że ich dojrzała umiejętność i wiedza o życiu, choć nabyte w innej zupełnie epoce, mają pełne możliwości twórczego udziału w budownictwie kulturalnym Polski Ludowej; młodzież pisarska z drugiej strony musi zrozumieć, że droga jej rozwoju może piąć się w górę jedynie poprzez trudności, poprzez stawianie sobie zadań najambitniejszych, poprzez usilne zdobywanie głębokiej, nie powierzchownej wiedzy o życiu, o człowieku, poprzez ciągły wzrost poczucia samodzielności i odpowiedzialności własnej za każdy akt twórczy. Tylko wówczas jedni i drudzy będą mogli spotkać się ze sobą w codziennej pracy, w płodnej wymianie poszukiwań i doświadczeń, w walce o jedną w swej istocie, choć wielostronną w obrazach, wspólną przy całym bogactwie form wielką sprawę — literatury polskiej w epoce socjalistycznego budownictwa.

Nieco odrębnym zagadnieniem jest zagadnienie Kół Młodych. Działając pod opieką poszczególnych Oddziałów Związku, pod ogólnym kierownictwem Komisji Młodzieżowej przy Zarządzie Głównym, skupiają one obecnie blisko 200 członków, z których jednak zaledwie 12 — 15 dojrzewa do debiutów książkowych, rokujących pewne nadzieje. W niektórych środowiskach, zwłaszcza w krakowskim, dobra opieka miejscowego Oddziału wydobyła z Kół Młodych w omawianym okresie sporą liczbę (łącznie ponad czterdziestu) aktywnych już dzisiaj, prawdziwie uzdolnionych i szybko rozwijających się najmłodszych naszych pisarzy i krytyków, będących już członkami Związku. Ogólna jednak suma doświadczeń wskazuje na konieczność zrewidowania dotychczasowej formy organizacyjnej Kół Młodych. Szczęśliwszą będzie może luźniejsza forma „klubów dyskusyjnych", pozwoliłaby ona na bardziej naturalny dobór uczestników, mniej liczny, ale i mniej przypadkowy niż dotąd, pozwoliłaby na pracę bardziej skupioną, a przede wszystkim zmniejszyłaby możliwości rozbudzania niewczesnych aspiracji bez pokrycia, zabłąkań i rozczarowań.

Trzecią z kolei ważną sprawą naszego środowiska są zagadnienia czasopism związkowych, czyli p r a s y l i t e r a c k i e j. Reprezentują ją, jak wiadomo, dwa pisma centralne: tygodnik Nowa Kultura i miesięcznik Twórczość oraz krakowskie Życie Literackie, lubelska Kamena i kwartalnik Śląsk Literacki.

Teoretycznie w zakresie działań Za-

rządu Głównego znajdują się oba organy warszawskie. Mówię: teoretycznie, ponieważ trzeba tu stwierdzić od razu, że Zarząd Główny w omawianym okresie nie spełniał należycie swoich zadań w stosunku do tych czasopism. Poza sporadycznymi ingerencjami ograniczaliśmy się do organizowania od czasu do czasu dyskusji krytycznych, poświęconych bądź Twórczości, bądź Nowej Kulturze. Pisma te, zwłaszcza Twórczość, rzeczywiście nie są zadowalające, nie odgrywają jeszcze roli, jaką odgrywać powinny w naszym życiu społecznym i literackim, chociaż wyraźnie rosnący ostatnio realny nakład Nowej Kultury sygnalizuje pewną w tej mierze poprawę. Można to chyba przypisać cennej inicjatywie ankiety P i s a r z e w o b e c d z i e s i ę c i o l e c i a — cennej zwłaszcza w okresie przedzjazdowym. Niemniej brak jeszcze obu pismom bojowości ideologicznej, która powinna się objawiać zwłaszcza w dużych formach krytyki i publicystyki literackiej, brak chęci do angażowania się w szersze dyskusje programowe na podobieństwo wielkich dyskusji radzieckich. Odnosi się wrażenie, jakby nadmierna rozbudowa zespołów redakcyjnych doprowadziła do pewnego rodzaju parcelacji ich pracy na szereg luźno powiązanych działów, nad którymi nie czuje się indywidualności i scalającej ręki kierowniczej. Twórczość oryginalna: proza, wiersze, dramaturgia, zbyt często dostaje się na łamy obu pism na zasadzie redakcyjnej skrzynki pocztowej. Wszystko to, łącznie z wyraźnym zaniedbaniem działu recenzyjnego w obu pismach, dobrze jest Kolegom znane i dyskusja zjazdowa powinna dużo uwagi poświęcić propozycjom gruntownej zmiany tego stanu rzeczy. Myślę, że przyszły Zarząd Główny będzie musiał zdobyć się na więcej energii w stosunku do obu naszych pism centralnych. Nie chodzi oczywiście o to, aby miał je bezpośrednio redagować, ale głębszy i bardziej systematyczny wgląd w pracę obu redakcji na pewno będzie konieczny.

Jedną jeszcze sprawę wypada tu poruszyć w związku z Twórczością i Nową Kulturą. Jest rzeczą wręcz zdumiewającą, jak mało te dwa główne nasze czasopisma literackie poświęcały uwagi problemom naszej dramaturgii. Jak gdyby nie była ona pełnoprawną, bardzo ważną i niezwykle trudną dziedziną twórczości literackiej! Jest rzeczą wręcz bez precedensu, że Nowa Kultura, tygodniowe pismo literackie, od długiego już czasu przestała niemal zupełnie zamieszczać nawet zwykłe recenzje teatralne z bieżących premier nowych polskich sztuk! Jeśli zdarzyły się wyjątki, to one tylko potwierdzały tę zupełnie niepojętą regułę. Ten stan rzeczy nie może być tolerowany. Scenopisarstwo musi odzyskać pełnię swych praw w głównych organach prasowych polskiego pisarstwa. Problemy dramaturgii należą dzisiaj do węzłowych zagadnień naszej literatury, podobnie jak w Związku Radzieckim i wszystkich krajach demokracji ludowej.

Co do pozawarszawskich czasopism związkowych, środowiska krakowskie i stalinogrodzkie potrafiły nadać swojemu organowi, Życiu Literackiemu, charakter pisma ogólnokrajowego, odgrywającego pewną rolę w formowaniu się szerszej opinii o zjawiskach literackich. Również kwartalnik śląski wydaje się imprezą celową z punktu widzenia potrzeb kulturalnych swojego terenu. Wątpliwości budzi natomiast sprawa Kameny, której dalsze istnienie na dotychczasowych zasadach nie wydaje się uzasadnione. Szczupłe środowisko lubelskie nie bardzo jest w stanie zapewnić temu pismu oparcia redakcyjnego, a wąsko-literacki charakter dotychczasowych numerów Kameny nie mógł jej

stworzyć szerszego zaplecza czytelniczego.

Sprawa Kameny nasuwa jednak na myśl pewne znacznie szersze i bardzo ważne zagadnienie, które pragnę z kolei omówić. Chodzi o geografię naszego życia literackiego. Ubiegłe cztery lata przyniosły w niej uderzające i wysoce niepomyślne zmiany. Znakomita większość naszego środowiska pisarskiego (blisko 60% członków Związku) skoncentrowała się obecnie w stolicy. Z pozostałych większych miast jedynie Kraków posiada dość silny, aktywny ośrodek literacki. Na dalszych jednak osiem Oddziałów Związku przypada zaledwie 226 członków, z czego blisko połowę stanowią kandydaci.

Taki stan rzeczy uznać musimy za bardzo niezadowalający, nie tylko z kulturalnego, ale i z ogólnospołecznego, a nawet politycznego punktu widzenia. Nie trzeba uzasadniać, że prawidłowe życie narodu wymaga bardziej równomiernego nasycenia obszaru kraju ośrodkami kulturalnego promieniowania. Żywe skupiska literackie mają w tym względzie bardzo doniosłe znaczenie. Otóż z tą prawidłowością mapy literackiej jest dziś o wiele gorzej niż było 4—5 lat temu. Tu, na tej sali, możemy sobie powiedzieć, że niepokojące jest doszczętne już niemal ogołocenie z pisarzy naszych Ziem Zachodnich i ich głównych miast: Szczecina, Wrocławia, Gdańska.

Zjawisko jest tym bardziej niepokojące, że żywiołowa dążność pisarzy pozawarszawskich do osiedlania się w stolicy trwa w dalszym ciągu, a nawet ze zrozumiałych względów musi się jeszcze nasilać. Znaczna większość Oddziałów Związku dotknięta jest bowiem pogłębiającym się marazmem, od którego ucieka kto może.

Przyczyny tego bardzo niepomyślnego zjawiska są dość proste. Główną z nich jest niemal całkowita centralizacja naszych placówek wydawniczych, czasopiśmiennictwa kulturalnego i innych, związanych z literaturą, skoncentrowanie ich w stolicy. W zasadzie jest to konieczne, ale czy aż do tego stopnia? Pewnym szczęśliwym wyłomem stało się niedawno utworzenie dobrze rozwijającej się instytucji wydawniczej w zakresie literatury pięknej na terenie Krakowa. Wydaje się, że w tym kierunku nasza polityka kulturalna ma jeszcze niejedno do zrobienia.

Pragnę tu stwierdzić, że Zarząd Główny Związku nie sprzyjał i nie pomagał zjawisku, o którym mowa, ale też i nie przeciwdziałał mu z dostateczną energią, nie wysuwał przed kierownictwem polityki kulturalnej konkretnych propozycji, zmierzających do zahamowania tak jednostronnej migracji w środowisku literackim. Nie pomogą tu oczywiście żadne środki administracyjne. Rozwiązania szukać należy w uatrakcyjnieniu dla pisarzy wszystkich ważniejszych miast kraju, zwłaszcza na Ziemiach Zachodnich, przez tworzenie w nich — w granicach możliwości gospodarczych i organizacyjnych — bądź samodzielnych placówek wydawniczych, bądź filialnych odgałęzień wielkich instytucji centralnych oraz czasopism regionalnych, opartych o realne potrzeby terenu, które dziś jeszcze na pewno dalekie są od należytego zaspokajania. Polepszyłoby to pisarzom pozawarszawskim ich — opłakane dzisiaj — warunki zarówno egzystencji materialnej, jak i aktywności twórczej, publicystycznej i wszelkiej innej w ramach ich zawodu. Pamiętajmy, że jednym z wielkich celów budowania socjalizmu jest usuwanie jaskrawych dotąd kontrastów cywilizacyjnych i kulturalnych między poszczególnymi obszarami kraju, możliwie równomierne nasycanie i podnoszenie poziomu ich życia w każdej dziedzinie. Białych plam nie może być

również na literackiej mapie Polski Ludowej.

Z tego punktu widzenia należy także patrzeć na sprawę struktury członkowskiej naszego Związku. Jak Kolegom wiadomo, przeprowadzamy od pewnego czasu dość szeroką akcję weryfikacyjną. Chcemy, ażeby Związek był organizacją skupiającą aktywnych pisarzy, dlatego statut nasz przewiduje możliwość skreślania członków nie wykazujących żadnej działalności literackiej przez okres dłuższy niż pięć lat. Oczywiście, postanowienia tego nie stosujemy mechanicznie. Rzeczą istotną jest to, aby prężność naszego środowiska nie była hamowana przez sporą dotąd liczbę jednostek przypadkowych, literacko od długich nieraz lat zupełnie bezczynnych, a zainteresowanych jedynie w pewnych, niewielkich zresztą w tej chwili, korzyściach i przywilejach, jakie płyną z formalnej przynależności do Związku.

Otóż akcje weryfikacyjne, zarówno obecna, jak i te, które będziemy podejmowali w przyszłości, powinny się posługiwać pewnym zróżnicowaniem ostrości kryteriów w stosunku do poszczególnych środowisk związkowych. Muszą one być znacznie ostrzejsze w Warszawie, bardziej elastyczne w pozostałych ośrodkach kraju. Krótko mówiąc, muszą one być instrumentem, regulującym strukturę członkowską Związku w sposób najbardziej prawidłowy i celowy z każdego zasługującego na uwagę punktu widzenia.

Jako dobry przykład w tym kierunku przytoczę fakt, że w ramach naszej akcji tzw. opolsko-mazurskiej przyjęliśmy do Związku grupę ludowych pisarzy z Warmii i Mazur. Chociaż działalność ich nie ma na ogół cech literackiego zawodowstwa, spełniają oni przecież na swoim trudnym terenie dość aktywną i bardzo pożyteczną rolę społeczno-kulturalną.

Przejdę z kolei do omówienia tych zagadnień, które potocznie nazywamy „bytowymi", czyli tych, od których zależą warunki egzystencji pisarzy, materialne warunki ich działalności twórczej. W jaki sposób Związek, a w szczególności jego kierownictwo, wpływały w omawianym okresie na kształtowanie się tych warunków?

Wszyscy chyba zgodzimy się z założeniem, że podstawą materialnej egzystencji pisarza powinna być jego praca twórcza. W przedwojennej burżuazyjnej Polsce było to osiągalne tylko dla nielicznych. Czy dzisiaj, w naszych warunkach ustrojowych zasada taka może być szerzej realizowana?

Na pewno tak. Stwarza do tego podstawy nasza rewolucja kulturalna, ogromne i wciąż postępujące rozszerzenie masy czytelniczej, stały wzrost sieci i frekwencji teatralnej, rozwój produkcji filmowej itd. Za prawidłową dla naszego ustroju należy uznać zasadę, że pisarz utalentowany i aktywny, młodszy czy starszy, mniej więcej systematycznie pracujący, zwłaszcza prozaik czy dramaturg — może opierać swą egzystencję na pracy wyłącznie literackiej i stale warunki tej egzystencji polepszać w miarę pomnażanego dorobku twórczego.

Nieco inna jest sytuacja poetów. Trudno jednak wyobrazić sobie poetę, który by poprzestawał tylko na pisaniu wierszy. W Polsce wczorajszej młodzi poeci często nawet dopłacali do swoich tomików, a nasz wielki kolega, Leopold Staff, poeta z ogromnym dorobkiem twórczym, dużo sił tracił na pracę przekładową. Faktem jest, że i dzisiaj większość naszych poetów uprawia również inne gatunki literackie: essay, satyrę, krytykę i publicystykę, a nawet prozę powieściową i dramat. Nie sądzę, aby mieli traktować to jako pracę drugorzędną.

Trzeba tu jednak stwierdzić otwar-

cie, że większość członków naszego Związku nie przejawia dostatecznej aktywności twórczej albo przejawia ją w pracach nie przedstawiających znaczniejszej wartości. Wielu jest również takich, którzy działalność pisarską uprawiają raczej marginesowo, często na pograniczu dziennikarstwa. Jest rzeczą jasną, że tym mało i bardzo mało aktywnym pióro nie może zapewnić egzystencji, z reguły opierają się oni na innych źródłach utrzymania, dobrze, jeżeli choć częściowo związanych z literaturą.

Trudno zamykać oczy na fakt, że w naszym środowisku związkowym istnieje znaczne, bodaj większe niż w innych zawodach, zróżnicowanie indywidualnych sytuacji „bytowych". Obiektywnie rzecz biorąc nie może być inaczej w środowisku, w którym o losie materialnym i społecznym jednostki decydują elementy duchowe najbardziej niewymierne i nieporównywalne, jak najmniej nadające się do normatywnego ujmowania. Stwarza to w rezultacie pewną sytuację psychologiczną w życiu związkowym, której trudno nie brać pod uwagę, ale której usunięcie jest z zasadniczych względów niemożliwe. Gorzej, że na tym tle powstają fałszywe legendy, mówiące o rzekomo dobrej sytuacji materialnej o g ó ł u pisarzy.

W tych warunkach dążeniem kierownictwa związkowego może być głównie troska o to, ażeby wszelka ambitniejsza, zwłaszcza długofalowa, społecznie i artystycznie wartościowa aktywność twórcza była — trywialnie mówiąc — „opłacalna": t.zn. (mniej trywialnie) ażeby pozwalała pisarzowi jak najbardziej koncentrować się na jego zasadniczej pracy, bez konieczności rozpraszania się na inne (z wyjątkiem obowiązków społecznych) zarobkowe zajęcia.

Dla zapewnienia takich warunków najważniejsze znaczenie posiada tzw. k o n w e n c j a w y d a w n i c z a, określająca stawki honorariów autorskich we wszystkich dziedzinach twórczości literackiej, publikowanej drukiem — z wyjątkiem prasy codziennej i periodycznej. Jak wiadomo, trzy lata temu uległa u nas zmianie sama zasada honoracji pisarskich w wydawnictwach, z systemu procentowego przeszliśmy na arkuszowo-ryczałtowy. Zarówno sama zasada, jak i ustalone stawki przyniosły wówczas dość poważne polepszenie sytuacji autorów w dziedzinie prozy i poezji, znaczne natomiast pogorszenie sytuacji tłumaczy. Za taką właśnie regulacją, ustalającą właściwszy niż przedtem stosunek między twórczością oryginalną a pracą przekładową, przemawiały argumenty bezspornie słuszne z punktu widzenia polityki kulturalnej, niewątpliwie jednak w tym słusznym kierunku poszliśmy trochę za daleko, wynagrodzenia tłumaczy spadły niemal już do granicy nieopłacalności, co w żadnym wypadku nie może leżeć w interesie naszej kultury literackiej i produkcji wydawniczej.

Ubiegłe trzy lata dały nam możność wypróbowania nowej konwencji w zastosowaniu jej do życia. Zasady na ogół zdały egzamin, z wyjątkiem niektórych, o podrzędnym raczej znaczeniu. Inaczej rozwinęła się sprawa stawek. Zwłaszcza po znanych uchwałach naszego Rządu z dnia 3 stycznia 1953, nie obejmujących zupełnie tej kategorii ludzi pracy, do której my należymy, sytuacja zarobkowa pisarzy uległa poważnemu pogorszeniu we wszystkich dziedzinach. Dla przykładu: dochód pisarza za duży tom prozy, wymagający półtora do dwóch lat pracy (łącznie ze studiami materiału, korektami etc), przy zastosowaniu n a j w y ż s z e j stawki wynosi, średnio licząc, od 1200 do 1600 zł miesięcznie.

Sytuacja polepsza się dopiero wówczas, gdy książka uzyskuje następne

wydania, nie są to jednak wypadki typowe.

Przed kierownictwem Związku stanęło więc zadanie podjęcia starań o rewizję stawek konwencyjnych, zwłaszcza w dziedzinie prozy i przekładów.

Pragnę zakomunikować Zjazdowi, że starania te spotkały się ze zrozumieniem kierownictwa naszej polityki kulturalnej, które uznało zasadniczą słuszność i konieczność podwyższenia obowiązujących dotąd stawek konwencji wydawniczej, a w części dotyczącej tłumaczeń — również niektórych jej zasad. Jak wiadomo jednak, konwencja ta obejmuje normy honoracyjne nie tylko w dziedzinie literatury pięknej, lecz również w dziedzinie publikacji naukowych, technicznych i popularyzatorskich. Sprawy te muszą być traktowane łącznie. Obecnie projekt nowej konwencji, opracowany już przez CUW w zakresie literatury pięknej, omawiany jest z instytucjami zainteresowanymi w zakresie wszelkich innych nieliterackich publikacji. Należy się spodziewać, że pełny projekt wejdzie w najbliższym czasie pod obrady Prezydium Rządu i stanie się przedmiotem jego uchwały, oczekiwanej z dużą nadzieją przez wszystkich ludzi pióra w Polsce, jak również — co trzeba tu podkreślić — przez nasze wydawnictwa.

Oprócz tej dla warunków egzystencji i pracy pisarzy zasadniczej sprawy Zarząd Główny usilnie troszczył się w ubiegłym czteroleciu o rozwiązanie niezwykle doniosłego zagadnienia lecznictwa dla literatów, zwłaszcza tych, którzy — nie będąc „etatowymi" pracownikami w takich czy innych instytucjach — nie byli objęci istniejącym w Polsce systemem ubezpieczeń społecznych. Sprawę tę, dzięki życzliwości Rządu, udało się pomyślnie rozwiązać. Jak Kolegom wiadomo, zarządzeniem Ministra Zdrowia z dnia 29.IX.1952 członkowie Związku Literatów Polskich objęci zostali świadczeniami ZLP, t.zn. Zakładu Lecznictwa Pracowniczego, w zakresie, w jakim korzystają z nich wszyscy ubezpieczeni ludzie pracy. Dotyczy to również ich rodzin. W ten sposó państwo ludowe spełniło słuszny postulat, którego realizacji pisarze polscy bezskutecznie domagali się w ciągu 20 lat rządów burżuazyjnych.

Nierozwiązana w sposób równie zasadniczy pozostaje natomiast nadal sprawa zabezpieczenia materialnego pisarzy na starość oraz w wypadku dłuższej choroby czy niezdolności do pracy. Zagadnienie to w sposób niedostateczny i raczej prowizoryczny rozwiązuje na razie Ministerstwo Kultury, dysponujące pewnym funduszem na cele emerytalno-zasiłkowe dla starców lub pozostałych po nich rodzin, przy czym Związek ma zapewniony wpływ na przyznawanie tego rodzaju zaopatrzeń. Nowy Zarząd Główny będzie musiał kontynuować starania o bardziej pryncypialne, o ile możności ustawowe, uregulowanie również i tej sprawy. Nie wymaga ona przecież znaczniejszych środków finansowych, a dla środowisk twórczych posiada niemałe znaczenie społeczno-moralne.

Pragnę część sprawozdawczą tego referatu zakończyć omówieniem pewnej ważnej sprawy organizacyjnej. Jak Kolegom wiadomo, obecny nasz statut przewiduje w składzie Zarządu Głównego stanowisko sekretarza generalnego. Z natury rzeczy i zgodnie z przyjętymi zwyczajami ma on operatywnie czuwać nad tokiem pracy Zarządu oraz koordynować działania wszystkich komórek i organów Związku. Z chwilą kiedy kol. Putrament, jako wybrany na poprzednim Zjeździe sekretarz general-

ny, ze względu na swe zamierzenia twórcze wycofał się z aktywnej pracy na tym stanowisku, Zarząd Główny powołał do życia sekretariat zespołowy, złożony z kolegów, kierujących poszczególnymi dziedzinami pracy związkowej — od sekcji twórczych, aż do spraw gospodarczo-administracyjnych.

Zespół ten, pod przewodnictwem prezesa lub jednego z wiceprezesów, zbierał się dość regularnie co tydzień, omawiał i decydował wszystkie bieżące sprawy ogólniejszego znaczenia lub też ważniejsze z nich przygotowywał dla obrad Zarządu Głównego w pełnym składzie. Praktycznie biorąc był operatywnym organem Zarządu, trzonem jego pracy kierowniczej.

Doświadczenie to przyniosło na ogół dobre rezultaty, jeszcze raz potwierdziło korzyści kolektywnego stylu pracy, większą dojrzałość zbiorowo omawianych i podejmowanych decyzji. Pewnym niedomaganiem działalności sekretariatu było jednak niewątpliwie nadmierne poświęcanie uwagi sprawom niekiedy podrzędnym, niedostateczna koncentracja na bardziej zasadniczych. czy to w sensie ideologicznym, czy organizacyjnym. W pewnym stopniu dotyczy to zresztą również Zarządu Głównego jako całości.

W oparciu o blisko dwuletnie doświadczenie pracy zespołowego sekretariatu ustępujący dziś Zarząd Główny postanowił przedstawić Zjazdowi odpowiednie propozycje zmian w naszym statucie. Zgodnie z przyjętym porządkiem dziennym Zjazdu, propozycje te zreferuje szczegółowo w trzecim dniu obrad kol. St. R. Dobrowolski.

Co do innych spraw organizacyjnych, objętych działalnością poszczególnych komisji Zarządu Głównego, przedstawi je Zjazdowi kol Maliszewski w uzupełniającym mój referat sprawozdaniu sekretariatu.

Koledzy Delegaci! Zgodnie ze sprawozdawczym charakterem mojego referatu starałem się przedstawić w nim obraz działalności naszej organizacji związkowej w ubiegłym czteroleciu, w najistotniejszych tej działalności dziedzinach. Na pewno nie wyczerpałem wszystkich zjawisk, zagadnień i trosk, z jakimi mieliśmy do czynienia, niejedna także z omówionych spraw wymagałaby szerszego rozwinięcia. Myślę, że zrobimy to jeszcze w toku dyskusji zjazdowej.

Wraz z kolegami z Zarządu Głównego uważałem za konieczne omówienie w moim sprawozdaniu tych przede wszystkim elementów działalności związkowej, które wiążą się z zasadniczą rolą Związku jako ogniwa naszej polityki kulturalnej. Jest to szczególnie konieczne ze względu na moment, w jakim odbywa się nasz Zjazd. Od szeregu tygodni, a mianowicie od ostatniej, XI-tej Sesji Rady Kultury i Sztuki, nasze środowiska twórcze przeżywają okres dużego podniecenia, nie pozbawionego również cech pewnego zamętu. A przecież w istocie rzeczy mamy dziś do czynienia z czymś całkiem jasnym i prostym: z poważną próbą rewizji dotychczasowych metod naszej walki o realizm socjalistyczny, o nową, związaną z życiem narodu twórczość, o ideowy i artystyczny przełom w naszej literaturze i sztuce.

Konieczność takiej rewizji dojrzewała już od dłuższego czasu. Ale szeroką podstawę dla podjęcia jej stworzył dopiero historyczny II Zjazd naszej Partii. W ogniu śmiałej, szczerej krytyki i samokrytyki dokonał on wielkiego obrachunku osiągnięć i niedostatków pierwszego okresu budownictwa socjalistycznego w naszym kraju. Stwierdzając

słuszną drogę naszego rozwoju i odniesione na tej drodze zasadnicze, decydujące zwycięstwa, wskazał on również na opóźnienia i niedomagania w niektórych dziedzinach gospodarki narodowej, szczególnie ważnych dla podnoszenia dobrobytu i kultury naszego społeczeństwa oraz zanalizował przyczyny tych niedomagań i opóźnień. Tym samym wskazał środki dla ich przezwyciężenia, konkretne sposoby podniesienia na wyższy poziom metod pracy i walki narodu i Partii na dalszej drodze do Polski socjalistycznej.

I w tym właśnie dorobku II Zjazdu mieszczą się wszystkie niezbędne przesłanki dla wzbogacenia i udoskonalenia metod pracy również na odcinku wytwórczości kulturalnej. Kwietniowa Sesja Rady Kultury była pierwszą próbą przełożenia wskazań II Zjazdu na język konkretnych zagadnień w dziedzinie przez tę Radę reprezentowanej.

Jak wiemy, próba ta w znacznej mierze spełniła swoje zadanie. W znacznej mierze, to znaczy — niezupełnie. Było zresztą do przewidzenia, że taka próba wywoła szereg nieporozumień, wzbudzi fałszywe wyobrażenia i wnioski. Tak się w istocie stało. Fałszywym wnioskiem było przede wszystkim utożsamienie krytyki dotychczasowych metod naszej walki o realizm socjalistyczny — z możliwością wyrzeczenia się tej walki w ogóle, z możliwością powrotu na pozycje bezideowości i sobiepańskiego eklektyzmu w literaturze i sztuce. W tym, co ma przynieść podniesienie, ulepszenie naszej pracy zbiorowej i indywidualnej, niektórzy dopatrzyli się rzekomego odwrotu od wyznaczonych nam przez rozwój historyczny wielkich, dlatego właśnie z trudem osiągalnych celów.

Myślę, że jeśli my, pisarze, mamy prawo uważać się za przodujący oddział naszego frontu kulturalnego, to jest zadaniem tego Zjazdu wyjaśnić nieporozumienia, sprostować fałszywe wnioski.

Walka o realizm socjalistyczny była, jest i pozostaje nadal głównym łożyskiem naszego życia literackiego oraz najważniejszą wytyczną działalności Związku. W realizmie socjalistycznym uznajemy trudną, ale owocną metodę literackiego widzenia i odtwarzania rzeczywistości w jej rozwoju, metodę, która pozwala pisarzowi tworzyć zarówno pełne, wszechstronne obrazy życia, jak i w najmniejszych jego odcinkach ukazywać istotę zachodzących przemian. W realizmie socjalistycznym wypowiadać się może zarówno dążenie twórcy do szerokich uogólnień, jak i tęsknota do utrwalenia jednorazowej, niepowtarzalnej chwili. Realizm socjalistyczny — to osobista prawda twórcy o życiu, tak odkryta i tak wyrażona, że spostrzegamy w niej jakąś prawdę obiektywną, społecznie ważną i artystycznie przejmującą — prawdę pomagającą postępowi, rozwojowi życia.

Walkę o realizm socjalistyczny chcemy prowadzić szerokim, możliwie najszerszym frontem. Na linii tego frontu widzimy miejsce dla każdego twórczego nowatorstwa, dla każdej indywidualnej wrażliwości i każdej odkrywczej prawdy — jeżeli tylko są one przydatne życiu, jeżeli mogą wzbogacać świadomość i wyobraźnię narodu, pomnażać jego energię, ulepszać i uszlachetniać jego dążenia.

Ale — jeżeli walka, to nie tylko „o coś", to także „przeciwko czemuś". Chcemy walczyć przeciwko bezideowości w literaturze i przeciw ideologii wstecznej, schyłkowej, wrogiej naszemu życiu, przeciwko bezduszności formalizmu, przeciwko naturalistycznej ograniczoności widzenia „wszystkiego z osobna". Źródła głębokiej, humanistycznej

ideowości zasilały każde wielkie pisarstwo, taka jest również tradycja naszej narodowej literatury.

Chcemy zmienić, ulepszyć i wzbogacić metody naszej walki o realizm socjalistyczny. Energiczniej niż dotąd zwalczać skłonności wulgaryzatorskie, nawyki administrowania, rutynę ideologiczną i asekuranctwo. Skuteczność tej walki zależy w głównej mierze od nas samych. Bliżej życia, bliżej klasy robotniczej, bliżej narodu — oto, gdzie biją źródła również naszej siły, jeśli ją chcemy naprawdę rozwijać i wzmagać.

Produktem „administrowania" zawsze bywa bierność, nieszczere ugrzecznienie, zanik samodzielnej inwencji i poczucia odpowiedzialności. Zjawiska te, niestety, występowały w naszym środowisku. Co więcej: „administrowaniem" nie mogliśmy skutecznie zwalczyć przeżytków wczorajszej, arealistycznej ideologii w literaturze i sztuce, formalizmu i wszystkich schyłkowych „izmów".

One jedynie przyczaiły się, aby „przeczekać"... Nic dziwnego, że tu i ówdzie odezwały się głośniej, z chwilą kiedy w naszym surowym, krytycznym obrachunku z błędami przebytej drogi niektórzy dopatrzyli się — jak najfałszywiej — generalnego odwrotu.

Ale życie nie znosi próżni. Jeśli z naszego życia realnie zniknąć ma „administrowanie" i jego błędy, to stanie się to jedynie wówczas, gdy potrafimy zastąpić je naszą własną prężnością, jeżeli zmobilizujemy nasze własne energie twórcze, naszą świadomość pisarską i obywatelską, naszą odpowiedzialność. Jest to zarazem warunkiem naprawdę skutecznego zwalczania przeżytków „starego" w naszym środowisku — przez oddziaływanie ideologiczne, przez ścieranie się umysłów w szczerych roboczych dyskusjach, a przede wszystkim — przez konkretne, ambitne, przekonywające dzieła, coraz bliższe wysokim kryteriom realizmu socjalistycznego.

Dla Związku, dla kierownictwa związkowego, a zwłaszcza dla naszych sekcji twórczych oznacza to konieczność lepszej, ściślejszej i szczerszej niż dotychczas współpracy partyjnych z bezpartyjnymi, aktywistów — z bardziej biernymi dotąd kolegami, starszych, doświadczonych twórców — z młodym pokoleniem pisarskim. Współpraca ta w wielu indywidualnych wypadkach bywała w ubiegłym okresie dość żywa i przynosiła dobre rezultaty. Ogólnie jednak rzecz biorąc, pozostawiała ona dużo do życzenia, nie potrafiliśmy jej ożywić nawet w gorętszej atmosferze obecnego okresu, w toku miesięcy przedzjazdowych.

Z wielu powodów ożywienia takiego należy się spodziewać, a w każdym razie usilnie należy do niego dążyć, w nowym okresie życia związkowego, w jaki wejdziemy po tym Zjeździe. Będzie to możliwe w tym większym stopniu, im bardziej Zjazd nasz przyczyni się do rozproszenia zamętu i wyjaśnienia nieporozumień, wywołanych przez kwietniową Sesję Rady Kultury i Sztuki. Zamęt i nieporozumienia nie są nam bowiem potrzebne. Potrzebna jest klarowna, pozwalająca dobrze pracować, sytuacja. Faktem jest, że na obszarze naszego życia kulturalnego wszyscy odczuwamy powiew ożywczy i pobudzający. Głęboko wierzymy, że podniesie on śmielej lot naszego pisarstwa, wzmoże jego szczerą ideowość, a tym samym swobodę i pewność jego ruchów.

„Podniesienie na wyższy szczebel — czytamy ostatnio w Nowych Drogach — świadomości samych twórców, bliższe niż kiedykolwiek związanie ich z pracą i walką mas ludowych, zapewnienie wysokiego poziomu artystycznego i ideowego ich twórczości, zwiększenie ich udziału w realizacji polityki kulturalnej — oto cele, jakie stawiamy so-

bie dokonując krytycznej i samokrytycznej analizy naszej pracy na odcinku literatury i sztuki."

Oto głos naszej Partii, który słyszymy na tej sali. Pomoże on na pewno naszemu Zjazdowi wytyczyć dalszą drogę organizacji polskiego pisarstwa, Związkowi Literatów Polskich, drogę szerszą niż dotąd, mimo to trudniejszą niż dotąd, ale śmielej i pewniej prowadzącą do naszego wielkiego celu: do bojowej, realistycznej, pięknej literatury narodu polskiego, budującego nowe, coraz szczęśliwsze i lepsze socjalistyczne życie.

Leon Kruczkowski

KAZIMIERZ BRANDYS

Uwagi pisarza o sytuacji w literaturze

Zjazd nasz — VI Zjazd Pisarzy Polski Ludowej — odbywa się w dniach doniosłych dla naszego kraju, dla wszystkich narodów i ludzi na rozległych przestrzeniach ziemi. Jest to czas wysokiego napięcia idei i wielkich zmagań o przyszłość świata. Ważą się dziś najszczytniejsze wyobrażenia, jakimi chlubiła się ludzkość w okresach swoich zwycięstw. Idee pokoju, solidarności ludów, postępu myśli i kondycji społecznej człowieka — wszystko to, co jest nam drogie i o co gotowi jesteśmy walczyć do ostatka — dziś rozstrzyga się w codziennych wysiłkach ludzi pracy, w trudzie budowania i w bohaterstwie wojen wyzwoleńczych, w nieustannie rozszerzającym się kręgu spotkań i konferencji między narodami Europy, Ameryki i Azji, w żarliwej walce o pokój. Toczy się bitwa o zasadnicze gwarancje bytu narodowego i o podstawowe prawa jednostki; o bezpieczeństwo globu od śmiercionośnej zagłady i o godność naszego stulecia.

Twórczość artysty, praca pisarza zawsze musiała się legitymować wobec swojej epoki miarą pożytku dla człowieka i narodu. Rzecz jasna, że zwłaszcza dziś, w dniach przełomowych rozstrzygnięć i ścierania się sprzecznych sił, gdy decydują się przyszłe losy pokoleń, narodów, jednostek — że zwłaszcza dziś sztuka musi jasno i dobitnie wymierzyć sprawiedliwość temu, co dobre i złe, co nowe, twórcze, i co wsteczne, wrogie człowiekowi. Nie ma dziś miejsca na sztukę pozostawiającą na boku idee, moralność, konflikty sumienia, ignorującą polityczną treść czynów i świadomości. Ideologiczną rolę sztuki i kultury określa nie tylko obecny moment dziejowy, ale potwierdza ją także dziedzictwo przeszłości, gdy sztuka i literatura wyrażały nieodmiennie najistotniejsze racje i humanistyczne dążenia swego czasu.

I my, pisarze polscy, musimy dziś okazać się godni wspaniałych tradycji naszej literatury, zadań, jakie nakłada na nas teraźniejszość, i nadziei, jakie wiążą z naszą twórczością masy ludzi pracujących. Jednym z naczelnych obowiązków dzisiejszego Zjazdu jest dalsze pobudzenie wyobraźni i najlepszych środków, jakie mogą służyć pisarzowi w kształtowaniu uczuć ludzkich dla dobra idei socjalizmu i pokoju.

Zadaniem naszego Zjazdu jest również ocena dziesięciu lat twórczości pod względem dokonań i zamierzeń, powikłań i rozczarowań oraz bezspornych zwycięstw, jakich nie brakło w ciągu owych lat.

Powinniśmy tej oceny dokonać sumiennie, nie szczędząc siebie samych, ale też nie pomniejszając niczego, co jest prawdziwą zdobyczą. Obowiązkiem

naszym jest rozważyć wszystkie okoliczności, jakie towarzyszyły nam w walce o socjalistyczną literaturę, okoliczności różnego rodzaju i znaczenia, których pomijanie czy uproszczona interpretacja wnosiły wiele nieporozumień w toku dotychczasowych dyskusji. Trzeba z pełną jasnością ujrzeć przebytą drogę, ażeby dalszy kierunek naszych poszukiwań nie został wybrany lekkomyślnie. A takie niebezpieczeństwo zawsze może grozić, zwłaszcza w dziedzinie tak czułej i wrażliwej, jak literatura i sztuka, gdzie każdy fałszywy krok pociąga za sobą wiele trudnych do naprawienia urazów, wypaczeń i szkód. Dlatego powinniśmy przystąpić do obrad z pełnym poczuciem odpowiedzialności i osądzać to, co było, mając na oku przede wszystkim to, co przed nami stoi. Troska o przyszłość naszej literatury musi być naczelnym kryterium w ocenie jej przeszłości. Stosując w obradach tę miarę, oddzielimy ziarna od plew i unikniemy jałowego pieniactwa czy pustosłowia.

*

10 lat w literaturze narodu — to wiele książek i sztuk, wierszy i publikacji krytycznych, to uporczywa walka o doskonałość form i pełne wyrażenie treści. To szereg nieprostych powiązań między formacją ideowo-artystyczną a układem polityczno-gospodarczym. Krytyk natrafia tu na skomplikowane zjawiska i, jeśli jest krytykiem rzetelnym, weźmie na siebie ogromny trud, wymagający niecodziennej mądrości i talentu. A cóż dopiero, gdy przyjdzie mu ocenić dziesięciolecie tak niezwykłe, tak dramatyczne w swej walce o nową treść, jak lata, które upłynęły od dnia Manifestu Lipcowego do dziś — lata 1944—1954! Zapewne nierychło nasze literaturoznawstwo sprosta temu zadaniu. Przyczyna tkwi być może i w tym, że procesy nurtujące ów okres trwają z niesłabnącym napięciem i że dla nikogo z nas to dziesięciolecie, jako zespół problemów obiektywnych i konfliktów wewnętrznych, nie zostało zamknięte. Przeciwnie, każdy odczuwa moment, w którym się dziś znajdujemy, jako burzliwe i zdobywcze wzniesienie fali, ale jest to fala tego samego nurtu, który nadal szuka sobie drogi w trudnym, jeszcze nie całkiem uformowanym łożysku. Walka o socjalistyczną literaturę jest w dalszym ciągu zasadniczą treścią naszych wysiłków. Jesteśmy tylko bogatsi o nowe doświadczenia i w ich perspektywie możemy dziś głębiej zdać sobie sprawę z tego, co było słuszne i pomocne, a co błędne i szkodliwe. Suma takich głosów — osobistych głosów pisarzy, których udziałem była część tych doświadczeń, powinna dać cenny materiał naszym politykom kulturalnym, przyszłym pracom naszej krytyki; powinna również zaważyć na wynikach dzisiejszego Zjazdu.

Tutaj, w sali obrad, wśród delegatów i uczestników, spotykamy dziś pisarzy kilku pokoleń, którzy dziesięć lat temu, na początku naszej wspólnej drogi, stworzyli pierwsze środowisko literackie w powojennej, wyzwolonej Polsce. Pisarze ci różnie spędzili czas wojny: jedni od września 1939 roku do października 1944 nie opuszczali Warszawy, drudzy nadciągnęli z Armią Czerwoną, jako żołnierze I Armii, po latach spędzonych na ziemi radzieckiej; inni, których losy wojenne rozproszyły po świecie, sposobili się wówczas do powrotu. Byli i tacy, których wyzwolenie zastało w obozach koncentracyjnych lub w niewoli wojskowej.

I tak w latach 1944, 1945 i 1946 w Lublinie, Warszawie, Krakowie i Łodzi ukształtowały się najliczniejsze skupienia pisarzy, z których każdy, jeśli nie ocalił rękopisów z wojennego pożaru, jeśli nie wyniósł nic prócz życia, to na pewno zachował groźną, wstrząsa-

jącą pamięć tych dni, które były czasem przestrogi.

Ówczesne środowisko literackie składało się z ludzi różnych światopoglądów, a nawet, zdawałoby się, różnych epok. Byli wśród nich znakomici powieściopisarze i poeci urodzeni pod koniec ubiegłego wieku. Była także liczna grupa (t.zw. średnie pokolenie) dojrzała w latach międzywojennych. Wreszcie — garść młodych debiutantów, których pierwsze próby literackie datowały się z czasów okupacji i walk o wyzwolenie. W numerach Odrodzenia, Kuźnicy i Twórczości widniały w tym okresie nazwiska Leopolda Staffa i Zofii Nałkowskiej, Heleny Bobińskiej, Anny Kowalskiej i Jerzego Andrzejewskiego, Mieczysława Jastruna, Jana Brzechwy, Leona Pasternaka i Tadeusza Borowskiego. Utwory Juliana Tuwina, Marii Dąbrowskiej, Władysława Kowalskiego, Jarosława Iwaszkiewicza, Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego, Aleksandra Maliszewskiego, Adama Ważyka, Pawła Hertza — obok utworów Jerzego Broszkiewicza i Stanisława Dygata, autorów wybitnych debiutów powieściowych; Jerzego Szaniawskiego i Juliana Przybosia, Boguszewskiej i Kornackiego, Jana Wiktora, Poli Gojawiczyńskiej, Jerzego Putramenta i utalentowanego debiutanta — Wojciecha Żukrowskiego. Na jednej kolumnie pisma spotykali się Jan Parandowski, Władysław Broniewski, Jerzy Zawieyski, Leon Kruczkowski, Seweryn Pollak, Juliusz Żuławski i młody publicysta Edmund Osmańczyk. Był to okres wielkiej aktywności twórczej i ożywionego ruchu umysłowego. Do pracy pisarskiej stanęli wówczas wszyscy, którzy sens swojej twórczości widzieli tylko w powiązaniu z życiem narodu. Na uboczu pozostali jedynie ci, co postawili na kartę wstecznych emigracyjnych rachub i orientacji. Ci grzęzną na swych manowcach do dzisiaj.

Ale co łączyło pisarzy, o których mówiliśmy przed chwilą, że dzieliły ich nieraz idee i odległe daty urodzenia, odmienne warsztaty i środki formalne? Sądzę, iż jedno można stwierdzić z całkowitą pewnością: wiązała ich wspólna, głęboko przeżyta odraza i nienawiść do faszyzmu. Lata hitlerowskich podbojów odsłoniły im przerażające dno, na które nieludzka, brutalna przemoc może zepchnąć człowieka. I mimo iż niejeden pisarz już wówczas wysnuł był z doświadczeń wojennych dalej idące i śmielsze wnioski ideowe, niż tylko oburzenie i pogardę, to przecież wszystkich łączyło przekonanie, że Polska, powstająca ze zniszczeń do nowego życia, potwierdzi ich wiarę w szczytne idee ludzkości, w godność człowieka i sens jego społecznej, narodowej egzystencji.

W latach tych powstały lub wyszły w druku pierwsze tomy, pierwsze dzieła literatury polskiej po wojnie. Musieliśmy w nich zadokumentować ludzki wstręt do ohydy, jaką faszyzm rozlał przed oczami człowieka; zawrzeć w nich zgrozę i nienawiść, osłupienie i rozpacz; stwierdzić dobitnie, że sumienie pisarza w tych latach nie zamilkło, lecz tylko było zmuszone do milczenia. Okres ten przyniósł szereg dzieł niepospolitych, z których możemy być dumni. Ukazały się wtedy M e d a l i o n y Zofii Nałkowskiej — tom opowiadań, w których groza faszyzmu została wyrażona w zastygłych, niemal antycznych gestach ludzkiej męki. Sądzę, że dzieło to, utwór znakomitej pisarki, wyrosłej w latach, w których brzmiały jeszcze pogłosy warszawskiego pozytywizmu i zawsze bliskiej postępowej, racjonalistycznej myśli naszego pisarstwa, że dzieło to przyniosłoby zaszczyt literaturze każdego narodu. Pamiętamy także z owych lat piękne i wydarte z głębi tragicznych wspomnień wiersze Mieczysława Jastruna, którego P i e ś ń g m i n n a pozosta-

nie w literaturze naszej niezniszczalnym świadectwem umęczenia ludu w czasie hitlerowskiej niewoli; i nowele Adolfa Rudnickiego, niezwykłe w swej uczuciowości i zdumiewające zarówno prawdą przeżycia, jak i szczególną prostotą środków artystycznych. I Serce granatu Adama Ważyka, tom poetycki, dokument wspaniałej dojrzałości twórczej i ideowego sumienia poety, dla którego czas wojny był czasem przełomu wyobraźni poetyckiej i środków wyrazu. Na te również lata przypadł niezapomniany debiut Tadeusza Borowskiego, którego dwa opowiadania: Transport i Dzień na Harmenzach — stanowiły jeden z ostatecznych porachunków, dokonanych przez pisarza ze światem faszyzmu.

Wymieniłem tu zaledwie parę pozycji, by najwydatniej ukazać wspólność i podobieństwo pierwszego odruchu wyobraźni i sumienia u kilku pisarzy, różniących się od siebie tradycją i wiekiem. Prócz tych kilku wymienionych — pamiętamy przecież — każdy prawie w tych pierwszych latach wolności dał artystyczny wyraz swojej nowej wiedzy o losach człowieka, swoim humanistycznym doświadczeniom i swej nieupadłej wierze w naprawę duchową ludzkości.

Lata 1945, 1946 i 1947 — to okres nie tylko cennych utworów prozy i poezji i nie tylko ciekawych prób dramaturgicznych (jak np. O dwety Kruczkowskiego czy Wielkanoc Otwinowskiego); okres ten odznaczał się twórczym, burzliwym przypływem publicystyki i essayu w szerokiej dziedzinie rozważań o literaturze, sztuce i społeczeństwie, rozważań dziś niestety znacznie ograniczonych w naszym literaturoznawstwie.

Trwała wówczas nieustanna działalność publicystyczno-literacka, związana nie tyle z aktualną twórczością, co nawiązująca do postępowych tradycji naszej kultury. Została wówczas ukazana z dobitną jasnością wielka droga demokratycznej myśli, wytyczająca kierunek rozwoju polskiego pisarstwa, pióro krytyka i essayisty ugodziło wtedy boleśnie w zacofanie przedwojennego literaturoznawstwa; oczyszczano z kłamliwych polonistycznych nawarstwień dzieło Wieku Oświecenia i Romantyzmu, próbowano przedstawić na nowo pozytywizm i mistrzów dziewiętnastowiecznych — Prusa, Sienkiewicza, Orzeszkową. Były to pierwsze kroki naszej ówczesnej krytyki i publicystyki literackiej, usiłujących stosować marksistowską wiedzę o literaturze i dialektyczną metodę poznawczą. Jeśli popełniono przy tym szereg omyłek i uproszczeń — a popełniono je na pewno — to jednak okres ten był w wielkiej mierze pomocny dla uświadomienia istotnego sensu naszej kultury narodowej, jej trwałych, przyjaznych związków z kulturami innych narodów, jej najlepszych, internacjonalistycznych i ludowych źródeł, do których przecież odwoływały się Partia i klasa robotnicza. Idee przemiany, postępowa myśl społeczna, hasła reformy z dawna żyjące w naszej literaturze i sztuce, zostały ukazane jako zaszczytne dziedzictwo, jako drogowskazy dla przyszłego rozwoju.

Zatrzymałem się na tych latach nieco dłużej, ponieważ wydaje mi się, że w okresie, jaki po nich nastąpił, często nie doceniano ich znaczenia. A warto sobie uświadomić, że właśnie te lata stworzyły literaturę wyrosłą z silnych, głębokich uczuć, literaturę walczącą i ideologiczną.

Jednym z jej źródeł była nienawiść do faszyzmu, mocno przeżyta i potwierdzona niejednym doświadczeniem. I jeśli dziś szukamy dróg sztuki socjalistycznej, pamiętajmy o tym, że wyrasta ona z przekonań, uczuć i doświad-

czeń równie głębokich, z miłości równie silnej, jak tamta nienawiść.

Ale nie zapominajmy również, że ówczesne środowisko literackie nurtowały już wówczas ostre różnice ideologiczne, nie zapominajmy i o tym, że faszyzm można p o t ę p i ć z różnych stanowisk, natomiast w a l c z y ć, skutecznie walczyć z faszyzmem można jedynie na gruncie ideologii socjalistycznej, w szeregach klasy robotniczej. Mieliśmy pisarzy, którzy zrozumieli to wcześnie; mieliśmy innych, co do tej prawdy dotarli w parę lat później, są zapewne jeszcze i dziś wśród nas artyści, którzy wobec tej prawdy tak prostej i niezaprzeczalnej czują — nieraz może bezwiedny i nieuświadomiony — opór. Od pierwszych dni wyzwolenia ścierały się między nami różnice w poglądzie na świat i sztukę; różnice te z czasem występowały coraz jaskrawiej i ostrzej, a ujawniły się najwydatniej w dniach pierwszych walk o socjalistyczną treść naszej twórczości.

*

Pierwsze hasła walki o literaturę związaną z życiem ludowego kraju, walki o przełom tematyczny i metodę twórczą realizmu socjalistycznego padły na dwóch kolejnych Zjazdach Pisarzy w latach 1947 i 1949: wrocławskim i szczecińskim. W tych latach formowały się stanowiska i kryteria, które wkrótce miały tak mocno zaważyć na dalszym rozwoju naszego życia literackiego.

Przypomnijmy sobie, cośmy wówczas posiadali. Prócz dzieł, o których mówiliśmy na początku, literatura nasza wzbogaciła się o S t a r e i n o w e Lucjana Rudnickiego, niezwykłą opowieść-pamiętnik, w której talent autora ukazał z pyszną wyrazistością dzieje polskiego proletariatu od wiejskiej biedy do rewolucyjnych, klasowych pozycji ruchu robotniczego. Leon Kruczkowski pisał wtenczas swych N i e m c ó w, dramat o odpowiedzialności moralnej za zło hitleryzmu, sztukę, która głęboko poruszyła widowniami europejskich stolic. Mieliśmy w tym okresie szereg nowych wierszy Juliana Tuwima, Władysława Broniewskiego, Antoniego Słonimskiego, Mieczysława Jastruna, Adama Ważyka, Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Trwał spór o środki poetyckiego wyrazu, o stosunek do tradycji własnej i obcej. Wystąpili poeci młodego pokolenia: Woroszylski, Braun, Słucki, Wirpsza, Różewicz, Kubiak i inni. Formułowano programy, walczono o style. Jerzy Andrzejewski publikował w tym czasie P o p i ó ł i d i a m e n t, pierwszą powieść o tematyce polityczno-obyczajowej, ściśle związaną ze współczesnością i zawierającą jej ostrą, śmiałą diagnozę. Na krótko przedtem ukazała się R z e c z y w i s t o ś ć Jerzego Putramenta — powieść obrazująca losy rewolucyjnego środowiska w Polsce sanacyjnej, ciekawa i nowatorska w swym politycznym ujęciu tematu. Tadeusz Breza był w trakcie pracy nad N i e b e m i z i e m i ą, utworem powieściowym, stanowiącym trudną i rzetelną próbę rozwinięcia najcenniejszych elementów poprzednio wydanego tomu M u r ó w J e r y c h a. Stanisław Wygodzki drukował swe opowiadania, które z czasem weszły do tomów W k o t l i n i e i W i d z e n i e, obydwóch nie docenionych do dzisiaj. Jarosław Iwaszkiewicz wydał był N o w ą m i ł o ś ć i S t a r ą c e g i e l n i ę, książki szeroko czytane, urzekające pięknością sztuki pisarskiej, jak wszystko, co wyszło spod pióra autora O d y d o F r a n c j i.

Ówczesne środowisko literackie przebyło znaczną drogę od roku 1945. W kraju trwała walka klasowa, lud

obejmował władzę w ciężkich, ofiarnych zmaganiach, w ogniu dywersji, wśród leśnych zasadzek i politycznych knowań. Reforma rolna i unarodowienie przemysłu nie odbywały się w warunkach „łagodnej rewolucji", lecz wśród przelewu krwi najlepszych naszych ludzi. Początek odbudowy stolicy, pierwsze bitwy o węgiel, o produkcję ciężkiego przemysłu i zagospodarowanie ziem odzyskanych — toczyły się wśród ostrych walk politycznych: referendum, wybory, zdemaskowanie rachub mikołajczykowskich, rozbicie prawicowego odchylenia. Nadeszły dni Kongresu, gdy „zjednoczyła się siła jednocząca" polskiej klasy robotniczej.

I właśnie w owych dniach zawiązywała się mocna więź między literaturą a narodem, między pisarzem a klasą robotniczą. W świadomości niejednego artysty zaczęły się wówczas kształtować nowe miary ocen i nowe dyscypliny moralne. Źródłem ich była praca i walka ludu roboczego w mieście i na wsi, uprzątane gruzy i przelewana krew, nadzielona ziemia i pierwsze ławy fundamentów pod nowe gmachy warszawskie. Tak rodzi się partyjność sztuki.

Były to lata głębokich przeobrażeń świadomości. Światopogląd wielu pisarzy kształtował się pod wpływem nowych, nieznanych dotychczas przeżyć. Wielkie doświadczenia i zdobycze narodów radzieckich, poezja Majakowskiego, twórczość Gorkiego, Szołochowa, Erenburga, Makarenki, lektura klasyków marksizmu, walka o socjalistyczną moralność, bohaterstwo ludzi radzieckich — wszystko to stanowiło potężne wstrząsy i bodźce dla wyobraźni pisarza. Kraj radziecki ukazał mu nowe zjawisko: człowieka tworzącego na ziemi swoją przyszłość, człowieka pracującego dla wszystkich i wszystkich pracujących dla człowieka, człowieka kochającego pokój tak jak ziemię, po której stąpa, i drzewa, z których zbiera owoce. Wyobraźnię pisarza poruszyła głęboko olbrzymia siła twórcza Październikowej Rewolucji, której idea żyje na każdym calu ziemi radzieckiej i w sercach radzieckich ludzi. Idea ta przesuwa łożyska rzek, zmienia klimaty i krajobrazy, buduje setki nowych socjalistycznych miast, tysiące fabryk, domów i mostów, przekształca świadomość i uczucia ludzkie. Dzięki niej — idei Wielkiego Października — dwustumilionowy kolektyw ludzi radzieckich poprzez piętrzące się trudności, jakich nie znała dotychczas historia, walczy o spełnienie marzeń, jakich nie śmiał dotychczas człowiek wcielać w życie.

Wielu, zwłaszcza młodszych, naszych pisarzy po raz pierwszy zetknęło się z tym kręgiem doświadczeń; pod ich wpływem krystalizowały się postawy ideowo-artystyczne, przeżywano je burzliwie wśród polemik i dyskusji. Wielu pisarzy rozumiało już wówczas jasno, że ustrzec człowieka od faszyzmu zdoła jedynie świat socjalistyczny, który człowiek musi sam zbudować, i że obowiązkiem artysty jest pomóc mu w tym budowaniu.

Środowisko literackie ulegało w tym czasie zróżnicowanym procesom. Nie dla wszystkich pisarzy konfrontacja świadomości z nowym, rodzącym się życiem, przebiegała łatwo; nie wszyscy potrafili się zdobyć na rewizję swych dotychczasowych pojęć. Zarysowały się sprzeczne stanowiska, skłócone postawy wobec zagadnień kultury i rzeczywistości. Wystąpiły dobitnie różnice światopoglądów i gustów. W niejednym wypadku szukano ucieczki przed problematyką współczesnego życia, okopując się na fałszywych pozycjach „obrony rzemiosła", samotności artystycznego sumienia czy sztuki elitarnej, lub sięgając do wzorów naturalistycznej literatury amerykańskiej. Było to niewąt-

pliwe, że w ciągu owych lat przełomu życia narodowego drogi pisarzy przebiegały różnie, a rozwój rzeczywistości wyprzedził niejedną ewolucję twórczą. Hasła związania literatury ze współczesnym życiem kraju, postulaty realizmu socjalistycznego, wysunięte przez Partię — w części społeczności pisarskiej odczuwane jako istotna, nieodparta potrzeba — szereg pisarzy zastały nieprzygotowanych.

Czy słuszność tych haseł wymaga uzasadnienia? Wynikały z życia, były warunkiem dalszego rozwoju, ich źródła tkwiły w najlepszych tradycjach naszej kultury. Ale walka o ich realizację okazała się trudniejsza, niż przypuszczano, i nie obeszła się bez strat.

*

W okresach przełomu, w dniach nowych prób, straty są konieczne. Niejeden wytop musi pójść na marne, zanim da się uzyskać cenną, szlachetną stal. A zdaje się, że nie ogarniamy jeszcze w pełni przełomowego znaczenia ubiegłych 5 lat dla literatury i sztuki naszego narodu. W ciągu tych 5 lat literatura nasza oczyściła swoje pole widzenia z sugestywnych mgieł rozsnutych przez 50-letni okres schyłku sztuki burżuazyjnej, zwróciła ponownie wzrok ku sprawom ludu; pracę ludzką, budowanie i twórczość uczyniła głównym przedmiotem wyobraźni. Odeszliśmy przez te 5 lat bardzo daleko od wizji i konstrukcji zawartych w granicach mieszczańskich progów psychicznych, od fikcyjnych dramatów podświadomości, rozgrywających się w świecie społecznie i politycznie pustym, szczelnie odgradzającym człowieka od spraw społeczeństwa. W ciągu tych 5 lat kształtował się wśród nas nowy typ pisarza — pracownika klasy robotniczej; artysty, który w ideowej walce uczy się zdobywać oporną i niełatwą prawdę życia w ludowym kraju, przemawiać do setek tysięcy nowych czytelników, ukazywać im świat w kategoriach ich prostych wyobrażeń moralnych, w obrazach ich pracy i walki. Już dziś możemy sobie uprzytomnić olbrzymie skutki społeczne owego przełomu. Pomyślmy tylko, jakim potężnym narzędziem w formowaniu nowego człowieka jest choćby nasza literatura dla dzieci i młodzieży — łączne nakłady idące już nie w setki tysięcy, ale w dziesiątki milionów egzemplarzy. A literatura ta wychowuje przecież naszą młodzież w nowym duchu socjalistycznej moralności, kształtuje jej serca w myśl najpiękniejszych idei miłości człowieka i przyjaźni między narodami. Nie zawsze doceniamy tę dziedzinę naszej pracy twórczej, której dobrze służą pióra naszych pisarek młodzieżowych — oraz Jana Brzechwy.

Są to wielkie zdobycze, które zawdzięczamy wskazaniom naszej Partii. Zdobycze, które być może w pełni ocenią historycy literatury za lat 20 czy 50, gdy rezultaty dziś toczonej walki staną się bardziej wyraziste.

Walczymy przecież z ideologią burżuazji i jej wcieleniami w dziedzinie sztuki — ani na chwilę nie wolno nam o tym zapomnieć. I jeśli dziś analizujemy popełnione błędy, to pamiętajmy o tym, że rozważać je powinniśmy z jednego, zasadniczego punktu widzenia: o ile przeszkadzały nam w walce o socjalistyczną literaturę, jak dalece opóźniały zniszczenie resztek mieszczańskiej, reakcyjnej ideologii w sztuce. Z tego więc stanowiska spróbujmy ocenić nasze porażki i zwycięstwa.

*

Realizm socjalistyczny jest to określenie, które w ciągu ubiegłych pięciu lat najczęściej chyba powtarzało się w recenzjach, referatach i dyskusjach toczonych w Związku Literatów Polskich. Brzmiało ono również z katedr

uniwersyteckich i z mównic politycznych, i przed tablicą w klasach licealnych, i wiosną w parkach miejskich, gdzie maturzyści obkuwali się do egzaminów. Znana to rzecz, że nazwy i pojęcia znamiennych zjawisk obrastają w powszednim obiegu tysiącem drobnych nieporozumień, dowolności i nadużyć. Ale chyba żadne nie uległo takim wypaczeniom, jakich ofiarą stało się pojęcie realizmu socjalistycznego.

Wydaje mi się, że pierwszym naszym obowiązkiem jest dzisiaj uprzytomnić sobie, gdzie i w czym tkwił błąd, jakie były jego przyczyny i jak uniknąć ich na przyszłość.

Sądzę, że u źródła popełnionych omyłek leżała uboga, jednostronna wiedza o życiu i niedojrzałość ideologiczna. Człowiek, który prawdę życia zna tylko w jednym wymiarze, któremu obce jest powikłane bogactwo ludzkich doświadczeń, nie może być dobrym ideologiem ani dobrym artystą. Ideologia i sztuka, o które walczymy, wyrastają z głębokiego poznania istoty życia i jego rozwoju, z sumiennej znajomości zjawisk psychologii, ekonomii, ze ścisłych związków z walką narodu i dążeniami mas pracujących; podstawą naszej marksistowskiej wiedzy jest wiedza o człowieku i społeczeństwie. Toteż nie wolno nam rezygnować z żadnego doświadczenia, z żadnej dziedziny zjawisk, z żadnej zdobyczy, o którą wzbogaciły się nasza świadomość i umiejętność w ciągu długotrwałych prób, w jakich krzepła idea, której służymy.

Ni jest celem tych uwag tworzenie definicji. Definicje grożą czasami niebezpieczeństwem recept. Schematyzm, o którym mówi się do dziś wszędzie z wyrazem świętego niesmaku, nie zasługuje nawet na definicję. Ten żałosny stworek, ten naturalizm na opak, dojrzał już całkowicie, aby go pochować. Ale pozostała po nim przestroga dla ludzi, którym życie, ideologia i sztuka wydawały się tak prościutkie i łatwe, podlegające tak przejrzystym prawidłom — i tak posłuszne.

Przestroga dla wydawcy, krytyka i pisarza, których tak często łączyły niebezpieczne związki wspólnej niedojrzałości ideologicznej, którzy nieraz przekazywali sobie nawzajem uproszczone, zwulgaryzowane pojęcia o życiu i sztuce, którzy oskarżając się wzajemnie o błędy i braki, w istocie grzeszyli w niejednym wypadku wspólną słabością i solidarnie jej ulegali: słabość ta tkwiła w niedostatecznym, ułomnym pojmowaniu tego, co nowe, co socjalistyczne. Powtarzam: ułomność ta cechowała nie tylko redaktorów-pedantów i nie tylko urzędników Ministerstwa Kultury czy Polskiego Radia — lecz także niejednego pisarza, któremu „recepty" na socjalistyczną literaturę nieraz zastępowały socjalistyczną wyobraźnię. Była to pokrewna skaza ludzi o niedojrzałym stosunku do życia, do ideologii, do literatury.

Ale czy błąd ich polegał na wysuwaniu niewłaściwych haseł. Na pewno nie. Mieli słuszność żądając stworzenia pozytywnego bohatera. Pomyłka ich tkwiła w tym, że narzucali z góry pewne cechy tej postaci, z pominięciem rzeczywistych cech psychologii współczesnego człowieka. Czy mylili się sądząc, że literatura ma kształtować rzeczywistość i wskazywać jej kierunek rozwoju? Nie. Pomijali tylko skomplikowaną prawdę teraźniejszości, podstawiając pod nią to, co być powinno. Czy nie mieli racji w swym postulacie ukazywania zjawisk i postaci typowych, w których skupiałyby się w sposób najbardziej wymowny zasadnicze procesy społeczeństwa budującego socjalizm? Z pewnością mieli rację. Zapomnieli tylko o jednym: że typowość w literaturze nie jest równoznaczna z prawami

agrotechniki i że to, co w sztuce jest najbardziej wymowne w sensie realistycznym, daje się niekiedy wyrazić tylko przez wyostrzone, przesadne wyjaskrawienie zjawisk rzeczywistych. Popełnili jeszcze jedną omyłkę. A mianowicie oczekując od dzieła sztuki uczuciowej afirmacji naszej ideologii i ustroju, w praktyce zadowolili się deklaratywną, publicystyczną *oratio recta*, płynącą z ust pisarza czy jego bohatera. Słabo znając życie i sztukę przeoczyli bowiem ważną prawdę: że prawdziwe, głębokie uczucie wyrażane jest z najwyższym trudem. Artysta, pisarz, jest również w tym podobny do człowieka, że swoje najgłębsze wzruszenia woli zasklepić w konstrukcji swego dzieła, w czynie i myśli, nie zaś tylko w słowach.

Nie warto mnożyć tych przykładów, które sprowadzają się przecież do jednego: jak zacieśniano i wypaczano istotny sens haseł postawionych literaturze przez Partię. Był to system fałszywych sugestii, którym niedoświadczony i niedojrzały pisarz często ulegał w mniemaniu, iż stanowią rygor ideologiczny, a więc należy poddać im się i zaufać. Tak powstawało zjawisko c e n z u r y w e w n ę t r z n e j, kiedy twórca ograniczał własną wyobraźnię i zacieśniał krąg swych obserwacji, byleby nie wykroczyć poza ów system, szerzony przez krytykę, prasę literacką i życie wydawnicze.

Jeszcze jedna fałszywa sugestia, często wówczas rozpowszechniana, upatrywała w obniżeniu wartości literackiej konieczną i niezmienną cenę, jaką należy uiścić w zamian za przełom tematyczny i zwrot dokonany w kierunku socjalistycznej problematyki. Była to sugestia szkodliwa i niesłuszna. Przeczyły jej takie pozycje, jak choćby T r a k t o r y z d o b ę d ą w i o s n ę Witolda Zalewskiego, tom reportaży, w którym nowy krąg tematów i realistycznych poszukiwań nie wyłączał dbałości o rzetelne ujęcie przedmiotu, pełne ambitnego wysiłku i troski o formę. Z drugiej strony przeczyły temu również i inne utwory, dalekie od tematyki współczesnej i socjalistycznej, jak na przykład historyczne dramaty Romana Brandstaettera, w których postacie pozytywne (Bogusławski, Sułkowski) cechowała właśnie owa „konturowość" i „koturnowość", tak często charakteryzujące schematycznych bohaterów powieści tego okresu. Nie mają więc racji ci, co sądzą, że za temat socjalistyczny w literaturze trzeba opłacać cło w postaci „jakości" czy „poziomu".

Ukazało się w tym czasie szereg książek określonych ukutą na poczekaniu nazwą „literatury produkcyjnej". Nie był to termin ścisły. W rzeczywistości obejmował on grupę utworów, w których najostrzej i najszybciej dokonało się przesunięcie pola widzenia naszej twórczości ku nowym zjawiskom i problemom współczesnego życia. Powstała wówczas pewna ilość pozycji niedoskonałych, stanowiących zalążkowe próby nowej, socjalistycznej twórczości. Utwory te ówczesna krytyka często przeceniała, uznając je za wzorcowe niekiedy osiągnięcia. Ale rzeczą równie niesłuszną byłoby dzisiaj je przekreślać. Mimo swych braków i wad wniosły one istotnie zawiązki twórczych doświadczeń na obszarze zjawisk i środowisk społeczeństwa budującego socjalizm. Autorzy niejednego z tych utworów przebyli z czasem trudną i ambitną drogę w poszukiwaniu doskonalszych środków wyrazu i pełniejszej treści. Wiktor Woroszylski, Tadeusz Konwicki, Witold Zalewski, Andrzej Braun, Jacek Bocheński, Maria Jarochowska, Aleksander Ścibor-Rylski, Władysław Machejek, Witold Wirpsza — trudno dziś te nazwiska określić obcesowym mianem „literatury produkcyjnej". Pi-

sarze ci i inni, co wraz z nimi stoczyli pierwszą — choć jeszcze nie zwycięską — bitwę o realizm socjalistyczny w naszej literaturze, dojrzewali przez ostatnie lata i znajdują się dzisiaj na bardziej wysuniętych pozycjach walki, która przecież trwa nadal.

Ale w tym czasie marnowano tony papieru na wydawanie książek pozbawionych wszelkiej wartości. Jeszcze dzisiaj dreszcz przejmuje na myśl, jaką to mierzwę podnoszono do rangi literatury w wydawnictwach, w radio, w prasie codziennej i literackiej. Zło nie polegało na tym, że lęgły się produkty bez wartości; takie produkty zalewały zawsze biurka redaktorów i wydawców. Ponury absurd tkwił w tym, że owym produktom, stanowiącym zaprzeczenie podstawowych pojęć o sztuce, krytyka nadawała niekiedy prawomocność artystyczną i więcej: upatrywała w nich nowatorskie osiągnięcia na drodze do literatury realizmu socjalistycznego. Z serdeczną męką patrzył nieraz pisarz na tę uzurpację, której prawem kaduka nadano przywilej pionierstwa. Temat czy rocznicowa data lub doraźne zamówienie administracyjne, stawały się w wielu wypadkach biletami, które wystarczyło okazać, by „wejść do literatury" — oczywiście w cudzysłowie. Jedna przypadkowa wycieczka w teren bywała dostateczną zasługą, by na prędce spłodzony tom mógł się ukazać w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy.

Krytyka literacka, dobrotliwie wskazując braki i niedociągnięcia, podkreślała w następnym akapicie „nowatorski charakter dzieła"; łagodnie wypominając „nieco konturowy rysunek postaci", od nowego wiersza podnosiła w zachwyceniu „frontalne zaatakowanie tematu współczesności". Tak opieczętowana tandeta wędrowała do bibliotek, świetlic i szkół. Deklamowano ją nieraz na akademiach, uczono się jej z podręczników; w postaci nowych nakładów powracała jak bumerang do czytelnika, który ją odrzucił. Ale to nie wszystko: z tandety czyniono częstokroć narzędzie zwrócone przeciw pisarzowi, który szukał swych własnych dróg do socjalistycznej literatury. Bezosobową poprawność, oznaczającą tylko brak wyobraźni i talentu, niejednokrotnie krytyk stawiał mu za wzór. Skrót, metaforę, wyjaskrawienie, wszystko to, co służy realistycznej kompozycji, niektórzy krytycy, wydawcy i redaktorzy oceniali jako wątpliwe i zbędne; samodzielność obserwacji obciążano zarzutem nietypowości; nie szczędzono wysiłków, by złożony rękopis, przeszedłszy przez liczne ręce, uzyskał wreszcie upragnioną gładkość i nieskazitelność, co w praktyce wydawniczej często oznaczało bezkrwistość i wyjałowienie. Zabiegi te, niestety, znajdowały poparcie administracji kulturalnej.

Ale wyobraźnia artysty także i tym się różni od pojazdu mechanicznego, że trudno jej narzucić regulamin ruchu. Nie ma chyba i nie było prawdziwej sztuki, która dałaby narzucić sobie sztywne prawidła: nie ma prawdziwego artysty, który by pozwolił regulować swoją twórczość za pomocą recept. Toteż i w tym okresie uczucia i myśli pisarzy kształtowały się pod wpływem spraw wielkich i żywych, a nie małodusznych i płaskich. Wzrok ich kierował się ku powstającej z gruzów Warszawie i wspaniałemu budownictwu Związku Radzieckiego; ku obszarom wyzwolonej Azji, potężnym budowom Planu 6-letniego i bohaterskim strajkom w państwach kapitalistycznych; wyobraźnią i pamięcią sięgali do czasów przedwojennej, sanacyjnej Polski i do dni walki klasy robotniczej o wolność i niepodległość. Pod wpływem tych wielkich zjawisk i idei powstawały powieści Morcinka, Newerlego,

Stryjkowskiego, Koźniewskiego, Putramenta, Czeszki, Mariana Brandysa, ciekawe debiuty powieściowe jak: Węgiel, Lewanty, tomy opowiadań Jacka Bocheńskiego i Józefa Kuśmierka, takie dzieła poetyckie, jak Słowo o Stalinie Broniewskiego i List Anny Żywioł Jastruna, Lud wejdzie do śródmieścia Ważyka; wiersz Do czytelnika Słonimskiego i Oda do pokoju Iwaszkiewicza; fragmenty Czasu miłości Woroszylskiego, niektóre wiersze Różewicza, Piętaka, Kamieńskiej; Zwykła sprawa Adama Tarna. Jeśli nie wymieniłem tutaj innych pozycji, świadczy to tylko o tym, że przytoczone utwory są przedmiotem moich osobistych gustów, z którymi, rzecz prosta, można się nie zgodzić.

Był to okres dojrzewania charakterów i talentów, okres trudnych przezwyciężeń i mozolnego szukania dróg do socjalistycznej literatury. Z różnych pozycji i poprzez rozmaite doświadczenia pisarze nasi do tych dróg dochodzili. Przyjrzyjmy się choćby ewolucji Tadeusza Brezy czy Wojciecha Żukrowskiego, Stanisława Zielińskiego lub Wilhelma Macha.

Od subiektywnego psychologizmu, od naturalistycznych i ekspresjonistycznych nawarstwień pisarze ci przebyli niełatwą wędrówkę do swych ostatnich utworów. Uczta Baltazara, Dni klęski czy reportaże wietnamskie, Jeszcze Polska i Jaworowy dom — są to pozycje różnorodne w swych cechach indywidualnych. A przecież zbliża je nawzajem do siebie wspólny wysiłek i troska o czystość artystycznego wyrazu i polityczną jednoznaczność. Kto zna poprzednie książki tych pisarzy, nie obroni się przed wrażeniem, że przemiany stylistyczne dokonały się w ich twórczości za sprawą nie tylko formalną. Działała tu siła nadrzędna, której podporządkowują się i służą środki pisarskie, rzemiosło i styl. Tą siłą nadrzędną, promieniującą na wyobraźnię naszych artystów jest twórcze i mądre bogactwo życia Polski Ludowej, wspaniałość jej budownictwa i sprawiedliwość toczonej walki.

Możemy jasno stwierdzić, że w owym okresie, ogłaszanym przez kuluarowych „obrońców wolności" jako lata upadku sztuki, nie zabrakło dzieł prawdziwie cennych, wnoszących istotnie nowe wartości, i przede wszystkim te utwory nadawały ton, wpływały na naszą praktykę literacką. Świadczy to o potężnej, twórczej dynamice życia w naszym kraju, dzięki której niejeden pisarz poprzez trudne próby tych lat odbywał rzetelną drogę rozwojową, hartując swój talent i ideologię.

Dlatego mylą się ci, co z obecną dyskusją wiążą nadzieje porzucenia wybranego przez nas kierunku. Jest to naiwne oczekiwanie kibiców i plotkarzy, którzy przycupnęli na uboczu, śledząc, kto wreszcie wygra, a kto odpadnie. Mamy wszelką pewność nie tylko co do tego, że walka o realizm socjalistyczny będzie trwała nadal, lecz również, że znacznie poszerzy się krąg twórców, którzy wezmą w niej udział. Wierzymy w naszych pisarzy, w moralne, uczuciowe złoża ich talentów. Jedną z najbrzydszych przywar naszej krytyki literackiej był karcący i pouczający, a w najlepszym razie obojętny stosunek do twórczości artysty jako do wysiłku moralnego, do walki wewnętrznej o wyższy stopień uczuć i pojmowania. Niejeden pisarz musiał toczyć tę walkę w osamotnieniu, niejeden dojrzewał bez pomocy krytyki, a mimo to nie nasiąknął goryczą, nie umilkł, nie zabrnął w ślepy zaułek. Niejeden również pisarz zdawał sobie sprawę, że sekciarskie, obce istocie partyjności usztyw-

nianie literatury — to woda na młyn dla przeciwników socjalistycznej sztuki; i było tak rzeczywiście. Ale jeśli dziś z krytyką tych usztywnień ktokolwiek wiąże nadzieję na odwrót ideologiczny, na sztukę rozkiełznaną z dyscyplin socjalistycznej myśli i moralności — tego możemy zapewnić, że właśnie ci pisarze przeciwstawią mu się jak najostrzej.

*

Wypowiedzi w ankiecie Nowej Kultury, ogłaszane od kilku miesięcy, rzucają znamienne światło na wiele ewolucji, przełomów, konfliktów i dramatów pisarskich. W ankiecie zabierają głos pisarze, których drogi ideowe i twórcze w ciągu ostatnich lat układały się bardzo rozmaicie. Czytaliśmy m. in. wypowiedzi Zofii Nałkowskiej, Gustawa Morcinka, Jarosława Iwaszkiewicza, Pawła Jasienicy, Stefana Otwinowskiego, Antoniego Gołubiewa, Tadeusza Brezy, Jerzego Zawieyskiego, Michała Rusinka... Myśli i przeżycia niejednego z tych pisarzy nie były dla nas oczywiste, gdyż ubiegłe lata raczej porzuciły zwyczaj publikowania wyznań i refleksji. Wśród wypowiedzi zdarzają się akcenty gorzkie i bolesne. Szczerość pewnych oświadczeń jest przejmująca. Wielu krytyków powinno wysnuć z nich wnioski i zrewidować swój stosunek do artysty jako istoty żywej, wrażliwie reagującej na zjawiska i wyposażonej w skomplikowane treści psychiczne. Co najbardziej uderza w tych głosach — to głęboka świadomość przemian zachodzących w kulturze i życiu naszego narodu; powaga i troska w potraktowaniu osobistego udziału pisarza w zasadniczych procesach rozwojowych społeczeństwa i sztuki; zrozumienie historycznej wagi społeczno-gospodarczych osiągnięć polskiej klasy robotniczej; solidarne przywiązanie do pokojowych form współżycia między narodami.

Niejeden z pisarzy, którzy zabrali głos w ankiecie Nowej Kultury, milczał na ostatnich Zjazdach Związku Literatów i rzadko publikował swe poglądy w ciągu minionych lat. Niejeden czuł się zapewne odepchnięty, niepotrzebny i w walce o socjalistyczną literaturę nie widział dla siebie miejsca. Jeśli tak rzeczywiście było, poważna w tym nasza wina. Pochopnie, lekkomyślnie przeprowadzono schematyczne równanie, które ukazywało nasze środowisko literackie jako kilkanaście postaci białych, kilka czarnych i garść epizodycznych bez większego znaczenia; a wszystko to urodzone w roku 1945. Nic więc dziwnego, że na mocy takiego równania nowele Iwaszkiewicza mogły się wydać spóźnione w stosunku do osiągnięć Ścibora-Rylskiego, a ukochane przez dzieci wiersze Brzechwy — szkodliwe pod względem wychowawczym i antyhumanistyczne. Nie pomyślano o wielorakich genealogiach twórczych, o różnych etapach rozwoju ideologicznego i odległych nieraz formacjach społeczno-artystycznych, dzielących tych czy innych pisarzy. Po prostu zaszufladkowano ich w ciasnych przegródkach systemu fałszywych sugestii.

A przecież nie wolno zapominać, że istotą naszego życia jest nieustanny rozwój świadomości; że wraz z nami odbywają drogę ludzie, którzy ją rozpoczynali z dalekich niekiedy stanowisk; że w każdym momencie naszej walki mamy obowiązek ogarniać szeroki front artystów, zbliżających się niejednakowym krokiem do wspólnego celu. Udział tych pisarzy w tworzeniu kultury narodowej, ich praca i twórczość, są dla nas potrzebne i cenne. Liczymy na ich dobrą wolę i wiarę, na ich doświadczenie i talent, na przywiązanie do prawdy i bogactwa życia w Polsce Ludowej. W pojęciu socjalistycznej kultury, w metodzie realizmu

socjalistycznego mieszczą się tak niezmierne i piękne wartości, że — wierzymy w to niezachwianie — zrozumie je każdy, kto istotnie chce służyć swym piórem dobrej sprawie człowieka i narodu.

I jesteśmy pewni, że nie brak wśród nas pisarzy, którzy — nawet jeśli próby ostatnich lat były dla nich ciężkie — będą swoją drogę nadal odbywać wraz z nami. Życie naszego narodu obfituje bowiem w potężne argumenty, których żaden uczciwy artysta nie odrzuci. W naszym kraju dokonują się decyzje i czyny olbrzymiej wagi dziejowej, które sprawę człowieka podniosły wysoko ponad przeszłość i teraźniejszość, do sfery wielkich marzeń, marzeń socjalistycznych, urzeczywistnianych co dnia w Polsce Ludowej.

Wobec tych zjawisk, tak realnych i oczywistych, wyobraźnia pisarza nie może pozostać obojętna. Jeśli zaś je podejmie, będzie rósł wraz z nimi. Są to wielkie tematy życia i gdy podźwignie je prawdziwy artysta, one z kolei wysoko dźwignią jego sławę. Oto wielka szansa, jaką literatura socjalistyczna daje pisarzowi: szansa narodowego pisarstwa o olbrzymim, ogólno-społecznym zasięgu oddziaływania.

W ostatnich dyskusjach o literaturze dało się odczuć pewne wyczerpanie. I to charakterystyczne: zbiegło się to z ożywieniem samej twórczości literackiej, jakie obserwujemy od dwóch lat, zwłaszcza w prozie. O czym to świadczy? Czy o tym, że teoretyczne dyskusje nie sprzyjają rozwojowi twórczych doświadczeń pisarskich? Na pewno nie. Świadczy to tylko o tym, że w ubiegłym okresie nasze dyskusje literackie zaczęły się odrywać od najistotniejszych zagadnień kultury i życia; o tym, że zaczęły trącić pseudomarksistowskim doktrynerstwem. Pisarze w tym czasie zaufali raczej swym osobistym obserwacjom i coraz częściej zaczęli się zwracać ku realistycznym poszukiwaniom, do rzeczywistej i sprawdzalnej praktyki życiowej. Z doraźnych zrazu i sporadycznych wypadów w teren, z „wycieczek do rzeczywistości", zaczęły się stopniowo nawiązywać ściślejsze i trwalsze kontakty, aktywna działalność społeczna, udział w ruchu Obrońców Pokoju, w Komitetach Frontu Narodowego, liczne spotkania i dyskusje z czytelnikami — wszystko to stworzyło szeroką dziedzinę związków pisarza ze współczesnym życiem.

W tym samym czasie nasza prasa literacka zajmowała się rozstrzyganiem takich alternatyw, jak: „tematyka socjalistyczna czy obrona warsztatu?", „literatura inteligencka czy produkcyjna?", „epika czy powiastka filozoficzna?", „liryka czy wiersz polityczny?". Środowisko literackie coraz mniejszą wagę przywiązywało do tych dość jałowych, pozornych przeciwstawień i sporów. Nie oznaczało to jednak upadku zainteresowań teoretycznych wśród naszych pisarzy. Pamiętamy, jak wielkie wrażenie wywarła w kołach literackich praca Józefa Stalina o językoznawstwie czy fragmenty referatu Malenkowa na XIX Zjeździe, dotyczące zagadnienia typowości, i wreszcie pierwsze odgłosy wielkiej dyskusji o sztuce i literaturze, toczącej się do dziś w środowisku artystów radzieckich.

Rzecz jasna, że dyskusja rozwijająca się w nurcie centralnych zagadnień socjalistycznej kultury jest głęboką potrzebą każdego twórcy. I dyskusja taka trwała przez cały ten czas, aczkolwiek nie zawsze znajdowała wyraz w publicznych wypowiedziach. Trwała w postaci rozmów i rozmyślań, nieraz toczył ją pisarz sam ze sobą, często można ją było wytropić poprzez konfrontację kilku utworów pisanych w różnych okresach ręką tego samego autora; i oczywiście, jak zawsze, zwul-

garyzowane jej echa brzmiały w kuluarach.

Przyczyna tej niejawności tkwiła w tym, że oficjalny program naszej krytyki przez długi czas bronił wąskich, abstrakcyjnych kategorii ocen, mimo iż sformułowania czołowych ideologów naszego obozu, a także dojrzewająca świadomość artystów rozsadzały je coraz nieuchronniej.

Taki stan rzeczy nie mógłby potrwać długo. Nienaturalne rozchylenie między systemem założeń i ocen a ideologią i twórczością ma prawo istnieć wszędzie indziej, tylko nie w kraju socjalistycznym. Zasadą naszego życia powinna być wzajemna przenikliwość idei i dzieła, żywa, nieprzerwana więź między materią, myślą i twórczością. Wszystko, co martwe i nieprzydatne, co abstrakcyjne i oschłe, musi się wreszcie wykruszyć i zniknąć z naszego pola.

Ale przecież nie nastąpi to samo z siebie, bez twórczego udziału pisarzy. Musimy głęboko rozważyć dalszy kierunek naszych wspólnych wysiłków, zbliżyć się wyobraźnią do wizji literatury rozumnej i pięknej, która by potrafiła prawdziwie ukazać rzeczywistość, mądrze kształtować myśli i uczucia ludzkie, dobrze służyć sprawie przyszłości. Musimy uprzytomnić sobie i innym, jak pojmujemy literaturę realizmu socjalistycznego i jak będziemy o nią walczyć.

*

Każda prawdziwa sztuka wszędzie i we wszystkich epokach rodziła się z głębokiej wiedzy o życiu, o losach ludzkich, o przyczynach złej doli człowieka. Ale równorzędnym jej źródłem była zawsze idea porządkująca obserwacje i doświadczenia artysty, idea wszechobecna w jego poznawaniu, za której sprawą materiał życiowy ulegał selekcji i hierarchii, a treść dzieła sztuki stawała się wymowna. Idea ta przenikała kompozycję, wiązała elementy, wcielała się w utwór, nadając mu jedność materiału i myśli, szczegółu i całości — ową upragnioną jedność związków i przeciwieństw, jaka cechuje każde dzieło artystyczne.

Ostatnio coraz rzadziej używamy słowa „talent"; może dlatego, że niektórzy krytycy sądzą, iż określenie to pachnie kontrrewolucją. Ale talent nie jest przecież dla nas pojęciem magicznym. W pojęciu talentu mieści się nie tylko sztuka tworzenia plastycznych obrazów i postaci — zawierają się w nim pierwiastki uczuciowe i moralne; nie tylko styl, ale i światopogląd; nie abstrakcyjny dar kształowania materiału, lecz wola wyrażenia poprzez ukształtowany materiał tego, co myśli i czuje artysta.

Talent — mówiąc zawile — jest to ów harmonijny układ świadomości i wyobraźni, dzięki któremu artysta może na materiale życiowych obserwacji ukazać to, co sądzi o świecie i czego od świata żąda.

Ale i świat osądza artystę. Osądza go miarą swych idei. W rozwoju ludzkości również spoczywają złoża moralne i filozoficzne; dzieło postępu tworzy się poprzez zmaganie sił wytwórczych z siłami nienawiści i ciemnoty. Z walki tej wyrastają idee humanizmu i wolności, służące ludziom i narodom. I tylko z takich idei rodzi się wielka sztuka. I one jedynie podnoszą artystę do godności prawdziwego twórcy; tylko w ich kręgu bowiem talent staje się skupionym odbiciem najpłodniejszych wyobrażeń, doświadczeń i wysiłków narodu. Dzieje się zatem tak, że naród daje artyście do rąk podwójny skarb: swoją wiedzę o życiu i swe najlepsze idee; żąda wszakże od niego, aby powierzoną mu wiedzę wykorzystał dla dobra tych najcenniejszych idei; żadnego ze skarbów zmarnować

mu nie wolno. Jeśli będzie to prawdziwy artysta, spełni ów warunek. I wówczas naród umieści jego dzieło w skarbnicy swych doświadczeń, by z niego z kolei czerpać nową wiedzę o życiu i nowe twórcze myśli. Nie jest to mit ani legenda, lecz bardzo stara prawda, o której warto pamiętać.

Warto, zwłaszcza dzisiaj. Wiedza o życiu, którą dziś zdobywa pisarz, jest wiedzą nową, nie zawsze łatwo dostępną. Są to trudne, surowe prawdy i częstokroć nieforemne jeszcze zjawiska. Nasza rzeczywistość powstaje z ludzkich sił, jest procesem przemieniania myśli w materię i oddziaływania stworzonej materii na rodzącą się myśl.

I tylko w tym świecie — w twórczym aktywnym kręgu przemian i wzajemnych związków — zdobywa swą wiedzę o życiu współczesny pisarz. Nie może być biernym obserwatorem, gdyż wtedy istota zjawisk pozostanie dlań niewidzialna. Istotą zjawisk naszego życia jest ich dynamika, ich siła kierunkowa; ujrzeć ją i odczuć może jedynie artysta, którego wyobraźnia kierowana jest tą samą siłą, tą samą ideą walki i rozwoju. Powinien widzieć rzeczy w najszerszym wymiarze, zakres jego poszukiwań nie może być ograniczony. Nie ma prawd zakazanych dla socjalistycznego artysty; tworzy on socjalistyczną hierarchię ich wartości. Nie ma dlań również prawd zbyt małych; należy mu pozostawić ich selekcję. I nikt nie może pisarza w tym wyręczać. Nieskrępowany zasięg realistycznej wyobraźni, najszerszy krąg realistycznych doświadczeń, poszukiwań i obserwacji współczesnego życia w perspektywie socjalistycznej ideologii — oto, jak mi się wydaje, nasza droga.

Nie są to recepty, lecz tylko uwagi do dyskusji. Nie ma zapewne recepty na realistyczną wyobraźnię ani na realistyczne obserwacje, ani na to, jak ideologia ma się wyrażać w dziele literackim. Można się jednak nad tymi sprawami zastanowić.

Co to jest wyobraźnia realisty? Czy oznacza to kojarzenie faktów w granicach rzeczywistości? Nie sądzę. Realistyczna wyobraźnia może się wznosić nawet do fantastycznych skojarzeń, ale muszą one być umocowane na rzeczywistym, historycznym gruncie. Dzieje Robinsona Kruzoe — to wspaniała fantastyka, a jednak wyrażają się w nich obiektywne procesy wczesno-kapitalistycznego społeczeństwa. Skrót, metafora, wyjaskrawienie — to cechy realistycznej wyobraźni, podnoszące na stopień typowości zjawiska, które w powszednim obiegu pojęć wydawały się nieraz urojone czy dziwaczne. Postać Don Kichota była dla współczesnych pociesznie osobliwa, ale dla nas stała się typowa, jako metaforyczny, przesadny skrót, ukazujący pogranicze dwóch epok. Julian Sorel był w oczach Sainte Beuve'a diabelską, pokręconą figurką, zamieszaną w intrygi lokajów; w istocie był przeczuciem dwóch rewolucji. A Cziczikow? Jakaż to typowość? Były urzędnik, handlujący martwymi duszami! To prawda, ale w tej wyjaskrawionej metaforze odbił się gnijący świat carskiego feudalizmu. I Cziczikow stał się typowy. Tak więc za sprawą realistycznej wyobraźni powstają fikcje. Ale procesy rzeczywiste czynią te fikcje wiarygodnymi; i odwrotnie: fikcje realistycznej wyobraźni nadają wiarygodność procesom rzeczywistości i z kolei zaczynają je kształtować.

Podane przykłady należą do wielkich, minionych epok literatury. A przecież wymownie świadczą o pewnych cechach zjawisk, które nas dziś

szczególnie interesują. Z czterech wymienionych dzieł dwa przynajmniej zostały jako wyraz protestu pisarza przeciw otaczającemu go światu. Niektórzy sądzą, iż w walce o socjalistyczną literaturę, która ma potwierdzać wiarę w naszą rzeczywistość, nie należy odwoływać się do epoki realizmu krytycznego, wyrosłej z negacji praw rządzących ówczesnym społeczeństwem. Nie wydaje się to słuszne. Dzieła dziewiętnastowiecznego realizmu były zrodzone z głębokiej wiedzy o życiu, z humanistycznych doświadczeń i nieustraszonego poznania; uczyły patrzeć na rzeczywistość poprzez wielkie uczucia i racjonalistyczne idee. Nowatorstwo współczesnej literatury nie może być oderwane od tych zaszczytnych tradycji. Pisarz dzisiejszy powinien kształcić w sobie ową umiejętność dalekowzrocznego widzenia i śmiałość wyobraźni. Powinien poznawać coraz głębiej i prawdziwiej życie swego narodu, tak jak poznawali je wielcy mistrzowie ubiegłych stuleci. Pisarz socjalistyczny, pisarz-ideolog, potrafi w powikłanej gęstwinie trudnych zjawisk współczesnego życia dokonać hierarchii prawd i wówczas to, co wydaje się bezkształtne i surowe, uzyska ów stopień przejrzystości, tak urzekający w dziełach klasyków. Ale by to osiągnąć, nie trzeba wytyczać socjalistycznemu artyście d o z w o l o n e g o z a k r e s u poszukiwań i doświadczeń. Prawdziwe uczucia wymagają ryzyka i odwagi. Za prawdziwe uczucia bierze się pełną i niepodzielną odpowiedzialność. Literatura zrodzona z uczuć socjalistycznych nie może się wyrzec prawa do eksperymentu, które w istocie nie oznacza nic innego, jak tylko prawo do wyobraźni i do odpowiedzialności artysty za swoje dzieło. Takiej samej, jaką ponosili Gorki i Majakowski, jaką ponoszą Szołochow i Gładkow, Howard Fast, Aragon i Pablo Neruda. Każda wielka sztuka wyrasta z miłości do ludu i wiary w życie; są to uczucia, którym należy zaufać. One to dają przewód twórczym, śmiałym ideom i wysoki lot wyobraźni; z nich wywodzą się dzieła Mickiewicza, Prusa, Orzeszkowej, Żeromskiego. Odwołując się do tradycji i walcząc o nowatorstwo, warto i o tym pamiętać, że istnieją pewne wartości, dawno już przez ludzkość ocenione, które tylko artysta potrafi stworzyć i nikt go w tym nie zastąpi.

*

Powyższe uwagi służą jako materiał do rozważań. Związki między ideologią a wyobraźnią, między realistyczną fikcją a obiektywną rzeczywistością, wiedza artysty o współczesnym życiu — są to dziś dla nas żywe zagadnienia. Literatura realizmu socjalistycznego powstaje przecież na gruncie zdobytych doświadczeń, a więc jej nowatorstwo powinno służyć rozwojowi także i w oparciu o szeroką, nieuszczuploną świadomość procesu artystycznego tworzenia. Dlatego warto by się zastanowić, jak pisarz współczesny włada i korzysta z dziedzin przypadłych mu w udziale i jakie napotyka w tym trudności.

Dość jeszcze powszechne jest mniemanie, że pisarze dzisiejsi nie mają związków z życiem i że schematyzm jest wyłączną winą pisarzy, którzy od życia się izolują. Jeśli byłoby w tym ziarno prawdy, to należy pamiętać, że trudności, jakie napotyka dzisiejszy artysta w poznaniu współczesnego życia, nie wynikają bynajmniej z chęci izolacji, lecz z przyczyn o wiele głębszych. A schematyczną powieść można także napisać o środowisku, które się zna najlepiej, na przykład o Związku Literatów, i na pewno napisaliby ją autorzy powieści o papierze i cukrze.

Trzeba przede wszystkim zdać sobie sprawę z tego, że inaczej zdobywał wie-

dzę o życiu pisarz dziewiętnastowieczny, a inaczej pisarz w kraju budującym socjalizm. Klasycy realizmu krytycznego wyrastali w świecie ukształtowanym w ciągu stuleci, zastawali rzeczywistość o niewzruszonej hierarchii, o wiekowych instytucjach i obyczajach. Był to świat identyczny z doświadczeniem osobistym pisarza, świat, stanowiący jego klasę, rodzinę, najbliższe sąsiedztwo i tak stabilny w swym zewnętrznym układzie, że powieść o wydarzeniach sprzed lat pięćdziesięciu pozostawała nieraz powieścią współczesną, jak to miało miejsce na przykład z W o j n ą i p o k o j e m. Minęło pół wieku, lecz świat Bołkonskich i Bezuchowych przez te pół wieku niewiele się zmienił i życie Karenínów po pięćdziesięciu latach toczyło się w tych samych warunkach.

Tymczasem w naszych latach jest nieco inaczej: powieść o wydarzeniach roku 1947 już w roku 1952 staje się powieścią historyczną. Czas socjalistyczny prześciga wyobraźnię pisarza. Instytucje naszego życia ulegają szybkim przemianom, obyczaje nie osiągnęły jeszcze pełnych, skrystalizowanych form. Wszędzie trwa walka o nowe, wszędzie wykrusza się stare, jakże trudno uchwycić cechy współczesnego człowieka, jego myśli i wyobrażenia, wszystko przecież kształtuje się w ciągłym rozwoju, wszystko dopiero się staje!

I właśnie dlatego trudną wiedzę o życiu współczesnym musi dzisiejszy pisarz zdobywać w szerokim zakresie nieskrępowanych, wielorakich i trwałych doświadczeń, których nie należy mierzyć doraźną, pospieszną oceną, lecz miarą zaufania i cierpliwości. Pamiętajmy też o tym, że książki Czeszki, Newerlego, Putramenta, Bobińskiej, Broniewskiej, Pasternaka, Zielińskiego, Macha, Wygodzkiego i inne, które tematycznie wiążą się z okresem przedwojennym czy wojennym — wyrosły z doświadczeń związanych z teraźniejszym życiem naszego kraju. Często bowiem artysta przenosi świeże owoce swych przygód wewnętrznych na obszary przeżyć dawniejszych, w których dojrzewała jego obecna świadomość. W ten sposób nieraz spłaca się dług swojej przeszłości, porządkując ją we własnym sumieniu.

Możemy zresztą bez przesadnego optymizmu stwierdzić, że wielu naszych pisarzy pogłębiło swoją znajomość współczesnego życia i mimo że nie znalazło to jeszcze pełnego wyrazu w twórczości bieżącego okresu, ostatnie jednak powieści Marii Jarochowskiej i Tadeusza Konwickiego (pierwsza znana we fragmentach, druga wydana już w druku), świadczą o tym, że niewidzialna zapora, dzieląca częstokroć wyobraźnię pisarza od teraźniejszości, została obalona. W obydwu tych powieściach, niezależnie od tych czy innych zastrzeżeń, jakie być może wzbudzą, życie naszego kraju jest pierwszą materią utworu, jego naturalną, nieprzymuszoną treścią, ukształtowaną przez prawdziwe doświadczenia.

Inne jeszcze oznaki pozwalają sądzić, że znajdujemy się w okresie przełamywania trudności, jakie napotykała wyobraźnia artysty w obliczu nowej tematyki. Pisano parę lat temu o charakterystycznym podziale na „prawą i lewą rękę", cechującym naszą twórczość literacką. Wielu pisarzy władało znakomicie dziedziną obserwacji, przekazaną przez tradycję (była to prawa ręka), natomiast potraktowanie zjawisk nowych odznaczało się jakby niedowładem (była to ręka lewa). Postacie, sytuacje i wątki o wymowie krytycznej dawały nieraz okazję autorowi do mistrzowskiego popisu; inne postacie i wątki, w których miały się zawrzeć pierwiastki „nowego", w tej samej powieści wychodziły blado, jak

gdyby świadcząc o dwóch nierównych sobie talentach jednego pisarza. Była to w istocie nierówność doświadczeń, w pierwszym wypadku popartych przez wypróbowane dziedzictwo literackie, w drugim — całkowicie świeżych, wobec których dojrzały nawet pisarz stawał się debiutantem. Podział ten groził podziałem daleko niebezpieczniejszym: podziałem naszej literatury na twórczość „prawej ręki", wytrawną, umiejętną, ale unikającą współczesnego tematu, i twórczość „lewej ręki" — ambitnie sięgającą do problematyki socjalistycznej, lecz nieudolną, surową. Nie omieszkano w tej mierze szerzyć kuluarowych sugestii, przedstawiających ów podział jako nieunikniony; jeszcze krok dalej, a można było odstraszyć niejednego pisarza od tematyki współczesnej. I tego również nie zaniedbano, posługując się przy okazji smakowitym doborem argumentów politycznych. Możemy jednak dziś spokojnie stwierdzić, że takie niebezpieczeństwo naszej literaturze nie grozi. Podział na „prawą i lewą rękę" zaciera się w naszych oczach. Któż by na przykład w dwóch książkach: U c z c i e B a l t a z a r a Brezy i W ł a d z y Konwickiego — rozpoznał dwóch autorów, których jeszcze niedawno przeciwstawiano sobie nawzajem jako antypodów: reprezentanta psychologistycznej literatury inteligenckich przedwrześniowych porachunków — ambitnemu przedstawicielowi literatury produkcyjnej, związanej najściślej ze współczesnością. Dziś obydwaj pisarze spotkali się w tym samym kręgu tematów, a różnic cechujących ich twórczość nie dałoby się w żadnym razie określić jako różnicy między „prawą" i „lewą" ręką. Jest to jeden z wielu możliwych przykładów, świadczących o tym, jak wspólność nowych doświadczeń znosi nieistotne, przemijające podziały między pisarzami, którzy rzetelnie szukają dróg do socjalistycznej literatury. Ale — i o tym musimy pamiętać — wspólność nowych doświadczeń nie oznacza jednolitości środków. Związki między ideologią, wyobraźnią i stylem były u nas przedmiotem dość licznych dyskusji, nie wyciągnięto z nich jednak dostatecznych wniosków. Zbyt często wyraz ideologii w dziele sztuki utożsamiano u nas z sumą elementów, ilustrujących logicznie i literalnie tezy polityczne, zwłaszcza aktualne w danym okresie. Środki artystyczne, obrazowanie i styl na niejednym biurku redaktorskim ulegały rygorom jednolitego schematu: żołnierz przed atakiem na wroga nie miał prawa powiedzieć pieprznego dowcipu, bohater pozytywny mógł umrzeć tylko w ostatnim rozdziale i to po spełnieniu określonych warunków. Gdzie więc miejsce na indywidualną wyobraźnię i styl? Gdzie tu w ogóle miejsce na indywidualność? Przyznajmy otwarcie: jeśli pisarz ulegał tym schematom, nienajlepiej to o nim świadczyło.

I znów niezmienny wniosek: jeśli chcemy stworzyć socjalistyczną literaturę, tak różnorodną i bogatą, jaką dali Gorki, Szołochow, Leonow, Majakowski, Erenburg, Broniewski i Nazim Hikmet, sztukę piękną, barwną i walczącą, jaką stworzyli Wachtangow i Pudowkin, Guttuso i de Sica — sztukę, w której wielorakie cechy talentów zespoliłyby się w najwyższej jedności uczuć, jeśli istotnie chcemy taką sztukę stworzyć, powinniśmy zezwolić socjalistycznemu artyście na własny indywidualny dobór środków wyrazu.

Czyż to oznacza, że nasze poszukiwania są wolne od wszelkich niebezpieczeństw? Nie należy tego tak rozumieć. Socjalistyczna literatura ma swych natrętnych i wcale nie łatwych do zwalczenia wrogów. Jednym z nich, a zapewne najbardziej niebezpiecznym, jest naturalizm. Istnieje opinia, że nie lubi-

my naturalizmu, ponieważ kryją się nim tendencje do oczerniania naszego życia. Słyszałem nawet powiedzenie, że ilekroć przed spółdzielczymi sklepami zaczynają zbierać się ogonki, ogłaszamy walkę z naturalizmem w sztuce. Jest to może dowcipne spostrzeżenie, ale niezupełnie sprawiedliwe. Naturalizm ma rozmaite wcielenia; bywa naturalizm pogodny; pesymizm i ukazywanie życia od najczarniejszych stron nie stanowią jego jedynej kwalifikacji. Walczymy z naturalizmem z a s a d n i c z o, jako z fałszywym widzeniem rzeczywistości, jako z zamąceniem ideologicznej hierarchii prawd; jest to sztuka krótkowidzów, którzy nie potrafią ogarnąć wzrokiem procesów rozwojowych społeczeństwa, a tylko umieją dostrzec tkankę poszczególnych zjawisk; którzy nie są zdolni ujrzeć człowieka w dramacie jego społecznych losów i politycznej walki, potrafią go jedynie ukazać w odruchach i instynktach. Walczymy z naturalizmem jako z wypaczonym dziedzictwem realizmu krytycznego, po którym wziął e l e m e n t y, ale humanistyczną, postępową treść — przeoczył.

Użyłem poprzednio wyrażenia, że schematyzm — to „naturalizm na opak". W tym nienaukowym, dalekim od IBL-owskiej precyzji sformułowaniu, jest — jak mi się zdaje — odrobina sensu. Naturalizm i schematyzm, aczkolwiek tak do siebie nie podobne, to jednak rodzeni bracia zrośnięci plecami. Co ich łączy? Ułomna perspektywa w ukazywaniu rzeczywistości. W naturalizmie ułomność ta wynika z fałszywej hierarchii zjawisk i procesów społecznych; schematyzm zaś — odwrotnie — ukazuje wprawdzie prawidłową (czasem zanadto prawidłową) hierarchię zjawisk, ale tylko hierarchię, nic więcej. Czyli innymi słowy: n a t u r a l i z m — t o m a t e r i a ł ż y c i o w y p o d d a n y f a ł s z y w e j i d e i p o r z ą d k u j ą c e j; s c h e m a t y z m z a ś — t o s ł u s z n a i d e a p o r z ą d k u j ą c a, o d e r w a n a o d m a t e r i a ł u ż y c i o w e g o.

Ponieważ walczymy o pełne, bogate widzenie rzeczywistości, a dać je może tylko szeroka wiedza o społeczeństwie i ścisłe ideowe związanie z życiem narodu, każde więc jednostronne ukazywanie świata jest dla nas kłamstwem — artystycznym i ideologicznym.

Pisarz współczesny powinien umieć wykrywać polityczne, ideowe cechy faktów, ukazywać ideologię na materiale zdarzeń. Ale musi mieć tyleż umiejętności w opisie uczuć i spraw ludzkich, stanowiących powszednią, intymną treść życia. Nie sztuczna konstrukcja polityczna powinna być zadaniem jego wyobraźni, nie literalna ilustracja procesów wykrytych przez marksistowską wiedzę o społeczeństwie, lecz tworzenie obrazów i skojarzeń, nasyconych doświadczeniem życiowym i głębokim przeżyciem ideologicznym. Tak pojęta wyobraźnia socjalistycznego pisarza ma zakres nieograniczony. Może sięgać do rzeczy drobnych, do obserwacji najbardziej osobistych, nie tylko do centralnych zagadnień naszego życia. Wielkie fikcje realistyczne nie zawsze p r z e d s t a w i a j ą zasadnicze konflikty współczesności, lecz mimo to p o t r a f i ą j e w y r a ż a ć. Wiele nowel Prusa, Sienkiewicza, Orzeszkowej — ukazywało z pozoru peryferyjne, jak gdyby przypadkowe sytuacje, w których jednak odbijały się refleksy obiektywnych procesów społecznych. Przykłady? S i e r o c a d o l a, C h a m, B a r t e k Z w y c i ę z c a, M i c h a ł k o...

W pięknym opowiadaniu Ż o ł n i e r z g o s p o d a r z e m udało się Bogdanowi Czeszce osiągnąć owo jakby przypadkowe skupienie faktów i okoliczności, w których zawarł się

ostry refleks przemian moralno-społecznych człowieka w Polsce Ludowej. W wierszach lirycznych Wisławy Szymborskiej wyobraźnia poetki rzadko sięga do tematów budownictwa i walki klasowej. Wiersze te jednak nasycone są bogatym zasobem nowych uczuć i prześlicznych skojarzeń, które lepiej uczą kochać nasze życie niż niejeden wiersz o produkcji ciężkiego przemysłu, napisany na zamówienie wydawnictwa.

Pamiętajmy wszakże o jednym najważniejszym: że wyobraźnia, doświadczenie, wiedza o życiu, jakimi rozporządza pisarz współczesny, płyną z potężnych źródeł bytu i walki naszego narodu, które w stosunku do sumienia artysty stanowią wartość nadrzędną. Odrywać od nich wyobraźnię i doświadczenie — to skazywać się na artystyczną nicość. Dlatego postawa upatrująca w konflikcie artysty centralny konflikt teraźniejszości, wznosząc sumienie pisarza ponad społeczną, narodową problematykę naszego czasu — taka postawa może być jedynie zalążkiem gorzkich dramatów twórczych i przyczyną najcięższych rozczarowań.

*

Po długim okresie prób i walk o środki wyrażenia nowych treści, po latach skromnych zwycięstw i ambitnych zamierzeń, nasza młoda literatura poczuła pod stopami twardszy grunt. Kiedy i jak to się stało? Stawało się od dość dawna. Przełomy nie następują z dnia na dzień. Ostatnie lata przyniosły pisarzom sporo prostych ale ważnych odkryć. Odkrycia te tyczyły zwłaszcza postaci ludzkich w sztukach i powieściach. Stało się jasne, że literatura socjalistyczna nie może się wyrzec zdobytej już i niezaprzeczalnej wiedzy o człowieku i że mądrość polityczna utworu musi się wywodzić z pełnej, nieuszczuplonej sumy wiadomości o sprawach ludzkich naszego czasu. Nieraz do tak oczywistych zdawałoby się stwierdzeń długo trzeba docierać.

Ale przecież nie zdarzyło się to przypadkiem i nie jest przypadkiem, że ów długotrwały proces zbiegł się w pewnym momencie z IX Plenum KC PZPR. I nie jest także przypadkiem, że głos IX Plenum potwierdził pisarzom słuszność nowozdobytych pozycji świadomości twórczej. Świadczy to o tym, że życie naszej literatury mocno się wiąże z życiem narodu i Partii. Człowiek, szeroki zakres jego potrzeb duchowych i materialnych, życie ludzkie w codziennym, powszednim przebiegu, stan jego dóbr, bilans braków, szacunek dla indywidualnych pragnień — wszystko to w perspektywie niezmiennych celów klasy robotniczej i Partii — postawiło przed nami IX Plenum. Ożywienie twórcze, jakie w tym okresie dało się odczuć w środowiskach artystycznych, nie było przelotne. Pisarze, plastycy, ludzie teatru odczuli w tezach partyjnych swoje własne doświadczenia; każdy niemal w uchwałach IX Plenum a potem II Zjazdu odnalazł najistotniejszy sens przemyśleń, z którymi długo się porał; każdy wówczas zrozumiał, iż w trudnych chwilach nie był sam i że właśnie poprzez te chwile dojrzewał.

Rezultaty owego ożywienia twórczego nie dały na siebie czekać: już dzisiaj nie trudno je dostrzec. Możemy stwierdzić wiele oznak świadczących o przypływie nowej fali twórczości związanej z tematyką współczesną, twórczości prawdziwie artystycznej i pełnej świeżych, głębokich przeżyć, wyrosłych z szerokiej dziedziny doświadczeń. J u l i u s z i E t h e l Leona Kruczkowskiego, T r z e c i a j e s i e ń Marii Dąbrowskiej, ostatnie utwory Jarosława Iwaszkiewicza; nowe opowiadania Bohdana Czeszki, Wojciecha Żukrowskiego, Jerzego Bro-

szkiewicza, Stefana Otwinowskiego; fragmenty powieści Jerzego Putramenta, Władza Konwickiego i Jaworowy dom Macha, przygotowywane nowe prace Boguszewskiej, Kornackiego, Stanisława Dygata, Witolda Zalewskiego, wciąż twórcze warsztaty poetyckie Leopolda Staffa (autora Wiklliny, nowego tomu pięknych, mądrych wierszy), Władysława Broniewskiego, Jarosława Iwaszkiewicza, Antoniego Słonimskiego i Mieczysława Jastruna, wiersze Piętaka, Kamieńskiej, J. Wyki, Międzyrzeckiego, Woroszylskiego, Kubiaka, Słuckiego, Różewicza, Wirpszy, Mandaliana, twórczość Brzechwy, Minkiewicza, Mitznera, Marianowicza, Wiecha, jak również ciekawa powieść satyryczna Tadeusza Kwiatkowskiego; liczne zapowiedzi przyszłych prac, anonsowane w głosach ankietowych — wszystko to daje podstawę do nadziei, że pisarze kilku pokoleń, którzy w ciągu lat dziesięciu odbywali niełatwą i niejednolitą drogę twórczą, dzisiaj, każdy na miarę swojej wyobraźni i uczuć, ofiarują najlepszy wysiłek, by stworzyć szereg dzieł mówiących pięknym językiem sztuki o ludziach i rzeczach ludzkich w naszym kraju.

Będziemy oceniać te dzieła miarą ich pożytku dla Polski Ludowej i klasy robotniczej, miarą ich wartości ideowej i artystycznej; ważnym kryterium oceny powinien być również wysiłek moralny pisarza, akt jego świadomości i sumienia. Tym zaś, co miary naszych ocen zechcą sztucznie zacieśniać, zarówno jak tym, co będą w nich upatrywać ograniczenie wolności artysty, sekciarskim doktrynerom, którzy nie widzą nic prócz swych formułek, i estetyzującym klerkom, którzy nie umieją wykroczyć poza krąg swych dość bezpłodnych niepokojów o losy ludzkości, jednym i drugim odpowiemy słowami Lenina: „Jesteście gorsi od kury. Kura nie odważa się przekroczyć koła zakreślonego kredą, ale ona może przynajmniej powiedzieć, że krąg ten zakreśliła wokół niej cudza ręka. Ale wy własną ręką zakreśliliście krąg wokół siebie i teraz spoglądacie nań jak na rzeczywistość."

Droga, którą obraliśmy, nie jest łatwa. Nie zboczymy z niej ani na krok ku opustoszałym pozycjom złych interpretatorów realizmu socjalistycznego i również ani na krok nie cofniemy się na jałowe stanowiska pięknoduchów i snobów. Walka o pokój i socjalizm, trud budownictwa, dobro człowieka pracy i przyszłość naszego narodu — oto światła wskazujące drogę, którą idziemy.

Kazimierz Brandys

W Ś R Ó D K S I Ą Ż E K

JAN RAK: *Utwory chłopa pańszczyźnianego.* Z rękopisów wybrał i wstęp opracował Stanisław Czernik. Warszawa 1953, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza; str. 85.

Dostaliśmy do rąk piękną i ciekawą książeczkę poetycką — przypomniane, i to po raz pierwszy w obszerniejszym wyborze, wiersze starego pańszczyźnianego poety, Jana Raka. Zawdzięczamy ją Stanisławowi Czernikowi, który wytrwale i sumiennie przeoruje nieplewioną rolę tzw. chłopskiej literatury, poczynając od pieśni ludowych do dziejów pisarstwa samorodnego zapowiadanego przez PIW, poprzez szkice historyczne o doli chłopskiej na podstawie literatury polskiej od XII do XVI wieku. Tomikiem Raka Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza zapoczątkowuje pożyteczną Bibliotekę Dawnych Pisarzy Chłopskich, zapowiadając wybór Ferdynanda Kurasia, Jantka z Bugaja i pamiętnikarzy. Jan Rak jednak spośród późniejszych chłopskich poetów jest postacią najciekawszą, najoryginalniejszą, obdarzoną głęboką indywidualnością. Dotychczas tylko w szkicu Tadeusza Seweryna — T w ó r c z o ś ć c h ł o p a p a ń s z c z y ź n i a n e g o — czytaliśmy kilka wierszy i fragmentów Raka, kilka z nich przedrukowali w swoich antologiach Koniński i Pigoń. Czernik pokazuje go po raz pierwszy w obszerniejszym wyborze (31 wierszy), twierdząc, że reszta jego spuścizny to ułomki trudne do wydania. Zaciekawieni otrzymanymi wierszami, mamy prawo w tym względzie trochę nie ufać Czernikowi, sądząc, że może charakter popularny wydania podsunął mu takie mniemanie. Może w innym, bardziej specjalnym wydaniu warto by odtworzyć cały zeszyt leżący w Muzeum Etnograficznym w Krakowie — ciekawe chłopskie *silva rerum*. Z jedną jeszcze koncepcją Czernika miałabym ochotę polemizować. Powiada on, że wiersze Raka są w pełni ludowe i samorodne, że kontynuują wyłącznie tradycję pieśni ludowej, że natomiast z poetów polskich nic Rak nie przejął. Jedyną posiadaną przez niego książką miały być rzekomo P e r ł y h u m o r u p o l s k i e g o Bartoszewicza, ale wpływów tej książki na satyrę Raka nie odkryto. Talent więc w pełni oryginalny. „Wydaje się — pisze Czernik — że w poezji Raka skoncentrowały się najważniejsze właściwości dodatnie pańszczyźnianej pieśni chłopskiej i poprzez jego twórczość otrzymały postać literacką. Byłby więc jedynym przedstawicielem prawidłowego rozwoju twórczości samorodnej, która opierając się na wartościowej tradycji i przejmując nowe formy przeobrażała się w literaturę pisaną."

Mimo to pewne jest, że znał Rak Kochanowskiego, choćby z kościelnych psalmów, może poetów Oświecenia, na pewno Mickiewicza i współczesnych sobie — Konopnicką i Lenartowicza.

Miarą zaś oryginalności Raka jest nie to, że ich nie naśladował, ale że pisał własnym językiem, podczas gdy język Kochanowskiego i Mickiewicza, miary i rytmy Trembeckiego tętnią w jego wierszu jak zdrowa krew. Ten stary, sędziwy poeta, piszący jeszcze na początku naszego wieku — urodził się w 1820, umarł w 1908 roku, był uczniem polskiego Oświecenia. Ta oświata, która trafiła do niego poprzez wyjątkowy dom rodzinny, gdzie mimo ciężkiej biedy po śniadaniu o świcie zasiadały dzieci do nauki czytania — to jeszcze promień owej edukacji, którym wiek Oświecenia błysnął na wieś. Książki

i kalendarze, na których Rak uczył się czytać, pochodziły na pewno z dobroczynnych wydawnictw dla ludu — spod pras Józefa Ungera i spod pióra Ksawerego Grossa, popularyzującego nową formę gospodarki płodozmianowej, co było w rolnictwie rewolucją, i piszącego „o niezawodnych pożytkach, które rolnik mieć może umiejąc czytać, pisać i rachować". W Anglii i w Prusach oświata na wsi stała w ścisłym związku z prawnym stanem wsi. Wieśniacy byli tam właścicielami. Toteż hasła oświaty ludowej za czasów walki o czynsz i uwłaszczenie chłopa musiały iść po tej samej linii. Chłopu pańszczyźnianemu niepotrzebna była nauka, chłopu uwłaszczonemu — niezbędna.

Miał Rak 18 lat, kiedy w Galicji zniesiono pańszczyznę, ale sam na uwłaszczeniu nic nie zyskał. Za żoną dostał dwie morgi, poza tym zaś był biedakiem najmującym się do prac polnych, koszykarzem, świątkarzem, malarzem, oglądaczem bydła i zwłok.

Ale miłość do książek i do wiedzy tego — jak siebie nazwał — „podróżnika książkowego" nie słabła z wiekiem. Przeciwnie. W wierszach z okresu starości, które się zachowały, znać umysł dojrzały, wykształcony, zawsze ciekawy świata. Racjonalista, sceptyk — nie wierzący w życie przyszłe i dworujący sobie z wyobrażeń o tym życiu. Materialista i realista — z zacięciem satyryka — typowy pisarz Oświecenia. W *Odezwie do górnych światów* Rak zwraca się do „wielebnych Niebian" prosząc ich, by opisali swe życie. Ten obraz świata, jaki przy okazji maluje transponując go w zaświaty, przypomina wiek rozumu, wiek pary i elektryczności.

Szanowni sąsiedzi, wielebni Niebianie,
Opiszcie miasta, zamki i wiejskie mieszkanie,
Jakie tam macie rządy, czy pisane prawa,
Czy jest dziennik praw państwa, kodeks i ustawa?...

Jakie gatunki zboża — ozime czy jare,
W jakim się tam wieku żenią, czy są ludzie stare.
Czy wasze własne niwy obecnie zielone,
Czy grunta macie całe, czy też podzielone?
Słowem nam opiszcie górne wasze światy,
Rolnictwo, przemysł, wynalazki i tkackie warsztaty...

Czy w tej strofie nie brzmi rytm wiersza Trembeckiego? Czy nie on jest patronem podobnych myśli:

Wiele znaczy nauka. Wróćmy do korzeni:
Wszyscy byli Bartkami, nim byli uczeni...

Albo:

To wszystko banialuki, co tam w książkach stoi,
Czyż nie żyli bez pisma pradziadowie moi?

Sam odpowiem: — nieprawda! — podróżnik książkowy.
Czytaj książki i pisma, badaj, bierz do głowy,
Książki czytać rozumne, rozbierać i badać,
Doświadczać i próbować, innym opowiadać.

Trembecki i Krasicki złożyli się na te wiersze. Tak jak gdzie indziej, choć rzadziej, spotykamy reminiscencje z Mickiewicza:

Ja myślą byłem czasem w niebie,
Na morzach, górach, jaskiniach i gwiazdach,

Na Morzu Lodowatym lub na ziemi z tamtej strony,
Gdzie nie dotarli dotąd badacze...

Musiał się tak głęboko wczytać we wspaniały wiersz Mickiewicza D o d o k t o r a S. p r z e d s i ę b i o r ą c e g o p o d r ó ż n a u k o w ą d o A z j i w p r z e d m i o c i e h i s t o r i i n a t u r a l n e j.

Najbardziej wzruszający jest Rak w wierszach rozpamiętujących bliską śmierć i życie przyszłe. Nie wchodzi na tory metafizyki, nie upatruje żadnych cudów po śmierci. Dobrze wie, że:

Jak cię nie było,
tak cię nie będzie.

Ale w tych rozmyślaniach i dywagacjach na temat przyszłego życia Rak podąża śladami Kochanowskiego — autora T r e n ó w.

Ja zaś boleściom śmiertelnym oddany,
Gdy duch uleci w grobie zakopany
Na wieczny nocleg nigdy nie przespany.
Ostatni listku, niewczesna żałoba!
Żyliśmy krótko, jakby jedna doba.
Ach, teraz wieczność i duchowe życie,
Nie znane żywym, gdzie, w jakim zachwycie?
Może gdzie płoną ogniste upały?
Może przed tronem wiekuistej chwały?...

Piękne te wiersze zasługują na to, aby zaliczyć je do klasycznych liryków polskiej poezji, aby znaleźć dla nich miejsce w antologiach i w historii polskiej literatury

Rak, mimo że był skromny, miał poczucie swojej wartości, czuł się poetą. Wzruszający jest wiersz H u m o r e s k a, Rakowe *Exegi monumentum.*

Mam tu wierszów niemało,
Oddaję światu cało.
Tylko bieda na świecie,
Bo się wadzić będziecie.
Zróbcie mię ta czym chcecie,
Dosyć żyłem na świecie.
Jak już tu mię nie stanie,
Wtenczas moje pisanie
Tłumaczcie se, jak chcecie,
Niech się mnoży po świecie.

Można by wiele jeszcze opowiadać o wierszach Raka, które dla niejednego czytelnika poezji będą rewelacją, o pięknych strofach D u m a ń c z y t e l n i k a, w których przebija się taka miłość do światła, o ciekawym wierszu Z a p u s t w r o k u 1864, mówiącym o powstaniu styczniowym, o kłamliwej literaturze fałszującej byt ludu:

Pisz, pismaku, jak siekiera:
Raz być musi prawda szczera.

o akcentach humoru, drwiny i satyry. Ale groziłoby to przytoczeniem wszystkich niemal wierszy, toteż wystarczy odesłać czytelnika do książki.

Anna Kamieńska

ALEKSANDER BAUMGARDTEN: *Łuny na wietrze.* Stalinogród, 1953, Wydawnictwo „Śląsk Literacki"; str. 98.

Wieczór literacki w Gliwicach. Duża sala wypełniona po brzegi. Aleksander Baumgardten czyta swe wiersze o Śląsku, o górnikach, o morzu, o Gdańsku, o Kochanowskim, o Warszawie. Po ukończeniu każdego z tych wierszy zrywają się oklaski. Słuchacze — w ogromnej większości młodzież — nie chcą puścić z estrady „swojego" poety. Żądają dodatkowych wierszy „na bis".

Takie mi zostało wspomnienie ze wspólnej przed kilku laty, z Baumgardtenem i kilku jeszcze kolegami, literackiej wyprawy do Gliwic. Zastanawiałem się nieraz nad zjawiskiem tej popularności. Śląsk nie ma publiczności

łatwo zapalnej, skorej do entuzjazmu i oklasków. Rzecz charakterystyczna, że istniejące w tej części kraju ogniska literackie — przeważnie grupują młodzież męską. Jesteśmy do tego przyzwyczajeni — i w Krakowie, i w Warszawie, i gdzie indziej — że właśnie kobiety wywierają silny, nieraz rozstrzygający wpływ na tworzenie się sław pisarskich, szczególnie lirycznych. Tak bywało u nas i ze Słowackim, i z Tetmajerem, i z Tuwimem, i z Gałczyńskim. Inaczej na Górnym Śląsku. Myślę o Śląsku w ścisłym znaczeniu tego słowa, nie o Zagłębiu Dąbrowskim, którego struktura kulturalna pod wielu względami przypomina Warszawę, Lublin i Łódź. Ale gdy przekroczymy Przemszę z jednej strony (za którą zaczyna się Ziemia Krakowska) i Brynicę z drugiej (gdzie się już ciągnie Zagłębie) — mężczyźni stanowią jakieś 90% publiczności na poetyckich wieczorach, 80% spośród tych, co wypożyczają książki w czytelniach. A czytają dużo i chciwie! Z cyfr niedawno przytoczonych przez Edmunda Osmańczyka okazuje się, że Górny Śląsk ma w tej chwili największą chłonność czytelniczą w Polsce; tu najkorzystniej wypada stosunek ilości książek sprzedanych w księgarniach do liczby mieszkańców. Tu Balladyna sięga blisko 200 przedstawień, rywalizują z nią Dożywocie, Mizantrop, Mieszczanie, W małym domku, Mazepa. Tu rozchodzą się ogromne ilości ozdobnych wydań naszych klasyków — szczególnie Mickiewicza. Ale chłonność kulturalna nie zawsze się wyraża natychmiastowym oddźwiękiem. Chłopcy są wszędzie i zawsze trudniejsi do zdobycia niż dziewczęta. Wzruszenie liryczne nie tak szybko opanować może serca przejęte entuzjazmem dla wielkich gwiazd piłkarskich. Jeśli, mimo to, tak gorąco przyjmuje publiczność śląska swoich poetów — Szewczyka, Baumgardtena, Baranowicza i innych — musi to mieć swoje przyczyny. Jest zjawiskiem godnym refleksji.

Francuski pisarz postępowy, urodzony i wychowany w zagłębiu górniczym, André Stil, mówił w swej książce pt. Le mot mineur, camarades! o głęboko przez górników odczuwanej potrzebie zabaw ludowych, widowisk, zbiorowego przeżywania wrażeń artystycznych. Myślę, że ta obserwacja — i to w bodaj większym stopniu — mogłaby się też odnosić do Górnoślązaków. Poeci dzisiejszego Śląska zdobywają młodzież — próbą ujęcia w kształt poetycki tego, co jest istotą doznań i pragnień śląskiego czytelnika. O tej woli współbrzmienia z rytmem życia śląskiego pisał Baumgardten w swym artykule Nasza Ojczyzna, zamieszczonym w Kalendarzu Górniczym na rok 1954: „Siedzę zadumany nad wierszem, który sam napisałem. Te zwrotki, ten wiersz, jak i wiele innych, adresowałem do górników, a więc do ludzi, którzy jak ja pracują na Śląsku i których troski i uśmiechy znam, tak jak oni znają mój trud pisarski i radość z jego osiągnięć. Spotykamy się w życiu tyle razy: oni ze mną — przy moim biurku, na którym te wiersze napisałem, czy na konferencji aktywistów kulturalnych w Domu Kultury, ja z nimi — w ich kopalni przy kombajnie czy w którymś z ich górniczych teatrów w Wirku lub Sosnowcu. I zawsze mówimy i myślimy o tym samym: ażeby było dobrze. Bo nie zawsze nam się udaje — im fedrunek, mnie wiersz. Jak to w życiu...".

Gorące pragnienie uchwycenia piękna, atmosfery, wielkości i walki Śląska, jego wyglądu, jego dążeń, jego krajobrazu — oto motyw poetycki omawianej książki. Nawet wiatr jest tu „śląskim wiatrem", „sprzymierzeńcem" kopalń i hut, ziemia jest „ziemią wę-

glowych triumfów", dymy „kopiują na niebie drugą odbitkę pracy", święto ludowe nakłania do piosenki w takt śląskiego tańca, nawet statystyka staje się poetycką pochwałą „mądrego ładu obliczeń", który „rządzi chórem życia".

Mamy tu też próbę zróżnicowania ośrodka przemysłowego. Wiersz o Zagłębiu Dąbrowskim próbuje poetycko określić — pejzaż tej części Śląska.

Wydaje mi się, że ta próba jest zbyt nieśmiała. Niewiele dostrzegamy zjawisk specyficznych „za małą rzeczką Brynicą — za brzegiem białokamiennym" prócz „stada pagórków piaszczystych" i „żółtych krańców błędowskich", gdzie się rozciąga „zielona oaza młodości w sercu piaszczystej pustyni".

Dalszy temat poetycki to próba uchwycenia związków dzisiejszego życia śląskiego z życiem całego kraju. Nie bez powodu — wcale nie przez patriotyzm lokalny — dostrzega nasz pisarz Liceum Sztuk ze Śląska w warmijskim miasteczku czy wycieczkę liceum z Gliwic w porcie gdyńskim. We wspomnianym artykule pt. N a s z a o j c z y z n a do tej samej sprawy nawiązuje Baumgardten: „Dojrzewamy, stajemy się dorośli i mądrzejsi we wspólnej pracy i silniejsi przez wspólną walkę. Poznajemy się coraz lepiej. Widzimy nawzajem swe zdobycze i wady. To też zbliża i uczy wspólności. Bumelant tak samo przeszkadza w kopalni „Gottwald" czy w hucie „Pokój", jak w podwarszawskim „Ursusie", a brakorób ze stoczni gdańskiej pochodzi z tej samej rodziny, co leniwa tkaczka z Łodzi czy plotkarz z Olsztyna. Taki sam biurokrata utrudnia życie robotnikowi w Warszawie, co w Bielsku czy Rzeszowie".

W interesujący sposób udają się w tym tomie próby powiązania spraw śląskich z naszą wielką tradycją. Wrażenie sprawiają W s p o m i n k i zestawiające życie i twórczość Mickiewicza na emigracji z takim oto obrazem:

A na dalekim Śląsku, w jakiejś tam rejencji
ktoś te wiersze troskliwie, jak dynamit, składał,
przenosił przez granicę, z Krakowa — cóż więcej
niż te śląskie wędrówki — uroku im nada?

Taką drogą wracałeś na Ojczyzny łono,
czyż może być piękniejsza droga dla poety...
chwalę słów polskich ogień, co wtedy zapłonął
jak pierwsza śląska lampka pod Twoim portretem.

Chwytają też za serce S t r o f y c z a r n o l e s k i e wspominające

Czasy, czasy dalekie, a takie ojczyste,
przecz-że wracacie teraz, jak spóźnione listy.
Strofy, strofy odległe, młodości narodu —
śpiewane gęsim piórem przy kusztyku miodu.

Wydaje się więc, że najciekawiej i najharmonijniej układa się obraz poetycki Baumgardtena, gdy powstaje na tle mocnego a konkretnego przeżycia, np. fali wspomnień w rocznicę wyzwolenia, ze „sztywnym rębaczem Markiewką wprawiającym zieloną furtkę w stary, szary dom, pod rytm huczącego wiatru", lub wzruszeń doznanych na Ziemi Opolskiej, w kraju, „w którym Ojczyzna w każdej zakwita stronie".

Oko pedanta znalazłoby w tym tomiku niejedną usterkę formalną. Np. w wierszu N o c n e g o d z i n y:

Niechaj ręce górnika podadzą mi rym,
bym powiązał kopalnie z hutami jak
wstążką,

albo w tym samym wierszu:

Oparci a wzruszeni, słuchamy, jak gada
pomruk muzyczny maszyn, cieniutki
jak ostrze.

Niektóre metafory mogą się wydać wątpliwe, nieprzekonywające, choć poeta sięga po nie zapewne przez szlachetną odwagę przeciwstawiania się pojęciom utartym. Rzeczą najważniejszą wydaje mi się, że w tym tomiku — wcale nie ograniczonym do czysto śląskich spraw — potrafił poeta zawrzeć niemałą sumę wiedzy o Śląsku współczesnym. O Śląsku — a więc i o sprawach wspólnych całej Polsce.

Wojciech Natanson

WILHELM MACH: *Jaworowy dom*, Twórczość, 1954; nr 1, 2, 4.

Cokolwiek by się miało powiedzieć o książkach Wilhelma Macha, jedno jest pewne, że nie są one ani dziełem przypadku, ani fałszywej ambicji, ani ludzkiej dobrej woli. Pisarze — jak wiadomo — nie rodzą się na kamieniach, wielu jest piszących, ale niewielu pisarzy, cieszmy się więc, kiedy w autorze dwóch książek dostrzegamy prawdziwego pisarza. Książki Wilhelma Macha nie należą nawet, jak to zwykle bywa u młodych, do książek najmodniejszych.

Za patrona R d z y uznać można by Brezę, mistrza doskonałego w tego typu prozie, której przejawem klasycznym są M u r y J e r y c h a i N i e b o i z i e m i a, a znamiennym R d z a. W prozie tej nie tworzy się epickiego obrazu historycznie określonych losów i działań ludzkich, ale odtwarza się historycznie, społecznie i kulturowo określone stany świadomości ludzi, ukształtowanych przez warunki historyczne. Zwykle dla określenia charakteru takiej prozy używa się terminu prozy psychologistycznej, nie jest to jednak termin najszczęśliwszy. Sugeruje on bowiem niesłusznie, że nie ma istotnej różnicy między literaturą odtwarzającą ahistorycznie traktowane stany i procesy psychiczne. (W s t r o n ę S w a n n a Prousta, gdzie analizuje się proces rodzenia się, trwanie w kolejnych stadiach i zamieranie uczucia miłości, A d a m G r y w a ł d Brezy, w którym tok akcji wyznacza przebieg patologicznych procesów psychicznych) a literaturą notującą historycznie określone światopoglądy poprzez analizę stanów świadomości bohaterów w konkretnej sytuacji życiowej. Różnica między nimi jest zasadnicza i dlatego lepiej nie stosować zbyt obszernych a tym samym małoznaczących pojęć klasyfikacyjnych.

W R d z y odtwarza Mach z pomocą bardzo jak na debiutanta wyrobionych narzędzi artystycznych poglądy na świat ludzi z nader złożonego środowiska społecznego wiejsko-inteligencko-ziemiańskiego w znamiennych sytuacjach historycznych w listopadzie 1939 i czerwcu 1941 roku.

Wystąpienie ludowej partyzantki, które druzgoce ciasne filisterstwo świata bohaterów powieści, wiąże Mach symbolicznie z wybuchem wojny niemiecko-radzieckiej. W eks-dworku ziemiańskim w Olchówce skoncetrował Mach konflikty polityczne, społeczne, moralne i obyczajowe tamtych czasów, konfrontując ze sobą punkty widzenia świata eks-oficera sanacyjnego, eks-dziedzica, nauczycielki wiejskiej, służącej i fornala, młynarki i obieżyświata. Niemal wszechwładnie panująca w powieści technika mowy pozornie zależnej służy autorowi do precyzyjnego odtworzenia punktów, sposobów i zakresów widzenia rzeczywistości. Mach nie jest jednak jak

Breza szydercą, kpiarzem, humorystą, Mach prezentuje lojalnie filozofię życiową swoich bohaterów, negatywną ich ocenę zamykając w tytule powieści, w paru deklaracjach tekstu odautorskiego i w pełnej aprobacie dla ludowo-patriotycznego działania, którego obraz w zakończeniu powieści przekreśla obiektywnie wszelkie rachuby i złudzenia ludzi przeszłości.

Przeciwstawność artystyczna R d z y i J a w o r o w e g o d o m u wyznacza kierunek przeobrażeń poglądów pisarza na istotę i charakter sztuki powieściopisarskiej. W R d z y chodziło Machowi o to, by pokazać, jak na skutek filisterskiego stosunku do życia lub biernej postawy wobec warunków zewnętrznych ludzie płasko rozumieją świat, w J a w o r o w y m d o m u absorbuje pisarza pytanie, jak świat się rozwija, jak ludzie żyją nie w myślach, lecz w działaniu, nie w złudzeniach, lecz naprawdę. W R d z y brał autor pod uwagę jeden konkretny postępek jednego człowieka i ukazywał motywy, które nim kierowały, w J a w o r o w y m d o m u autorowi chodzi o charakter i następstwa ludzkich czynów. Stąd statyczność zupełna R d z y i dynamiczność aż przesadna J a w o r o w e g o d o m u.

Analiza motywów ludzkiego postępowania w R d z y była jeszcze w dużym stopniu „poznawaniem się w jestestwie swoim" samego pisarza. Nieprzypadkowa jest koncepcja zmyślenia artystycznego, którą Mach podsuwa jednemu z bohaterów R d z y, piszącemu zobiektywizowany, z fikcyjnymi bohaterami pamiętnik. „Andrzej wpadł na pomysł, że przecież można się zoperować ze znieczuleniem. Roli środka znieczulającego podjęła się po raz pierwszy w Andrzejowych »zabawach« świadoma fikcja. Pod zmienionymi imionami, pod draperią stylizacji, przeinaczając z lekka twarze ludzkie, krajobrazy, fakty — można było równocześnie i uciec od siebie, i — co za sprzeczność — podejść do siebie tak blisko, jak to się nie udawało nigdy, gdy się myśli o sobie adresowało na własne imię. Cóż to za wspaniały wynalazek." (str. 261). Na szczęście praktyka pisarska autora R d z y nie jest konsekwentną realizacją teorii. Wnikanie w motywy ludzkiego postępowania, niezależnie od swoich uwarunkowań filozoficznych, miało jeszcze dla autora uroki odkrywania prawdziwej materialnej istoty człowieka, który w przedwiośniu życia jakże często wydaje się być istotą z blasków słonecznych, z idealnych wzlotów i marzeń górnych.

J a w o r o w y d o m jest już powieścią naprawdę obiektywną w sensie realistycznym; i w przedmiocie zainteresowania pisarskiego, i w osądach moralnych, i w sposobie narracji. Autor J a w o r o w e g o d o m u nie stara się poprzez poznawanie innych poznawać siebie, nie stara się poprzez prezentację rozmaitych rozumień świata tuszować własnego nierozumienia, nie stara się unikać własnych osądów ludzi i zjawisk. Dlatego też powieść ma kształt niczym nie przypominający R d z y. Jest prosta jako powieść człowieka, który po latach odwiedził rodzinne strony, dowiedział się o wszystkim, co się w czasie jego nieobecności działo, i opowiada o tym rodakowi, który nie może sam odwiedzić rodzinnego domu, choć tęskni za nim ogromnie; jest niecierpliwa jak ona, rzeczowa i konkretna, pełna radości z dokonań, ale przede wszystkim pełna troski serdecznej z powodu spraw, które nie wyglądają najlepiej.

J a w o r o w y d o m nie tylko nie przypomina niczym R d z y ani też żadnego innego schematu powieściowego, lecz przede wszystkim nie przypo-

mina niczym współczesnej prozy o wsi, zwłaszcza o wsi dzisiejszej. W *Jaworowym domu* nie ma nic z ilustracyjności, nic ze schematyzmu, nic z opisywactwa. Narrator zbyt wiele ma do powiedzenia, żeby mówić rozwlekle i o rzeczach samych przez się zrozumiałych, zbyt smucą go i cieszą, dziwią i niepokoją swojackie sprawy, zbyt absorbuje go to, jak się rzeczy dzieją, żeby prawdę o nich mierzyć pobożnymi życzeniami. Stąd epickość *Jaworowego domu*, stąd jego surowa prawda.

Mach opowiada o losach wielu bohaterów powieści, zamykając w jednym zdaniu lata całe zwykłego życia, w jednym zdaniu zawierając przeżycia niezwykłe i burzliwe, postępki, których się w życiu ludzkim nie zapomina nigdy, tak są ważne i brzemienne w skutki. Oto krótka relacja z całego okresu życia ludowego oficera, byłego parobka, który jeszcze w czasie okupacji, w partyzantce, zaczął walczyć o lepsze życie. „Najpierw mnie wojna zagnała daleko, bo aż za Odrę. Byłem trochę ranny, potem nie wiedziałem, co robić, bo już było po wszystkim, a potem... Nawet gospodarki popróbowałem — strasznie mi się to z początku spodobało, że na swoim — nigdy nie miałem własnego, przez to pewnie. Sprzykrzyło mi się po trzech miesiącach. Spotkaliśmy się trafem z Wojtkiem Grzęskim, był w majątku za kowala, narzekał. Poresz Wojtkowi szefował, ten nasz targownik dawny, pamiętasz — kradł tam, ile się dało. Przegnaliśmy Poresza — i jakbym dopiero wtedy zrozumiał, czego naprawdę chcę. Przepisałem akt własności na Grzęskiego i wróciłem do munduru. Służba, szkoła oficerska... no i widzisz" (Twórczość nr 4, str. 22). Jak Szczepanek o swoim życiu, tak autor powieści o losach dziesiątków bohaterów lub jedni bohaterowie o drugich opowiadają zwięźle, wydobywają fakty suche, a jak pełne treści, życiorysowe a pełne powagi epickiego uogólnienia. W odnalezieniu epickiego z perspektywy ludzkich losów sposobu opowiadania o współczesności widzę zasadniczy powód do chwały autorskiej Macha.

Autor nie po to opowiada o życiu swoich bohaterów, żeby ilustrować socjologiczne prawidłowości losów ludzkich, ale po to, żeby malować bujność i urodę, ich bogactwo humanistycznych treści lub jałowość, pustkę, nonsensowność. Prawidłowość wyłuska, jeśli mu to będzie potrzebne, socjolog, autorowi chodzi przede wszystkim o ukazanie wewnętrznej i historycznej logiki postępowania ludzkiego, jego moralnego i estetycznego osądu. Nic w fatalistyczny sposób nie determinuje kolei życiowych Konstantego Jawora i innych bohaterów. Życie jego mogłoby być piękne jak życie nauczycielki Gorzkówny, jak życie Szczepanka, jak życie komunisty Solarza. Jeśli zaś stało się przekleństwem dla niego samego i innych, tyleż w tym jego własnej winy, co winy czasów i warunków. Węzły jego życia rozsupłać nie łatwo, nie czyni też tego autor, choć nie ucieka przed koniecznością moralnej oceny rezultatów tego życia. Sens życia Konstantego Jawora nie może być przecież oceniany wieloznacznie. Okrucieństwo czasów i warunków stworzyło tę żałosną istotę ludzką, dla której miejsca na ziemi znaleźć niesposób. Pisarz stawia Konstantego Jawora pod pręgierzem sądu społecznego. Nie władze Polski Ludowej za przestępstwa polityczne, ale ludzie z Bielawy osądzą Jawora za krzywdę żony, za cierpienia dziecka, w takim samym stopniu jak za zbrodnię bratobójstwa. Problem Jawora — to wielki problem moralny, społeczny, polityczny, ale trzeba go widzieć w pełnym — tak jak u Macha — ludzkim wymiarze, nie

w ramach formuły o walce z kułactwem. Formuła polityczna i środki ekonomiczne, polityczne i prawne, które można zmobilizować przy jej realizacji, nie trafiają w Jawora, który nie jest kułakiem, a duszę ma kułacką.

Jest sporo przewrotności pisarskiej w usytuowaniu Jawora w rezultacie nieudanej kariery życiowej w pozycji biedniackiej zależności ekonomicznej od bogacza Mysonia. A Mysoń był także niegdyś grajkiem weselnym i posiadaczem jedynie przyborów do golenia. I nie jest to wcale pospolity ostatnio antyschematyzm. Po prostu Mach potrafi widzieć człowieka i jego życie dialektycznie i materialistycznie, nie uprawia socjologicznej metafizyki. Człowieka kształtują nie tylko warunki społeczne, ale także własna wola, przypadki i dziesiątki innych czynników, które składają się na wielką niewiadomą ludzkiego losu. Dobrze, jeśli pisarz przy jego analizie potrafi rozplątać węzły zależności i uwarunkowań, i przynajmniej w części nazwać czynniki sprawcze.

W gąszczu bielawskich spraw, w gmatwaninie ludzkich przeżyć i postępków zarysowują się tylko w ogólnym obrazie pewne prawidłowości, w zasadzie jako suma niesprawiedliwości. W świecie bohaterów J a w o r o w e g o d o m u możemy wyodrębnić ludzi tworzących nowe i broniących się przed nowym, ale jest to prawidłowość, którą stwierdzamy *ex post*, nie *a priori*. Losu ludzkiego z góry określić się nie da. Życie Aldony Rapaczówny, żony Jawora, potoczyłoby się zupełnie inaczej, gdyby nie przeraziła się była związku z leśniczym, komunistą Mrozem; życie Teresy Rapaczówny, żony komunisty Solarza, byłoby chyba zupełnie inne, gdyby ożenił się z nią łżeludowiec, kułacki syn, profesor Chmiel. Czasem jedna decyzja życiowa czyni człowieka kowalem swego szczęścia lub nieszczęścia. Ukazywać człowiekowi, jak osiąga się zadowolenie z życia, ukazywać niebezpieczeństwa jego przegrania, słowem konstytuować świat wartości moralnych — to najistotniejsze zadanie pisarza. W J a w o r o w y m d o m u widać wyraźnie, jak piękne i dlaczego jest życie jednych ludzi, jak podłe i dlaczego jest życie drugich. Szczęście może być dziełem przypadku tak jak u Solarzowej, może być dziełem własnej zasługi tak jak u Solarza, Mroza, Gorzkówny. I to drugie jest pewniejsze i bardziej wartościowe. Jego wartość podkreśla przegrana takiego życia, jak Aldony Jaworowej, Jawora, Tekli Poreszowej.

Nie jest sprawą przypadku, że w centrum uwagi pisarskiej znalazły się losy małego Bolka Jawora. Jego urodzinami rozpoczyna się akcja powieści, a kończy szczęśliwym w tej sytuacji pozbawieniem go rodzinnego domu. Bolek Jawor mimo najszczerszych chęci nie może jeszcze decydować o swoim życiu, jego sprawa jest sprawą decyzji społecznej, sprawą serdecznego niepokoju pisarza. Sposób patrzenia autora na sprawy ludzkie, charakter problematyki, którą w życiu współczesnej wsi spostrzega, tłumaczą jasno, dlaczego w centrum uwagi autorskiej znalazła się sprawa Bolka Jawora. Jego krzywda i tragizm niezawiniony jego dzieciństwa pozwalają najtrafniej ukazać ostrość konfliktów starego z nowym w życiu współczesnej wsi, pozwalają celniej zdemaskować charakter przeżytków starego w ludziach.

Mach z całą oczywistością dowodzi, że nowoczesna wersja tragedii Janka Muzykanta jest jeszcze w pełni możliwa, że trzeba mieć oczy i uszy otwarte, żeby do niej nie dopuścić. A zresztą nawet bez tragicznego kostiumu najzwyklejsza dola dziecka wiejskiego o

ileż jest smutniejsza od doli dziecka proletariackiego. Wyzwolenie dziecka wiejskiego od koszmaru jego dzieciństwa — to najwspanialsza humanistyczna treść rewolucji na wsi. Problem doli Janków i Antków wiejskich, postawiony w arcydziełach Prusa i Sienkiewicza w odmiennej sytuacji historycznej, znalazł pod piórem Macha nowe, jakże ambitne i jakże uczciwe przemyślenie. Dzisiaj istnieją możliwości uniknięcia tragedii Janków i Antków, ale istnieją również możliwości ich powtórzenia. Losy Bolka Jawora potwierdzają istnienie obydwu tych możliwości. Z dojrzałym kunsztem napisana scena ścinania topoli, gdy stary Jawor pragnie losowi przyjść z pomocą w celu pozbycia się niewygodnego spadkobiercy majątku żony, ukazuje dzięki realistycznemu wyostrzeniu konfliktu wszelkie najbardziej koszmarne możliwości w warunkach istnienia kapitalistycznych bodźców społecznego działania człowieka. Losy Bolków Jaworów są jeszcze igraszką w ręku wrogich, nieopanowanych w pełni sił. Trzeba o tym pamiętać.

Powieść Macha jest dziełem ukształtowanego talentu prozatorskiego. Nie ma w niej fałszywej programowości, moralizatorstwa, łopatologii. Losy bohaterów J a w o r o w e g o d o m u mówią same za siebie. Autor wierzy, że czytelnikowi trzeba ukazywać prawdę życia w takim związku ludzi i zjawisk, jaki się nasuwa pisarskiemu rozumieniu świata. Czytelnikowi dodatkowych komentarzy i wniosków nie ma potrzeby podsuwać. Dlatego proza J a w o r o w e g o d o m u jest subtelna, oszczędna i dyskretna. Rzeczowość narracji mogłaby nawet sprawiać czasami wrażenie oschłej sprawozdawczości. Byłoby to jednak wrażenie wyniesione z powierzchownej lektury. Rzeczowość ta jest bowiem artystycznie wysmakowana, zamierzona i celowa. Widać u Macha terminowanie u prawdziwych mistrzów prozy polskiej. Jest to zjawisko wśród młodych rzadkie a ze wszech miar godne uznania.

Henryk Bereza

TADEUSZ KWIATKOWSKI: *Gwiazda brazylijskiego nieba.* Warszawa, 1953; „Iskry"; str. 217.

Mamy tutaj siedem opowieści, z których trzy rozgrywają się w Brazylii, dwie na wyspach należących do Portugalii, jedna w Dakarze, jedna w Argentynie. Razem z autorem odbywamy dalekie podróże, opływamy kontynenty, poddajemy się działaniu coraz to innego klimatu, poznajemy odmienne warunki środowiskowe. Szkicowo, ale wyraźnie uzewnętrznia się specyficzność każdego z tych terenów. Na „wyspie siedmiu nieszczęść" mocniej niż gdziekolwiek pali słońce, dotkliwiej daje się we znaki upał. Gąszcze oplatają drogę, która się stacza serpentynami w stronę murzyńskiej wioski koło Sao Paolo w środkowej Brazylii. Pozostanie nam w pamięci widok dzieci murzyńskich nurkujących w morzu dla zdobycia paczki keksów na Kapwerdach. Nie prędko zapomnimy ironicznego i wygodnego, otyłego gubernatora portugalskiego, który się każe nazywać „zwykłym pułkownikiem". Amerykanie, Anglicy, Francuzi, Brazylijczycy, Argentyńczycy, Portugalczycy, Murzyni — to bohaterzy zaludniający owe szkice. W czasie swej wyprawy na dalekie morza Kwiatkowski umiał zanotować niejedno ciekawe spostrzeżenie w swym notesie podróżnym.

Ale nie chodzi tu tylko o egzotyzm, o charakterystyczność, o barwność. Kwiatkowski umie nam pokazać, jak w charakterystycznych warunkach tego życia toczy się ciągła, nieprzerwana

walka. Niemal w każdym z tych opowiadań zjawiają się Murzyni. Są wśród grupy robotników, którzy zostają niespodziewanymi ofiarami akcji werbunkowej USA na Koreę; stary szofer — Murzyn Euclides, który początkowo czynił wrażenie tchórza, niespodziewaną akcją ratuje ludzi, co wpadli w pułapkę policji (D l a z b a w i e n i a ś w i a t a).

Biedny Murzyn sprzedaje swe dziecko na Kapwerdach, nie mając pieniędzy na utrzymywanie licznej i głodującej rodziny (T o w a r z w y s p). Czarni są policjanci na spalonej słońcem „wyspie siedmiu nieszczęść" — ogromną większość tamtejszych robotników także stanowią czarni. Murzyni ratują zbiegłego z transportu więziennego działacza partii komunistycznej, Joaquima Brandao (G w i a z d a b r a z y l i j s k i e g o n i e b a). Nie tylko na kontynencie afrykańskim, nie tylko na wyspach znajdujących się pod hegemonią Portugalii, ale i w wielkich republikach Ameryki Południowej stanowią „czarni" niezmiernie ważną część ludności. To nie przypadek, że o ten temat murzyński raz po raz zahaczają opowiadania Tadeusza Kwiatkowskiego.

Walka, jaka się toczy na całym ogromnym tym terenie, przybiera formy najróżniejsze. Senegalski kelner we francuskim Dakarze ze straszliwą i bezradną pewnością przyjmuje tragiczny los w noweli C e n a s z c z ę ś c i a. Równie bierny jest główny bohater tego opowiadania, Francuz, Henryk Brochet, który w milczeniu zgadza się na podłość złożenia fałszywego zeznania obciążającego niewinnego Murzyna. Uległość niewolniczą zdradzają mieszkańcy niektórych wysp. Ale gdzie indziej już się organizuje walka czynna. Nie znajdują chętnych organizatorzy wyprawy „dla zbawienia świata". Na portugalskiej wyspie, gdzie jedyna palma usycha z braku wilgoci, czarni robotnicy wraz z dwoma angielskimi nadzorcami organizują mocną i zdecydowaną walkę strajkową. Zwycięstwo odnoszą dokerzy ładujący kawę brazylijską koło Sao Paolo. Narastanie walki, coraz silniejsza świadomość uciskanych — oto nić tematyczna, która spaja w jedną całość siedem opowiadań Kwiatkowskiego.

Te szkice nowelistyczne są przeznaczone dla młodzieży. Wydaje mi się, że spełnią wyznaczony przez autora cel wychowawczy. Sprawa kolonializmu, wyzysku i walki wyzwoleńczej narodów „egzotycznych", to temat porywający i ciekawy dla naszego czytelnika. Dobrobyt wielu społeczeństw europejskich zawierał w sobie tajemnicę, która się zwie uciskiem ludów kolonialnych czy gospodarczym upośledzeniem krajów tylko z pozoru niepodległych (jak Brazylia).

Lekcja, jaką historia każe wyciągnąć ze zjawiska kolonializmu, z wyzyskiwania jednych społeczeństw przez inne — jest pełna głębokiego sensu.

Wspomniałem o obserwacyjnej bystrości Kwiatkowskiego, o umiejętności kreślenia sylwet ludzkich kilku szkicowymi rysami, o szybkiej i zajmującej akcji wielu tych opowiadań. Można by jednak żywić wątpliwości — czy akcja ta jest za każdym razem dostatecznie umotywowana i uprawdopodobniona. Rozumiem na przykład, że robotnicy brazylijscy, obserwujący werbunek na wyprawę koreańską (w noweli D l a z b a w i e n i a ś w i a t a) mają ważne powody, by tutaj przebywać. Trudno pojąć jednak, że tak naiwnie i tak łatwo dają się złapać w pułapkę zastawioną przez policyjnych agentów. Nieco zbyt prostymi ściegami toczy się akcja w noweli C e n a s z c z ę ś c i a; nie jest na przykład zupełnie jasne, dlaczego przedsiębiorca Sallier tak bezwzględnie wymaga od głównego bohatera fałszywego świadectwa przeciw

kelnerowi senegalskiemu. Także i język tych opowieści — przeważnie celny i żywy — chwilami jednak wymagałby dalszego udoskonalenia. Dotyczy to szczególnie szkiców: Dla zbawienia świata i Towarzysz.

Ale to są drobne usterki tych zajmujących, z talentem i żarem napisanych opowieści. Przypuszczam, że Gwiazda brazylijskiego niełb a doczeka się wielu nowych wydań. Książka Kwiatkowskiego otrzyma wtedy zapewne lepszą szatę graficzną niż ta, w jaką ją niestety zaopatrzono w wydaniu pierwszym. Tandetność okładki walczy tu o lepsze ze szpetotą ilustracji. Obniżono w ten sposób wartość utworu, zamiast pogłębić zainteresowanie czytelnika.

Wojciech Natanson

NA WIDNOKRĘGU

UWAGI NA TEMAT AMERYKAŃSKIEGO KRYZYSU

Wiadomo, że bywają ludzie zabobonni, którzy nie wymawiają słowa „diabeł" z obawy, żeby im się — tym sposobem „wywołany" — nie ukazał. Przeważająca część kół rządzących i stojących na ich żołdzie ekonomistów USA nie wymawia i nie używa w piśmie słowa „kryzys". Przerzucając prasę amerykańską odnotować można natomiast z piętnaście różnych określeń obecnej sytuacji ekonomicznej w USA, oznaczających właśnie kryzys. Najwymyślniejsze przytaczamy:

„Recesja, która mogłaby się stać depresją, gdyby nie wytłumaczono ludziom, że chodzi o dostosowanie do nowego poziomu koniunktury". Cóż to za nowy poziom koniunktury w USA?

Jeśli przeciętny poziom produkcji przemysłowej w USA w szczytowych latach 1943—1944 przyjąć za 100, otrzymamy — po wyeliminowaniu miesięcznych wpływów sezonowych, jak to czyni statystyka amerykańska — co następuje:

Produkcja przemysłowa

	ogółem	na jednego mieszkańca
w marcu 1953	102,5	88,3
w sierpniu 1953	99,2	85,4
w lutym 1954	90,7	78,0

Tak więc w ciągu 12 miesięcy nastąpił spadek produkcji przemysłowej o 11,5 proc. Jest to spadek z poziomu zaledwie przekraczającego poziom produkcji osiągnięty przed 10 laty, mimo że w ciągu tych 10 lat w gospodarce Stanów Zjednoczonych poczyniono znaczne inwestycje: przyrost głównego składnika trwałego kapitału produkcyjnego w gospodarce USA (tj. maszyn, urządzeń produkcyjnych, produkcyjnych środków transportowych itd.) w ciągu 9 lat po wojnie przekroczył 40 miliardów dolarów w cenach niezmiennych z 1939 roku. Jest to spadek doprowadzający już obecnie do tego, że na każdego

mieszkańca USA przypada o niemal 1/4 mniejsza produkcja niż przed 10 laty. Jest to przy tym spadek następujący z szybko rosnącym przyspieszeniem. Towarzyszące mu i z kolei przezeń wywoływane zjawiska pozwalają stwierdzić, iż gospodarka Stanów Zjednoczonych wkracza w fazę kolejnego kryzysu nadprodukcji.

Jak wiadomo kryzys nadprodukcji — to niejako eksplozja nagromadzonych rezultatów działania sprzeczności między pracą a kapitałem, sprzeczności między dwiema niemożliwościami — niemożliwością zaspokojenia często najelementarniejszych potrzeb wyzyskiwanych ludzi pracy i niemożliwością znalezienia nabywcy na towary wytwarzane przez tych ludzi a należące do fabrykanta, obszarnika i bankiera. Tę podstawową sprzeczność znakomicie zaostrzyła w Stanach Zjednoczonych realizowana na rozkaz monopoli militaryzacja gospodarki, ekonomiczny odpowiednik awanturniczej, „atomowej" polityki. W okresie „boomów" zbrojeniowych rząd USA wystąpił w roli nie tylko żandarma, ale i ekonoma monopoli. Przyrost produkcji w latach 1950 — 1953 o 19,6 proc. był wynikiem gwałtownego wzrostu zakupów państwowych: z 42 miliardów dolarów w 1950 do 84,9 miliarda dolarów w 1953 r. Znakomita większość tych zakupów dotyczyła zamówień wojskowych. Tak na przykład z ogólnej krajowej produkcji dóbr i usług rząd USA zakupił w 1953 na bezpośrednie cele wojskowe — jedną szóstą. Natomiast udział produkcji na bezpośrednie cele wojskowe w bieżącej produkcji przemysłu sięga jednej czwartej, nie licząc produkcji pośrednio militarnej, np. ekwipunku dla fabryk sprzętu wojennego.

Należy przy tym podkreślić następujące, podstawowe momenty:

Po pierwsze — gospodarka zbrojeniowa finansowana jest kosztem siły nabywczej konsumentów. Rozmiary opodatkowania sięgały w USA w 1953 — 82 miliardów dolarów i obciążały w 3/4 konsumentów, a tylko w 1/4 kapitalistyczne korporacje. Obecnie, po reformie podatkowej z 1 stycznia, stosunek ten jeszcze się pogorszył wobec likwidacji podatku od nadmiernych zysków. Trzeba też wskazać, że podatkowe uprzywilejowanie wielkich monopoli zmierzało do ułatwienia dalszej rozbudowy przemysłu zbrojeniowego i przygotowania w ten sposób dalszej militaryzacji gospodarki: w ciągu lat 1951 — 1953 rząd podarował na ten cel monopolom 29 miliardów dolarów w formie ulg podatkowych.

Po drugie — zyski gospodarki zbrojeniowej wpływają do kas największych monopoli. Z istniejących w USA 295 tysięcy przedsiębiorstw przemysłowych 100 największych otrzymuje 2/3 zamówień wojskowych, 10 największych — 1/3, a sama General Motors Corporation — prawie 1/7. Zmonopolizowany to tego stopnia rynek zbrojeniowy daje wielkim monopolom dodatkowe możliwości śrubowania i podtrzymywania wysokich cen, nie tylko przy realizacji zamówień rządowych, ale poprzez hamowanie dopływu towarów na rynek pokojowy i na tym rynku również.

W ten sposób zbrojenia pogłębiają bardzo silnie objawy kryzysowe w gospodarce USA. Ujawniło się to szczególnie dobitnie w latach 1952 — 1953, kiedy to w gospodarce USA dostrzec można było objawy częściowego kryzysu — najpierw w rolnictwie, następnie w przemyśle konsumpcyjnym. Zilustrujmy ten wpływ gospodarki zbrojeniowej przy pomocy ruchu cen.

W wymienionym dwuletnim okresie łączny wskaźnik cen hurtowych (1947—1949 = 100) nawet spadł — z 113,6 na 110,2. Na ten minimalny spadek składał się jednak:

a) silny spadek cen hurtowych płaconych farmerom — ze 112,0 na 95,2 — co przyspieszyło pauperyzację mas chłopskich i pogłębiło kryzys rolny.

b) znaczny spadek cen hurtowych przemysłu konsumpcyjnego, przede wszystkim słabiej zmonopolizowanego — np. w tekstyliach ze 103,9 na 95,5, w wyrobach skórzanych ze 107,0 na 97,0 itd. — co oznaczało przerzucenie kryzysu na przemysł konsumpcyjny i zainicjowało nowy okres dezinwestowania, tj. odpływu kapitałów inwestycyjnych z tych gałęzi gospodarki.

c) wspierany przez zbyt materiałów zbrojeniowych wzrost cen w przemyśle ciężkim, zwłaszcza najbardziej zmonopolizowanym — np. w przemyśle maszynowym ze 120,5 do 124,1; w metalurgii ogółem ze 122,5 do 127,8; w czarnej metalurgii ze 123,1 do 133,4; w przemyśle naftowym ze 110,9 do 116,6 itd. — co wraz ze wspomnianymi ulgami podatkowymi dało m.in. w rezultacie przeinwestowanie przemysłu środków (głównie narzędzi) produkcji w warunkach zastoju i dezinwestowania w przemyśle konsumpcyjnym i rolnictwie.

Ponadto — nie wolno o tym zapominać — że nawet silny spadek cen hurtowych artykułów masowego spożycia został wchłonięty przez monopolistyczne zyski w handlu i konsument nie odczuł żadnej ulgi. W omawianym okresie dwuletnim nawet oficjalny wskaźnik cen konsumpcyjnych wzrósł z 112,8 do 115,4 (1947 — 1949 = 100), a ceny detaliczne żywności, mimo spadku cen w hurcie o 15 proc. — drgnęły... ale w górę.

Tak więc widać wyraźnie, jak zbrojenia niszcząc siłę nabywczą konsumentów z jednej strony, a wzmacniając pozycję monopoli i ich możliwości dyktatu cen z drugiej strony — przygotowały warunki dla ostrego kryzysu nadprodukcji.

Rola zbrojeniowej gospodarki jako czynnika warunkującego szczególną głębię i ostrość kryzysu nadprodukcji ujawnia się również w zakresie rynku zewnętrznego. Militaryzacja eksportu USA — w chwili obecnej 1/4 całego wywozu, to sprzęt wojenny — nie potrafiła wprawdzie zahamować spadku eksportu jako całości (spadek ten jest wynikiem zaostrzającej się walki konkurencyjnej na zwężonym rynku kapitalistycznym, odcięcia od zbytu na rynku socjalistycznym i militaryzacji gospodarki innych państw kapitalistycznych), za to jednak pozwala ona wielkim monopolom zbrojeniowym utrzymać wywóz kosztem producentów rolnych i przemysłu konsumpcyjnego.

*

W drugiej połowie 1953 kryzys zbytu w rolnictwie i przemyśle konsumpcyjnym Stanów Zjednoczonych przerzucił się na przemysł ciężki. Objawy kryzysu z cząstkowych stały się ogólnogospodarczymi. Wobec ucieczki kapitałów inwestycyjnych z działów gospodarki obsługujących bezpośrednio konsumenta— w działach tych nastąpił spadek zapotrzebowania na środki produkcji, spadek tak silny, że zamówienia zbrojeniowe już go nadrobić nie były w stanie.

Wartość zapasów niesprzedanych towarów na składach w rękach prywatnych doszła w końcu lutego br. do 80,3 miliarda dolarów, mimo trwających przez siedem poprzedzających miesięcy gwałtownych wysiłków, których celem

było rozładowanie składów. Rządowa Commoolity Credit Corporation zajmująca się skupem artykułów rolnych miała zarazem zamrożone w niesprzedanych zapasach 5 miliardów dolarów, tj. prawie dwa razy więcej niż w końcu 1952, przy czym roczną stratę wartości tych zapasów, wyniku składowania, oceniono na 700 miliardów dolarów. Do końca marca br. wartość zapasów C.C.C. wzrosła do 6 miliardów dolarów. Wysiłki mające na celu rozładowanie składów, wobec kryzysu zbytu, nie tylko nie mogły przynieść ulgi gospodarce amerykańskiej, ale poprzez wywołany nimi spadek zamówień dla przemysłu przyspieszyły proces ogólnego spadku aktywności gospodarczej, proces spadku produkcji, wzrostu bezrobocia, a więc spadku siły nabywczej. Tak np. okazało się, że podczas gdy w styczniu zapasy na składach zmniejszyły się zaledwie o 250 milionów dolarów — zbyt towarów w sprzedaży detalicznej spadł w porównaniu z przeciętną miesięczną ostatniego kwartału 1953 — o 2,7 miliarda dolarów.

Szczególnie gwałtownie zmniejszył się zbyt w rejonach, gdzie owo wysławiane przez prasę amerykańską „dostosowanie do nowego poziomu koniunktury" wywołało szczególnie szybki wzrost bezrobocia. Przykładowo weźmy zbyt odzieży i samochodów. W porównaniu ze styczniem 1953 zbyt odzieży w styczniu 1954 był w rejonie Baltimore mniejszy o 15 proc., w rejonie Birmingham — o 12 proc., w rejonie Cleveland — o 14 proc., w rejonie Detroit o 18 proc., w rejonie Kansas — o 12 proc., w rejonie Pittsburgha — o 10 proc., w rejonie Seattle— o 14 proc. Zbyt samochodów w tych samych rejonach zmniejszył się odpowiednio: o 36 proc., 21 proc., 12 proc., 8 proc., 14 proc., 9 proc., 28 proc.

Ogółem sprzedaż detaliczna w styczniu br. była w USA o 6 proc. niższa niż w styczniu 1953 r. przy bardzo naciągniętej cięciwie kredytu konsumpcyjnego (sprzedaż na raty itd.). Suma niezwróconych pożyczek na zakup artykułów konsumpcyjnych wynosiła w końcu grudnia 1953 — 28,9 miliarda dolarów, tj. o 11,9 proc. więcej niż w końcu poprzedniego roku.

Jeśli chodzi o zamówienia dla przemysłu, miarodajna jest grupa towarów tzw. długotrwałego użytku (środki produkcji, uzbrojenie, towary długotrwałej konsumpcji). Otóż w ciągu II-go półrocza 1953 napływ nowych zamówień do tych gałęzi przemysłu spadł o 23 proc. Mimo jednoczesnego spadku produkcji — zmniejszył się również gwałtownie portfel zamówień jeszcze nie wykonanych, będących w posiadaniu przedsiębiorców w tych gałęziach gospodarki — mianowicie o 20 proc. W ciągu pierwszych czterech miesięcy br. sytuacja nie uległa poprawie.

W tej sytuacji spadek produkcji, zilustrowany tabelą na wstępie, stał się nieunikniony. Pociągał on za sobą gwałtowny wzrost bezrobocia, tzn. pogłębił w decydujący sposób kryzys zbytu.

*

Jak wiadomo, statystyka bezrobocia należy do najbardziej fałszowanych w Stanach Zjednoczonych. W lutym br. znany ten fakt znalazł jeszcze jedno dobitne potwierdzenie, kiedy to pod presją opinii publicznej rząd widział się zmuszony nagle „zrewidować" dotychczasową statystykę bezrobocia i podać nową liczbę za styczeń, o 728 tysięcy wyższą niż podana uprzednio. W ten sposób liczba w pełni bezrobotnych, wg nowej statystyki rządowej, wyniosła w styczniu 3.365.000 (biorąc pod uwagę również ok. 275 tysięcy tzw.

„czasowo zwolnionych"), tj. o 61 proc. więcej niż w styczniu 1953. W lutym nastąpił dalszy wzrost bezrobocia o 584 tysiące (wg danych oficjalnych), tak że w ten sposób liczba w pełni bezrobotnych, nawet wg oficjalnej statystyki, doszła do prawie 4 milionów. Liczby tej jednak niesposób uznać za w pełni odzwierciedlającą stan rzeczywisty w dziedzinie pełnego bezrobocia. Statystyka rządowa stosuje bowiem nadal dwa, dość zresztą przejrzyste, „kruczki" w tej dziedzinie. Pierwszy kryje się w terminie statystycznym „cywilna siła robocza", która z kolei dzieli się na zatrudnioną i bezrobotną. Otóż statystycy rządowi w ciągu drugiej połowy ub. r. po prostu skreślili z tej rubryki półtora miliona żywych i zdrowych obywateli, oczywiście tych, którzy stracili pracę. Pomniejszono w ten sposób liczbę bezrobotnych. Pretekstem do takiej manipulacji miał być fakt, że skreśleni z rubryki „nie pracowali uprzednio zawodowo przez dłuższy czas". W lutym, jak widzieliśmy, „zwrócono" 728 tysięcy, zatajając więc nadal drugie tyle. Dodając, zgodnie z naturalnym przyrostem ludności, młodzież pierwszy raz poszukującą pracy, nie znajdującą jej i również nie włączaną do statystyk — otrzymujemy ilość w pełni bezrobotnych nie mniejszą niż 5 milionów. Do tego dochodzi jeszcze ok. 10 milionów ludzi pracujących, wedle statystyki oficjalnej, tylko przez niepełny tydzień roboczy.

*

Choć kryzys w gospodarce USA dojrzewa już od dłuższego czasu — zyski monopolistów nieprzerwanie rosną. Licząc w miliardach dolarów niezmiennych z 1939 i biorąc pod uwagę tylko oficjalnie stwierdzone zyski monopoli, otrzymujemy tabelę:

	Przeciętne roczne
okres 1936 — 1940	5,96
okres wojny 1941 — 1945	16,6
okres względnie powolnej militaryzacji 1946 — 1949	17,2
okres forsownej militaryzacji 1950 — 1953	22,2

Nawet w ciągu ostatnich miesięcy zyski monopolistyczne rosły nadal. Nic dziwnego, że są w USA ludzie, którzy potrafią dopatrzyć się „szczęścia w nieszczęściu". To właśnie wielcy monopoliści, którzy pragną wyzyskać kryzys i bezrobocie dla zdławienia klasy robotniczej i obniżenia płac, którzy zarazem widzą w kryzysie narzędzie wyeliminowania słabszych konkurentów. Biuletyn rockeffelerowskiego Chase National Bank określił nowet ostatnio owe „dostosowanie do nowego poziomu koniunktury" jako „dobroczynne zjawisko"! Jak głęboko sięga cynizm monopolistów, wskazuje również taki np. wywód wielkokapitalistycznego miesięcznika Fortune z grudnia 1953:

„Z chwilą gdy rynek artykułów niezbędnych (nawet szeroko rozumiany) jest mniej lub bardziej ograniczony — ekspansja gospodarcza jest równoznaczna z ekspansją rynku artykułów luksusowych i niemożliwa bez niego."

Wielkie monopole mogą sobie faktycznie — do pewnego momentu — pozwolić na zachowanie spokoju w obliczu narastania kryzysu. Zalecają one wszakże jako drogę wyjścia „ulgi podatkowe raczej dla businessu niż dla konsumentów" (szef Federal Reserve Board — McChesney Martin). I widzą, że te ich zalecenia są realizowane. Podatek od nadmiernych zysków na przykład już zlikwidowano, a zarazem prezy-

dent Eisenhower 25 marca oświadczył oficjalnie, że „nie widzi obecnie potrzeby jakiegoś szerszego programu pomocy rządowej dla zwalczania bezrobocia", jakkolwiek w marcu, zazwyczaj miesiącu wiosennego ożywienia, nastąpił dalszy wzrost liczby w pełni bezrobotnych — o 54 tys.

*

Aczkolwiek fakt wchodzenia Stanów Zjednoczonych w fazę cyklicznego kryzysu nadprodukcji zdaje się nie ulegać kwestii i aczkolwiek — jak wskazane wyżej — gospodarka zbrojeniowa powoduje szczególną ostrość tej kryzysowej fazy — nie należy bynajmniej oczekiwać jakiegoś kwałtownego „wybuchu" kryzysu w stylu np. roku 1929. Tak np. krach giełdowy typu 1929 nie wydaje się możliwy chociażby ze względu na potężne rezerwy finansowe monopoli, wielokrotnie przekraczające ich zadłużenie. Ostrości kryzysu nie mierzy się jednak bynajmniej gwałtownością jego wybuchu. Miarą tej ostrości jest bowiem stopień zahamowania rozwoju i niszczenia sił wytwórczych. W warunkach współczesnego kapitalizmu w USA wejście w fazę kryzysu można by nazwać „wpełzaniem w kryzys". Tak np. kryzys rolny rozpoczął się na dobre przed trzema laty, a jego oznaki były widoczne już w 1947—48. Przemysł konsumpcyjny usłyszał dzwonek alarmowy jeszcze w 1948, przemysł środków produkcji dla rolnictwa — już w 1950—51 itd.

Na ogół biorąc taki „pełzający" rozwój kryzysu jest wynikiem możliwości i pozycji, jakie uzyskały monopole.

Prawo wartości przy kapitalizmie powiada, iż suma cen dorównuje sumie wartości na rynku — w całym okresie cyklu ekonomicznego łącznie. Monopole amerykańskie w szczególnie szerokim zakresie i w szczególnie długim okresie czasu, bo mniej więcej od r. 1939, tj. od zakończenia ostatniego kryzysu nadprodukcji (1937 — 38), realizowały ceny z reguły powyżej wartości. Wykorzystując swe możliwości — realizują je nadal także i w roku bieżącym. Będą oczywiście dążyć do kontynuowania tego procederu w poważnym zakresie poprzez zmniejszanie produkcji i dalszą jej militaryzację. Prawo wartości, obiektywne prawo ekonomiczne, nieuniknienie toruje sobie jednak drogę! Poprzez szczególnie wielką ruinę drobnych producentów, których towary w warunkach kryzysu będą ceną znacznie poniżej wartości „płacić" za nadwyżki uzyskiwane przez monopolistów; poprzez długotrwałość fazy kryzysu, gdyż praktyki monopolistyczne wiążą się ze znacznym pogłębieniem nędzy mas, a więc spadkiem siły nabywczej szczególnie wyraźnym; poprzez gwałtowne zaostrzenie walki między monopolami i podporządkowanie tych, które nie będą mogły jej wytrzymać. Mówiąc obrazowo — walka kryzysu z monopolistyczną gospodarką jest ostrzejsza i bardziej długotrwała, ponieważ monopole bronią się skuteczniej niż kapitaliści w okresie wolnej konkurencji. Ale metody tej obrony dają kryzysowi nową podnietę, przedłużają jego trwanie.

Niesposób również nie zauważyć, że kryzys amerykański odbije się szczególnie miażdżąco na krajach uzależnionych od kapitału USA i że to również, rykoszetem, da nową pożywkę kryzysowi w USA (np. poprzez spadek wywozu, trwający już zresztą od roku).

*

W związku z powyższym nie można też nie zaznaczyć, że walka z kryzysem wywołuje wzrost awanturnictwa politycznego w obozie monopolistów. Pod-

kreślenia wymaga zwłaszcza jeden element, mianowicie poważna różnica ekonomiczna, jaka istnieje pomiędzy gospodarką zbrojeniową w okresie pokoju lub względnego pokoju, a gospodarką wojenną.

Druga wojna światowa np. spełniła w USA w pewnym zakresie rolę fazy kryzysu nadprodukcji. Wielkie monopole, mając w zamówieniach rządowych (w szczytowym roku 1944 — 45 proc. całej produkcji narodowej) pewny zbyt po wyśrubowanych cenach, zgarniały olbrzymie zyski, nie mając natomiast, jako niezagrożone konkurencją, dostatecznej podniety do odnawiania ekwipunku produkcyjnego. Koszty własne produkcji nie ogrywały roli, albowiem rząd płacił każdą cenę. W rezultacie w ciągu lat wojny kapitał prywatny nie realizował nawet prostej reprodukcji (ważna cecha faz kryzysowych): deprecjacja netto kapitału trwałego wyniosła w ciągu lat 1942 — 1945 — 9,3 miliardów dolarów (w cenach niezmiennych z 1939). Nie mniej doniosły był fakt, że deprecjacja koncentrowała się na rolnictwie i przemyśle cywilnym, co zarazem powodowało wzrost dysproporcji między działem I (głównie stal, maszyny, chemia ciężka) a działem II, działem produkcji konsumpcyjnej. Na rozmiary wspomnianych dysproporcji rozwojowych wskazuje fakt, że w latach 1943 — 44 produkcja przemysłowa dóbr trwałych (w decydującej mierze sprzętu zbrojeniowego) wynosiła, biorąc za 100 poziom z lat 1935 — 39, aż 357, dóbr nietrwałych — 173 (wzrost dzięki produkcji dla wojska, np. mundury i konserwy oraz na eksport) a górnicza, która nie mogła mieć bezpośredniego wojennego charakteru, tylko 136.

Rzecz jasna, że w warunkach pokojowych nie mogłoby się wobec takiego ukształtowania ruchu kapitału trwałego i takich dysproporcji obejść bez potężnego krachu ekonomicznego. W warunkach wojny „zbędna" siła robocza z produkcji pokojowej szła na pola bitwy: w 1944 liczebność sił zbrojnych równa była 13 proc. całej zawodowo czynnej ludności. Przemysł zaś środków produkcji, przemysł działu I, wytwarzał nie „zbędne" środki produkcji, ale środki zniszczenia — znajdujące ciągłe zastosowanie.

W warunkach gospodarki zbrojeniowej, jak widzieliśmy wyżej, mamy i wielkie zyski monopoli, i niszczenie siły nabywczej mas. Nie ma jednak tego „rynku zbytu": wielkiego pola bitwy. Toteż naciskani przez kryzys monopoliści marzą o nim coraz goręcej.

O ile można stanowczo stwierdzić, że sukcesy obozu pokoju i ruchu pokojowego krzyżują plany monopolistów amerykańskich (chociażby ich żałoba z powodu zakończenia walk w Korei!)— o tyle jednak słuszne jest również, że plany te odżywają wciąż na nowo i że w miarę rozwoju kryzysu awanturnictwo monopoli ma tendencję do gwałtownego wzrostu. Dlatego też groźba dla pokoju świata trwa i walka o pokój wymaga nieustannego napięcia wszystkich sił.

Krzysztof Wolicki

ROZKWIT UKRAIŃSKIEJ LITERATURY RADZIECKIEJ

Obchodzone w tym roku trzechsetlecie zjednoczenia Ukrainy z Rosją było nie tylko świętem narodowym Rosjan, Ukraińców i Białorusinów, lecz także i wszystkich narodów Kraju Rad, było także świętem kultury, literatury i sztuki radzieckiej — narodowej w formie, socjalistycznej w treści.

Uroczystości jubileuszowe głosiły triumf idei jedności, braterstwa i przyjaźni wielkiej rodziny narodów Kraju Rad.

Radziecka społeczność pisarska wzięła

w tych uroczystościach żywy i aktywny udział. W styczniu dla uczczenia trzechsetnej rocznicy wielkiego aktu zjednoczeniowego w Perejasławiu-Chmielnickim (18.I.1654 r.) odbył się w Moskwie wieczór literacki rosyjsko-ukraiński, w Mińsku zaś urządzono wieczór ukraińsko-białoruski. W wieczorach tych brali również udział pisarze — przedstawiciele innych narodów ZSRR.

— Byłoby niesłuszne przypuszczać — mówił Maksym Rylski w referacie wygłoszonym na uroczystym jubileuszowym posiedzeniu XV Plenum Zarządu Związku Pisarzy Radzieckich w marcu br. — że polityczna, ekonomiczna i literacka więź rosyjsko-ukraińska powstała dopiero po zjednoczeniu Ukrainy z Rosją... Wielkie to wydarzenie historyczne przyczyniło się do wzmocnienia i uwielokrotnienia więzów przyjaźni, do pogłębienia dobroczynnego oddziaływania postępowej kultury rosyjskiej na rozwój kultury narodu ukraińskiego. Postępowa literatura rosyjska — utwory Puszkina i Lermontowa, Gogola i Niekrasowa, Bielińskiego i Hercena, Czernyszewskiego i Dobrolubowa, Szczedrina i Tołstoja, Czechowa i Korolenki — były dla pisarzy ukraińskich szkołą realizmu.

Na przełomie stuleci duży wpływ na rozwój rewolucyjno-demokratycznej literatury ukraińskiej miały humanistyczne i wyzwoleńcze idee Maksyma Gorkiego; po rewolucji Gorki jeszcze silniej oddziaływał na rozwój ukraińskiej literatury radzieckiej. Olbrzymią rolę odegrała także twórczość Majakowskiego. „Nie można — powiedział Rylski — wymienić ani jednego ukraińskiego poety radzieckiego, w którego utworach nie wyczuwałoby się wpływu Majakowskiego.“ Rylski podkreślił również wzajemne oddziaływanie literatury ukraińskiej, motywów twórczości ukraińskiej — na pisarzy rosyjskich.

W imieniu pisarzy rosyjskich powitał przybyłych na XV Plenum pisarzy ukraińskich Walenty Katajew, przemawiali też inni przedstawiciele literatur narodowych.

W dniach poprzedzających jubileuszowe uroczystości majowe odbyło się w Kijowie IX jubileuszowe Plenum Zarządu Związku Pisarzy Radzieckich Ukrainy z udziałem delegacji Związku Pisarzy z poszczególnych republik. Referat Trzechsetlecie zjednoczenia Ukrainy z Rosją jest wielkim świętem narodu ukraińskiego, rosyjskiego i wszystkich narodów ZSRR wygłosił przewodniczący Związku Pisarzy Radzieckich Ukrainy, Mikoła Bażan. Mówiąc o współczesnej literaturze ukraińskiej Bażan podkreślił jej osiągnięcia, zwłaszcza w dziedzinie tematyki przyjaźni obu narodów. Bażan wymienił wiele utworów ostatniej doby, w których odsłonięto źródła tej przyjaźni na przestrzeni stuleci, odmalowano wspólną walkę obu narodów z najeźdźcami i wrogami wewnętrznymi, przedstawiono bliskość i pokrewieństwo obu kultur.

Do najlepszych takich utworów Bażan zaliczył libretto Wasilewskiej i Korniejczuka do opery Dańkiewicza Bohdan Chmielnicki, powieści — Koczergi Jarosław Mądry, Rybaka Rada Perejasławska, Le Nalewajko, dramat wierszowany Dmyterki — Razem na wieki.

Przeszłość narodu ukraińskiego, życie jego wielkich synów opiewają także powieści: Ustim Karmaluk Kuczera, Drogi Tarasa Iwanenki, Michał Kociubiński Smelańskiego, Jurko Kruk Kozlaniuka i in. Za wyraz braterstwa i przyjaźni narodu polskiego, rosyjskiego i ukraińskiego Bażan uważa trylo-

gię Wandy Wasilewskiej N a d w o d a m i. Duchem przyjaźni i braterstwa narodów owiane są poezje Pawła Tyczyny, Maksyma Rylskiego, Andreja Małyszki, Płatona Worońki, najlepsze wiersze Sosiury, Nagnibedy, Pidsuchy, poemat Pierwomajskiego N a d u r w i s t y m i b r z e g a m i i wiele innych utworów ukraińskiej poezji lat ostatnich.

Bażan mówił także o brakach i niedociągnięciach we współczesnej twórczości pisarzy ukraińskich: „Jeszcze mało napisaliśmy i piszemy książek o naszej okrytej chwałą klasie robotniczej. Mało stworzyliśmy dzieł, które by dzisiaj bezpośrednio dopomagały naszemu narodowi w walce o wykonanie tych wielkich zadań, jakie w ostatnich czasach postawiła przed narodem Partia Komunistyczna." Rękojmią ich wypełnienia jest umiejętność widzenia i przezwyciężania błędów i braków.

Przemawiający w imieniu Prezydium Związku Pisarzy Radzieckich ZSRR i delegacji pisarzy rosyjskich Konstanty Simonow nakreślił dzieje przyjaźni obu narodów. „Literatura obu naszych narodów wniosła duży wkład do wielkiej sprawy braterstwa i przyjaźni. Najwybitniejsze nazwiska w naszych literaturach, najbardziej bohaterskie ludzkie losy, najsilniejsze charaktery związane są z kartami tej wspaniałej księgi jedności i braterstwa."

W związku ze zbliżającym się II Wszechzwiązkowym Zjazdem Pisarzy Simonow mówił o zadaniach stojących przed wielonarodową literaturą radziecką: „Wkrótce będziemy musieli dokonać podsumowania naszej dwudziestoletniej działalności i wytyczyć dalszą drogę, jaką wskazuje nam samo życie narodu i ostatnie historyczne uchwały naszej Partii. Gdy obejmujemy wzrokiem osiągnięcia naszej literatury wszechzwiązkowej w ubiegłych latach, ogarnia nas podziw dla ogromu tego, czego dokonano we wszystkich republikach dla wzajemnego powiązania literatur, wzajemnego ich wzbogacenia, co osiągnięto w dziedzinie literatury przekładowej, w sprawie wysunięcia literatur narodowych na arenę wszechzwiązkową i światową."

O bliskiej więzi łączącej narody — rosyjski, ukraiński i białoruski — i ich literatury mówił pisarz białoruski, Janka Bryl. Przedstawiciele społeczności pisarskiej ze wszystkich republik radzieckich w swych przemówieniach powitalnych podkreślili wielką poczytność literatury ukraińskiej w przekładach na języki narodów radzieckich, uwypuklili jej wpływ na rozwój literatur narodowych, omawiali utwory swoich literatur ojczystych poświęcone tematyce przyjaźni narodów ZSRR. Uwieńczeniem jubileuszowego Plenum był „wieczór przyjaźni", na którym poeci i prozaicy wszystkich narodowości czytali własne utwory w swoim ojczystym języku.

Upowszechnieniu literatury i sztuki — rosyjskiej na Ukrainie i ukraińskiej w Rosji — służyły dekady literatury i sztuki: dekada literatury i sztuki ukraińskiej odbyła się w Moskwie w kwietniu, dekada literatury i sztuki rosyjskiej na Ukrainie — w maju. Pisarze ukraińscy dali wiele wieczorów autorskich w salach koncertowych, w fabrycznych pałacach i domach kultury, w uczelniach i klubach studenckich stolicy Związku Radzieckiego. Występy te przekształciły się w gorącą manifestację uczuć łączących oba narody.

Z niemniejszym entuzjazmem przyjmowali rosyjskich pisarzy i artystów Ukraińcy w dniach dekady literatury i sztuki rosyjskiej (6 — 16 maja). 1500-osobowa grupa pisarzy i artystów (pełny zespół Państwowego Akademickiego Teatru Wielkiego w Moskwie, zespół Pieśni i Tańca Armii Radzieckiej im. Aleksandrowa, chór im. Piatnic-

kiego) urządziła dziesiątki spotkań z mieszkańcami miast i wsi ukraińskich. W tym samym czasie kilka rosyjskich zespołów teatralnych bawiło na gościnnych występach na Ukrainie, teatry ukraińskie wysłały zespoły do miast rosyjskich. Do Moskwy przyjechał 650-osobowy zespół Kijowskiego Akademickiego Teatru Opery i Baletu im. Szewczenki, który m. in. z dużym powodzeniem wystawił B o h d a n a C h m i e l n i c k i e g o. W Moskwie odbył się w maju 20-dniowy festiwal filmów ukraińskich. W miastach i większych ośrodkach kulturalnych obu krajów otwarto wiele okolicznościowych wystaw.

Poznaniu dziejów zjednoczenia obu narodów oraz historii ich kultur poświęcone były specjalne sesje naukowe akademii nauk w poszczególnych republikach związkowych. W kwietniu odbyła się dwudniowa jubileuszowa sesja naukowa na kilku wydziałach Akademii Nauk ZSRR. Na sesji w Wydziale Literatury i Języka referat o wpływie zjednoczenia Ukrainy z Rosją na rozwój ukraińskiego języka literackiego wygłosił I. Bełodied, referat pt. S z e w c z e n k o i l i t e r a t u r a r o s y j s k a wygłosił F. Prijm, referat pt. P o s t ę p o w i r o s y j s c y d z i a ł a c z e s p o ł e c z n i k o ń c a XIX i p o c z ą t k u XX w i e k u a u k r a i ń s k a l i t e r a t u r a d e m o k r a t y c z n a — A. Bielecki, referat G o r k i i u k r a i ń s k a l i t e r a t u r a r a d z i e c k a — wygłosił badacz literatury A. Nowiczenko.

Zanim przejdę do omówienia jubileuszowych publikacji w prasie literackiej, pragnę podać kilka cyfr ilustrujących rozkwit kultury w Ukraińskiej Republice Radzieckiej. Przed Rewolucją na Ukrainie było przeszło 80% analfabetów, obecnie analfabetyzm zniknął na Ukrainie; istnieje tam 144 wyższych uczelni z przeszło 177 tys. studentów. Radziecka Ukraina posiada Akademię Nauk, Akademię Architektury, 475 instytutów naukowo-badawczych, dziesiątki tysięcy świetlic i klubów, domów i pałaców kultury, czytelni i bibliotek. Na Ukrainie czynnych jest 75 teatrów i 26 filharmonii zawodowych, wychodzi 1176 dzienników i periodyków. Ogromny rozmach osiągnęło życie wydawnicze: roczny nakład książek wydawanych na Ukrainie sięga wielu dziesiątków milionów egzemplarzy. W roku 1953 w dziedzinie literatury pięknej wydano 511 tytułów o łącznym nakładzie przewyższającym 20 milionów egzemplarzy.

O poczytności rosyjskich pisarzy — klasycznych i radzieckich — na Ukrainie świadczy ilość przekładów na język ukraiński: utwory Gorkiego osiągnęły tam 158 wydań o łącznym nakładzie 3,5 miliona egzemplarzy, dzieła Gogola uzyskały 63 wydania, Czechowa — 61, Puszkina — 59, Tołstoja — 50, Majakowskiego — 35, Szołochowa — 18 wydań. Pisarze ukraińscy, tak klasyczni jak i współcześni, cieszą się w Związku Radzieckim dużą poczytnością: 359 wydań dzieł Szewczenki, przełożonych na 38 języków narodów ZSRR — osiągnęło łączny nakład przewyższający 8 milionów egzemplarzy. Utwory Iwana Franki uzyskały 497 wydań o łącznym nakładzie przeszło 8,3 milionów egzemplarzy. Duże nakłady osiągają przekłady ukraińskich pisarzy radzieckich, np. utwory Korniejczuka przełożono na 19 języków narodów ZSRR, Gonczara — na 14 języków itd.

Rozkwit socjalistycznej kultury, literatury i sztuki narodu ukraińskiego, rozwijających postępowe tradycje narodowe, znamionuje stałe pogłębianie i utrwalanie ich nierozerwalnej więzi z kulturą i literaturami narodów Kraju Rad, przede wszystkim — narodu

rosyjskiego. W wielu publikacjach książkowych * i prasowych znajdujemy historyczno-literacką analizę wielowiekowych tradycji kulturalnych rosyjsko-ukraińskich. Prof. N. Gudzij pisał o rozwoju więzi między obu literaturami w artykule Jedność braterskich literatur (Komsomolskaja Prawda z 21.V): „Jeszcze przed zjednoczeniem Ukrainy z Rosją, zwłaszcza wkrótce po tym wielkim wydarzeniu dziejowym, ukraińscy działacze i uczeni wnieśli wkład do rozwoju literatury rosyjskiej. Odtąd dokonywała się nieustannie ożywiona wymiana dóbr kulturalnych, wartości literackich. Duży wpływ na rozwój literatury ukraińskiej wywarła literatura rosyjska XVIII wieku — od Łomonosowa do Dzierżawina. W wieku XVIII popularność w Rosji zdobyła ukraińska pieśń ludowa.

Poczynając od Puszkina rozkwitająca literatura rosyjska wywiera coraz silniejszy wpływ na literaturę ukraińską. Nic w tym dziwnego. Podziałała na nią swą wzniosłą ideowością, duchem obywatelskim, patriotyczną żarliwością, demokratyzmem i właściwym jej humanizmem, ludowością i realizmem. „Nic dziwnego — pisze Gudzij — że wielki poeta ukraiński, Szewczenko, wysoko cenił twórczość Puszkina, Lermontowa, Gogola, Sałtykowa-Szczedrina, że chylił czoło przed dekabrystami i Hercenem za ich cywilną odwagę i bohaterstwo, za ich walkę z tyranią samowładztwa, że — studiując artykuły Bielińskiego i Czernyszewskiego, osobiście obcując z Czernyszewskim, Dobrolubowem i Niekrasowem — pogłębiał swój światopogląd. Szewczence bliska była rosyjska literatura i rosyjska mowa, rosyjska myśl postępowa. Jakże wymownie świadczy o tym fakt, że napisał po rosyjsku wiele utworów, a także płynącą z serca i umysłu spowiedź — swój dziennik."

Rosyjska literatura i krytyka rewolucyjno-demokratyczna wywarła też bardzo silny wpływ na rozwój takich wybitnych pisarzy ukraińskich, jak Iwan Franko, Marko Wowczak, Panas Mirnyj, Łesia Ukrainka, Michał Kociubiński, Paweł Grabowski. Gudzij cytuje znane powiedzenie Iwana Franki: „O ile utwory literatury europejskiej nam się podobały, pobudzały nasz smak estetyczny i naszą fantazję, to dzieła Rosjan męcząco nas niepokoiły, budziły w nas człowieka, budziły miłość do biednych i uciskanych."

Szerzej omawia to zagadnienie Leonid Chinkułow w artykule Wielkie zespolenie bratnich literatur (Znamia, nr 5/54). W szczególności Chinkułow naświetlił związki Tarasa Szewczenki z czołowymi pisarzami i działaczami rosyjskimi XIX w. Nawiązanego w młodości, w czasie wieloletniego pobytu w Petersburgu, kontaktu z postępową literaturą rosyjską Szewczenko nie stracił nawet w czasie zesłania *, stale czytał petersburskie czasopisma literackie, które były w owym czasie kuźnicą rewolucyjno-demokratycznej myśli literackiej.

Po powrocie z zesłania Szewczenko brał aktywny udział w pracy kółka rewolucyjnych demokratów, skupiających się wokół czasopisma Sowriemiennik. Z Czernyszewskim, który stał na czele ruchu rewolucyjno-demokra-

* Na przykład zbiór artykułów pt. Rosyjsko-ukraińska jedność literatur (pod redakcją A. Bieleckiego i N. Gudzija), Bieliński i ukraińska literatura 30—40-tych lat XIX wieku R. I. Bassa. Obie książki wyszły w Kijowie (1953 r.) w języku ukraińskim.

* Przy sposobności informuję, że w poświęconym trzechsetleciu zjednoczenia Ukrainy z Rosją nrze 20 tygodnika Ogoniok opublikowano ciekawy przyczynek do dziejów przyjaźni Szewczenki z najlepszymi synami Polski — reprodukcję rysunku A. Czernyszewa, przedstawiającego Szewczenkę w gronie polskich zesłańców w Orenburgu.

tycznego, Szewczenko był w zażyłych i przyjaznych stosunkach, zbliżyło ich do siebie głębokie pokrewieństwo ideowe i gorąca sympatia osobista.

Rosyjska myśl postępowa wywierała też silny wpływ na pisarzy ukraińskich mieszkających na terenie b. Galicji, Bukowiny, Zakarpacia. Chinkułow nakreśla zasięg i formy tego oddziaływania, zwłaszcza pod wpływem wspaniałej twórczości Szewczenki. Życiodajny wpływ literatury ukraińskiej — aczkolwiek krępowanej przez carską cenzurę — wytyczał linię rozwojową najwybitniejszych poetów i prozaików ukraińskich mieszkających pod zaborem austro-węgierskim. Ten wolnościowy duch narodu ukraińskiego dążącego do zjednoczenia z narodem rosyjskim znalazł wyraz w twórczości klasyka literatury ukraińskiej, Iwana Franki. Franko był wielbicielem i popularyzatorem rosyjskiej literatury realistycznej wśród czytelników ukraińskich, był autorem wielu artykułów i notatek o literaturze rosyjskiej, przełożył dramaty Puszkina, M a r t w e d u s z e Gogola, wiele wierszy Niekrasowa i Lermontowa, niektóre utwory Czernyszewskiego, Szczedrina, Hercena i inne. Dzieła Franki, podobnie jak poezja Szewczenki, cieszyły się w Rosji dużą poczytnością, zyskały uznanie wielu przodujących pisarzy i działaczy rosyjskich.

Masy pracujące Ukrainy, podobnie jak i innych narodów Rosji, znalazły oddanego sprzymierzeńca i kierownika w walce o wyzwolenie narodowo-społeczne w rosyjskim proletariacie i jego przodującym oddziale — Partii Komunistycznej. Wielki pisarz proletariacki, żarliwy obrońca praw narodów uciskanych w carskim „więzieniu narodów", Maksym Gorki, dobrze znał i kochał Ukrainę, znał i kochał literaturę ukraińską i ukraińską twórczość ludową. Radziecka prasa literacka podaje dużo szczegółów o wieloletniej przyjaźni Gorkiego z wybitnym pisarzem ukraińskim, Michałem Kociubińskim.

Chinkułow cytuje słowa Gorkiego o Kociubińskim: „Czytaliśmy sobie wzajemnie bruliony naszych prac, mówiliśmy też sobie szczerze, co każdy sądzi o pracy drugiego. Jeżeli już mamy mówić o »wpływie«, to — prawdopodobnie — był on wzajemny. Gorkiego łączyła z Kociubińskim wspólna walka o prawa ludu, wspólne cele obrony ideowo-artystycznej czystości literatury realistycznej."

„Gorki — czytamy w pracy Chinkułowa — który w obrębie kultury ukraińskiej wyraźnie i ostro rozgraniczał dwie kultury, podobnie jak Kociubiński gwałtownie występował przeciwko ukraińskim burżuazyjnym nacjonalistom, zdrajcom interesów ludu."

Zwycięstwo Rewolucji Październikowej przyniosło narodowi ukraińskiemu pełne wyzwolenie narodowe, społeczne, kulturalne. Wzrósł wpływ Gorkiego na ukraińskich pisarzy. O wpływie tym pisał w nrze 61 Litieraturnej Gaziety (z 22.V) badacz literatury L. Nowiczenko (M. G o r k i i u k r a i ń s k a l i t e r a t u r a r a d z i e c k a): „Więź łącząca pisarzy ukraińskich z Gorkim znajduje wyraz nie tylko w pokrewieństwie tematyki, w podobieństwie poszczególnych obrazów i postaci, w analogii metod artystycznych. Wpływ Gorkiego dopomaga pisarzom w kształtowaniu nowego stosunku do życia, nowych zasad odtwarzania rzeczywistości. Właśnie dlatego wpływ ten, wchłaniany twórczo, nie tylko nie niwelował odrębnych, swoistych właściwości literatury ukraińskiej w ogóle, a zarazem swoistych odrębności każdego wybitnego mistrza słowa, lecz na odwrót — sprzyjał najbardziej pełnemu odsłonięciu twórczej indywidualności pisarzy ukraińskich."

Oczywiście, zastrzega się Nowiczen-

ko, nie wszyscy wielcy pisarze przedrewolucyjnej Ukrainy osiągnęli ideowy poziom autora M a t k i, niemniej jednak twórczość ich dobitnie świadczy o tym, że kształtowali się oni i rozwijali jako rewolucyjni pisarze kierunku gorkowskiego.

Przechodząc do analizy elementów oddziaływania Gorkiego na literaturę ukraińską Nowiczenko wymienia przede wszystkim jego humanizm socjalistyczny i związaną z nim myśl o niweczeniu indywidualności w społeczeństwie burżuazyjnym. Humanizm Gorkiego silnie oddziaływał na twórczość ukraińskich pisarzy radzieckich starszego pokolenia (Tyczyna, Rylski, Bażan i in.), co Nowiczenko ilustruje przykładami zaczerpniętymi z ich wczesnej twórczości (Ś m i e r ć H a m l e t a Bażana, C h o d z i F a u s t p o E u r o p i e Tyczyny).

Patos humanistyczny wyrażony z taką siłą w utworach Gorkiego podziałał zapładniająco i nadal wpływa ożywczo na radziecką literaturę ukraińską, dopomaga pisarzom w ujmowaniu tematyki walki o pokój i wolność narodów, w opracowaniu motywów antyimperialistycznych.

Nowiczenko przeprowadza ciekawą analizę porównawczą znanej powieści S. Tudora D z i e ń o j c a S o j k i z Ż y c i e m K l i m a S a m g i n a Gorkiego. Obu tym utworom przyświeca wspólny cel — ideologiczne zdemaskowanie wroga. W wyniku analizy Nowiczenko dochodzi do takich wniosków: „O ile Gorki całą moc swojego geniuszu pisarskiego skierował na zdemaskowanie burżuazyjnego indywidualizmu, dwulicowości i zdradliwości maskowanej rzekomą bezpartyjnością i ponadpartyjnością, to Tudor dążył do tego, aby środkami artystycznymi odsłonić całą zgniliznę burżuazyjnej grabieżczości posługującej się orężem religii."

Wielki wpływ wywarł Gorki na rozwój ukraińskiej literatury radzieckiej stworzoną przez siebie wysoce artystyczną postacią nowego bohatera pozytywnego — robotnika, rewolucyjnego wyraziciela nowego socjalistycznego stosunku do życia. W okresie ostrej walki wokół problemu pozytywnego bohatera wchłonięcie bogatego dorobku twórcy realizmu socjalistycznego — przy jednoczesnym sięgnięciu do najlepszych postępowych tradycji narodowych — miało decydujący i ożywczy wpływ na rozwój literatury ukraińskiej. Jednym z tych pisarzy ukraińskich, którzy z talentem potrafili stworzyć w myśl tradycji Gorkiego postać bohatera pozytywnego, był na przełomie lat 20 — 30-tych powieściopisarz A. Gołowko, który w powieści C h w a s t y ukazał pełną wyrazu postać komunisty, Dawida Motuzki.

W miarę rozwoju ukraińskiej literatury radzieckiej, w miarę opanowywania przez nią metody realizmu socjalistycznego — coraz pełniejsze i bardziej wyraziste stawały się w jej dziełach postaci przodującego człowieka epoki, człowieka radzieckiego. Nowiczenko pisze o tym: „W pozytywnych bohaterach takich utworów literatury ukraińskiej jak: Z a g ł a d a e s k a d r y, P ł a t o n, K r e c z e t*, M a k a r D u b r a w a Korniejczuka, J e ź d ź c y Janowskiego, B a t a l i o n y p r z e k r o c z y ł y D e s n ę, T u r g a j s k i s o k ó ł Desniaka, trylogia o Szczorsie Sklarenki, O s i e m n a s t o l e c i e i Ś w i t n a d m o r z e m Smolicza, D n i e p r Rybaka, C h o r ą ż o w i e i T a u r i a Gonczara, W i e l k a r o d z i n a Stelmacha, J u r k o K r u k Kozlaniuka, Ż e g n a j c i e! i B e r e z a Hawryluka, R ę k o j m i a p o k o j u i

* W Polsce sztuka ta znana jest pod tytułem C h i r u r g.

Biały płomień Sobki, Młodość Bojczenki, Generał Watutin Dmyterki — znalazł wyraz żywy socjalistyczny dorobek naszej epoki, doświadczenie pisarzy i ludzi im współczesnych."

Niemal wszystkie wymienione przez Nowiczenkę utwory odznaczają się oryginalnością, noszą na sobie piętno indywidualności twórczej autorów, są różnorodne pod względem stylu, maniery twórczej, tendencji, a jednak wszystkie w silniejszym lub słabszym stopniu dają wyraz dążeniu pisarzy do twórczego rozwijania tradycji gorkowskich. „Trzeba było — pisze Nowiczenko — odczuwać istotnie gorkowską miłość do człowieka-bojownika, ażeby opowieść o Berezie — koszmarnym »obozie śmierci« w burżuazyjnej Polsce — przekształcić w hymn na cześć żelaznego hartu i siły proletariackiego kolektywu rewolucyjnego." Podobnie humanizmem Gorkiego przepojony jest inny utwór Hawryluka — Poemat o stryczku.

Znakomitym, pełnym oryginalności i twórczej indywidualności kontynuatorem tradycji romantyki Gorkiego jest powieściopisarz Ołeś Gonczar. Zdaniem Nowiczenki — świetnie wchłonął i twórczo kontynuuje tradycje Gorkiego w dziedzinie odtwarzania skomplikowanych starć charakterów ludzkich i różnych światopoglądów, malowania całej głębi stosunków międzyludzkich, gruntownego odsłaniania społeczno-politycznego sensu sprzeczności i konfliktów — Aleksander Korniejczuk.

Stwierdziwszy, że literatura ukraińska ma duże osiągnięcia na polu stworzenia postaci pozytywnego bohatera zgodnie z tradycjami Gorkiego, Nowiczenko wyraża przekonanie, iż pisarze ukraińscy nie przyswoili sobie jeszcze wielu twórczych rad i wskazówek Gorkiego, nie wchłonęli ich twórczo. „Nie ulega wątpliwości — konkluduje Nowiczenko — że pomagając partii i narodowi w realizacji najważniejszych zadań naszych czasów, pisarze ukraińscy i nadal będą owocnie »zasięgali rad« u Gorkiego, będą czerpali z jego artystycznej i teoretycznej spuścizny."

Także w wielu artykułach i pracach poświęconych analizie poszczególnych dziedzin twórczości pisarzy ukraińskich podkreślono znaczenie ich udziału w rozwoju literatury realizmu socjalistycznego, uwypuklono ich wielki wkład do skarbnicy literatury Kraju Rad. W opublikowanym w nrze 5/54 Nowego Mira artykule E. Gorodeckiej Ukraińska poezja dla dzieci omówiono wydatny wkład Ukrainy do radzieckiej poezji dla dzieci. Gorodecka przeprowadza analizę twórczości jednego z najzdolniejszych ukraińskich autorów poezji dla dzieci — Płatona Worońki, twórczości Bohdana Czałego, Iwana Nechody, Natalii Zabiły, Marii Prigary, Marii Poznańskiej i in.

Na łamach radzieckiej prasy ukazało się ostatnio wiele interesujących prac monograficznych, jak na przykład: O poezji Pawła Tyczyny pióra K. Storczaka (Oktiabr', nr 1/54), O postaciach typowych w dramaturgii Aleksandra Korniejczuka (Mistrzostwo dramatopisarza) E. Gorbunowej w nrze 5/54 miesięcznika Oktiabr'.

Analizując drogę twórczą Tyczyny Storczak kreśli poszczególne fazy rozwoju poety — od piewcy niedoli biedoty wiejskiej w okresie przedrewolucyjnym — do wielkiego pisarza radzieckiego, znanego i lubianego nie tylko w Kraju Rad, ale i daleko poza jego granicami. Na przykładzie rozwoju twórczego Tyczyny Storczak ilustruje tezę, że literatura ukraińska „rosła i mężniała w walce o socjalizm".

Dramaturgicznym obrazem dziejów rozwoju narodu socjalistycznego i jego

kultury jest twórczość Korniejczuka. „Jego sztuki — pisze Gorbunowa — odtwarzają etapy budownictwa socjalistycznego, duchowy wzrost i doskonalenie się narodu, dopomagają narodowi w wypełnianiu zadań życiowych."

Przykład tych dwóch wielkich pisarzy ukraińskich, a takich twórców jest wielu, świadczy o promieniowaniu ukraińskiej literatury radzieckiej na Kraj Rad i wraz z literaturą radziecką — na cały świat.

Józef Spinc

NAUKA POD CIŚNIENIEM

Sprawa Roberta Oppenheimera jest na przestrzeni całego powojennego okresu wydarzeniem najbardziej znamiennym dla przekroju całej rzeczywistości Ameryki. Kryzys nauki, załamywanie się najważniejszych filarów ustroju, faszyzacja wiodąca na zupełne bezdroża — *casus* Oppenheimer skupia te wszystkie dramatyczne treści jak w soczewce powiększającej stokrotnie. Zacznijmy omówienie od końca: od monopolowych zakulis i podłoża.

W każdym organizmie są pewne punkty kluczowe. Jak niektóre ośrodki mózgu decydują o sprawnym funkcjonowaniu lub paraliżu ludzkiego ciała, tak współczesny kapitalizm amerykański ma swoje niezwykle czułe a doniosłe centra, które rządzą całą jego zawiłą strukturą. W pierwszym rzędzie należy do nich problem atomowy. Krzyżują się w nim zagadnienia polityki, dyplomacji, strategii, nauki, a nawet propagandy. Lecz na plan pierwszy wysuwa się, mimo skrzętnych zabiegów kamuflażu, strona ekonomiczna sprawy.

Przewodniczącym Komisji Atomowej USA jest kontradmirał Lewis L. Strauss. Ale stosowany kapelusz admiralski mister Strauss nosi dosłownie tylko od parady: na przeglądach i innych uroczystościach marynarki wojennej, od której dostał swą tytularną godność. Gdyż właściwym jego zawodem jest bankierstwo. Mr. Strauss był długoletnim członkiem dyrekcji sławetnego banku zbrojeniowego Kuhn, Loeb and Co. I nadal pozostaje w najżywszych stosunkach ze światem wielkich finansów. Można więc z całą stanowczością stwierdzić, że choć nominalnie wyznaczony przez prezydenta — w rzeczywistości z ramienia owego świata sprawuje najwyższą władzę nuklearną Ameryki.

Przyznać trzeba, że od bankierów roi się w tej dziedzinie, przynajmniej gdy chodzi o Stany Zjednoczone. Ich atomowym rzecznikiem z ONZ i autorem pierwszego projektu zmonopolizowania energii atomowej globu w ręku Wall Street był przecież senior bankierów amerykańskich, słynny *elder statesman*, czyli *pater patriae*, sufler Roosevelta, natchnienie wszystkich kolejnych rządów Partii Demokratycznej, słowem Bernard Baruch.

Wróćmy jednak do Straussa, który bez Baruchowej obłudy, szczerze i niedwuznacznie ujął sedno rzeczy. Wypowiedź to tym cenniejsza, że pada z ust najbardziej miarodajnych wśród miarodajnych. „Cała wytwórczość atomowa — stwierdził Strauss na »poufnym« zebraniu senatorów i »osób wybranych« — jest dzisiaj w ręku amerykańskiego przemysłu. Komisja Energii Atomowej ma właściwie pod swym zarządem tylko biuro centralne w Waszyngtonie i podległe mu filie lokalne. Przemysł prywatny wydobywa rudę uranową, przemysł prywatny ją przerabia i przemysł prywatny kontroluje każdy odcinek tego procesu. Produkcja atomowa jest monopolem państwa tylko gdy chodzi o własność surowców i użytkowanie produktów końcowych. Wszystko poza tym jest własnością i dziełem przemysłu prywatnego."

Dodajmy, że jest nie tylko własnością

i dziełem, ale i źródłem olbrzymich zysków dla finansowych gigantów, a ponadto przedmiotem zaciekłej między nimi walki.

Na początku był Rockefeller i Mellon oraz koncern DuPonta. Początki te były zresztą skromne. Rozwój fizyki atomowej jako jednej z gałęzi wiedzy czysto teoretycznej był w USA nikły. Wyższe uczelnie Ameryki są własnością prywatną, ta zaś mało ma zrozumienia dla dociekań, które nie przynoszą natychmiastowych dochodów. Więc im uniwersytet potężniejszy — taki Harvard ma co najmniej 300 milionów w majątku — tym większa kontrola banków, trustów, karteli. Dość że alarm wybuchł dopiero wówczas, gdy dotarła za ocean fala znakomitych uchodźców — luminarzy nauki zbiegłych spod władzy i terroru faszyzmu.

Enrico Fermi, I. I. Rabi, O. R. Frisch, Lise Meitner i wielu innych nie mniej świetnych uczonych zwróciło się do Roosevelta z rozpaczliwym apelem: biada światu, jeśli Hitler będzie pierwszy miał bombę atomową! Wielka Wojna była już w toku i niebezpieczeństwo mogło się okazać realne. Już bowiem w styczniu 1939 dwaj uczeni niemieccy, O. Hahn i F. Strassmann, dokonali rozbicia atomu. Z polecenia Roosevelta zorganizowano Państwową Radę Badań Obronnych z Biurem Planowania i pierwszym laboratorium w Oak Ridge. Że zaś nic dziać się nie może bez aprobaty i korzyści wielkich grup finansowych, więc koncesję budowy zakładów Oak Ridge otrzymała sprzymierzona tym razem grupa interesów Rockefeller i Mellon. Otrzymała ją z ręki cywilnych członków Rady Badań. Ale w Radzie byli i wojskowi. W pierwszym rzędzie wpływowy — wpływowy bo związany z DuPontem — generał Leslie Groves. Generał szybko wprowadził DuPonta. DuPont ma liczne sojusze z Morganem. Ale Morgan chwilowo trzymał się z dala. Był zbyt zajęty fabrykacją broni „konwencjonalnej". Z czasem przystąpiono do konkretnej produkcji bomby i pierwszych z nią doświadczeń. W tym celu utworzono wielki ośrodek w Los Alamos, stanu New Mexico. Kierownikiem naukowym produkcji został profesor J. Robert Oppenheimer.

Takie były pokrótce okoliczności narodzin bomby atomowej i wstępnej utarczki koncernów o jej złotodajne względy.

Fasada i kulisy

„Trudno zrozumieć, dlaczego trzeba zniszczyć nasze miasteczko, aby zrobić bombę, która zniszczy czyjeś inne miasto, równie drogie jego mieszkańcom jak nasze jest dla nas."

Taki napis widzieć można było parę lat temu u wjazdu do małej mieściny Ellenton w zabitej deskami okolicy stanu Karoliny Południowej. Miasteczko jednak, mimo oporu ludności, zostało zniszczone, gdyż cały jego obszar i znaczny obszar dokoła — łącznie 250.000 morgów — użyto pod budowę, kosztem miliarda dolarów, Savannah River Plant, zakładów produkcji bomby wodorowej, wznoszonych przez DuPonta.

Tu zbiegły się dwa zasadniczej wagi zagadnienia: polityki kolonialnej, uprawianej we własnym kraju przez monopole Ameryki, oraz sprawa „ugody" co do podziału atomowego złotego jabłka. O pierwszym mówić możemy tylko marginesowo; drugie leży na linii głównej problemu i u podstaw kryzysu.

W pojęciu przeciętnego Amerykanina wojna domowa lat 1861—65 przyniosła wyzwolenie Murzynów. Natomiast w przekonaniu wielkich koncernów był to podbój stanów południowych i zdobycie terenów kolonialnego wyzysku. Od niejakiego czasu wielkie firmy Północ-

cy przerzucają swe fabryki na Południe, upatrując tam źródło taniej siły roboczej. Przodują w tej akcji zakłady tekstylne oraz DuPont. Sytuację ułatwia fakt, że znaczną część ludności i większość proletariatu południowego stanowią Murzyni. Z kolonializmem sprzęga się rasizm. Hodowany w Ameryce na długo przed Hitlerem, rasizm głównym swym ostrzem uderza w Murzynów. Ale nie pomija żadnej innej grupy ludności, poza osiadłymi od wielu pokoleń Anglosasami. Toteż w praktyce, stosowanej przy lada okazji, każdy niemal mieszkaniec USA może się znaleźć na rasistowskim indeksie. Zobaczymy za chwilę, jak ów rasizm — integralny i wielostopniowy, tępy i fanatyczny, ale w swym fanatyzmie ściśle wyrachowany — odbił się na losach Roberta Oppenheimera.

Na razie jednak dokonajmy choćby krótkiego przeglądu sił, których wyrazem jest polityka atomowa Stanów Zjednoczonych.

Szerokie zastosowanie energii atomowej wymaga olbrzymich wkładów. Stany Zjednoczone mają tę możliwość. Wiemy, że już obecnie inwestycje dokonane przez rząd federalny przekroczyły 12 miliardów dolarów. Kredyty na rok bieżący, ukryte w kilku pozycjach, sięgają 5 miliardów, a Mr. Strauss przechwalał się niedawno, że prezydent kazał je zwiększyć o dalsze 1,3 miliarda. Ale w kraju tak niesłychanie uprzemysłowionym wprowadzenie nowej formy energii do ekonomiki narodowej wywołałoby silny wstrząs, a nawet przewrót gospodarczy. Toteż przeciwstawia się temu cała potęga *vested interests*, cały bierny ciężar kapitałów opartych na dotychczasowej energetycznej strukturze gospodarki. Z drugiej strony gałąź produkcji zasilana przez nieograniczone dotacje państwa jest Golkondą, której nikt wyrzec się nie chce. Stąd swoisty „kompromis", a właściwie bezapelacyjna decyzja zamknięcia energii atomowej i termo-nuklearnej w ramach przemysłu zbrojeniowego. Ramy te wyznaczyły kierunek i nadały charakter rozwojowi tej produkcji, która szybko wysunęła się na czoło nie tylko przemysłu wojennego, ale w ogóle życia gospodarczego i politycznego.

Budowa atomowych siłowni może podnieść gwałtownie dobrobyt powszechny i stać się dobrodziejstwem cywilizacji. O konieczności pokojowego użycia energii jądrowej w gospodarce Stanów mówił szeroko i wymownie były przewodniczący Komisji Atomowej, D. Lilienthal, kreśląc piękny obraz niedalekiej jakoby przyszłości. Aluzje do podobnych projektów w skali międzynarodowej zawierała głośna mowa prezydenta Eisenhowera w Zgromadzeniu NZ dnia 8 grudnia zeszłego roku. Tak więc fasada ma wygląd podniosły, przepojony troską o człowieka. Cóż, kiedy rzeczywistość za tą kurtyną jest mocno odmienna.

Okres urzędowania p. Lilienthala jako przewodniczącego Komisji zaznaczył się wzmożeniem rygorów militarnych, zlikwidowaniem resztek możliwości przeznaczenia choćby niewielkich dawek surowca dla badań nad pokojowym zużyciem energii, a przede wszystkim wkroczeniem na widownię koncernu Morgana i objęciem przezeń dominującej roli w produkcji bomb atomowych. Swoje prawdziwe oblicze oraz intymne związki z Morganem Lilienthal ujawnił zresztą już wcześniej. W roku 1946, na podstawie dyrektyw i pod ścisłym nadzorem autokratów mocarstwa Morgan Partners, opracował wytyczne międzynarodowej kontroli energii atomowej i źródeł surowca; wytyczne, które były podstawą pamiętnego planu Barucha, wniesionego dnia 13 czerwca tegoż roku w Komisji Atomowej ONZ. Mimo tych niewątpliwych zasług dla

monopoli po 3 latach urzędowania Lilienthal został gwałtownie zaatakowany jako radykał trącący socjalizmem. Dowód główny wspierał się na fakcie przyznanym przez delikwenta, że jego matka pochodzi z Preszburga. To przesądziło sprawę. Lilienthal podał się do dymisji. Na odchodnym wyśpiewał arię żalu do Wall Street biorąc wprawnie wysokie cis ukochania ludzkości.

Sic transit gloria sług kapitalizmu. Sedno rzeczy leżało jednak nie w Preszburgu, lecz w Hanford, stanu Waszyngton, gdzie znajdują się największe zakłady atomowe. Staraniem Lilienthala przeszły one z rąk DuPonta pod zarząd General Electric, czyli Morgana. DuPont nie zapomniał urazy. Niebawem nadarzyła się okazja do zemsty. Na porządku dziennym stanęła sprawa bomby wodorowej. Zaangażowany po uszy w produkcji „konwencjonalnej" broni atomowej Morgan chciał w zarodku zdusić rywalkę. Pogląd Lilienthala nie mógł, rzecz jasna, być inny. Ale DuPont pozyskał sobie znakomitego rzecznika, doradcę Rockefellerów i członka Komisji Atomowej, L. L. Straussa. Zwyciężyła koncepcja wodorowa, Lilienthal padł zatruty własną preszburską krwią, a rywale zawarli pośpiesznie rozejm: DuPont otrzymał monopol produkcji nowej bomby i miliard na budowę Savannah River Plant, Morgan dostał gwarancję, że „zwykłe" bomby będą fabrykowane w niezmniejszonej ilości. Ponadto DuPont zrzekł się definitywnie na rzecz Morgana swych „praw" do Hanford.

Na rozejm był czas najwyższy, gdyż horyzont wyraźnie się zaciemniał. Do ataku wracała wyparta, zdawało się całkowicie, grupa Rockefellera-Mellon. A w oddali widniała liczna kohorta nowych, nieznanych dotąd przeciwników, którzy również poczuli zapach krwi i złota.

Nie będziemy opisywać tych wszystkich zapasów, których niedawnym wynikiem była gigantyczna transakcja budowy przeciwatomowej zapory wokół całej Ameryki. Ograniczmy się do stwierdzenia, że walka monopoli o zyski z atomowej produkcji nie ustaje ani na chwilę, z drugiej strony, że całokształt tej olbrzymiej gałęzi przemysłu wojennego jest bez reszty zmonopolizowany. Podaliśmy już kilka nazwisk ludzi mających decydujący głos, dodajmy jeszcze parę. W Komisji Atomowej i Biurze Planowania zasiadają lub zasiadali oprócz wymienionych przedstawiciele Standard Oil (Rockefeller), Westinghouse (Rockefeller-Mellon), Union Carbide (Rockefeller-Mellon), Pullmana (Morgan), General Electric (Morgan), Bell Telephone (Morgan), Monsanto (Morgan); a ponadto McCloy (Chase National Bank), gen. Groves (DuPont), Dean Acheson (b. sekretarz stanu i radca prawny DuPonta), John Hancock, związany z Baruchem, czyli tym samym z Morganem. W wyliczeniach tych nie można też pominąć John Foster Dullesa i jego wspólnika w słynnej firmie prawnej Sullivan and Cromwell, Arthura Deana. Obaj ci panowie zasiadają w dyrekcjach szeregu atomowych przedsiębiorstw, a Dean, jako dyrektor amerykańskiego odgałęzienia Solvayu — spółki, poprzez gałęzie europejskie, ściśle związanej z IG Farben — był i jest łącznikiem przedsiębiorczego ministra z niemieckim przemysłem wojennym w czasach hitlerowskich, a także i obecnie. Dodajmy wreszcie jeszcze jedną niedyskrecję, a raczej przypomnienie: prezydent Eisenhower zawdzięcza swe stanowisko wpływom Chase National Bank i jest jego mężem zaufania.

Produkcja atomowa jest nie tylko najsilniej zmonopolizowaną dziedziną ekonomiki USA. Jest także organicznie związana z Pentagonem, z najbardziej

wojowniczym odłamem kliki generalskiej zdobywającej sobie coraz większy głos w wewnętrznej i zagranicznej polityce Stanów Zjednoczonych. W sumie monopol atomowy jest głównym rzecznikiem i organizatorem amerykańskiego faszyzmu. Równocześnie zaś, dążąc do jak największego rozrostu i wzmagania swej wytwórczości, przemysł atomowy z samej swojej natury zmierza do wywołania wojny w pełnej skali, wojny wszechświatowej, w której jego „wyroby" mogłyby znaleźć wszechstronne i całkowite zastosowanie. Wstępem do urzeczywistnienia tych planów są zabiegi nad uzyskaniem międzynarodowego monopolu badań naukowych. Chodzi o utrącenie konkurentów w Europie, coraz groźniejszych, odkąd tajemnica atomu przestała być tajemnicą. Wyłączność bowiem staje się mitem bez wartości, gdy np. Norwegia — co spodziewane jest wkrótce — zastosuje w marynarce handlowej silniki atomowe. Chodzi po wtóre o zażegnanie kryzysu, ostrego kryzysu w nauce amerykańskiej.

Mówiliśmy już poprzednio, że poziom nauki czystej nie stał w USA nigdy zbyt wysoko. Totalna militaryzacja wiedzy, wzięcie uczonych w karby zupełnie wojskowego drylu doprowadziły w szybkim tempie do takiego wyjałowienia, do marazmu tak zupełnego, że dzisiaj w naukowym rozwoju dopędzają Północną Amerykę, a na niektórych odcinkach nawet ją wyprzedzają kraje mocno dotychczas cofnięte, jak Brazylia, lub też kraje małe i ubogie w środki, jak Norwegia czy Dania. Raport złożony w Departamencie Stanu przez specjalną komisję pod kierunkiem prof. Rabi stwierdzał zupełnie otwarcie wyraźną przewagę wyników pracy uczonych europejskich nad amerykańskimi. Raport wskazywał nawet delikatnie przyczyny. Lecz na tym polu nic nie dało się zrobić, gdyż ani sztab, ani monopole nie zgadzały się na najmniejsze choćby rozluźnienie kagańca. Dla zaradzenia złemu próbowano więc innych środków, dobierano różne wytrychy, by zeskamotować nauce europejskiej owoce jej dociekań. Poza zwykłym szpiegostwem naukowym zastosowano nacisk gospodarczy. W zamian za radioizotopy — uboczny produkt otrzymywany przy fabrykacji bomby atomowej, cenny szczególnie w lecznictwie i biologii — żądano otwarcia laboratoriów do dyspozycji agentów USA i stałych, systematycznych sprawozdań o najnowszych osiągnięciach w zakresie fizyki nuklearnej i dziedzin pokrewnych. Wreszcie za radą prof. Rabi Stany Zjednoczone utworzyły za pośrednictwem Unesco Centrum Europejskie Badań Atomowych.

Rzecz była, przyznajmy, zręcznie obmyślana. Centrum umieszczono w ustroniu pod Genewą, poddano ścisłej kontroli amerykańskiej i kierownictwu, wprawdzie nieoficjalnemu, hitlerowskiego profesora Heisenberga. Podstawą finansową miały być te środki, które poszczególne państwa asygnowały dotąd w ramach badań krajowych, a w skład personelu projektowano wciągnąć najwybitniejsze umysły Europy. Pod pozorem stworzenia w ten sposób trustu mózgów Stary Świat miał być ich pozbawiony na rzecz Nowego. Jednakże sprytny manewr spalił na panewce, mózgi po prostu nie dały się skartelizować. Trzeba więc było raz jeszcze szukać nowej drogi. Miała ją utorować oenzetowa mowa Eisenhowera. Taki jest rzeczywisty jej cel i sens. Ale stojące za prezydentem koncerny zbrojeniowe nie uznają wzajemności świadczeń. Chcą dyktatu zamiast porozumienia. Chcą w płaszczyźnie międzynarodowej osiągnąć to, czego nie mogą się dobić nawet we własnym kraju, którym zdawałoby się rządzą tak wszechwładnie.

Gdy Ameryka przestaje być Ameryką

Tu wreszcie zamyka się koło i wracamy do punktu wyjścia, czyli sprawy Oppenheimera.

Wybuchy atomowe były dotychczas dziełem niezgłębionej potęgi przyrody, miejscem akcji przestrzenie kosmiczne, słońca i mgławice. Rankiem 16 lipca 1945, na pustyni otaczającej zakłady Los Alamos dokonał tego pierwszy raz w swoich dziejach człowiek. Tym człowiekiem był Robert Oppenheimer. Przekonany, że służy utwierdzeniu wolności, że twór jego geniuszu będzie narzędziem poskromienia nieludzkich sił faszyzmu, pełen ufności oddał „wielką broń" w ręce władz swego kraju. Ironia losu chciała, że w ten sposób stał się głównym dostawcą mocy dla najbardziej faszystowskiego skrzydła kapitalizmu. Jeśli dzisiaj najwyższą władzę w państwie sprawuje autokratycznie przemysł zbrojeniowy — zawdzięcza to przede wszystkim Oppenheimerowi. Zawdzięcza mu znacznie więcej niż któremu bądź ze swych generałów, polityków, bankierów, dyrektorów.

Można by myśleć, że w tych warunkach Oppenheimer będzie nietykalny. Ale, jak mówi poeta, „Ameryka nie jest dziś Ameryką". Wielki tygiel narodów, gdzie z wieloplemiennego tworzywa powstawał nowy, wspaniały naród, był dotąd chlubą cywilizacji. Teraz stał się jej wstydem, więzieniem ludów, państwem anglosaskich Puryszkiewiczów. I czym Preszburg dla Lilienthala, tym dla Oppenheimera okazała się Dolna Saksonia.

Był dzieckiem, kiedy stamtąd przywieźli go rodzice, więc nie zachował wspomnień. Wrósł się w nową ojczyznę, sycił się jej klimatem, a był to jeszcze wtedy klimat wolności. Młody Robert marzył o pełnej blasku przyszłości człowieka, chciał poświęcić się całkowicie pracy dla tego ideału. Jej spełnienie widział na drogach nauki. W szkole i uniwersytecie głośno dawał wyraz tym młodzieńczym zapałom. Nie przewidział, że wszystko mu będzie policzone i obróci się przeciw niemu.

Idealizm mózgowców nie zawsze idzie w parze z siłą charakteru. A w Ameryce, gdzie pokusy i naciski oportunizmu są wszechstronne i ciągle obecne, trudno takim ludziom oprzeć się grząskim i chłonnym wpływom ustroju. Oppenheimer, zaopatrzony w szereg wzniosłych wymówek, stał się jego gorliwym sługą. Ale szczepionka ideałów młodości jest jak namaszczenie kapłańskie: zostawia trwały ślad. I kiedy oportunizm stawia zbyt toporne żądania — rodzi się konflikt. Dla Oppeheimera konflikt powstał już pod wpływem wybuchów na atolu Bikini wśród gorących Wysp Marszałkowskich latem 1946. Ostrzegał, i wtedy, i później, że opanowanie energii atomowej stanowi punkt zwrotny w stosunkach międzynarodowych. „Wymaga — jak pisał — zupełnie nowej postawy politycznej, wymaga wszechstronnej, ścisłej i szczerej współpracy wszystkich narodów." Podkreślał, że jest to konieczne nawet dla najbardziej egoistycznie pojętych interesów i bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. A wreszcie przepowiadał, że bez badań i pracy nad pokojowym zastosowaniem energii atomowej także produkcja wojenna musiałaby dojść pod względem poziomu i rozwojowych perspektyw do zastoju. Ta przepowiednia, mocno zresztą cyniczna, uderzyła wprost w interesy monopoli wojennych. W dodatku okazała się całkowitą prawdą. Dlatego właśnie nie zapomniano jej i nie wybaczono świetnemu uczonemu.

Na razie jednak, mimo rozterki i wyrzutów sumienia, Oppenheimer pracował gorliwie nad budową atomowej maczugi projektantów III wojny światowej. A równocześnie badania naukowe ulegały coraz zupełniejszej milita-

ryzacji. Wykonawcami tego zabiegu i strażnikami wojennego więzienia nauki był i jest nadal z ramienia Pentagonu triumwirat uczonych: dr Vannevar Bush z Manhattan District, dr Karl T. Compton z Massachusetts Institute of Technology i dr James B. Conant z Harvardu. Doprowadzono do tego, że 80% badań w zakresie nauk przyrodniczych finansuje i kontroluje sztab.

Wyniki nie dały na siebie czekać. Jak już mówiliśmy, nie tylko Związek Radziecki, ale W. Brytania, Francja i inne państwa prześcignęła o wiele długości Amerykę w zakresie pokojowego użycia energii atomowej. Kategoryczną na tym polu zaporę tworzyły w USA monopole wojenne. Na ich życzenie D. Lilienthal tuż przed ustąpieniem zlikwidował ostatnie pokojowe laboratorium badawcze na rzecz budowy atomowej łodzi podwodnej.

Wkrótce jednak prysła idylla beztroskiej, wyłącznej fabrykacji bomb. Po pierwsze produkcja pokojowa wzbudziła zainteresowanie szeregu amatorów federalnych dotacji. Po wtóre rozwiał się monopol bombowy, a źródła surowca, głównie w Kongu belgijskim, znalazły się pod znakiem zapytania. Finansiści uderzyli na alarm. W Chicago na zebraniu koncernów elektrycznych wystąpił z wielką filipiką bankier i członek Komisji Atomowej, Thomas E. Murray: „Wybuch wodorowy w ZSRR, przy całej swej doniosłości, mniej jest niebezpieczny, niż gdyby Sowiety ogłosiły pewnego dnia, że uruchomiły siłownię atomową i w zamian za uran ofiarowały narodom wiedzę technologiczną i korzystne układy gospodarcze i polityczne." Myśl zebranych popłynęła do Belgii oraz jej uranowych zasobów w Kongo i zamarła z trwogi. Stroskanemu mówcy wtórował kongresmen Cole, przewodniczący parlamentarnej komisji atomowej: „Ujawnienie, że Rosja wdrożyła pokojową produkcję, gdy my wciąż trzymamy się wyłącznej produkcji broni atomowej, byłoby strasznym ciosem dla naszej pozycji w świecie." Eufemizm ten słabo tylko osłaniał fakt, że owa „pozycja w świecie" jest już beznadziejnie zachwiana.

Do tego przyłączyło się zachwianie pozycji wewnątrz kraju. Powszechnie już dziś wiadomo, że wobec „nasycenia" pod względem zapasów bomb, jakie już osiągnęły co najmniej dwa wielkie mocarstwa, dalszy wyścig atomowych zbrojeń utracił wszelki sens strategiczny. Zachował go jedynie dla wielkich monopoli. Okoliczność tę uświadamia sobie coraz dokładniej opinia amerykańska. Nie rozładowały jej niepokoju zapowiedzi ministra wojny Wilsona, że zorganizuje „obronę po cenach wyprzedażowych" i naród mieć będzie „większy trzask za każdego dolara". Naród nie chce w ogóle „trzasku", chce pokoju i zniżenia wydatków wojennych.

Dla ich uzasadnienia trzeba było na gwałt poszukać kozła ofiarnego. Z pomocą przyszedł McCarthy węsząc „zdradę" w rzekomym opóźnieniu produkcji bomby wodorowej. Kto zdradzał, kto kwestionował jej teoretyczną możliwość? Nikt jej nie kwestionował, wiedziano o niej od dawna. McCarthy mógł nie znać wydanej w roku 1946 w Wiedniu książki austriackiego fizyka Hansa Thirringa Die Geschichte der Atombombe, której cały rozdział był poświęcony teorii reakcji termo-nuklearnej, czyli wodorowej bombie. Ale znali tę książkę, a i bez niej znali teorię wszyscy wybitniejsi naukowcy Ameryki. Wahania płynęły stąd, że wobec wiadomej zasady „nasycenia" odpowiednia ilość bomb atomowych spełnić może tę samą rolę strategiczną, co bomby wodorowe. A głównym źródłem wahań była, jak wiemy, bitwa między DuPontem i Morganem.

Tego jednak nie można było powiedzieć opinii. Opinię należało skaptować dla nowego budżetu wojennego, a w tym celu rozpalić jej gniew ukazaniem „zdrajcy". I oto generał Nichols, dyrektor Komisji Atomowej, rzuca anatemę na przybysza (dzieckiem co prawda) z Dolnej Saksonii, uczonego, który za młodu zdradzał jakieś „lewicowe" ciągoty, a i teraz miał ciągle skrupuły moralne. Profesor Oppenheimer został usunięty ze wszystkich urzędowych stanowisk i pozbawiony dostępu do atomowych „tajemnic", w których wykryciu brał tak czynny udział i o których powiedział, stanowczo i w poczuciu wagi tego stwierdzenia, że dziś już nie są żadną tajemnicą.

Groteska tej sytuacji nie jest zresztą sprawą najważniejszą, choć ośmiesza najwyższe władze państwa. Bardziej istotne są motywy Nicholsa. Podał je w liście do Oppenheimera: „Według doniesień sprzeciwiał się pan produkcji bomby wodorowej z pobudek moralnych. Według tychże doniesień uważał pan tę produkcję za błąd polityczny i odmówił pan ścisłej i bezwarunkowej współpracy. W tym stanie rzeczy nie może pan piastować żadnego stanowiska, dopóki pan nie dowiedzie, że informacje te są fałszywe."

Sens jest oczywisty. Uczony amerykański nie ma prawa do kośćca moralnego, nie ma prawa wyboru pracy, nie ma prawa ani możności prowadzenia niezależnych badań. Musi ślepo i bez szemrania spełniać wszelkie rozkazy pod grozą nie tylko utraty stanowisk, ale i okrzyczenia „zdrajcą". Oppenheimer jest wprawdzie jeszcze kierownikiem uniwersyteckiego Instytutu Badań w Princeton. Ale prezesem zarządu tego instytutu jest znany nam Lewis L. Strauss. Więc los uczonego i tutaj zawisł na włosku. A może zależeć będzie od kapitulacji i skruchy.

Tak jednym pociągnięciem pióra została przekreślona bez reszty wolność amerykańskiej nauki poddanej sprężonemu ciśnieniu monopoli i Pentagonu. Nie trzeba być prorokiem, aby przewidzieć skutki. Dla uczonych, ich pracy i samej Ameryki.

Julian Stawiński

RODOWÓD SKRYTOBÓJCY

Jesienią 1953 roku hamburska gazeta Die Welt zamieściła pod dwuszpaltowym konterfektem otyłego, wyłysiałego mężczyzny następującą notatkę: „Ernst von Salomon ukończył 25 września br. 50 lat. Jego książka F r a g e b o g e n osiągnęła nakład przeszło 200-tysięczny i obecnie ukaże się w popularnym wydaniu ro-ro-ro (tanie książki Rowohlta). Pisarz nabył mały folwark koło Winsen nad rzeką Luhe (koło Lueneburga, w Dolnej Saksonii, ośrodek neohitleryzmu — przyp. aut.)..."

Notatka na pozór niewinna, świadcząca być może o literackich sukcesach niemieckiego pisarza, gdyby nie...

...Tak, gdyby nie osoba autora i historia jego życia, którą warto przypomnieć z okazji 50 rocznicy jego urodzin. Fakt bowiem, iż właśnie ten autor dorobił się po wojnie fortuny w Niemczech zachodnich — znakomita większość pisarzy, i to poważnych, żyje tam, jeśli nie w nędzy, to nad wyraz skromnie — jest chyba najwymowniejszym probierzem objawu, który zwykliśmy nazywać psychologiczną remilitaryzacją. Miarą zaś tego zjawiska jest również i ten fakt, iż poczytne pismo Die Welt fetuje pisarza, który w historii niemieckiego szowinizmu, militaryzmu i hitleryzmu ma niewątpliwie swoją wielką kartę.

*

O swoim życiu i czynach opowiada Salomon w trzech powieściach autobio-

graficznych. Salomon nie uważa zresztą siebie za powieściopisarza. Jest — jak powiada — kronikarzem pokolenia, które dorastało w pierwszej wojnie światowej i nigdy nie chciało pogodzić się z upadkiem cesarstwa i narodzinami republiki weimarskiej. Kiedy Wilhelm II ucieka sromotnie z Niemiec na holenderską emigrację, Salomon jest kadetem, który jeszcze nie poznał frontu. On i jego koledzy — jak czytamy w wydanej w 1933 roku powieści Die Kadetten (100 tysięcy nakładu) — nigdy nie mogli przeboleć faktu, iż koniec wojny zastał ich jeszcze w szkole wojskowej. Chcieli walczyć...

Więc kiedy nie było już frontu we Francji, młodzi militaryści i nacjonaliści bynajmniej nie próżnują. Jest to okres rewolucji listopadowej i reakcja niemiecka potrzebuje ludzi chętnych do wojaczki w kraju. Salomon jest jednym z tych rozczarowanych przegraną wojną młodych militarystów, którzy zaciągają się do tzw. Freikorpsów — zbrojnych oddziałów w służbie kontrrewolucji i starego reżimu. Salomon walczy więc w Berlinie przeciwko robotnikom, następnie bierze udział w walkach przeciwko Łotyszom i Estończykom w Kurlandii, wreszcie przeciw Polakom na Górnym Śląsku. Jest więc wszędzie tam, gdzie pruska soldateska rozpaczliwie stawia opór wyzwalającym się narodom.

Jako porucznik wraca do Berlina. Ciąży oczywiście ku tym kołom, które nie chcą pogodzić się z rzeczywistością weimarską. Jego druga książka Die Geaechteten (Znienawidzeni), która miała osiem wydań i ponad 200 tysięcy nakładu (w okresie Trzeciej Rzeszy), z całą brutalnością odsłania działalność wywrotową Salomona aż do jego uwięzienia w 1922 roku — za udział w zabójstwie ministra spraw zagranicznych weimarskiej republiki, Waltera Rathenau.

Autor Znienawidzonych z całym cynizmem opisuje swój udział w tym morderstwie. Gloryfikuje głównych sprawców zabójstwa, Kerna i Fischera, oraz sam przebieg procesu, który 22 października 1922 roku zakończył się skazaniem Salomona na pięć lat więzienia. Kern i Fischer, którzy strzelali do ministra, uciekli natychmiast po zamachu i po wielomiesięcznym tułaniu się w górach turyngskich popełnili w końcu samobójstwo w ruinach opuszczonego zamku. To miejsce uczynił później Hitler przedmiotem „nibelungowskich" pielgrzymek.

Salomon przesiedział w więzieniu cztery lata. Już miał odzyskać wolność (za „dobre" sprawowanie dostał roczną amnestię), kiedy nagle wypłynęła nowa sprawa. Prokurator sądu w Giessen (Dolna Saksonia) wykrył, iż Salomon łącznie z zabójcą Rathenaua, Kernem, wzięli udział w sądzie kapturowym nad swoim kolegą, niejakim Wagnerem, który w ostatniej chwili zrezygnował z uczestnictwa w spisku na życie ministra. Ponieważ Kern i Salomon obawiali się, że Wagner ich „sypnie", postanowili go zgładzić. Zmanili więc Wagnera na piwo do Kurhausu w Giessen i gdy ten miał już dobrze w czubie, zawlekli go do parku, zatłukli kastetami, a ciało wrzucili do miejscowego stawu.

Wagner nie zginął jednak. Oprzytomniawszy w lodowatej wodzie, ciężko ranny i cały zalany krwią, dowlókł się do brzegu i rozpaczliwie krzyczał. Nadbiegł strażnik i uratował mu życie. Wagner długo leczył się z ran i jeszcze dłużej milczał. Zmienił nawet nazwisko. Wiedział bowiem dobrze, do czego zdolni byli ludzie kapitana Ehrhardta, przywódcy organizacji „Consul", której dziełem był zamach na Rathenaua. Dopiero przypadek sprawił, że prokurator w Giessen wpadł na trop tej sprawy i wydobył w końcu zeznania od Wagnera. Ale wtedy Kern już nie żył, Sa-

lomon zaś i jego wspólnicy siedzieli w więzieniu. A watażka Ehrhardt ukrywał się w lasach.

Cały ten wypadek opisuje Salomon we Fragebogen, powieści wydanej po wojnie. Powiada, że tylko dzięki kruczkom przysłanego mu przez Ehrhardta adwokata („uratował on już 50 skrytobójców") i „wyrozumiałości" przewodniczącego trybunału, Cramera (który posyłał Salomonowi befsztyki do celi), odrażający proces w Giessen (tzw. *Giessener Femeprocess*) zakończył się łagodnym wymiarem kary. Salomon otrzymał dodatkowy rok więzienia. W 1928 roku był już na wolności, okrzyczany natychmiast przez hitlerowców i militarystów za narodowego bohatera, cierpiętnika za sprawę „człowieka przyszłości".

Salomon — jak sam pisze — ze wszystkich stron otrzymywał propozycje pisania wspomnień i opowiadań z okresu działalności swojej w Freikorpsach i w organizacji „Consul". Jego przyjaciel z walk na Śląsku, Heinz Oskar Hauenstein, twórca polakożerczej „policji specjalnej", członek NSDAP już w 1922 r., zaproponował mu objęcie redakcji zbiorowego dzieła pt. Walka o Rzeszę. Miała to być historia zmagań pruskiej soldateski przeciwko republice weimarskiej. Salomon zostaje równocześnie redaktorem głównego „organu" b. członków rozmaitych Freikorpsów pt. Der Reiter den Osten oraz cyklu historycznego, który ukazywał się w berlińskim wydawnictwie Limperta — Das Buch vom deutschen Freikorpskaempfer. Nie trudno się domyśleć, co to była za „historia"... Ostatni zeszyt tej serii ukazał się w 1935 roku, a więc w tym samym czasie, kiedy Hitler ogłosił powszechny pobór do wojska. Salomon i jego przyjaciele ukończyli zleconą robotę — *summa cum laude!*

Okres Trzeciej Rzeszy Salomon przeżywa w glorii „starego bojownika o sprawę narodowych Niemiec". Zostaje przyjęty do Izby Pisarskiej Goebbelsa. Wszyscy ubiegają się o współpracę człowieka, który jest żywą historią sądów kapturowych, którego jako mordercę Rathenaua — fetują Hitler-Jugend i NSDAP. Staje się zamożnym człowiekiem. Jego współpraca z filmem daje mu krocie. Posiada wytworne mieszkanie w Berlinie, majątek na wyspie Sylt (Morze Północne), samochód, żaglowiec. Dyktuje warunki wydawcom. Kiedy Goebbels glajchszaltuje dom wydawniczy Ernsta Rowohlta (który później salwuje się ucieczką do Brazylii), Salomon — jego dawny klient — bierze grube pieniądze za firmowanie spółki. Gdy przyjeżdża do miasteczka, w którym mieściło się więzienie, gdzie odsiadywał swój wyrok, miejscowy Kreisleiter NSDAP stawia wszystkich mieszkańców na nogi. Jakże kabotyńsko opisuje morderca Salomon swoją wizytę w celi, „w której straciłem pięć jakże cennych i bezpowrotnie minionych lat mego życia" — szczególnie podkreślając ów moment, kiedy nie tylko on, ale i dozorcy więzienni ronili łzy wzruszenia „w miejscu uświęconym cierpieniem i męką"...

Działo się to w czasie — warto przypomnieć — kiedy Himmler mordował setki tysięcy najlepszych synów narodu niemieckiego.

Film — UFA i Tobis — wyreklamował Salomona z wojska, kiedy Hitler rozpoczął serię swoich krucjat przeciwko Polsce i Europie. Jest takie miejsce we Fragebogen, w którym Salomon zaznacza, iż pułkownik z komisji poborowej, wręczając mu kartę, oświadczył dyskretnie, iż może być zupełnie spokojny. Na front bowiem nigdy nie pójdzie. Salomon był tym początkowo zaskoczony. Później rzecz się wyjaśniła. „Relikwii narodowych — a

w pojęciu wyznawców Trzeciej Rzeszy Salomon był taką relikwią — należy pilnie strzec."

A tej „narodowej relikwii" żyło się niezgorzej nawet w najcięższych chwilach Trzeciej Rzeszy. Kiedy na Berlin padały bomby, Salomon i jego przyjaciele upijali się szampanem w pałacach i bunkrach dygnitarzy Trzeciej Rzeszy. Jeden z barwnych opisów takiej „uczty w czasie dżumy" daje nam Salomon na kartach książki F r a g e b o g e n, kiedy opisuje swoją nocną wizytę w domu lejbfotografa Hitlera — Hoffmanna, którego laborantka — Ewa Braun, była kochanką, później zaś żoną Hitlera (w ostatniej godzinie Tysiącletniej Rzeszy...) — a którego córka, Henrietta, została żoną wodza HJ — Baldura von Schiracha.

*

Amerykanie początkowo internowali Salomona w obozie dla SS. Ale wkrótce zwolnili go. Salomon stracił oczywiście wszystko. Książki jego znalazły się na indeksie. Mieszkanie spłonęło. A UFA przestała nakręcać filmy. Salomon jedzie więc do Hamburga, gdzie aż roi się od hitlerowców i pogrobowców Trzeciej Rzeszy, którzy czekają „swojej godziny"... Wszyscy przechodzą teraz przez denacyfikację jak przez odrę. Hitlerowiec otrzymuje do wypełnienia specjalny kwestionariusz (tzw. *Fragebogen*), który służy jako podstawa do postępowania denacyfikacyjnego. Przez proces ten przechodzi również i Enrst von Salomon. I nie traci nadziei...

Jego stary wydawca Rowohlt poszukuje sensacji, aby podreperować finanse borykającego się z trudnościami przedsiębiorstwa. Po pamiętnikach Schachta (O b r a c h u n e k z H i t l e r e m) i wspomnieniach rozmaitych generałów Rowohlt widzi kolejny szlagier w nowej książce Salomona. Stary Rowohlt ma nosa i wie, co w trawie piszczy. W Dolnej Saksonii i Nadrenii działają już hitlerowcy, w Bonn czekają swojej kolejki do żłobu generałowie. Były wiceminister propagandy i zastępca Goebbelsa, Werner Naumann, organizuje pierwszą nielegalną komórkę NSDAP. Adenauer patrzy przychylnym okiem na „narodowe przebudzenie" *(Nationale Erwachung)* faszystowskich szumowin i zaciera ręce. Potrzeba mu „mięsa armatniego", więc nie żałuje pieniędzy. Powstają Soldatenbundy, a Soldaten-Zeitung woła o „odpowiednią" literaturę dla przyszłych krzyżowców...

Jaką książkę może napisać dla kupca Rowohlta skrytobójca Salomon?

Pomysł jest prosty, ale chwytliwy: Salomon bierze kwestionariusz denacyfikacyjny i odpowiada na kolejne pytania. Tak powstaje 800-stronicowa książka pt. F r a g e b o g e n — niejako brewiarz narodowego socjalisty. Mamy w niej gloryfikację skrajnego nacjonalizmu i deifikację „wiecznych Niemiec" *(das ewige Deutschland)*, oczywiście przystosowaną do czasów powojennych. Z tezą — „hitleryzm bez Hitlera". Z krytyką tego, co już dzisiaj ani Adenauerowi, ani jego zamorskim protektorom nie jest potrzebne. Z wybielaniem własnych grzechów. Ale tyle cynizmu i kabotyństwa, tyle próżnej dumy i tchórzostwa nie zawiera chyba żadna książka tego typu, wydana po wojnie w zachodnich Niemczech. Jest lepka, obrzydliwa. Mierzi. Pachnie zbrodnią!

Jak podałem na wstępie, Salomon zrobił na niej majątek. Ktoś powiedział o F r a g e b o g e n, iż w pewnym stopniu zastępuje on teraz w domu każdego hitlerowca — M e i n K a m p f Hitlera. Nie dlatego, że można ją wszędzie nabyć (a M e i n K a m p f jest jeszcze ciągle na indeksie), ale dlatego, że jest łatwiejsza

do czytania. A w niemniejszym stopniu od „biblii" narodowego-socjalizmu umie apelować do najniższych instynktów społeczeństwa niemieckiego.

Fakt, że właśnie książka takiego zbrodniarza, jak Ernst von Salomon, może stać się dzisiaj tzw. best-sellerem w zachodnich Niemczech — oto najwymowniejszy znak czasu dla „epoki" Adenauera...

Marian Podkowiński

NOWY ROZDZIAŁ WALKI O WOLNOŚĆ

Analogie historii bywają uderzające. Nie w szczegółach, ale w klimacie i ostatecznej wymowie leży ich istota. Morderstwo na Rosenbergach, dokone rok temu przez sądy i rząd Stanów Zjednoczonych, było jak gdyby repliką innego urzędowego mordu, który spełnił się przed laty blisko stu. W roku 1859, w okresie największego ucisku Murzynów, John Brown dał hasło ich wyzwolenia i sam wzniósł chargiew powstania. Osądzono go za to i powieszono, choć w jego obronie stanęła cała ludzkość.

Skrzyp szubienicy, na której zawisł John Brown, rozległ się głośnym echem po całym świecie. Nic już od tej chwili nie mogło powstrzymać nadejścia wolności. Przyszła w proklamacji Lincolna i wykonała testament ofiary: przyniosła pełne wyzwolenie Murzynów. Tak iskra elektryczna, od której zginęli Juliusz i Ethel, zapaliła nieugaszony stos ognia. Wiemy, że jest teraz tylko sprawą czasu, by skruszały kajdany i wolność wróciła na ziemię, która była jej dziełem, piękną ziemię amerykańską.

Z myślą właśnie o podobieństwach historii, w pierwszą tragiczną rocznicę śmierci Rosenbergów warto choćby w urywkach przypomnieć słowa, jakimi w obliczu tamtego wyroku — wyroku na Browna — ostrzegał społeczeństwo wspaniały pisarz i człowiek, Henry David Thoreau. Zmieńmy daty, podstawmy faszyzm zamiast niewolnictwa, a mowa Thoreau zalśni blaskiem tak świeżym, jakby wypowiedziano ją wczoraj.

„Miał odwagę stanąć przeciw własnej ojczyźnie, gdy ojczyzna dopuszczała się krzywd. Nie chodził do elitarnego Harvard. Skończył wielką uczelnię życia, w której wytrwale uczył się wolności. Nie był demokratą ani republikaninem, był człowiekiem zdrowego rozsądku, szczerym, otwartym, rzetelnym, nabożnym, skromnych obyczajów. W mowie używał słów prostych i jasnych, a takie same były jego czyny. Kiedy się odzywał, było to jak mowa Cromwella w porównaniu z mową jakiego pospolitego króla.

Gazety udają nieświadomość — a może naprawdę nie wiedzą — że tak samo jak ja myślą o nim ludzie w każdym miasteczku na Północy i że jesteśmy coraz liczniejsi. Nasza godność każe nam być czymś więcej niż potulnym i głupim bydłem, co niby czyta historię i Biblię, a w rzeczywistości plugawi sobą każdy dom i dzień każdy zatruwa swoim oddechem.

Sprytni i niespokojni politycy może potrafią dowieść, że z Brownem byli tylko jego synowie, kilku przyjaciół i pięciu Murzynów. Ale ich własny niepokój świadczy, że było inaczej. Dlaczego tak boją się prawdy? Bo mają niejasne poczucie, że co najmniej milion wolnych obywateli Stanów Zjednoczonych dałby wyraz radości, gdyby czyn Browna się powiódł. I dziś, jeśli ktokolwiek może spać spokojnie, to nie wiem zaiste, z czego jest zrobiony.

Zapytują niektórzy: cóż on mógł na tym zyskać? Jakby chodziło o to, by napełnić sobie kieszenie. Nie wątpię, że na waszym rynku więcej można dostać

za kwartę mleka niż za kwartę krwi. Ale nie na ten rynek bohaterowie noszą swoją krew.

Nowoczesny chrześcijanin zgadza się odmawiać wszystkie modły przewidziane liturgią pod warunkiem, że zaraz potem będzie mógł iść prosto do łóżka i spokojnie zasnąć. A statek niewolników płynie ze swym ładunkiem konających ofiar. „Panuje zupełny spokój" — wołają gazety. Tak, ale cóż to za spokój! Może dlatego tylko był potrzebny, abyśmy w świetle historii tym lepiej widzieli, jaki to mamy rząd. Kiedy rząd, tak jak to nasz czyni, rzuca swą siłę na szalę nieprawości i krzywdy, gdy podtrzymuje niewolę i morduje tych, co przynoszą niewolnikom wolność, wówczas staje się tylko brutalną przemocą. Gorzej — staje się mocą szatańską.

Mówimy o rządzie reprezentacyjnym. Ale cóż za potworem jest rząd, w którym nie są reprezentowane najszlachetniejsze pierwiastki umysłu i nie jest reprezentowane serce! Bohaterowie umieli walczyć z przestrzelonymi nogami. Ale żadne dobro nie może przyjść od rządu bez głowy i serca. Jedyny rząd, jaki uznaję, to taki, który wymierza sprawiedliwość; nigdy zaś taki, który tworzy niesprawiedliwość. Co myśleć mamy o rządzie, dla którego wrogami są wszyscy ludzie mężni i prawi, wszyscy stojący między nim a uciskanymi? Co myśleć o rządzie, który nazywa siebie chrześcijańskim, a krzyżuje co dnia miliony Chrystusów!

Zdrada? Taka zdrada rodzi się z siły, która nas czyni ludźmi. I choćbyście powiesili wszystkich buntowników ludzkich, nic nie zdziałacie, gdyż nie zdołacie dosięgnąć tej siły.

Powtarzam jeszcze raz: gdy myślę o Brownie, o jego walce, o tygodniach, miesiącach i latach tej samotnej walki, widzę w tym obrazie najwyższą wzniosłość. Wieków trzeba, by stworzyć takiego człowieka, i wieków, by go zrozumieć do końca. Błogosławiona ziemia, która go zrodziła, ale drugi raz słońce może już nie zobaczy takiego. Zrobiony został z najcenniejszego kruszcu, zesłany dla odkupienia jęczących w niewoli. A wy jedyne, co potraficie, to uwiązać mu sznur u szyi i powiesić! Wy, którzy udajecie miłość dla ukrzyżowanego Chrystusa, zważcie, co chcecie uczynić temu, który przez swą ofiarę stał się zbawicielem czterech milionów ludzi.

Widzę nadejście czasów, gdy malarz będzie ten obraz malować nie sięgając po temat do Rzymu. Opiewać go będą poeci, opisywać historycy. I wraz z Lądowaniem Pielgrzymów i Deklaracją Niepodległości stanie się ozdobą panteonu narodowego, gdy już zniknie dzisiejsza postać niewoli. Wtedy będzie nam wolno płakać nad kapitanem Brownem. I wtedy, ale dopiero wtedy, weźmiemy za niego pomstę".

Na tym kończy Thoreau. Ale na tym nie kończą się dzieje kapitanów wolności. Juliusz i Ethel zapisali drugi rozdział tych dziejów.

an. ki.

OD REDAKCJI

W związku z zakończeniem druku powieści Wilhelma Macha Jaworowy dom i drukiem powieści Marii Jarochowskiej Dziadowska miłość zwracamy się do naszych czytelników z prośbą o nadsyłanie uwag i wypowiedzi, które będziemy zamieszczać na łamach naszego pisma.

KONKURS

Miesięcznik Twórczość ogłasza konkurs otwarty na opowiadanie o tematyce wiejskiej.

Wyrastanie nowego człowieka na tle przeobrażeń gospodarczych, społecznych, kulturalnych, zachodzących na polskiej wsi, nie znalazło jeszcze należnego wyrazu w literaturze. Zadaniem konkursu jest ożywić zainteresowanie bieżącym życiem wsi w jak najszerszym zakresie.

Konkurs dostępny jest dla wszystkich.

Prace, które nie powinny w zasadzie przekraczać 50 stron maszynopisu, należy przesyłać do dnia 15 listopada br. na adres miesięcznika Twórczość (Warszawa, Wiejska 16).

Prace powinny być oznaczone godłem. Nazwisko i adres należy umieścić w załączonej zamkniętej kopercie.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w lutym 1955 r. i będzie opublikowane w Twórczości.

Przewiduje się trzy nagrody:

1) w wysokości 5.000 złotych
2) w wysokości 3.000 złotych
3) w wysokości 2.000 złotych.

Prace nagrodzone będą drukowane w Twórczości i honorowane niezależnie od nagrody.

KSIĄŻKI NADESŁANE

MARKSIZM-LENINIZM

Kalinin M. — O propagandzie i agitacji. Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1954; str. 93, 3 nl.

LITERATURA PIĘKNA

Klasycy literatury polskiej

Mickiewicz Adam — Ballady. Ilustracje i kartę tytułową projektował Andrzej Heidrich. (Książka Nowego Czytelnika). „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 85, 3 nl.

Orzeszkowa Eliza — Niziny. Dziurdziowie. Posłowia: Maria Żmigrodzka. Przypisy: Maria Staszewska. Opracowanie graficzne: Jerzy Jaworowski. (Dzieła wybrane w dwunastu tomach. Komitet redakcyjny: Julian Krzyżanowski, Jan Zygmunt Jakubowski, Maria Żmigrodzka.) „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 422, 2 nl.

Klasycy literatury obcej

Arsenał pieśni. Antologia niemieckiej poezji rewolucyjnej XIX wieku. Wybrał i opracował, wstępem i przypisami opatrzył Tadeusz Polanowski. Okładkę i kartę tytułową projektowała Maria Wieczorek. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 170, 2 nl.

Keller Gotfryd — Romeo i Julia na wsi. Tłumaczyła z niemieckiego Izabela Czermakowa. Ilustrował Jerzy Jaworowski. (Książka Nowego Czytelnika). „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 122, 2 nl.

de Maupassant Guy — Historia prawdziwa i inne nowele. Z francuskiego tłumaczyła Krystyna Dolatowska. Posłowiem opatrzył Jerzy Adamski. Okładkę i kartę tytułową projektował Jan Młodożeniec. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 258, 2 nl.

Poezja i dramat

Bielski Konrad — 38 równoleżnik. Okładka i ilustracje: Izaak Celnikier. Karta tytułowa: Andrzej Radziejowski. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 30, 2 nl.

Brandys Kazimierz — Sprawiedliwi ludzie. Sztuka w trzech aktach, siedmiu odsłonach. „Czytelnik", Warszawa, 1953; str. 94, 2 nl.

Chamiec Jadwiga — Zdarzenie. Dramat w 4 aktach. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 140, 4 nl.

Gałczyński Konstanty Ildefons — Chryzostoma Bulwiecia podróż do Ciemnogrodu. Okładkę projektowali: Adam Młodzianowski i Daniel Mróz. Ilustrował: Daniel Mróz. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1954; str. 56, 2 nl.

Korea walczy. Wiersze poetów koreańskich 1950 — 52. Z języka rosyjskiego przełożył Jerzy Ficowski. Okładkę i kartę tytułową projektował Stefan Rzepecki. Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1954; str. 115, 1 nl.

Guilléu Nicolas — Śpiewak z Kuby. Tłumaczyła z hiszpańskiego i opatrzyła wstępem Zofia Szleyen. Ilustrował Jan S. Miklaszewski. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 98, 2 nl.

Urban Ernő — Chrzest ogniowy. Sztuka w 3 aktach. Z węgierskiego przełożyła Camilla Mondral. Uwagi inscenizacyjne opracował Grzegorz Lipszyc. Dekoracje i kostiumy projektował Jan Hawryłkiewicz. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 110, 2 nl.

Proza

Aragon Louis — Komuniści. (Maj 1940). (Majczerwiec 1940). Przełożyła z języka francuskiego Julia Hartwig. Okładkę projektował Henryk Tomaszewski. (Na całość złożą się trzy serie. Seria pierwsza obejmuje okres luty 1939 — czerwiec 1940. Tom niniejszy stanowi zakończenie pierwszej serii). „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 546, 2 nl.

Bączyk Edmund — Jeden z nas. Okładkę projektował Stefan Rzepecki. Ilustracje projektowała Jadwiga Walker (Biblioteka Żołnierza. Seria I. Popularne utwory literackie. Tomik 93). Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1954; str. 97, 3 nl.

Brandys Kazimierz — Obywatele. Obwolutę, okładkę i kartę tytułową projektował Janusz Grabiański. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 445, 1 nl.

Czeszko Bohdan — Krzewy koralowe. Okładkę i winiety projektował Henryk Tomaszewski. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 125, 3 nl.

Denisow N. N. i Karpowicz M. D. — Czkałow bohater przestworzy. Tłumaczyła z jęz. rosyjskiego Jadwiga Laskowska. Okładkę projektował Janusz Rocki. (Biblioteka Żołnierza. Seria III. Opowiadania o walce i pracy. Tomik 66. Ministerstwo Obrony Narodowej; Warszawa, 1954; str. 120, 4 nl.

Gałaj Julian — Przedpole. Opowieść. Okładkę projektował Jerzy Kruszewski. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 146, 2 nl, 2 nl.

Hen Józef — Płomień na Podhalu. Okładkę projektował Antoni Uniechowski. Ilustracje opracował Mieczysław Kościelniak. (Biblioteka Żołnierza. Seria V. Z minionych dni. Tomik 16). Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1954; str. 66, 2 nl.

Kałczew Kamen — Żywi pamiętają. Z bułgarskiego tłumaczyli: Jan Woźnicki, Romuald Buczyński, Zygmunt Wereszczyński. Okładkę i kartę tytułową projektował Jan Kucharski. „Czytelnik", Warszawa 1954; str. 579, 1 nl.

Kozłowski Józef — O tych co życie sprawie oddali. Okładkę projektował S. Rzepecki. (Biblioteka Żołnierza. Seria III. Opowiadania o walce i pracy. Tomik 67). Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1954; str. 121, 3 nl.

Korycka Waleria — Szkoła najlepszych. Okładkę i ilustracje projektował R. Jagusiak. (Biblioteka Żołnierza. Seria III. Opowiadania o walce i pracy. Tomik 65). Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1954; str. 86, 2 nl.

Kuczyński Bogusław — O powrót Barabaszów. Opowiadania. Okładkę i kartę tytułową projektował Marian Stachurski. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 124, 4 nl.

Majewski Stanisław — Koordynat „alfa". Ilustrował M. Majewski. Okładkę projektował Wł. Brykczyński. (Biblioteka Przygód Żołnierskich). Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1954; str. 91, 1 nl.

Rozłubirski Edwin — Wspomnienia partyzanta. Ilustrował T. Zarzycki. Okładkę projektował Z. Piotrowski. (Biblioteka Żołnierza. Seria I. Popularne utwory literackie. Tomik 93). Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1954; str. 82, 2 nl.

Scharrer Adam — Ludzie bez ojczyzny. Z niemieckiego tłumaczyła: Anna Linke. Okładkę projektował Andrzej Radziejowski. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 227, 1 nl.

Wirpsza Witold — Na granicy. Okładkę projektował Adam Młodzianowski. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1954; str. 227, 1 nl.

Essay i krytyka

Ważyk Adam — Mickiewicz i wersyfikacja narodowa. Wydanie drugie, rozszerzone i zmienione. Okładkę projektował Jan Kucharski. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 197, 3 nl.

Pamiętniki, biografie, listy, wspomnienia

Pamiętniki generała Rybaka. Posłowie Jana Kancewicza. Okładkę projektował Jan Młodożeniec. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 292, 4 nl.

Walsh Jane — Tak być nie powinno. Tłumaczyła z języka angielskiego Róża Czekańska-Heymanowa. Przedmowy: Harry Pollitt, John Gibbons. Okładkę i kartę tytułową projektował Andrzej Radziejowski. Rysunek na okładce: Paul Hogarth. „Czytelnik", Warszawa, 1954, str. 126, 2 nl.

Satyra

Drygas Wojciech — Straszliwa Rozalia. Ilustrował Janusz Sławny. Okładkę projektował Andrzej Heidrich. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 132, 4 nl.

Kern Ludwik Jerzy — Wolne wnioski. Ilustrował Janusz Sławny. Kartę tytułową projektował Andrzej Heidrich. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 94, 2 nl.

Łagin Łazar — Wyspa rozczarowania. Tłumaczyła z rosyjskiego Maria Zagórska. Okładkę i inicjały projektował Andrzej Radziejowski. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 449, 3 nl.

Marianowicz Antoni — Kłopoty milionera. Okładka i ilustracje Jerzego Zaruby. Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1954; str. 39, 1 nl.

LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Bagmut I. — Szczęśliwy dzień Igora. Tłumaczyła z jęz. rosyjskiego Zofia Pomianowska. Ilustrował B. Markiewicz. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 144, 4 nl.

Bianki Witali — Dziupla. Opracowała Maria Kownacka. Ilustrował A. Ryłow. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; 8 knl.

— Myszka Pik. Tłumaczyła z jęz. rosyjskiego Helena Jarmolińska. Okładkę projektował Zbigniew Rychlicki. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 42, 2 nl.

Boczar M. L. — Model jachtu „Hania". „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 43, 1 nl, 1 knl.

Budujemy podstawy socjalizmu. Okładkę projektował Czesław Borowczyk. (Materiały szkolenia zetempowskiego). „Iskry", Warszawa, 1954; str. 205, 3 nl.

Curwood James Oliver — Włóczęgi północy. Ilustracje i okładka Janusza Grabiańskiego. „Iskry", Warszawa, 1954; str. 187, 5 nl.

Droga narodów radzieckich do komunizmu. „Iskry", Warszawa, 1954; str. 126, 2 nl.

Dubow N. — Na krańcu ziemi. Przełożyła z jęz. rosyjskiego Wacława Komarnicka. Okładkę projektował Zdzisław Witwicki. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 276, 4 nl.

Fiedler Arkady — Mały Bizon. Winiety i przerywniki M. Majewskiego. „Iskry", Warszawa, 1954; str. 244, 4 nl.

Gajdar Arkady — Czuk i Hek. Tłumaczył z jęz. rosyjskiego Aleksander Wat. Ilustrował Jarosław Kirylenko. Okładkę seryjną projektował Zbigniew Rychlicki. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 46, 2 nl.

— Dym w lesie. Tłumaczyła z jęz. rosyjskiego Maria Górska. Ilustrował K. M. Sopoćko. Okładkę seryjną projektował Zbigniew Rychlicki. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 38, 2 nl.

Gorbatow Borys — Donbas. Tom I i II. Przełożył z rosyjskiego Włodzimierz Waśkowski. Okładkę projektował Wojciech Fangor. „Iskry", Warszawa, 1954; t. I str. 215, 1 nl.; t. II str. 293 1 nl.

Gorbowcow M. — Dzieciństwo Miszki. Tłumaczyła z jęz. rosyjskiego Janina Lewandowska. Okładkę projektował Bronisław Kieszkowski. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 200, 4 nl.

Grodzieńska Wanda — Kimsobo Podróżnik. Ilustrował Andrzej Zaborowski. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 30.

Gromow W. — Co działo się na ziemi miliony lat temu. Tłumaczyła z jęz. rosyjskiego Jadwiga Doboszyńska. Ilustrowała Teresa Targońska. Rysunek na okładkę według obrazu Zdenka Buriana. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 84.

Ignar Stefan — Młodzież chłopska odpowiedzialna za przyszłość wsi. „Iskry", Warszawa, 1954; str. 167, 5 nl.

Iljin Michał, Segał Helena — Prawdziwe cuda. Tłumaczył Józef Zimniak. Okładkę projektował Jerzy Kruszewski. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; 441 knl.

Iwaszkiewicz Jarosław — Czerwone tarcze. Ilustrował Jan Marcin Szancer. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 278, 2 nl.

Jarochowska Maria — Odwaga. Ilustrował J. Karolkiewicz. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 29, 1 nl.

Jemielianow B. — Opowiadania o Gajdarze. Tłumaczyli z jęz. rosyjskiego Jan Brzechwa i Maria Górska. Ilustrował Stanisław Rozwadowski. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 118, 2 nl.

Kann Maria — Okręcik. Kapryśna kotka. Według tekstów rosyjskich opracowała Maria Kann. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; 8 knl.

Kann Maria, Różańska Eugenia — W jakim kolorze? „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; 6 knl.

Kurek Jalu — Młodości śpiewaj! Okładkę projektował Jan Hollender. „Iskry" Warszawa, 1954; str. 423, 1 nl.

Melville Herman — Moby Dick czyli biały wieloryb. Z angielskiego tłumaczył Bronisław Zieliński. Przedmowa: Janusz Wilhelmi. Słowniczek wyrażeń morskich: Mieczysław Boczar. Opracowanie graficzne: Jerzy Jaworowski. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 690, 2 nl.

Młodzi technicy. Wzory prac technicznych. Seria I i II. (Luźne tablice nie numerowane). „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954.

Mogilewska S. — Piotruś. Tłumaczyła z jęz. rosyjskiego Maria Górska. Okładkę projektowała Maria Mackiewiczowa. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 66, 2 nl.

Morcinek Gustaw — Zabłąkane ptaki. Ilustrował i okładkę projektował Stanisław Töpfer. „Iskry", Warszawa, 1954; str. 283, 3 nl.

Morozow A. — Człowiek w dżungli. Opowiadania. Przełożył Antoni Koral. Okładkę projektował Janusz Grabiański. „Iskry", Warszawa, 1954; str. 180, 4 nl.

Mścisławski S. — Szpak ptak wiosenny. Przełożyła G. Roklewska. Okładkę projektował Jan Lenica. Ilustrował Ignacy Witz. „Iskry", Warszawa, 1954; str. 438,2 nl.

Obruczew W. A. — Ziemia Sannikowa. Tłumaczył z rosyjskiego Józef Brodzki. Okładkę projektował Jerzy Młodożeniec. „Iskry", Warszawa, 1954; str. 315, 3 nl.

Osipow K. — U progu życia. Tłumaczył z rosyjskiego Z. St. Glomar. Ilustracje opracował M. Kościelniak. Okładkę projektował M. Wiśniewski. Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1954; str. 250, 2 nl.

Paustowski Konstanty — Kolchida. Przełożył z jęz. rosyjskiego K. A. Jaworski. Okładkę projektował Jan Młodożeniec. „Iskry", Warszawa, 1954; str. 155, 5 nl.

Piotrowski Stanisław — Wróg sportu. Ilustrował Zbigniew Piotrowski. Okładkę projektował Tadeusz Niemirski.. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 78, 2 nl.

Pludra Benno — Chłopcy z namiotu nr 13. Tłumaczyła z jęz. niemieckiego Janina Marecka i Maria Wołczacka. Ilustrował Stefan Styczyński. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 134, 2 nl.

Polewoj Borys — Ludzie naszych czasów. Przekład Marii Traczewskiej. Okładkę projektował M. Kowalczyk. „Iskry", Warszawa, 1954; str. 324, 4 nl.

— Opowieść o prawdziwym człowieku. Przełożył z jęz. rosyjskiego Jerzy Wyszomirski. Życiorys B. Polewoja przełożyła Gabriela Pauszer-Klonowska. „Iskry", Warszawa, 1954; str. 404, 4 nl.

Poradnik młodego turysty. Opracowała na podstawie wydania rosyjskiego, „A. G. Komowski — Sputnik junogo turista" — S. Kutzner. „Iskry", Warszawa, 1954; str. 171, 3 nl, 2 knl (tablice).

Rudnicka Halina — Płomień gorejący. Ilustrował Mieczysław Kościelniak. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 288, 2 nl.

SPIS TREŚCI

Str.

Jarosław Iwaszkiewicz: Dzień czerwcowy 3

Mieczysław Jastrun: Wakacje; Tren grudniowy; Triumf prawdy; Śpiew wiatru; Ziarno; Przed zmierzchem; Imiona 7

Jan Wyka: Znajomy kwiat; Pograniczny spór 11

Stefan Żeromski: Z dzienników 13

Aleksander Ścibor-Rylski: Cień 38

Józef Kuśmierek: Rok 1944 72

Tadeusz Breza: Psychologia debiutu 124

Maria Dąbrowska: Szkice myśli o Bolesławie Prusie 135

VI ZJAZD LITERATÓW POLSKICH, Warszawa 8.VI—11.VI

Edward Ochab 152

Leon Kruczkowski 155

Kazimierz Brandys: Uwagi pisarza o sytuacji w literaturze . . . 177

WŚRÓD KSIĄŻEK: Anna Kamieńska — Jan Rak „Utwory chłopa pańszczyźnianego; Wojciech Natanson — Aleksander Baumgardten „Łuny na wietrze"; Henryk Bereza — Wilhelm Mach „Jaworowy dom"; Wojciech Natanson — Tadeusz Kwiatkowski „Gwiazda brazylijskiego nieba" 198

NA WIDNOKRĘGU: Krzysztof Wolicki, Józef Spinc, Julian Stawiński, Marian Podkowiński, an. ki. 209

KSIĄŻKI NADESŁANE 237

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"

Redaktor Naczelny: Adam Ważyk

Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, centr. 8-24-11, wewnętrzny 54

Administracja: Wiejska 12, tel. 8-24-11

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju za zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych P. P. K. „Ruch", Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 805-05.

Cena zeszytu zł 7.—. Prenumerata kwartalna zł 21.—, półroczna zł 42.—

Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca

KOMUNIKAT

Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk przygotowuje zbiorowe wydanie korespondencji Marii Konopnickiej, zwraca się więc do wszystkich osób i instytucji posiadających listy M. Konopnickiej, znających poetkę lub mających o niej nieznane informacje z uprzejmą prośbą o komunikowanie ich pod adresem Instytutu, Warszawa, Krakowskie Przedmieście 7.

137 4403

Cena zł 7.-

UWAGA CZYTELNICY!

Archiwum II Delegatury RSW „Prasa“ Warszawa, ul. Wiejska 14, ma do sprzedania pewną ilość różnych numerów mies. „Twórczość“ za lata 1950, 1951, 1952, 1953 i początkowe numery z roku bieżącego.

Archiwum może wysyłać zamówione numery za zaliczeniem pocztowym.